

Cyadela Autarchy

Gene Wolfe



calibre 0.9.27

CYTADELA AUTARCHY

TLUMACZYŁ: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

SKANOWAŁ VERBAT

O drugiej po północy, gdy okno na oścież otworzysz,

Usłyszysz kroki wiatru, co zdąża na spotkanie słońca.

Drzewa zaszumią w mroku, liście zaśnieją srebrzyście

I choć ciemno wokół, to wiesz, że noc dobiega końca.

Rudyard Kipling

Rozdział I

Martwy żołnierz

Nigdy nie widziałem wojny ani nawet nie miałem okazji dłużej porozmawiać z kimś, kto w niej uczestniczył, ale byłem młody i wiedziałem co nieco o przemocy, w związku z czym przypuszczałem, iż wojna będzie dla mnie jedynie kolejnym, nowym doświadczeniem, tak samo jak były nim sprawowanie ważnego urzędu w Thraksie lub ucieczka z Domu Absolutu.

Wojna wcale nie jest nowym doświadczeniem; to zupełnie nowy świat, którego mieszkańcy różnią się od ludzi bardziej niż Famulimus i jego przyjaciele. Światem tym rządzą odmienne prawa i nawet jego geografia jest zupełnie inna, ponieważ mało znaczące wzgórza i doliny dorównują pod względem ważności wielkim miastom. O ile na naszej poczciwej Urth można spotkać potworności w rodzaju Erebu, Abaii i Ariocha, o tyle świat wojny zamieszkują potwory zwane bitwami — każda komórka ich cielska jest niezależną istotą, która w połączeniu z innymi tworzy byt obdarzony własnym życiem oraz inteligencją. O tym, że zbliżamy się do jednego z nich, świadczą napotykanne coraz częściej niedobre znaki.

Pewnej nocy obudziłem się długo przed świtem. Dokoła panował całkowity spokój, ale ja uroiłem sobie, że podkrada się do mnie jakiś nieprzyjaciel. Wstałem, by rozejrzeć się po okolicy.

Wzgórza wciąż jeszcze spowijała głęboka ciemność, a ja stałem w czymś w rodzaju niewielkiego, udeptanego mymi stopami gniazda otoczonego wysoką trawą. Ze wszystkich stron dobiegało granie świerszczy.

Kątem oka dostrzegłem fioletowy błysk na północnej stronie horyzontu. Natychmiast spojrzałem w tamtą stronę, ale, choć wyteżczałem wzrok, nie udało mi się nic dojrzeć. Nabrałem już przekonania, że było to jedynie złudzenie, być może wywołane opóźnionym działaniem narkotyku, jakim uraczono mnie w domu hetmana, kiedy nagle błysk powtórzył się: trochę w lewo od miejsca, w które się wpatrywałem.

Stałem nieruchomo co najmniej przez wachtę, obserwując tajemnicze zjawisko. Kiedy wreszcie nabrałem pewności, że odległe błyski nie zbliżają się oraz że nie zmienia się ich częstotliwość — pojawiały się średnio co pięćset oddechów — ponownie ułożyłem się do snu.

Poczułem wtedy, że przez ziemię przebiega delikatne drżenie.

Rankiem, kiedy obudziłem się ponownie, drżenie ustało i choć uważnie wpatrywałem się w horyzont, nie zauważyłem tam niczego niepokojącego.

Minęły dwa dni od mego ostatniego posiłku, ale nie czułem już głodu, choć zdawałem sobie sprawę, iż z pewnością straciłem sporo sił. Dwa razy natrafiłem na niewielkie, opuszczone domostwa i przeszukałem je dokładnie, ale nawet jeśli kiedyś było w nich coś do jedzenia, to ktoś zabrał wszystko już dawno temu. Znikły nawet szczury. Przy drugim domu znajdowała się studnia, lecz wrzucono do niej cuchnącą padlinę, a poza tym i tak nie miałbym jak dostać się do nisko położonego lustra wody. Ruszyłem dalej, myśląc o tym, że dobrze byłoby znaleźć coś do picia, a także jakiś kij solidniejszy od zbutwiałych patyków, które łamały się jeden za drugim.

Kiedy przemierzałem góry podpierając się mieczem jak laską, przekonałem się, jak bardzo ułatwia to wędrówkę.

Około południa natrafiłem na ścieżkę, a krótko po tym, jak na nią wszedłem, do moich uszu dotarł zbliżający się szybko tętent. Ukryłem się, chwilę później zaś obok mnie przemknął

jeździec. Jechał bardzo szybko, ale i tak zdążyłem dostrzec, że ma na sobie zbroję podobną do tej, jaką nosili oficerowie dimarchów Abdiesusa, tyle że rozwiany płaszcz nie jest czerwony, tylko zielony, na hełmie zaś znajduje się osłona przypominająca daszek czapki. Kimkolwiek był

ów jeździec, dosiadał wspaniałego rumaka; z pyska zwierzęcia kapiała piana, a na bokach widniały wielkie plamy potu, lecz mimo to wierzchowiec galopował z taką prędkością, jakby brał

udział w rozpoczętym zaledwie przed chwilą wyścigu.

Spodziewałem się, że za samotnym jeźdźcem zjawią się następni, ale nic takiego nie nastąpiło. Przez długi czas szedłem otoczony ciszą, którą zakłócał jedynie świergot ptaków. Po obu stronach ścieżki, a także na niej, widziałem wiele śladów pozostawionych przez dziką zwierzynę. Wreszcie, ku mej niesłychanej radości, dotarłem do niewielkiego strumienia.

Wszedłem do niego i zatrzymałem się dopiero w miejscu, gdzie woda miała nieco większą głębokość, dno zaś było wysłane białym żwirem. Drobne rybki uciekały przede mną we wszystkie strony — ich obecność świadczyła o tym, że strumień jest czysty — woda natomiast miała wspaniały smak, przesycony wspomnieniami o śniegu topniejącym na górskich zboczach.

Piłem tak długo, aż wreszcie zacząłem się obawiać, że pęknie mi żołądek, po czym zrzuciłem ubranie i wykąpałem się, nie zważając na niską temperaturę. Odświeżony wróciłem do miejsca, w którym ścieżka przecinała koryto strumienia; po drugiej stronie dostrzegłem dwa wyraźne ślady pozostawione przez zwierzę, które zatrzymało się tam na dłuższą chwilę, by zaspokoić pragnienie.

Ślady były wielkości sporych talerzy, pozbawione odcisków pazurów, schowanych za miękkimi poduszczkami, i nakładały się na odciski kopyt wierzchowca. Stary Midan, pełniący funkcję łowczego mego wuja, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, opowiadał kiedyś, że

smilodon pije tylko po obfitym posiłku i że nie jest wówczas niebezpieczny, naturalnie pod warunkiem, iż pozostawi się go w spokoju. Ruszyłem w dalszą drogę.

Ścieżka wiodła przez porośniętą lasem dolinę, by potem wspiąć się na przełęcz między wzgórzami. Dotarłszy blisko miejsca, gdzie osiągała największą wysokość, ujrzałem drzewo o średnicy dwóch piędzi, złamane wpół na wysokości moich oczu. Końce tkwiącego w ziemi kikuta oraz zwalonego pnia były poszarpane, jakby drzewo nie zostało ścięte, tylko złamane. Na przestrzeni następnych trzech mil zobaczyłem jeszcze kilkanaście takich samych. Sądząc po tym, że ułamane części były pozbawione liści, natomiast na sterzających z ziemi pniach pojawiły się świeże odrosty, dzieła zniszczenia dokonano co najmniej rok temu, może nawet dawniej.

Wreszcie ścieżka doprowadziła mnie do prawdziwej drogi, jednej z tych, o których wiele słyszałem, ale po których jeszcze nigdy nie miałem okazji stąpać (chyba że były już niemal całkowicie zrujnowane). Przypominała drogę zablokowaną przez żołnierzy przy bramie w Murze Nessus, gdzie tłum oddzielił mnie od doktora Talosa, Baldandersa, Jolenty i Dorcas, tyle tylko, że unosiły się nad nią gęste tumany pyłu. Nie rosła też na niej trawa, choć droga była szersza od większości ulic w mieście.

Nie pozostało mi nic innego, jak podążyć tam, dokąd prowadziła. Po obu jej stronach rosły gęsto drzewa, a przestrzeń między nimi wypełniały krzewy o splątanych gałęziach.

Początkowo odczuwałem niepokój, mając wciąż w pamięci płomieniste lance jezdnych; później doszedłem jednak do wniosku, iż prawo zakazujące używania dróg nie obowiązuje na tych terenach, gdyż w przeciwnym razie z traktu nie korzystałoby aż tylu ludzi. Kiedy krótko potem usłyszałem dobiegający z tyłu odgłos licznych kroków, nie próbowałem się ukryć, tylko stanąłem między rosnącymi z brzegu drzewami, by przyjrzeć się maszerującej kolumnie.

Pochód otwierał oficer na dorodnym, gryzącym wściekle wędzidło wierzchowcu o nie spiłowanych kłach, które ozdobiono turkusami o tej samej barwie co jego zbroja oraz garda szabli jeźdźca. Za nim podążali ciężkozbrojni piechurzy, szerocy w barach i szczupli w pasie, o spalonych słońcem, nieruchomych twarzach. Nieśli ostre trójzęby, sierpy oraz ciężkie pałki. Ta różnorodność broni, a także niejednorodność ich umundurowania kazały mi przypuszczać, iż oddział składał się z niedobitków co najmniej kilku formacji. Jeśli tak było w istocie, to walki, w jakich uczestniczyli, musiały być rzeczywiście nadzwyczaj krwawe, gdyż żołnierze — w liczbie co najmniej czterech tysięcy — maszerowali pogrążeni w graniczącej z otepieniem obojętności, niespiesznie, choć i nieociężale, bezmyślnie, a zarazem bez wysiłku.

Później pojawiły się wozy ciągnięte przez trąbiące od czasu do czasu trilophodony.

Przysunąłem się nieco do drogi, gdyż wyglądało na to, że przynajmniej część ładunku stanowi żywność, ale między wozami kręcili się liczni kawalerzyści. Jeden z nich zapytał donośnym głosem, z jakiego jestem oddziału, a potem kazał mi się zbliżyć; ja jednak natychmiast rzuciłem się do ucieczki,

a choć byłem pewien, że ani nie uda mu się wjechać między drzewa, ani nie zdecyduje się zsiąść z wierzchowca, aby ścigać mnie na piechotę, zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy zabrakło mi tchu w piersi.

Stało się to na zacisznej polanie pocętkowanej zielonkawymi plamami słonecznego światła przeciskającego się między liśćmi strzelistych drzew. Ziemia była porośnięta mchem tak grubym, iż odniosłem wrażenie, że ponownie stąkam po miękkim dywanie rozłożonym na pod-

łodze pokoju ukrytego za wielkim obrazem, gdzie spotkałem władcę Domu Absolutu. Zamarłem w bezruchu, oparty plecami o jeden ze smukłych pni, i cały zamieniłem się w słuch; do moich uszu nie docierał żaden odgłos oprócz łomotania mego serca i szumu płynącej tętnicami krwi.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że jednak słyszę coś jeszcze, a mianowicie brzęczenie muchy. Otarłem spoconą twarz skrajem fuliginowego płaszcza, który zdążył już mocno spłowić i był w wielu miejscach podarty. Nagle uświadomiłem sobie, że jest to ten sam płaszcz, którym mistrz Gurloes okrył moje ramiona w dniu, kiedy zostałem czeladnikiem, i że zapewne do samej śmierci nie będę miał innego. Mój pot wydawał się zimny jak rosa, w powietrzu zaś czuć było ciężki zapach wilgotnej ziemi.

Bzyczenie ucichło, by zaraz rozlec się ponownie. Odniosłem wrażenie, iż słyszę je wyraźniej niż do tej pory, ale może stało się tak jedynie dlatego, że nieco ucichło łomotanie w moich uszach. Rozejrzawszy się od niechcienia, bez trudu dostrzegłem muchę, która przemknęła przez kolumnę słonecznego blasku zaledwie kilka kroków ode mnie, a następnie usiadła na brązowym przedmiocie wystającym zza jednego z drzew.

Był to but.

Nie miałem przy sobie żadnej broni. W normalnych okolicznościach nie czułbym obawy przed konfrontacją z samotnym przeciwnikiem, nawet gdybym musiał walczyć gołymi rękami, a już na pewno w miejscu takim jak to, gdzie niemożliwe było wzięcie porządnego zamachu mieczem; zdawałem sobie jednak sprawę, że straciłem sporo sił, oraz zdążyłem się przekonać, iż post w istotny sposób zmniejsza odwagę poszczącego — pożera jej część, uszczuplając zasoby, z których można korzystać w istotnej potrzebie.

Mimo to ostrożnie ruszyłem przed siebie, starając się nie czynić żadnego hałasu, aż wreszcie go zobaczyłem: leżał bezwładnie, z jedną nogą wyprostowaną, a drugą podwiniętą pod siebie. Koło jego prawej ręki spoczywał bułat z rzemienną pętlą wciąż jeszcze zaciśniętą na przegubie, prosty hełm zaś zsunął się z głowy i potoczył kilka kroków po ziemi. Mucha wędrowała po bucie, aż dotarła do odsłoniętego ciała tuż poniżej kolana, po czym znowu zerwała się do lotu, wydając odgłos jak miniaturowa piła.

Naturalnie od razu domyśliłem się, że jest martwy, i wraz z ulgą ponownie spłynęło na mnie poczucie osamotnienia, choć nawet nie zauważyłem, kiedy mnie opuściło. Chwyciłem go za ramię i przewróciłem na bok. Ciało nie zdążyło jeszcze napuchnąć, ale poczułem wyraźną woń śmierci. Rysy twarzy złagodniały, jakby była maską położoną zbyt blisko ogniska; nie sposób było stwierdzić, z jakim wyrazem twarzy umarł. Nie ulegało wątpliwości tylko to, że był

młody i jasnowłosy. Obejrzałem ciało w poszukiwaniu ran, lecz żadnej nie znalazłem.

Pasy żołnierskiego tornistra zostały ściągnięte tak mocno, że nawet nie było mowy o tym, by je teraz rozluźnić. Wyjąłem trupowi zza pasa sztylet, przeciąłem je, po czym wbiłem ostrze w drzewo. Tornister zawierał koc, skrawek papieru, osmaloną patelnię z drewnianą rączką, dwie pary grubych skarpet (sprawiły mi wielką radość), a także, co najbardziej mnie ucieszyło, cebulę, pół bochenka ciemnego chleba zawiniętego w czysty kawałek płótna, pięć pasków suszonego mięsa oraz gomółkę sera.

Najpierw zjadłem chleb i ser. Ponieważ, nie byłem w stanie jeść powoli, zmuszałem się, aby po każdym trzech kęsach wstać i przez chwile pochodzić po polanie. Na całe szczęście chleb wymagał długotrwałego żucia; smakował dokładnie tak jak ten, którym karmiliśmy klientów w Wieży Matachina. Wiedziałem, jaki smak ma chleb dostarczany więźniom, gdyż raz lub dwa ukradłem kawałek, bardziej z przekory niż z głodu. Ser okazał się wyschnięty, cuchnący i słony, ale mimo to znakomity. Nigdy wcześniej ani później nie zdarzyło mi się skosztować niczego podobnego. Czułem się tak, jakbym jadł samo życie. Natychmiast zachciało mi się pić, ale miałem jeszcze cebulę, a przekonałem się już, że nic tak doskonale nie gasi pragnienia jak właśnie cebula, pobudzająca gruczoły do wydzielania śliny.

Kiedy doszedłem do mięsa, które także było mocno posolone, posiliłem się już na tyle, aby zacząć się zastanawiać, czy powinienem zjeść je od razu czy też zachować do wieczora.

Ostatecznie postanowiłem spożyć jeden kawałek, cztery zaś zostawić na później.

Od rana powietrze było zupełnie nieruchome, teraz jednak zerwał się lekki wietrzyk, chłodząc mi policzki i poruszając liśćmi. Porwał także skrawek papieru, który znalazłem w tornistrze martwego żołnierza, przeniósł go nad mchem, po czym przycisnął do pnia pobliskiego drzewa. Nie przerywając żucia wstałem, podszedłem do drzewa i wziąłem papier do ręki.

Okazało się, że był to list; żołnierz nie tylko

nie zdążył go wysłać, ale nawet dokończyć. Litery były kanciaste i mniejsze, niż mógłbym przypuszczać, choć zapewne spowodowane było to faktem, iż chciał zmieścić ich jak najwięcej na niewielkiej kartce, przypuszczalnie ostatniej, jaka mu została.

Moja ukochana, jesteśmy już sto mil na północ od miejsca, w którym napisałem do Ciebie poprzedni list. Maszerujemy w szybkim tempie, mamy pod dostatkiem jedzenia i za dnia jest nam całkiem ciepło, choć nocą czasem dokucza chłód. Makar, o którym Ci wspominałem, zachorował

i otrzyma! pozwolenie na pozostanie z tyłu. Zaraz potem wielu innych zameldowało o chorobie, ale odebrano im broń, obarczono podwójnym ładunkiem i kazano maszerować pod strażą na czele kolumny. Przez cały czas nie widzieliśmy ani śladu Ascian; dowódca twierdzi, że dzieli nas od nich jeszcze kilka dni marszu. Przez trzy noce buntownicy mordowali wartowników, aż wreszcie musieliśmy potroić strażę i wysiać patrole poza teren obozowiska. Pierwszej nocy zostałem wyznaczony do jednego z tych patroli i muszę przyznać, że było to bardzo niemile przeżycie, gdyż przez cały czas obawiałem się, iż któryś z moich towarzyszy poderżnie mi gardło w ciemności. Co

chwila potykałem się o korzenie, słysząc śpiewy dobiegające od strony obozu.

Już może jutrzejszej nocy

Sen zmorzy nas na bitewnym polu,

Więc dzisiaj pijmy do dna.

Niech puchar krąży dokoła.

Oby każdy strzał wroga,

Mijał nas z daleka.

Życzę ci obfitych łupów,

I sobie przy twoim boku.

Niech puchar krąży dokoła,

Bo jutro będziemy spać na bitewnym polu.

Rzecz jasna, nikogo nie schwytaliśmy. Buntownicy zważają się Vodalarianami, od imienia swego przywódcy, i podobno są nadzwyczaj waleczni. Są też dobrze opłacani, gdyż otrzymują pomoc od Ascian...

Rozdział II

Żywy żołnierz

Odłożyłem nie przeczytany do końca list i spojrzałem na człowieka, który go napisał.

Strzał oddany przez śmierć nie minął go z daleka; wpatrywał się w słońce martwymi błękitnymi oczami, z których jedno było lekko przymknięte, drugie zaś szeroko otwarte.

Dużo wcześniej powinienem był pomyśleć o tym, by odwołać się do pomocy Pazura, ale tego nie uczyniłem. Możliwe zresztą, iż podświadomie odtrąciłem tę myśl, pragnąc jak najszybciej dobrać się do zapasów zgromadzonych w tornistrze, gdyż nawet nie przyszło mi do głowy, iż żołnierz z pewnością podzieliłby się nimi z kimś, kto przywrócił go do życia. Teraz jednak, na wzmiankę o Yodalusie i jego zwolennikach (byłem pewien, że gdybym tylko zdołał

ich odnaleźć, z pewnością okazaliby mi wszelką możliwą pomoc), natychmiast przypomniałem sobie o relikwii i wydobyłem ją z sakwy. W promieniach słońca zaśniła jaskrawym blaskiem, jaśniej niż wtedy, kiedy okrywała ją szafirowa otoczka. Dotknąłem Pazurem martwego żołnierza, a następnie, sam nie bardzo wiedząc dlaczego, włożyłem mu go na chwilę do ust.

Nic w ten sposób nie uzyskawszy, ścisnąłem Pazur między kciukiem a palcem wskazującym i

przycisnąłem go mocno do czoła nieboszczyka. Żołnierz nie poruszył się ani nie zaczął oddychać, lecz spod moich palców wypłynęła kropla krwi tak świeżej i lepkiej, jakby została utoczona z żyły żywego człowieka.

Cofnąłem rękę, wytarłem palce liśćmi i powróciłem do lektury listu, gdyby nie to, że odniosłem wrażenie, iż gdzieś daleko trzasnęła złamana gałązka. Przez chwilę nie wiedziałem, co czynić — ukryć się, rzucić do ucieczki czy przygotować do walki — ale nie było żadnych szans na szybkie znalezienie kryjówki, a miałem już dosyć ciągłego uciekania przed niebezpieczeństwami. Ścisnąłem mocno w dłoni rękojeść sztyletu żołnierza, wstałem, otuliłem się szczelnie płaszczem i czekałem bez ruchu.

Nikt jednak nie nadszedł — w każdym razie nikt, kogo mógłbym zobaczyć. Wiatr delikatnie kołysał wierzchołkami drzew. Mucha gdzieś znikła. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że hałas, który mnie zaniepokoił, został spowodowany przez przemykającego leśnymi duktami jelenia. Od tak dawna nie miałem w ręku broni umożliwiającej polowanie, że prawie zapomniałem o takiej możliwości; popatrzyłem smętnie na sztylet, żałując, że nie jest to łuk.

Coś zaszeleściło za moimi plecami, więc błyskawicznie odwróciłem się na pięcie.

Ciałem żołnierza wstrząsały gwałtowne drgawki — gdybym nie widział, że jeszcze niedawno był martwy, z pewnością pomyślałbym, że umiera. Jego ręce trzepotały jak dwa motyle, a z gardła wydobywał się głośny charkot. Kiedy nachyliłem się i dotknąłem jego twarzy, stwierdziłem, że jest równie zimna jak przedtem. Poczulem nieodpartą potrzebę rozpalenia ognia.

W tornistrze nie znalazłem potrzebnych przyborów, ale wiedziałem, że każdy żołnierz powinien je mieć, więc przetrząsałem jego kieszenie. Było w nich kilka aes, mała tarcza zegara słonecznego oraz krzemień i krzesiwo. Hubki miałem pod dostatkiem pod każdym drzewem —

należało bardzo uważać, żeby nie podpalić całego lasu. Oczyszcziłem skrawek terenu, roznieciłem ogień, a następnie podsyciłem go kilkoma gałęziami.

Płonął jaśniej, niż się spodziewałem. Dzień zbliżał się już ku końcowi i wkrótce miała zapać ciemność. Spojrzałem na martwego mężczyznę; przestał się trząść i leżał całkiem spokojnie. Odniosłem wrażenie, że skóra na jego twarzy jest nieco cieplejsza, ale prawdopodobnie spowodował to żar bijący od ogniska. Plamka krwi na czole żołnierza już prawie wyschła, lecz mimo to załśniła w promieniach zachodzącego słońca niczym jakiś szkarłatny klejnot, na przykład krwistoczerwony rubin, który wypadł z czyjejś szkatułki. Rzadki dym miał zapach kadzidła i podobnie jak kadzidlany unosił się prosto w górę, by zniknąć na tle mroczniejącego nieba, zanim zdążył do końca ułożyć się w kształt, którego nie zdołałem rozpoznać. Otrząsałem się z zamyślenia i przystąpiłem do zbierania opału; w krótkim czasie zgromadziłem zapas gałęzi, który bez trudu powinien mi wystarczyć do rana.

Tutaj, na przełęczy Orithya, wieczory nie są nawet w połowie tak zimne jak w górach czy nawet nad jeziorem Diuturna, w związku z czym nie musiałem korzystać z koca znalezionego w tornistrze martwego żołnierza. Wysilek fizyczny rozgrzał moje mięśnie, a posiłek przywrócił mi wigor, tak że przez dłuższy czas przechadzałem się w gęstniejącej ciemności, wymachując od niechcenia sztyletem;

nim to starałem się, aby ognisko zawsze znajdowało się między mną a zwłokami mężczyzny.

Jak już wielokrotnie powtarzałem w tych zapiskach, moje wspomnienia, kiedy już mnie nawiedzają, są tak wyraziste, że niemal nie do odróżnienia od halucynacji. Tej nocy także wydawało mi się, iż mogę pogрузić się w nich na zawsze, czyniąc ze swego życia niemożliwą do rozerwania pętlę, i po raz pierwszy nie próbowałem walczyć z pokusą, lecz uległem jej nie stawiając najmniejszego oporu. Powróciło do mnie wszystko, o czym wam opowiedziałem, a także tysiące innych rzeczy. Ujrzałem twarz i pokrytą piegami rękę Eaty usiłującego precyzyjnie się między prętami bramy strzegącej dostępu do nekropolii, a także burzę, którą kiedyś widziałem, zmagającą się z monumentalnymi wieżami Cytadeli; poczułem na twarzy krople deszczu, znacznie zimniejsze od porannego kubka wody w refektarzu; usłyszałem szept Dorcas:

“Siedzę przy oknie z tackami i krzyżem... Czy wezwiesz Erynie, aby mnie zniszczyć?”

Tak. Tak, zrobiłbym to, gdybym mógł. Gdybym był Hethorem, przywołałbym te ptaszyska o głowach czarownic i węzowych językach z przerażającej pustki rozciągającej się poza światem. Na mój rozkaz wymłóciłyby las jak zboże, zburzyły miasta uderzeniami ogromnych skrzydeł... a jednak, gdyby było to w mojej mocy, pojawiłbym się w ostatniej chwili, aby ją ocalić, bynajmniej nie po to, żeby później obojętnie odwrócić się i odejść, zgodnie z naszymi dziecięcymi fantazjami, w których ratujemy, a następnie porzucamy kochaną osobę, gdyż podejrzewamy ją o to, że nie dochowała nam wierności. Owszem, odszedłbym, ale niosąc ją w ramionach.

Wówczas chyba po raz pierwszy naprawdę pojąłem, jakim okropnym doświadczeniem musiało być przywołanie ze świata zmarłych dla niej, która spotkała się ze śmiercią będąc jeszcze prawie dzieckiem i była martwa przez tak długi czas.

Moje myśli natychmiast zwróciły się ku nieżywemu żołnierzowi, którego prowiant zjadłem i którego sztylet dzierżyłem w dłoni; przystanąłem na chwilę, nasłuchując, ale zdażyłem już tak bardzo zagłębić się we wspomnienia, że wydawało mi się, iż miękka leśna ziemia pod moimi stopami została wyrzucona z grobu rozkopanego przez Hildegrina Borsuka, że szept liści to szum cyprysów i szelest fioletowych róż rosnących w naszej nekropolii oraz że na próżno wyteżam słuch, gdyż martwa, spowita w biały całun kobieta, którą Vodalus za pomocą liny wyciągnął z grobu, z pewnością nie poruszy się ani nie odetchnie.

Do rzeczywistości przywołał mnie donośny krzyk lelka. Odniosłem wrażenie, że żołnierz skierował ku mnie bladą twarz, więc odszukałem leżący po drugiej stronie ogniska koc i nakryłem zwłoki.

Teraz wiem już, iż Dorcas należała do bardzo licznej grupy kobiet (kto wie, czy nie obejmującej wszystkich kobiet, jakie żyją na Urth), które zdradzają nas nie dla innego mężczyzny, lecz dla własnej przeszłości. Tak jak Morwenna, którą zgładziłem w Saltus, otruła męża i dziecko z tęsknoty za czasami, kiedy była wolna i czysta, tak samo Dorcas opuściła mnie, ponieważ nie istniałem (a raczej, jak podświadomie wyczuwała, nie zdołałem zaistnieć) przed nieszczęściem, jakie ją spotkało.

(Dla mnie także były to wspaniałe czasy. Przypuszczam, iż dlatego tak czule wspominam tego prostego, zyczliwego chłopca, który przynosił do celi książki i kwiaty, ponieważ już wtedy zdawałam sobie sprawę, iż będzie on moją ostatnią miłością przed końcem wszystkiego — ten zaś, jak

przekonałam się wywiezieniu, wcale nie nastąpił w chwili, kiedy zarzucono mi opończę na głowę, aby zdusić moje krzyki, ani wówczas, gdy przywieziono mnie do Starej Cytadeli, ani nie w momencie, kiedy zatrzaśnięto za mną drzwi celi, ani nawet nie w chwili, gdy skąpana w blasku, jakiego nie widuje się na Urth, poczułam, jak ciało buntuje się przeciwko mojej woli, lecz wtedy, kiedy dotknęłam swojej szyi zimnym ostrzem noża i wykonałam szybki ruch ręką.

Prawdopodobnie dla każdego z nas nadchodzi chwila, kiedy przeklinamy się za to, co uczyniliśmy. Jednak, czy możemy sami aż tak bardzo się nienawidzić i być nienawidzeni przez innych? Na pewno nie wtedy, kiedy przypominam sobie pocałunki, jakimi zasypywał moje piersi; prawie wówczas nie oddychał, w przeciwieństwie do innych młodych ludzi na przykład Afrodyzjusza i tego kuzyna chiliarchy — nie starając się wchłonąć mego zapachu, lecz zachowywał się tak, jakby

naprawdę chciał mnie całą pożreć. Czy byliśmy wtedy obserwowani? Później tak się stało, że naprawdę skosztował mego ciała. Obudzona wspomnieniami podnoszę rękę i gładzę go po włosach).

Zasnęłam bardzo późno, zawinawszy się w płaszcz. Natura wynagradza trudy tym, co mają ciężkie życie, gdyż sprawia, że nie dostrzegają niedogodności, które ludziom przywykłym do luksusów spędzałyby sen z powiek. Zanim wstałam, kilkakrotnie gratulowałam sobie, że udało mi się spędzić noc w tak komfortowych warunkach — przynajmniej w porównaniu z tymi, jakie musiałem znosić w górach.

Wreszcie promienie słońca i świergot ptaków pozwoliły mi dojść do siebie. Po drugiej stronie wygasłego ogniska martwy żołnierz poruszył się i coś wymamrotał. Usiadłem, by popatrzeć na niego; odrzucił koc i leżał na wznak, z twarzą zwróconą ku niebu. Była to blada twarz o zapadniętych policzkach, cieniach pod oczami i głębokich brzdach między ustami a nosem, ale z pewnością należała do żywego człowieka. Mężczyzna miał zamknięte oczy i oddychał głośno przez nos.

Poczułem wielką ochotę, by uciec, zanim się obudzi. Wciąż jeszcze miałem jego sztylet

— w pierwszym odruchu chciałem mu go zwrócić, ale zaraz zrezygnowałem z tego zamiaru w obawie, że zostanę zaatakowany. Bułat wciąż jeszcze tkwił w pniu drzewa, niczym zakrzywiony nóż Agii w okiennicy domu Casdoe. Wsunąłem broń z powrotem do pochwy przy pasie żołnierza, gdyż zawstydzilem się na myśl, że ja, uzbrojony w miecz — na chwilę zapomniałem, że już go nie mam — miałbym bać się kogoś dysponującego wielokroć słabszym orężem.

Śpiący poruszył powiekami, więc cofnąłem się pospiesznie, przypomniawszy sobie, jak bardzo przestraszyła się Dorcas, kiedy zaraz po obudzeniu ujrzała mnie pochylającego się nad nią. Po to, by nie wydawać mu się postacią utkaną z nieprzeniknionej czerni, zsunąłem płaszcz z piersi i ramion, pokrytych wielodniową opalenizną. Żołnierz jeszcze przez chwilę oddychał jak człowiek pogrążony we śnie, a kiedy rytm oddechu uległ zmianie, byłem gotów potraktować to jako taki sam cud jak przejście ze śmierci do życia.

Usiadł i rozejrzał się dokoła oczami pustymi jak u dziecka. Jego usta poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden odgłos. Przemówiłem do niego przyjaznym tonem, a on słuchał

uważnie, ale wyglądało na to, że niczego nie rozumie — przypomniałem sobie wówczas, jak bardzo

zdezorientowany był jeździec, którego wskrzesiłem na drodze prowadzącej do Domu Absolutu.

Z pewnością przydałoby mu się nieco wody, ale ja nie miałem ani kropelki. Wyciągnąłem więc kawałek solonego mięsa, przełamałem na pół i dałem mu jego część.

Włożył mięso do ust i *zaczał* żuć, a po chwili odniosłem wrażenie, iż czuje się nieco lepiej.

— Wstań — powiedziałem. — Musimy znaleźć coś do picia.

Chwycił mnie za rękę i pozwolił postawić się na nogi, ale ledwo mógł się na nich utrzymać. Jego oczy, początkowo puste i spokojne, stopniowo wypełniały się coraz większym zdumieniem, a także niepokojem. Wydawało mi się, że spogląda na otaczające nas drzewa w taki sposób, jakby były lwami gotowymi lada chwila rzucić się na bezbronne ofiary, ale ani nie sięgnął po bułat, ani nie próbował odebrać mi sztyletu.

Po trzech lub czterech krokach zatoczył się i omal nie upadł. Pozwoliłem mu wówczas oprzeć się na moim ramieniu, po czym, noga za nogą, ruszyliśmy przez las w kierunku drogi.

Rozdział III

W tumanach pyłu

Nie miałem pojęcia, czy powinniśmy skierować się na północ czy na południe. Gdzieś na północy stacjonowała armia Ascian, było więc możliwe, że jeśli zanadto zbliżymy się do linii frontu, w wyniku błyskawicznego manewru którejś ze stron znajdziemy się niespodziewanie w zasięgu walk; jednak, im dalej na południe, tym mniejsze były szanse, że natrafimy na kogoś, kto mógłby nam pomóc, tym większe zaś, że zostaniemy aresztowani jako dezercerzy. W końcu skręciłem na północ. Bez wątpienia uczyniłem to w znacznej mierze z przyzwyczajenia i po dziś dzień nie jestem pewien, czy postąpiłem słusznie czy też nie.

Rosa zdażyła już obeschnąć, a na pokrytej pyłem nawierzchni drogi nie widać było żadnych śladów. Po obu jej stronach, na trzy i więcej kroków w głąb lasu, rośliny miały jednolicie szarą barwę. Wkrótce drzewa i krzewy zostały za nami, droga zaś zaprowadziła nas w dół łagodnego zbocza aż do mostu przerzuconego nad niewielką rzeką płynącą dnem kamienistej doliny.

Zeszliśmy nad wodę, aby zaspokoić pragnienie i obmyć twarze. Nie goliłem się od chwili, kiedy wyruszyłem znad jeziora Diuturna, więc choć w kieszeniach żołnierza nie znalazłem brzytwy, to jednak zapytałem go, czy może ma ją przy sobie.

Wspominam o tym mało znaczącym wydarzeniu, ponieważ dopiero wtedy nabrałem pewności, że rozumiem, co do niego mówię. Skinął głową, po czym sięgnął pod kolczugę i wyjął

niedużą brzytwę, wykonaną przez wiejskiego kowala z połówki starej podkowy. Naostrzyłem ją za pomocą fragmentu oselki, jaki mi pozostał, a następnie zapytałem, czy ma także mydło. Nawet jeżeli miał, to chyba nie zrozumiał, o co mi chodzi, gdyż bez słowa odwrócił się, usiadł na kamieniu i zapatrzył w wodę, niemal tak samo, jak pewien czas temu uczyniła Dorcas. Korciło mnie, aby

zasypać go pytaniami o pola Śmierci i o wszystko, co zapamiętał z bytności w miejscach, które — być może jedynie dla naszych oczu są pogrążone w wiecznej ciemności.

Zamiast tego ochlapałem twarz zimną wodą, po czym najlepiej jak mogłem zeszkrobałem zarost z brody i policzków. Potem chciałem oddać mu brzytwę, lecz on zdawał się zupełnie nie wiedzieć, co powinien z nią począć, więc uznałem, że będzie lepiej, jeśli ją chwilowo zatrzymam.

Przez większą część dnia podążaliśmy drogą na północ. Często zatrzymywano nas i wypytywano, ale jeszcze częściej to my zatrzymywaliśmy innych i zadawaliśmy im pytania. Na użytek ciekawskich tworzyłem stopniowo coraz bardziej skomplikowaną historię, nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością: Jestem liktorem podległym pewnemu sędziemu należącemu do świty Autarchy, a kiedy spotkaliśmy na drodze tego żołnierza, mój pan polecił mi, abym dopilnował, żeby otoczono go troskliwą opieką. Żołnierz nie mówi, w związku z czym nie wiem, do jakiego oddziału należy. Przynajmniej to było zgodne z prawdą.

Droga w wielu miejscach krzyżowała się z innymi traktami, a my czasem skręcaliśmy w niektóre z nich. Dwa razy natrafiliśmy na ogromne obozy, prawdziwe namiotowe miasteczka, w których mieszkały dziesiątki tysięcy żołnierzy. Ci, którzy zajmowali się rannymi, powiedzieli mi, że chętnie opatrzyliby rany żołnierza, gdyby krwawił, ale biorąc pod uwagę stan, w jakim obecnie się znajduje, nie mogą wziąć za niego odpowiedzialności. Ponieważ zbliżała się noc, w drugim obozie nie pytałem już o miejsce pobytu Peleryn, tylko poprosiłem, aby skierowano nas gdzieś, gdzie moglibyśmy znaleźć schronienie.

— Trzy mile stąd jest lazaret, w którym powinni was przyjąć. — Sądząc po spojrzeniu mego rozmówcy musiałem chyba budzić swym wyglądem taką samą litość jak żołnierz, który stał bez słowa, sprawiając wrażenie zupełnie oszołomionego. — Idźcie na zachód i północ, aż zobaczycie po prawej stronie drogę prowadzącą między dwoma wielkimi drzewami. Jest mniej więcej o połowę węższa od tej, którą szliście do tej pory. Skręćcie w nią. Masz broń?

Potrząsałem głową, gdyż już dość dawno wsunąłem żołnierzowi sztylet za pas.

— Musiałem zostawić miecz sługom mojego pana, bo nie dałbym rady nieść go i jednocześnie prowadzić tego człowieka.

— W takim razie strzeżcie się dzikich zwierząt. Byłoby dobrze, gdybyś miał coś, co strzela, ale ja nie mogę dać ci nic takiego.

Odwrociłem się, by odejść, on jednak położył mi rękę na ramieniu.

— Zostaw go, jeśli was zaatakują — poradził. — A jeżeli będziesz musiał to uczynić, nie rób sobie z tego powodu zbyt wielkich wyrzutów. Widziałem już sporo podobnych przypadków i jestem pewien, że twój towarzysz nie wydobrzeje.

— On już wydobrzeł — odparłem.

Choć mój rozmówca nie pozwolił nam zostać na noc ani nie użyczył nam broni, to jednak dał nam

trochę żywności, w związku z czym wyruszając w drogę po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem się nieco podniesiony na duchu. Znajdowaliśmy się w dolinie, a wzgórza po jej zachodniej stronie już ponad wachnię temu wspięły się tak wysoko ku mroczniejącemu niebu, że zasłoniły tarcze słońca. W pewnej chwili przekonałem się, iż nie muszę już podtrzymywać żołnierza; kiedy cofnąłem rękę, okazało się, że maszeruje obok mnie bez widocznego wysiłku.

Co prawda jego twarz nie przypominała twarzy Jonasa, która była pociągła i szczupła, ale kiedy w pewnej chwili zerknąłem na niego z ukosa, dostrzegłem tak wielkie podobieństwo do mego przyjaciela, iż poczułem się tak, jakbym zobaczył ducha.

Szara droga wydawała się w blasku księżyca jasnozielona, a drzewa i krzewy po jej obu stronach były niemal czarne. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, a potem zacząłem mówić —

częściowo dlatego, że dokuczała mi samotność, ale z pewnością były także inne powody.

Niektóre zwierzęta, na przykład alzabo, atakują ludzi równie chętnie jak lisy ptactwo, ale słyszałem, iż większość zawsze wybierze ucieczkę, jeżeli zostanie zawnazostawiona ostrzeżona o zbliżaniu się człowieka. Przypuszczałem również, że jeśli będę rozmawiał z żołnierzem w taki sposób, jakby znajdował się w pełni sił, ewentualni dwunożni napastnicy nie domyśla się, jak łatwą stanowilibyśmy dla nich zdobycz.

— Pamiętasz minioną noc? — zacząłem. — Spałeś wyjątkowo twardo.

Nie odpowiedział.

— Być może jeszcze ci o tym nie wspomniałem, ale dysponuję niezawodną pamięcią.

Co prawda nie zawsze jest mi posłuszna, lecz w niczym nie zmienia to faktu, że nie ma sobie równych. Niektóre wspomnienia przypominają więźniów, którzy wyszli ze swoich cel i teraz błąkają się bezradnie — nie każdego można od razu przyprowadzić na przesłuchanie, choć wszyscy znajdują się w lochach i żadnemu nie uda się uciec.

Z drugiej strony, wcale nie musi to być prawda. Czwarty, najniższy poziom lochów od dłuższego czasu jest w ogóle nie używany - mamy za mało klientów, żeby zapełnić trzy wyższe, więc należy się spodziewać, że kiedyś mistrz Gurloes zrezygnuje także z trzeciego. Na czwartym trzymamy wyłącznie szaleńców, do których nigdy nie przychodzą żadni urzędnicy, bo gdybyśmy umieścili ich wraz z innymi, swymi wrzaskami nie dawaliby nikomu spokoju. Rzecz jasna, nie wszyscy są bardzo hałaśliwi, a niektórzy nawet zachowują się tak spokojnie jak ty.

Ponownie nie uzyskałem odpowiedzi. W blasku księżyca nie mogłem stwierdzić, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że do niego mówię, ale nie rezygnowałem, pamiętając, iż nie tak dawno zareagował na moje pytanie o brzytwę.

— Kiedyś odważyłem się tam zapuścić — to znaczy, na czwarty poziom. Miałem psa, który mi uciekł, więc poszedłem za nim i odkryłem tunel prowadzący poza lochy. Zagłębiłem się w niego i wyszedłem przez otwór w podstawie zniszczonego zegara w miejscu zwanym Ogrodem Czasu. Było

tam jeszcze wiele innych zegarów. Spotkałem młodą kobietę piękniejszą od wszystkich kobiet, jakie od tego czasu widziałem, nawet od Jolenty, choć jej uroda polegała chyba na czymś innym.

Żołnierz nadal milczał, niemniej coś podpowiedziało mi, że mnie słyszy — - być może lekkie poruszenie głowy, które dostrzegłem kątem oka.

— Nazywała się Valeria i przypuszczam, że była młodsza ode mnie, chociaż wydawała się starsza. Miała ciemne, kręcone włosy, takie same jak Thecla, ale oczy Thecli były fiołkowe, Valerii zaś niemal czarne. Miała też najwspanialszą skórę, jaką kiedykolwiek widziałem, przypominającą barwą mleko wymieszane z sokiem z granatów i truskawek.

Nie zamierzam jednak mówić o Valerii, tylko o Dorcas. Ona także jest bardzo ładna, choć niezwykle szczupła, prawie jak dziecko. Twarz ma jak dobra wróżka, a skórę pokrytą piegami podobnymi do okruszków złota. Niedawno ścięła włosy, ale przedtem sięgały jej do pasa i często wpinała w nie kwiaty.

Ponownie umilkłem. Do tej pory mówiłem o kobietach, ponieważ wydawało mi się, że ten temat wywołuje jego zainteresowanie, ale teraz nie miałem już pojęcia, czy mnie słucha czy nie.

— Przed opuszczeniem Thraxu poszedłem zobaczyć się z Dorcas. Była w swoim pokoju w oberży “Kacze Gniazdo”. Leżała w łóżku zupełnie naga, ale okryła się prześcieradłem, jakbyśmy nigdy ze sobą nie spali — my, którzy przebyliśmy wspólnie tak długą drogę, docierając do miejsc, gdzie nie słyszano ludzkiego głosu od chwili, kiedy ląd wyłonił się z morza, i wspinając się na wzgórza, po których do tej pory stąpało tylko słońce. Ona mnie opuszczała, a ja ją, i żadne z nas nie chciało, by stało się inaczej, choć ona w ostatniej chwili zlekła się i poprosiła, żebym mimo wszystko pozostał przy niej.

Powiedziała, że jej zdaniem Pazur ma taką samą władzę nad czasem, jak zwierciadła Ojca Inire nad przestrzenią. Wówczas nie poświęciłem temu spostrzeżeniu uwagi — w rzeczywistości nie jestem zbyt inteligentny, a już na pewno nie można nazwać mnie filozofem — ale teraz wydaje mi się ono interesujące. Ujęła to w następujące słowa: “Żołnierz zabity przez notule ożył

dlatego, że Pazur cofnął go w czasie do chwili, kiedy jeszcze był żywy. Rany twojego przyjaciela zagoiły się tak szybko, ponieważ Pazur przyspieszył bieg czasu”. Interesująca koncepcja, nie sądzisz? Krótco po tym, jak dotknąłem Pazurem twego czoła, wydałeś niezwykle odgłos. Myślę, że to mógł być twój przedśmiertny charkot.

Umilkłem i czekałem na jego reakcję. Żołnierz nic nie odpowiedział, ale, zupełnie niespodziewanie, poczułem na ramieniu jego rękę. Do tej pory mówiłem niemal nonszalanckim tonem, ale ten gest sprawił, iż uświadomiłem sobie, jak poważne sprawy poruszałem. Jeżeli to, co powiedziałem było prawdą albo przynajmniej miało w sobie choć trochę prawdy, wówczas igrałem z potężnymi siłami, które rozumiałem nie lepiej niż syn Casdoe — ten, którego próbowałem uczynić swoim synem — zrozumiałby zasadę działania olbrzymiego pierścienia, co odebrał mu życie.

— Nic dziwnego, że jesteś oszołomiony. To musi być okropne uczucie cofać się w czasie, tym bardziej jeśli po drodze trzeba minąć własną śmierć... Chciałem właśnie powiedzieć, że człowiek

czuje się wtedy zapewne tak, jakby się ponownie narodził, ale chyba jest znacznie gorzej, bo przecież dziecko przed przyjściem na świat żyje już w łonie matki. — Zawahałem się przez chwilę. — Ja... To znaczy Thecla... Nigdy nie miała dziecka.

Być może tylko dlatego, że myślałem o jego dezorientacji, sam także poczułem się zupełnie zdezorientowany, tak że przez kilka uderzeń serca nie bardzo wiedziałem, kim właściwie jestem.

— Musisz mi wybaczyć. Kiedy ogarnia mnie zmęczenie, a czasem także tuż przed zapadnięciem w sen. przeistaczam się w kogoś innego. (Nie wiem czemu, ale kiedy to usłyszał, zacisnął mocniej rękę na moim ramieniu). To długa historia, która nie ma z tobą nic wspólnego.

Właściwie to chciałem powiedzieć, że wielki zegar w Ogrodzie Czasu przechylił się w taki sposób, iż przestał wskazywać rzeczywisty upływ czasu, a słyszałem, że kiedy dzieje się coś takiego, inne zegary albo się zatrzymują, albo nie wiadomo czemu zaczynają się cofać. Ty masz w kieszeni mały zegar, więc z pewnością wiesz, że po to, aby powiedział ci prawdę o czasie, musisz ustawić go w taki sposób, żeby jego wskazówka była wycelowana prosto w słońce, gdyż słońce wisi nieruchomo, podczas gdy Urth tańczy wokół niego, i właśnie dzięki jej tańcowi możemy mierzyć bieg czasu, tak jak głuchy człowiek może wystukiwać rytm taranteli obserwując poruszenia tancerzy. Co by się jednak stało, gdyby słońce także ruszyło do tańca?

Kto wie, czy wtedy biegnące naprzód chwile nie zaczęłyby odwrotu?

Nie mam pojęcia, czy wierzysz w Nowe Słońce — nie wiem nawet, czyja sam kiedykolwiek w nie wierzyłem. Jeśli jednak ono nadejdzie, uczyni to pod postacią przybywającego ponownie Łagodziciela. z czego wynika, że Łagodziciel i Nowe Słońce są dwoma imionami określającymi tę samą osobę, a dlaczego jakiś człowiek miałby być nazywany Nowym Słońcem? Co o tym myślisz? Czy nie dlatego, że dysponuje mocą wpływania na bieg czasu?

Teraz naprawdę miałem wrażenie, jakby czas zatrzymał się wokół nas. Drzewa stały w milczeniu, a nocne powietrze nabrało świeżości. Nie przychodziło mi do głowy nic sensownego, co mógłbym powiedzieć. a wstydziłem się pleść bzdury, gdyż mimo wszystko wydawało mi się, że żołnierz nie uronił ani jednego mojego słowa. Przed nami dostrzegłem dwie sosny znacznie grubsze od tych, które rosły po obu stronach traktu, a między nimi jasnozieloną smugę drogi.

— Tam! — wykrzyknąłem.

Kiedy jednak dotarliśmy na miejsce, musiałem chwycić żołnierza za ramiona, zatrzymać go, a następnie skierować we właściwą stronę. Na ziemi dostrzegłem ciemną plamę i pochyliłem się, żeby jej dotknąć. Była to nie do końca zaschnięta krew.

□

Już niedaleko — poinformowałem mego towarzysza. — Tędy wożą rannych.

Rozdział IV

Gorączka

Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo jeszcze szliśmy ani kiedy dokładnie dotarliśmy do celu. Wiem tylko, że zacząłem się potykać niedługo po tym, jak skręciliśmy w boczną drogę, i że było to dla mnie niczym choroba. Tak jak niektórzy chorzy nie mogą powstrzymać się od kaszlu, a inni nie są w stanie opanować drżenia rąk, tak ja potykałem się co kilka kroków, nie potrafiąc temu w żaden sposób zaradzić. Czubek lewego buta bez przerwy zahaczał o prawą piętę, a choć starałem się skoncentrować wyłącznie na stawianiu kolejnych kroków, to niewiele w ten sposób osiągnąłem, gdyż za nic nie mogłem zebrać myśli.

Wśród drzew po obu stronach ścieżki migotały świetliki, więc kiedy podobne ogniki pojawiły się przed nami, uznałem, iż są one tego samego pochodzenia, i nie przyspieszyłem kroku. Wkrótce potem — zupełnie niespodziewanie, jak mi się wydawało — znaleźliśmy się pod ukrytym w półmroku dachem, gdzie mężczyźni i kobiety z żółtymi lampami w rękach chodzili w tę i z powrotem między ustawionymi w rzędy łózkami zaopatrzonymi w zasłony. Kobieta ubrana w strój, który w pierwszej chwili uznałem za czarny, zaprowadziła nas w inne miejsce, gdzie stało dużo krzeseł z kości i ze skóry, a w metalowym koszu buzował ogień. Dopiero tam przekonałem się, iż jej szata jest szkarłatna, podobnie jak nasunięty na głowę kaptur, i przez jedno uderzenie serca wydawało mi się, że to Cyriaca.

— Twój przyjaciel jest bardzo chory, prawda? — zapytała. — Wiesz może, co mu dolega?

— Nie — odparł żołnierz, kręcąc głową. — Nawet nie jestem pewien, czy wiem, kim jest.

Byłem zanadto zdumiony, żeby wykrztusić choć słowo. Kobieta dotknęła najpierw mojej ręki, a potem ręki żołnierza.

— Ma gorączkę, tak samo jak ty. Teraz, kiedy zaczęły się letnie upały, codziennie mamy więcej chorych. Powinniście pić tylko przegotowaną wodę i wystrzegać się wszy. —

Odwróciła się do mnie. — Ty masz oprócz tego mnóstwo płytkich ran, częściowo już zainfekowanych. Odpryski skał?

— Nie jestem chory! — wykrztusiłem wreszcie. — Ja tylko przyprowadziłem tu przyjaciela.

— Obaj jesteście chorzy i przypuszczam, że prowadziliście się nawzajem. Wątpię, czy któryś z was zdołałby tutaj dotrzeć w pojedynkę. No więc, czy te rany są od odprysków skał, roztrzaskanych przez nieprzyjaciela?

— Tak, tylko że zrobił to przyjaciel.

— To podobno najgorsza rzecz, jaka może się zdarzyć: być ostrzelanym przez przyjaciół.

Ale my przede wszystkim musimy zająć się gorączką. — Zawahała się, spoglądając to na żołnierza, to na mnie. — Najchętniej od razu położyłabym was do łóżek, ale najpierw musicie wziąć kąpiel.

Na jej wezwanie stanął się krzepki mężczyzna o ogolonej na łyso głowie. Ujął nas pod ramiona i

poprowadził ze sobą, ale w pewnej chwili zatrzymał się i wziął mnie na ręce, tak jak ja wziąłem kiedyś małego Severiana. Wkrótce potem byliśmy już nadzy i siedzieliśmy zanurzeni w wodzie ogrzewanej gorącymi kamieniami. Mężczyzna kazał nam wyjść na chwilę, ostrzygł nas, a następnie zostawił na jakiś czas w spokoju, abyśmy się trochę wymoczyli.

— Ty mówisz — zwróciłem się do żołnierza.

W blasku lampy zauważyłem, że skinął głową.

— Dlaczego więc milczałeś, kiedy tu szliśmy? Zawahał się i chyba lekko wzruszył ramionami.

— Myślałem o wielu rzeczach, a ty też się nie odzywałeś. Wyglądałeś na bardzo zmęczonego. Raz zapytałem cię, czy nie powinniśmy odpocząć, ale nie odpowiedziałeś.

— Wydawało mi się, że jest akurat odwrotnie, ale być może obaj mamy rację. Czy pamiętasz, co działo się z tobą, zanim mnie spotkałeś?

— Nie pamiętam nawet naszego spotkania. Po prostu szliśmy razem pogrążoną w ciemności ścieżką.

— A przedtem?

— Nie wiem. Chyba jakaś muzyka... i długa wędrówka, najpierw w promieniach słońca, a potem w mroku.

— Wędrówkę odbyliśmy już razem — powiedziałem. — Naprawdę nie pamiętasz nic więcej?

— Lot przez ciemność. Tak, rzeczywiście byłem z tobą i dotarliśmy do miejsca, gdzie słońce wisiało tuż nad naszymi głowami. Jakieś światło jarzyło się także z przodu, ale kiedy w nie wszedłem, zamieniło się w ciemność.

Skinąłem głową.

— Byłeś wtedy niezupełnie przytomny. W gorący dzień może się wydawać, że słońce wisi bardzo nisko na niebie, a kiedy skryje się za chmurami, wówczas światło staje się ciemnością. Pamiętasz swoje imię?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się ze smutkiem.

— Wygląda na to, że zgubiło mi się gdzieś po drodze, jak powiedział pewien jaguar, któremu kazano opiekować się koźlęciem.

Nawet nie zauważyliśmy, kiedy wrócił barczysty mężczyzna z ogoloną głową. Pomógł mi wyjść z kąpieli, dał ręcznik, koszulę oraz wręczył płócienny worek z moimi rzeczami, które wyraźnie czuć było dymem po dezynfekcji. Jeszcze dzień wcześniej odchodziłbym od zmysłów z niepokoju na samą myśl o tym, że choć na chwilę mógłbym rozstać się z Pazurem; tej nocy nawet nie wiedziałem, iż

odebrano mi go. a zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy otrzymałem go z powrotem. Nie sprawdziłem jednak od razu, czy aby na pewno do mnie wrócił

— uczyniłem to dopiero wówczas, gdy leżałem już na jednym z łóżek za azurową zasłoną. Pazur załśnił w mojej dłoni łagodnie jak księżyc, a podobieństwo było tym bardziej uderzające, że kształtem istotnie przypominał sierp księżycy. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, że bladozielona poświata rozsiewana przez tego towarzysza Urth stanowi odbicie blasku słońca.

Pierwszej nocy, jaką spędziłem w Saltus, obudziłem się z przeświadczeniem, że jestem w uczniowskiej bursie w naszej wieży. Tera/ doświadczyłem dokładnie odwrotnego złudzenia: zasnąłem, a we śnie Przekonałem się, iż pogrążony w półmroku lazaret wraz 7 przesuwanymi się w milczeniu postaciami i żółtymi lampami stanowi jedynie wytwór mojej wyobraźni.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Czułem się znacznie lepiej — chyba tak dobrze, jak nigdy do tej pory, tyle że było mi bardzo ciepło, zupełnie jakby w moim wnętrzu płonął ogień.

Roche spał na boku, ze zmierzwionymi rudymi włosami i lekko uchylonymi ustami. Na jego odprężonej, chłopięcej twarzy nie sposób było dostrzec czegokolwiek, co świadczyłoby o nadzwyczajnej bystrości umysłu mego przyjaciela. Przez okrągłe okienko widziałem Stary Dziedziniec pokryty warstwą świeżego śniegu, nie skalanego jeszcze ani śladami ludzi, ani tropami zwierząt. Natychmiast przyszło mi jednak do głowy, że w nekropolii z pewnością bez trudu znalazłbym setki odcisków pozostawionych przez najróżniejsze małe stworzenia, jakie znalazły tam schronienie — znajdowały się wśród nich także domowe zwierzęta zmarłych, wierne swoim właścicielom nawet po ich śmierci. Ubrałem się szybko i po cichu, przycisnąłem palec do ust, kiedy jeden z uczniów poruszył się niespokojnie, a następnie popędziłem w dół po stromych, krętych schodach usytuowanych pośrodku wieży.

Wydawały się dłuższe niż zwykle, ja zaś stwierdziłem ze zdziwieniem, że poruszam się po nich z coraz większym wysiłkiem. Podczas wspinaczki zawsze odczuwamy niewygodę spowodowaną działaniem siły ciężkości, natomiast schodząc oczekujemy od niej, że stanie się naszym sojusznikiem. Teraz jej pomoc była prawie niewyczuwalna. Najpierw musiałem zrezygnować z biegu, potem zaś doszło do tego, iż każdy krok okupywałem znacznym wysiłkiem, przy czym musiałem stawiać stopy niezwykle powoli i ostrożnie, by nie odbić się i nie poszybować w górę, co bez wątplenia by się stało, gdybym stąpnął z rozmachem. W

niewyjaśniony sposób, charakterystyczny dla większości snów, pojąłem nagle, że wszystkie wieże Cytadeli wreszcie oderwały się od ziemi i rozpoczęły lot poza orbitę Dis. Świadomość La napelniła moje serce radością, lecz mimo to nadal pragnąłem udać się do nekropolii, by tropić lisy i wiewiórki. Szedłem najszybciej jak mogłem, kiedy nagle usłyszałem jęk. Schody nie wiodły dalej w dół, jak powinny, tylko kończyły się w jakimś pomieszczeniu.

Była to sypialnia mistrza Malrubiusa. Mistrzowie mają prawo do przestronnych kwater, ten pokój jednak był wyjątkowo duży, znacznie większy niż w rzeczywistości. W ścianach znajdowały się dwa okrągłe okna, tak jak było w istocie, tyle tylko, że miały ogromne rozmiary, niemal takie, jak oczy w Górze Typhona. Łoże mistrza Malrubiusa. choć duże, w tym wielkim pomieszczeniu sprawiało wrażenie niemal małego. On sam leżał w pościeli, a nad nim pochylały się dwie postaci. Choć były

ubrane na czarno, natychmiast zwróciłem uwagę, że ich stroje nie są uszyte z fuliginu naszej konfraterni. Podszedłem bliżej, a kiedy mogłem już usłyszeć ciężki oddech chorego, obie wyprostowały się i odwróciły w moją stronę. Były to Cumaeana oraz jej uczennica Merryn — wiedźmy, które spotkaliśmy na dachu grobowca w zrujnowanym kamiennym mieście.

□

Nareszcie przyszłaś, siostró — powiedziała Merryn.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie jestem Severianem, tylko Theclą z tego okresu, kiedy była jego wzrostu, czyli w wieku jakichś trzynastu lub czternastu lat. Poczułem ogromne zażenowanie — nie z powodu mego dziewczęcego ciała ani nawet nie dlatego, że miałam na sobie męski strój (szczerze mówiąc, bardzo mi się to podobało), ale ponieważ do tej pory nie zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawy. Poczułam również, iż słowa Merryn zadziałały jak czary: zarówno ja, jak i Severian byliśmy obecni tu przez cały czas, tyle tylko, że ona tym jednym zdaniem zepchnęła go w cień. Cumaeana pocałowała mnie w czoło, po czym otarła krew z ust. Co prawda nic przy tym nie powiedziała, lecz mimo to zrozumiałam, że od tej chwili w pewnym sensie jestem także martwym żołnierzem.

— We śnie wyzwalamy się z więzów czasu i wędrujemy ku wieczności — powiedziała Merryn.

— A kiedy się budzimy, tracimy zdolność patrzenia poza teraźniejszość — szepnęła Cumaeana.

□

Ona nigdy się nie budzi — stwierdziła z dumą jej uczennica.

Mistrz Malrubius poruszył się i jęknął. Cumaeana wzięła z nocnego stolika karafkę, po czym nalała nieco wody do kubka. Kiedy odstawiła karafkę, we wnętrzu naczynia dostrzegłem coś żywego. Nie wiedzieć czemu pomyślałem, że to wodnica, więc cofnąłem się pospiesznie, ale zaraz potem przekonałem się, że to Hethor, nie większy od mojej ręki. przyciskający do szkła twarz pokrytą siwym, szczeciniastym zarostem. Kiedy się odezwał, jego głos nie brzmiał

donośniej od pisku myszy:

— Czasem rzucani na ląd przez fotonowe sztormy i galaktyki wirujące we wszystkie strony, pulsujące światłem wzdłuż czarnomrocznych korytarzy usłanych naszymi srebrzystymi żaglami, naszymi szarpanymi przez demony, zwierciadlanymi żaglami i wysokimi na sto mil masztami delikatnymi jak pajęczne nici, jak srebrne igły ciągnące za sobą przedzę gwiazdnego światła, co przytrzymuje gwiazdy na czarnym atłasie, zraszany wilgocią przez pędzący tuż obok wichur Czasu. Kości w zębach! Piana, latająca piana Czasu, rozwleczona na plażach, gdzie starzy żeglarze nie są w stanie uchronić swych kości przed niespokojnym, nieznużonym wszechświatem. Dokąd ona odeszła, moja dama, wybranka mojej duszy? Hen, daleko, brnie przez głębokie prądy Wodnika, Ryb i Barana. Znikła. Znikła w swej małej łódce, z sutkami przyciśniętymi do czarnej atlasowej powieki, znikła na zawsze, daleko od brzegów obmywanych gwiazdnym blaskiem, suchych plaż zdatnych do zamieszkania planet. Ona jest teraz własnym okrętem, jego figurą dziobową i jego kapitanem.

Bosmanie, szykuj szalupę! Żaglomistrzu, stawiaj żagiel! Zostawiła nas daleko z tyłu. Nie, 10 my zostawiliśmy ją z tyłu. Teraz jest w przeszłości, której nigdy nie poznamy, i w przyszłości, której nigdy nie ujrzemy. Postaw więcej żagli, kapitanie, bo wszechświat wyprzedza nas coraz bardziej...

Na nocnym stoliku, obok karafki, stał dzwonek. Merryn dała nim sygnał, jakby chcąc zagłuszyć Hethora, a kiedy mistrz Malrubius umoczył usta w zawartości kubka, wzięła naczynie z rąk Cumaeany, wylała wodę na podłogę i nałożyła kubek na szyjkę karafki. Hethor umilkł, ale kałuża wody szybko się rozszerzała, jakby zasilana przez niewidzialny strumień. Woda była lodowato zimna. Przez głowę przemknęła mi niewyraźna myśl, że moja guwernantka będzie na mnie zła, ponieważ zamoczyłam pantofle.

W odpowiedzi na dzwonek zjawiała się służąca — pokojówka Thecli. ta sama, której oskórowanej nodze przyglądałem się dzień po tym, jak uratowałem życie Vodalusowi. Co prawda teraz była znacznie młodsza, ale nogę miała już obdartą ze skóry i obficie broczącą krwią.

— Bardzo mi przykro — powiedziałem. — Bardzo mi przykro. Hunno. Ja tego nie zrobiłem, to mistrz Gurloes i czeladnicy...

Mistrz Malrubius usiadł wyprostowany w łóżku, ja zaś dopiero teraz zauważyłem, że jego łóżko jest w istocie kobiecą ręką o palcach dłuższych niż moje ramię i paznokciach jak szpony.

— Widzę, że dobrze się miewasz — powiedział, jakbym to ja jeszcze przed chwilą leżał umierający. — Albo przynajmniej prawie dobrze.

Palce zaczęły się zaciskać, lecz on jednym susem zeskoczył z łóżka i stanął obok mnie w sięgającej już do kolan wodzie.

Jakiś pies — mój stary Triskele! — albo leżał do tej pory pod łóżkiem, albo obok niego, po drugiej stronie, gdyż teraz przybiegł do nas, rozbryzgując wodę pojedynczą przednią łapą i ujadając radośnie. Mistrz Malrubius ujął mnie za prawą rękę, Cumaeana za lewą i razem zbliżyliśmy się do jednego z wielkich oczu góry.

Ujrzałem ten sam widok co wtedy, gdy byłem tam z Typhonem: świat rozciągał się u moich stóp niczym dywan, widoczny od krańca do krańca, ale tym razem prezentował się jeszcze wspanialej. Słońce wisiało za naszymi plecami, a mnie wydawało się, że świeci znacznie jaśniej niż zazwyczaj. Wszystkie cienie uległy alchemicznej przemianie w złoto, a cała zieleń stała się głębsza i ciemniejsza. Widziałem zboże dojrzewające na polach, a nawet niezliczone ryby uwijające się w gęstwinie zawieszonych blisko powierzchni roślin, które dostarczały im pożywienia. Woda, w której staliśmy, zaczęła wreszcie wylewać się na zewnątrz przez oko. a kiedy dostała się w zasięg słonecznego blasku, przeistoczyła się w tęczę.

Obudziłem się.

Kiedy spałem, ktoś zawinął mnie w dwa prześcieradła, między które włożono kilkanaście garści śniegu. (Później dowiedziałem się, że przywożono go z gór na grzbietach jucznych zwierząt). Drząc

na całym ciele marzyłem o tym, by czym prędzej wrócić do mojego snu, choć już zdawałem sobie częściowo sprawę z ogromnej odległości, jaka mnie od niego dzieliła. W

ustach czułem gorzki smak lekarstwa, łóżko wydawało mi się twardsze od podłogi, a odziane w szkarłat Peleryny chodziły w tę i z powrotem z lampami w dłoniach, niosąc ulgę mężczyznom i kobietom jęczącym w ciemnościach.

Rozdział V

Lazaret

Nie wydaje mi się, żebym tej nocy zasnął ponownie, choć całkiem możliwe, iż trochę drzemałem. Do świtu śnieg zdążył się zupełnie stopić. Dwie Peleryny zabrały mokre prześcieradła, dały mi ręcznik, żebym mógł się wytrzeć, i przyniosły świeżą pościel.

Zastanawiałem się, czy nie zwrócić im wtedy Pazura — cały mój dobytek znajdował się w płóciennym worku wepchniętym pod łóżko — ale chwila nie wydała mi się odpowiednia. Choć był już dzień, bardzo szybko zapadłem w sen.

Obudziłem się ponownie około południa. W lazarecie panował nadzwyczajny spokój; gdzieś daleko rozmawiali dwaj mężczyźni, ale ich niewyraźne głosy tylko podkreślały ciszę.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła w nadziei, że zobaczę żołnierza. Po mojej prawej stronie leżał człowiek o bardzo krótko ściętych włosach, tak że w pierwszej chwili pomyślałem, iż jest to jeden z niewolników Peleryn. Przemówiłem do niego, ale kiedy odwrócił się do mnie, przekonałem się, że nie mam racji. Jego zupełnie puste oczy zdawały się obserwować laniec jakichś niewidocznych dla mnie duchów.

Chwała Grupie Siedemnastu — powiedział.

— Dzień dobry. Wiesz może coś o zwyczajach panujących w tym miejscu?

Przez jego twarz przemknął cień, a ja wyczułem, że moje pytanie napełniło go podejrzeniami.

— Wszystkie starania prowadzą mniej lub bardziej bezpośrednio do celu, zależnie od tego, na ile są podporządkowane Słusznej Myśli.

— Razem ze mną przybył tu jeszcze jeden człowiek. Chciałbym z nim porozmawiać. To mój przyjaciel — przynajmniej w pewnym sensie.

— Ci, co wypełniają wole ludu, są naszymi przyjaciółmi, chociaż nigdy nie mieliśmy okazji z nimi rozmawiać. Ci, co tego nie czynią, są wrogami, chociaż jako dzieci siedzieliśmy z nimi w szkolnej ławie.

— Niczego od niego nie wydobędziesz — odezwał się człowiek zajmujący łóżko po mojej lewej ręce. — To więzień.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Choć był chudy jak szkielet, to na jego przypominającej trupią główkę twarzy zachowały się resztki wesołości. Szttywne, czarne włosy wyglądały tak, jakby od wielu miesięcy nie miały kontaktu z grzebieniem.

— Przez cały czas gada w ten sposób. Hej, ty! Zaraz spuścimy ci lanie!

— Dla Armii Ludu porażka stanowi odskocznnię do zwycięstwa, a zwycięstwo kolejny szczebel w drabinie wiodącej ku następnym tryumfom.

— Mimo to chwilami mówi do rzeczy, w przeciwieństwie do pozostałych —
poinformował mnie sąsiad z lewej strony.

— Powiadasz, że jest więźniem? A co takiego zrobił?

— Co zrobił? Po prostu nie zginął.

— Obawiam się, że nie rozumiem. Czyżby został wyznaczony do jakiejś samobójczej misji?

Pacjent zajmujący łóżko po drugiej stronie mego rozmówcy uniósł się do pozycji siedzącej i wtedy okazało się, że jest to młoda kobieta o mizernej, ale bardzo ładnej twarzy.

— Tak jak wszyscy — powiedziała. — W każdym razie, nie mogą wrócić do domu przed końcem wojny, a doskonale zdają sobie sprawę, że ona nigdy się nie skończy.

— Bitwy z zewnętrznymi przeciwnikami wygrywa się wtedy, kiedy wszystkie spory wewnętrzne rozwiązuje się w zgodzie ze Słuszną Myślą.

— A więc to Ascianin! — zrozumiałem wreszcie. — Pierwszy raz widzę któregoś z nich.

— Większość ginie — powiedział czarnowłosa mężczyzna. — Wspominałem już o tym.

— Nie miałem pojęcia, że znają nasz język.

— Bo nie znają. Oficerowie, którzy tu przychodzili, uważają, że był tłumaczem.

Prawdopodobnie przesłuchiwał naszych ludzi, którzy dostali się do ich niewoli, ale pewnie zrobił coś nie tak jak należy i za karę został odesłany na pierwszą linię.

— Moim zdaniem wcale nie jest szalony — odezwała się młoda kobieta. — Większość rzeczywiście postradała zmysły, ale nie on. Jak się nazywasz?

— Wybaczcie, powinienem był się przedstawić. Jestem Severian. Niewiele brakowało, a dodałbym, że jestem liktorem, ale ugryzłem się w język, bo wtedy żadne z nich nie chciałoby ze mną rozmawiać.

— Ja mam na imię Foila, a on Melito. Służyłam w Błękitnych Huzarach, on zaś jest hoplitą.

— Nie opowiadaj bzdur! — burknął Melito. — To ja byłem huzarem, a ty hoplitą!

Wyglądało na to, że jest znacznie bliższy śmierci niż kobieta.

— Mam nadzieję, że zwolnią nas do cywila, gdy tylko poczujemy się na tyle dobrze, żeby stąd wyjść — dodała Foila.

— I co wtedy będziesz robić? Doić czyjeś krowy i pasać świnie? — Melito spojrział na mnie. — Nie daj się zwieść jej paplaninie: oboje zaciągnęliśmy się na ochotnika. Gdyby nie ta rana, z pewnością otrzymalibyśmy już awans, a wtedy byłbym w stanie utrzymać żonę.

— Nigdy nie obiecywałam, że za ciebie wyjdę!

— Weź ją wreszcie, żeby przestała o tym gadać! — zawołał ktoś zajmujący jedno z bardziej odległych łóżek, na co sąsiad Foila poderwał się jak dźgnięty nożem.

— Ja się z nią ożenię. — Był duży, o bladej cerze i jasnych włosach, a mówił z powolnością charakterystyczną dla skutych lodem wysp południa. — Jestem Halvard.

— Zjednoczeni, mężczyźni i kobiety są znacznie silniejsi — oświadczył

niespodziewanie więzień. — Jednak dzielna kobieta pragnie wielu mężów, nie dzieci.

— Ich kobiety walczą nawet wtedy, kiedy są brzemienne. Widziałam wiele martwych na polu bitwy — powiedziała Foila.

— Lud jest jak korzenie drzewa: liście opadają, lecz drzewo pozostaje.

Zapytałem Melita i Foilę, czy Ascianin sam wymyśla te sentencje czy też cytuje jakieś nie znane mi dzieło literackie.

— Oni nigdy niczego nie wymyślają — odparła Foila. — Wszystko, co mówią, musi pochodzić z oficjalnie zaaprobowanego tekstu, w związku z czym wielu w ogóle się nie odzywa, pozostali natomiast mogą wybierać wśród tysięcy, a może nawet dziesiątków lub setek tysięcy zapamiętanych fragmentów.

— To przecież niemożliwe! - zaprotestowałem.

Melito, któremu udało się oprzeć na łokciu, wzruszył ramionami.

— Jednak to prawda, a przynajmniej tak się wszystkim wydaje. Foila wie o nich znacznie więcej ode mnie.

Kobieta skinęła głową.

— My, z lekkiej kawalerii, często jesteśmy wysyłani na patrole, a czasem dostajemy polecenie przyprowadzenia jeńców. Zazwyczaj niewiele można z nich wydobyć, ale sporo mówi sam ich ekwipunek, a także kondycja fizyczna. Na północnym kontynencie, skąd pochodzą, tylko najmłodsze dzieci rozmawiają tak, jak my to czynimy.

Pomyślałem o mistrzu Gurloesie kierującym sprawami naszej konfraterni.

— Wobec tego, w jaki sposób powiedzą coś takiego: “Weź trzech uczniów i rozładuj wóz” ?

— W ogóle nic nie powiedzą, tylko złapią paru ludzi, wskażą im wóz i pchną do roboty.

Jeżeli coś będzie szło nie tak, jak należy, dowódca w obecności kilku świadków przytoczy cytaty o potrzebie ciężkiej pracy, która prowadzi do zwycięstwa, a jeśli to nie skutkuje, po prostu zabije tego, kto się ociąga — najpierw, rzecz jasna, wskaże go palcem i wygłosi sentencję o konieczności eliminowania wrogów ludu.

— Krzyk dzieci jest krzykiem zwycięstwa, ale nawet zwycięstwo musi nauczyć się mądrości — oświadczył Ascianin.

Foila wystąpiła w roli tłumaczki.

— Znaczy to, że choć dzieci są potrzebne, to wszystko, co mówią, nie ma najmniejszego znaczenia. Większość Ascian uważałaby nas za niemowy nawet wówczas, gdybyśmy nauczyli się ich języka, bo zdania nie będące cytatami z oficjalnych ksiąg są dla nich całkowicie pozbawione sensu. Gdyby kiedykolwiek przyznali, że jest inaczej, wówczas mogliby wysłuchiwać uwag świadczących o nielojalności, a nawet samodzielnie je czynić. Byłoby to nadzwyczaj niebezpieczne. Dopóki posługują się wyłącznie zatwierdzonymi tekstami, nikt nie może ich o nic oskarżyć.

Spojrzałem na Ascianina. Nie ulegało wątpliwości, iż przysłuchuje się naszej rozmowie z wyteżoną uwagą, ale wyraz jego twarzy stanowił dla mnie zagadkę.

— Ci, co piszą oficjalne teksty, pracując nad nimi nie korzystają z żadnych oficjalnych tekstów, a więc owoce ich pracy mogą zawierać elementy nielojalności — zwróciłem mu uwagę.

— Słuszna Myśl jest myślą ludu. Lud nie jest w stanie zdradzić ani siebie samego, ani Grupy Siedemnastu.

— Uważaj, żeby nie obrazić ludu ani Grupy Siedemnastu! — ostrzegła mnie Foila. — Mógłby odebrać sobie życie, gdyby usłyszał coś takiego. Czasem to czynią.

— Czy on jeszcze kiedyś będzie normalny?

— Podobno niektórzy po dłuższym czasie zaczynają rozmawiać mniej więcej tak jak my, jeśli to właśnie miałeś na myśli.

Nic na to nie odpowiedziałem i przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. W miejscach podobnych do tego, gdzie prawie wszyscy są chorzy, takie okresy milczenia z pewnością zdarzają się dość często. Zdawaliśmy sobie sprawę, że mamy przed sobą wiele wacht, które trzeba będzie czymś wypełnić, i że nawet jeśli tego popołudnia nie powiemy wszystkiego, co chcieliśmy powiedzieć, to będziemy mieli okazję uczynić to wieczorem lub nazajutrz rano.

Wydaje mi się nawet, że ktoś usiłujący prowadzić rozmowę w taki sposób, w jaki robią to zdrowi ludzie, byłby dla nas nie do zniesienia.

To, co usłyszałem, skierowało moje myśli ku północnym rejonom kontynentu, dzięki czemu stwierdziłem, że prawie nic o nich nie wiem. Kiedy byłem chłopcem, myjącym podłogi i

wykonującym różne drobne posługi na terenie Cytadeli, wojna wydawała mi się nieskończenie odległa. Naturalnie, zdawałem sobie sprawę, iż brała w niej udział większość ludzi stanowiących obsługę głównych dział, ale wiedza ta przypominała świadomość, że ciepło, które czuję w pogodny dzień na twarzy, pochodzi od słońca. Miałem przecież zostać katem, w związku z czym nie widziałem żadnego powodu, który mógłby mnie skłonić do wstąpienia do armii, ani nawet nie groziło mi, że zostanę zmuszony do tego siłą. Raczej nie spodziewałem się, żeby wojna zastukała do bram Nessus (szczerze mówiąc, nawet te bramy były dla mnie zaledwie rekwizytem obecnym w legendach) i nie miałem zamiaru nigdy opuścić miasta ani nawet tej jego części, w której wznosiła się Cytadela.

Północ, czyli Ascia, wydawała mi się wówczas niewyobrażalnie odległa, niemal tak samo, jak najdalsza galaktyka, ponieważ oba te miejsca znajdowały się hen, daleko poza moim zasięgiem. Często myliłem ją z pasem tropikalnej roślinności oddzielającym oba lądy. Choć gdyby mistrz Palaemon zapytał mnie podczas lekcji, z pewnością udzieliłbym mu właściwej odpowiedzi.

O samej Ascii nie wiedziałem dokładnie nic. Nie miałem pojęcia, czy są tam wielkie miasta ani czy jej powierzchnia jest górzysta, jak Północne i wschodnie części Wspólnoty, czy raczej płaska, jak nasze pampasy. Wydawało mi się jednak (choć nie mogłem stwierdzić, na ile moje przekonanie jest prawdziwe), że stanowi zwartą masę lądową, nie zaś łańcuch wysp, jak nasze południe, oraz że zamieszkuje ją nieprzeliczone mnóstwo ludzi, tworzących coś w rodzaju żywego organizmu, tak jak kolonia mrówek. Teraz nie byłem w stanie wyobrazić sobie milionów ludzkich istot niemal pozbawionych mowy, gdyż zmuszonych do porozumiewania się za pomocą frazesów, które w większości już dawno temu przestały cokolwiek znaczyć.

— Jestem pewien, że to jakaś sztuczka, kłamstwo albo pomyłka — powiedziałem bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. — Taki naród nie może istnieć.

— Kiedy państwo osiąga największy rozkwit? - przemówił As-cianui głosem niewiele donośniejszym od mojego. - Wtedy, gdy nie zagrażają mu żadne konflikty. Kiedy nie zagrażają mu konflikty? Wtedy, gdy nie ma niezgody. W jaki sposób można pozbyć się niezgody?

Pozbywając się jej czterech przyczyn: kłamstw, bezsensownej paplaniny, przechwałek, a także podjudzania. Jak to osiągnąć? Mówiąc tylko to, co pozostaje w zgodzie ze Słuszną Myślą.

Wówczas w państwie nie będzie niezgody, a ponieważ nie będzie niezgody, nie będą mu zagrażały żadne konflikty, dzięki czemu stanie się silne i bezpieczne.

Otrzymałem odpowiedź na wszystkie moje wątpliwości. **Rozdział VI Miles, Foila, Melito i Halvard**

Tego wieczoru dałem się ogarnąć lękowi, o którym od dłuższego czasu próbowałem zapomnieć. Chociaż od chwili, kiedy wraz z małym Severianem uciekłem z wioski czarnoksiężników, nie widziałem żadnego z potworów Hethora, to jednak nie zapominałem, że nadal mnie szuka. Wędrując przez góry, a także wzdłuż brzegów jeziora Diuturna, miałem pewność, że mnie nie dogoni; teraz jednak utkwiałem w miejscu, a choć najadłem się do syta, to wydawało mi się, iż jestem znacznie słabszy niż wówczas, gdy pościłem w górach.

Oprócz tego obawiałem się także Agii, chyba nawet bardziej niż notuli, salamander i ślimaków

Hethora. Znałem jej odwagę, przebiegłość i okrucieństwo. W każdej chwili jej twarz mogła wyłonić się spod któregoś ze szkarłatnych kapturów, spod szaty zaś ręka ściskająca sztylet o zatrutym ostrzu. Noc spędziłem bardzo niespokojnie, ale choć wiele mi się śniło, to moje sny były na tyle niewyraźne, że nie będę próbował ich opisywać.

Obudziłem się prawie wcale nie wypoczęty. Powróciła gorączka, z której wcześniej zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, a która minionego dnia znacznie się zmniejszyła. Czuję żar w każdym zakamarku ciała; wydawało mi się niemal pewne, że świecę i że położone daleko na południu lodowce stopiłyby się, gdybym znalazł się w ich pobliżu. Wyjąłem Pazur, przycisnąłem go do piersi, a przez pewien czas nawet trzymałem w ustach. Po pewnym czasie gorączka ustąpiła, pozostawiając mnie osłabionego i półprzytomnego.

Rano odwiedził mnie żołnierz. Zamiast kolczugi i munduru miał na sobie długą, białą koszulę, ale wydawał się zupełnie zdrowy. Powiedział, że ma nadzieję opuścić nazajutrz szpital.

Odparłem, iż chętnie przedstawiłbym go nowo poznanym osobom, które leżały wraz ze mną w tej części lazaretu, i zapytałem, czy już przypomniał sobie, jak się nazywa.

Pokręcił głową.

— W ogóle niewiele pamiętam. Mam nadzieję, że kiedy wrócę do armii, wśród żołnierzy znajdzie się ktoś, kto mnie rozpozna.

Przedstawiłem go po prostu jako Milesa, gdyż nic lepszego nie chciało przyjść mi do głowy. Nie znałem także imienia Ascianina, ale okazało się, iż nikt go nie zna, nawet Foila.

Kiedy spytaliśmy go o nie, odparł tylko:

— Jestem lojalny wobec Grupy Siedemnastu.

Przez pewien czas Foila, Melito, żołnierz i ja gawędziliśmy ze sobą. Melito od razu polubił mego towarzysza, prawdopodobnie ze względu na podobieństwo imion. Wreszcie żołnierz pomógł mi usiąść, zniżył głos i powiedział:

— Teraz musimy porozmawiać w cztery oczy. Jak ci powiedziałem, spodziewam się odejść stąd jutro rano. Sądząc z tego, co widzę, ty zostaniesz tu jeszcze co najmniej kilka dni, a może nawet tygodni. Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy.

— Mam nadzieję, że tak.

— I ja także, ale jeśli zdołam odszukać swój legion, mogę zginąć, zanim ty wydobrzejesz, a jeżeli go nie odnajdę, dołączę do innego, żeby nie zostać aresztowanym jako dezertor.

Umilkł, jakby chciał coś dodać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Uśmiechnąłem się.

— Ja z kolei mogę tu umrzeć z gorączki, to właśnie miałeś zamiar powiedzieć, prawda?

Czyżbym wyglądał równie niedobrze jak biedny Melito?

Potrząsnął głową.

— Na pewno nie aż tak źle. Myślę, że jakoś się z tego wywiniesz...

— ...jak zaśpiewał drozd zającowi, którego lis ganiał dokoła krzewu laurowego.

Tym razem on się uśmiechnął.

— Masz rację. Właśnie miałem zamiar to powiedzieć.

— Zapewne w twojej rodzinnej okolicy często używa się tego powiedzenia?

Uśmiech zniknął.

— Nie wiem. Nie pamiętam, gdzie jest mój dom, i to jest właśnie jeden z powodów, dla których muszę z tobą porozmawiać. Pamiętam, jak w nocy szliśmy razem drogą... To jedyna rzecz, jaką pamiętam sprzed chwili, kiedy się tu ocknąłem. Powiedz, gdzie mnie znalazłeś?

W lesie, jakieś pięć lub dziesięć mil na południe stad. Przypominasz może sobie, co opowiadałem ci o Pazurze?

Pokręcił głową.

— Chyba wspomniałeś coś o tym przedmiocie, ale nie mam pojęcia, co to było.

- A co dokładnie pamiętasz? Opowiedz mi wszystko, a ja wtedy powiem ci, co wiem i czego się domyślam,

— Szliśmy razem przez ciemność... Upadłem, a potem bardzo długo spadałem w czarną przepaść. Nagle ujrzałem własną twarz, powieloną w niezliczonych odbiciach, a także dziewczynę o włosach jak czerwone złoto i ogromnych oczach.

— Czy była piękna?

— Najpiękniejsza w świecie.

Zapytałem głośno, czy ktoś mógłby pożyczyć nam lusterko. Foila podała mi je, a ja wręczyłem lusterko żołnierzowi.

— Miała twoją twarz? Zawahał się.

— Chyba tak...

— I błękitne oczy?

□

Nie jestem pewien.

Oddałem lusterko Foili.

— Powtórzę ci to, co opowiedziałem podczas naszej wędrówki, choć żałuję, że nie mogę tego uczynić w bardziej odosobnionym miejscu. Jakiś czas temu w moje ręce przypadkiem dostał się pewien talizman. Nie należy do mnie. a jest niezwykle cenny, gdyż niekiedy —

niestety nie zawsze — potrafi uzdrawiać chorych, a nawet ożywiać umarłych. Dwa dni temu, podróżując na północ, natknąłem się na ciało martwego żołnierza. Leżało w lesie, z dala od drogi.

Prawdopodobnie umarł nie dawniej niż minionej nocy. Byłem bardzo głodny, więc przeciąłem pasy jego tornistra i zjadłem większą część zapasów, jakie miał przy sobie, ale potem poczułem wyrzuty sumienia i wyjąłem talizman, aby przywrócić nieboszczyka do życia. Przez chwilę myślałem, że tym razem, podobnie jak wielokrotnie wcześniej, talizman nie zadziała, ale lak się nie stało, choć życie wracało powoli, a żołnierz przez długi czas nie wiedział, gdzie jest ani co się z nim dzieje.

— Czyja byłem tym żołnierzem?

Skinąłem głową, patrząc mu prosto w błękitne, uczciwe oczy.

— Mogę zobaczyć talizman?

Wyjąłem Pazur i położyłem go na dłoni, a żołnierz wziął go ode mnie, obejrzał uważnie ze wszystkich stron, po czym sprawdził ostrość opuszką palca.

— Nie wygląda na czarodziejski przedmiot — powiedział wreszcie. — Wątpię, czy

“czarodziejski” to właściwe słowo. Spotykałem już czarnoksiężników, ale on działa w zupełnie inny sposób niż oni. Czasem świeci jasnym blaskiem — teraz trochę się jarzy, ale tak słabo, że wątpię, czy możesz to dostrzec.

— Nie mogę. Nie widzę też, żeby coś było na nim napisane.

— Masz na myśli modlitwę albo zaklęcie? Ja też niczego takiego nie znalazłem, choć wielokrotnie mu się przyglądałem. Szczerze mówiąc, wiem o nim tylko tyle, że czasem działa, a czasem nie. ale przypuszczam, iż jest to jeden z tych przedmiotów, za pomocą których rzuca się uroki i zaklęcia, nie zaś taki, który został dzięki nim stworzony.

— Powiedziałeś, że nie należy do ciebie. Ponownie skinąłem głową.

— Stanowi własność Peleryn.

— Przecież dopiero co tu przyszedłeś - dwie noce temu. razem ze mną.

— Szukałem ich, aby im go oddać. Straciły go, nie z mojej winy. jakiś czas temu w Nessus.

— I naprawdę zwrócisz go im? — Popatrzył na mnie w taki sposób, jakby wątpił w szczerość moich intencji.

— Tak, ale jeszcze nie w tej chwili.

Wstał, po czym przyglądał wymiętą koszulę.

— Nie wierzysz mi, prawda? — spytałem. — Nie uwierzyłeś w ani jedno moje słowo?

— Kiedy podszedłem, przedstawiłeś mnie swoim sąsiadom. — Mówił powoli, starannie ważąc każde słowo. — Rzecz jasna, ja też poznałem tu sporo ludzi. Wśród nich jest także pewien chłopiec, jeszcze prawie dziecko, pochodzący z niewielkiej osady położonej bardzo daleko stąd. Jego rana nie jest ciężka, ale on cały czas siedzi nieruchomo na łóżku i wpatruje się w podłogę,

□

Z tęsknoty?

Żołnierz pokręcił głową.

— Obsługiwał broń energetyczną zwaną korseką. Słyszałeś o czymś takim?

— Niestety, nie.

— Korseką wysyła jeden promień prosto przed siebie, a dwa inne nieco na boki, w prawo i w lewo. Nie ma dużego zasięgu, ale podobno znakomicie nadaje się do odpierania zmasowanych ataków, w co jestem gotów bez trudu uwierzyć.

Rozejrzał się dokoła, aby sprawdzić, czy ktoś przysłuchuje się naszej rozmowie, ale w szpitalach panuje niepisany zwyczaj, nakazujący pacjentom nie zwracać uwagi na nic, co nie jest przeznaczone bezpośrednio dla ich uszu. Gdyby było inaczej, chorzy bardzo szybko rzuciliby się sobie do gardeł.

— Jego oddział stał się obiektem takiego właśnie ataku. Większość żołnierzy uciekła, ale nie on. Został na posterunku, lecz nieprzyjaciel nie zdołał go osiągnąć. Podobno przed nim i po obu jego stronach piętrzyły się stosy trupów, a kiedy nie mógł już zza nich strzelać, cofnął się nieco i walczył dalej.

— Przypuszczam, że otrzymał za to order i awans — powiedziałem. Nie byłem pewien, czy działało się to za sprawą powracającej gorączki, czy upału, ale obficie się pocilem i brakowało mi powietrza.

— Wcale nie, przysłano go tutaj. Przecież mówiłem ci, że jest zwykłym chłopcem z małej wioski. Jednego dnia zabił więcej ludzi, niż widział przez całe życie, zanim poszedł do wojska. Wciąż jeszcze nie może oswoić się z tą myślą i kto wie, czy kiedykolwiek mu się to uda.

— I co z tego?

— Wydaje mi się, że z tobą może być podobnie.

— Nie rozumiem.

— Mówisz i zachowujesz się tak, jakbyś dopiero co przybył z południa; przypuszczam, że mądrze robisz, jeśli niedawno odłączyłeś się od oddziału, ale i tak każdy widzi, że to nieprawda, bo takie rany, jak twoje, można odnieść jedynie na polu bitwy. Zostałeś trafiony odłamkami skał --- Peleryna, która rozmawiała z nami pierwszej nocy, zorientowała się bez najmniejszego trudu. Myślę, że przebywałaś na pomocy znacznie dłużej, niż się do tego przyznajesz, a może nawet dłużej, niż ci się wydaje. Być może zabiłeś wielu ludzi, a teraz pragniesz się pocieszyć, wmawiając sobie, że rozporządzasz mocą przywrócenia im życia.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

— Jeśli tak, to co z tobą?

— Nic. Wcale nie chcę powiedzieć, że nie jestem ci winien wdzięczności: przecież miałem gorączkę, a ty znalazłeś mnie i zaopiekowałeś się mną. Może nawet majaczyłem, ale najprawdopodobniej po prostu leżałem nieprzytomny i dlatego pomyślałeś, że nie żyję. Gdybyś mnie tu nie przyprowadził, z pewnością bym umarł.

Zrobił ruch, jakby zbierał się do odejścia, ale zatrzymałem go, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Zanim sobie pójdziesz, muszę powiedzieć ci kilka rzeczy na twój temat.

□

Przecież twierdziłeś, że nic o mnie nie wiesz?

Pokręciłem głową.

— Wcale nie. Powiedziałem tylko, że dwa dni temu znalazłem cię w lesie, więc w pewnym sensie istotnie nic o tobie nie wiem, ale w innym wcale tak nie musi być. Uważam mianowicie, że jesteś dwoma ludźmi naraz, a ja znam jednego z nich.

— Nikt nie jest dwoma ludźmi naraz.

— Ja jestem i kto wie, czy podobna przypadłość nie dotknęła więcej osób, niż nam się wydaje. Jednak pierwsza sprawa, o której chcę z tobą mówić, jest znacznie prostsza. — Opisałem mu ze szczegółami las, gdzie go znalazłem, oraz drogę do niego, a kiedy upewniłem się, że wszystko zapamiętał, powiedziałem: — Twój tornister leży tam pewnie do tej pory, więc kiedy go znajdziesz, będziesz wiedział, że dotarłeś we właściwe miejsce. W tornistrze był list. Wyjąłem go i częściowo przeczytałem. Nie był zaadresowany, ale jeśli skończyłeś go i miałeś zamiar wysłać, to na końcu powinna znajdować się przynajmniej pierwsza litera twojego imienia.

Położyłem list na ziemi, a wiatr porwał go i przycisnął do drzewa, więc jest spora szansa, że jeszcze uda ci się go odszukać.

Rysy jego twarzy wyostrzyły się.

— Nie powinieneś był go czytać, a tym bardziej wyrzucać!

— Przecież myślałem, że nie żyjesz. Poza tym, wiele się wtedy działo, przede wszystkim w mojej głowie. Całkiem możliwe, że miałem wysoką gorączkę. A teraz druga sprawa: na pewno mi nie uwierzysz, ale zależy mi na tym, żebyś mnie przynajmniej wysłuchał. Zrobisz to?

Skinął głową.

— To dobrze. Słyszałeś kiedyś o zwierciadłach Ojca Inire? Wiesz, na jakiej zasadzie działają?

— Słyszałem o zwierciadłach, ale nie powiem ci, gdzie ani od kogo. bo tego nie pamiętam. Podobno można w nie wejść jak w drzwi i wyjść na odległej gwiazdzie, ale wątpię, żeby to była prawda.

— Zwierciadła istnieją naprawdę. Widziałem je na własne oczy. Do tej pory zawsze myślałem o nich tak, jak ty teraz — jakby były niezwykle szybkim statkiem — ale w tej chwili nie jestem już tego pewien. W każdym razie, mój przyjaciel wszedł między nie i zniknął.

Widziałem na własne oczy, jak to się stało, i jestem pewien, że to nie było złudzenie. Zwierciadła zabrały go gdzieś hen, daleko. Udał się tam, ponieważ kochał pewną kobietę, a nie był do końca człowiekiem. Rozumiesz?

— Czyżby spotkał go wypadek?

— Raczej na odwrót, ale w tej chwili to bez znaczenia. Powiedział mi, że wróci: “Wrócę po nią, kiedy będę gotowy. Kiedy znowu stanę się sobą”. Nie wiedziałem wówczas, co powinienem o tym myśleć, ale teraz wydaje mi się, że dotrzymał słowa. Przecież to ja cię ożywiłem, a przez cały czas pragnąłem jego powrotu — sądzę, że to mogło mieć jakieś znaczenie.

Zapadła cisza. Żołnierz wbił wzrok w udeptaną ziemię, na której rozstawiono łóżka, a następnie przeniósł go na mnie.

— Może kiedy człowiek traci starego przyjaciela, a zyskuje nowego, wydaje mu się, że tamten znowu jest przy nim?

— Jonas — tak nazywał się mój przyjaciel — wysławiał się w charakterystyczny sposób: zawsze, kiedy miał do powiedzenia coś niemiłego, starał się złagodzić to jakimś żartem.

Pierwszej nocy po naszym przybyciu zapytałem cię o imię, a ty odparłeś: “Musiało zgubić się gdzieś po drodze, jak powiedział jaguar, któremu kazano opiekować się koźlęciem”. Pamiętasz?

— Mówię wiele głupich rzeczy.

— Zdziwiłem się wtedy, ponieważ coś takiego mógłby powiedzieć Jonas, ale zrobiłby to tylko wtedy, gdyby dodatkowo chciał przekazać jakieś ukryte znaczenie.

Czekałem na reakcję żołnierza, ale on milczał.

— Rzecz jasna, jaguar pożarł koźlą. Gdzieś po drodze połamał mu kości, rozszarpał ciało i zjadł, nie zostawiając najmniejszego śladu.

— Nie przyszło ci do głowy, że to może być zwyczaj wyniesiony ze stron rodzinnych?

Kto wie, może twój przyjaciel pochodzi z tej samej okolicy, co ja?

— Wydaje mi się, że w grę wchodzi czas, nie miejsce — odparłem. — Dawno temu ktoś musiał pokonać strach, jaki czują ludzie z krwi i kości, kiedy spoglądają w twarz ze szkła i stali.

Jonas. wiem, że mnie słyszysz. Nie winie cię za to, co się stało. Tamten człowiek był martwy, a ty jeszcze żyłeś. Doskonale cię rozumiem. Posłuchaj... Jolenta umarła. Byłem przy tym i starałem się uratować ją za pomocą Pazura, ale nie udało mi się. Nie wiem, może w zbyt znacznym stopniu była sztuczna? Teraz musisz znaleźć sobie kogoś innego.

Żołnierz wstał z mojego łóżka jego twarz, z której zniknął grymas gniewu, była pusta jak u somnambulika po czym odwrócił się i odszedł bez słowa.

Chyba całą wachtę przeleżałem na łóżku z rękami pod głową, rozmyślając o różnych sprawach. Halvard, Melito i Foila rozmawiali ze sobą, ale ja nie zwracałem na nich uwagi. Kiedy jedna z Peleryn przyniosła obiad, Melito wyrwał mnie z zamyślenia uderzając widelcem w talerz, po czym oznajmił:

— Severianie, chcemy prosić cię o przysługę.

Skwapliwie skorzystałem ze sposobności, by odsunąć na bok niespokojne myśli i odparłem, że chętnie pomogę, jeśli tylko będę mógł. Foila obdarzyła mnie promiennym uśmiechem.

— Chodzi o to: ci dwaj młodzieńcy kłócą się o mnie od samego rana. Gdyby byli zdrowi, mogliby się bić, ale minie sporo czasu, zanim będą do tego zdolni, a ja wątpię, żebym potrafiła tak długo wytrzymać. Niedawno myślałam o moich rodzicach, którzy w długie zimowe wieczory siadywali razem przy piecu. Jeżeli wyjdę za Halvarda albo za Melita, też tak będziemy robić. Dlatego postanowiłam zdecydować się na tego, kto lepiej opowiada historie. Nie patrz na mnie tak, jakbym oszalała: to pierwsza rozsądna rzecz, jaką robię w życiu. Obaj mnie pragną, obaj są bardzo przystojni, żaden nie ma majątku, a jeśli szybko tego nie rozstrzygniemy, pozabijają się nawzajem albo ja zabiję ich obu. Jesteś wykształconym człowiekiem —

poznaliśmy to po sposobie, w jaki mówisz. Będiesz słuchał i oceniał. Halvard zaczyna — tylko pamiętajcie, to muszą być zupełnie nowe opowieści, a nie wyczytane w książkach!

Halvard, który mógł trochę chodzić, wstał z posłania i usiadł w nogach łóżka Melita. **Rozdział VI I**

Opowieść Halvarda: O dwóch łowcach fok

To prawdziwa historia, jedna z bardzo wielu, jakie znam. Niektóre są zmyślane, choć może kiedyś, w dawno zapomnianych czasach, były prawdziwe. Znam także wiele prawdziwych, ponieważ na południowych wyspach dzieje się wiele zdumiewających rzeczy, o jakich wy, ludzie z północy, nawet nie macie pojęcia. Wybrałem akurat tę, ponieważ byłem świadkiem wydarzeń, więc widziałem i słyszałem więcej niż ktokolwiek.

Pochodzę z wyspy najdalej wysuniętej na wschód spośród południowych wysp, zwanej Lodową. Mieszkali na niej kobieta i mężczyzna, moi dziadkowie, którzy mieli trzech synów.

Nazywali się Anskar, Harvard i Gundulf. Harvard był moim ojcem, a kiedy dorosłem na tyle, by pomagać mu w łodzi, przestał polować i łowić ryby z braćmi. Wypływaliśmy w morze we dwóch, dzięki czemu całą zdobycz przywoziliśmy do domu, dla mojej matki, sióstr i młodszego brata.

Moi wujowie nigdy nie znaleźli sobie żon i nadal korzystali z tej samej łodzi. To, co złapali, dzielili między siebie lub oddawali dziadkom, którzy byli już starymi ludźmi. Latem uprawiali ziemię dziadka; miał najlepszą ziemię na wyspie, położoną w jedynej dolinie, gdzie nigdy nie docierał mroźny wiatr. Można było uprawiać tam rośliny, które nie chciały rosnąć nigdzie indziej na Lodowej, ponieważ w dolinie lato trwało o dwa tygodnie dłużej.

Pewnego dnia, kiedy na moich policzkach pokazał się już pierwszy zarost, dziadek zwołał

wszystkich mężczyzn w rodzinie, to znaczy mego ojca, dwóch wujów oraz mnie. Kiedy zgromadziliśmy się w jego domu, dowiedzieliśmy się, że moja babka nie żyje. Z dużej wyspy przybył kapłan, aby ubrać zwłoki. Synowie zmarłej płakali, a ja razem z nimi.

Wieczorem usiedliśmy przy stole, dziadek w jednym końcu, a kapłan w drugim, i dziadek powiedział:

— Nadeszła pora, bym rozporządził swoim majątkiem. Bega nie żyje, jej rodzina nie ma do niego żadnego prawa, a ja wkrótce pójdę w ślady żony. Halvard ożenił się i dostał posag, dzięki czemu może zapewnić byt rodzinie, a choć nic opływają w dostatki, to przecież nie są głodni. Ty, Anskarze, i ty, Gundulfie: czy weźmiecie sobie kobiety?

Obaj potrząsnęli głowami.

— W takim razie, oto moja wola: Wzywam na świadka Wszechmogącego, a wraz z nim wszystkie jego sługi. Kiedy umrę, cały mój dobytek dostaną Anskar i Gundulf. Jeśli któryś z nich zginie, drugi przejmie jego część. Jeśli obaj zginą, całość odziedziczy Halvard, a gdyby i jemu coś się przytrafiło, zastąpią go jego synowie. Jeżeli ktoś z was nie zgadza się z moim postanowieniem, niech to powie teraz.

Nikt się nie odezwał.

Minał rok. Z mgły wyłonił się statek Erebu, a dwa inne przyplłynęły po skóry, kość słoni morskich i solone ryby. Dziadek zmarł, a moja siostra Fausta urodziła córkę. Kiedy plony zostały zebrane, wujowie wypłynęli w morze wraz z innymi mężczyznami.

Gdy na południe dociera wiosna, jest jeszcze za wcześnie na rozpoczęcie zasiewów, gdyż noce są bardzo mroźne. Kiedy dni stają się coraz dłuższe, mężczyźni wyruszają na polowanie.

Skąły, wśród których mieszkają foki, znajdują się daleko od jakiegokolwiek brzegu, a choć dni wydłużają się, to nadal są bardzo krótkie. Często podczas polowania giną nie foki, lecz ludzie.

Tak właśnie stało się z wujem Anskarem, gdyż wuj Gundulf wrócił łodzią bez niego.

Musicie wiedzieć, że kiedy nasi mężczyźni wypływają na polowanie lub na ryby, zawsze przywiązują się do łodzi. Linka jest spleciona z rzemieni ze skóry morsa i tylko tak długa, żeby dało się swobodnie poruszać po łodzi. Morska woda jest bardzo zimna; błyskawicznie zabija każdego, kto do niej wpadnie, ale nasi mężczyźni zakładają obcisłe ubrania z foczych skór. a kiedy jeden z nich znajdzie się w wodzie, drugi może złapać za linkę i wyciągnąć go, ratując mu w ten sposób życie.

Oto relacja, jaką przedstawił wuj Gundulf: Wypłynęli bardzo daleko w pogoni za młodymi fokami, kiedy nagle Anskar dostrzegł w wodzie dużego samca. Cisnął w niego harpunem, ale nie zauważył, że przywiązana do drzewca linka owinęła mu się wokół kostki, więc kiedy foka zanurkowała, pociągnęła myśliwego za sobą do morza. On, Gundulf, próbował

uratować brata. Był bardzo silny, prawie tak silny, jak samiec foki, ale kiedy szarpali linkę w przeciwną stronę, łódź wywróciła się do góry dnem. Gundulf uratował się tylko dzięki linie łączącej go z łodzią, ale by do niej wrócić, musiał przeciąć linkę uwiązaną do harpuna.

Wyprostował łódź, po czym natychmiast zaczął wciągać Anskara na pokład, lecz wówczas przekonał się, że linka jego brata jest zerwana. Pokazał nam jej koniec. Wuj Anskar nie żył.

Wśród mojego Ludu jest tak, że kobiety umierają na lądzie, natomiast mężczyźni na morzu, w związku z czym takie groby, jakie wy robicie, nazywamy "kobiecyimi łodziami". Kiedy mężczyzna ginie tak, jak zginął wuj Anskar, malujemy na jego cześć wyprawioną foczą skórę i wieszamy ją w domu, gdzie schodzą się na spotkanie wszyscy mężczyźni. Skóra wisi tak długo, aż każdy z obecnych opowie jakąś historię z życia zmarłego. Taka właśnie skóra została przygotowana dla Anskara i artyści wzięli się do pracy.

Pewnego pięknego poranka, kiedy ojciec i ja przygotowaliśmy narzędzia, które miały otworzyć ziemię pod nowe zasiewy — jak dobrze to pamiętam! — do wioski wróciły pędem dzieci wysłane nad brzeg po ptasie jaja, krzycząc, że na kamienistej plaży przy południowej zatoce leży foka. Jak wszyscy wiedzą, żadna foka nie wyjdzie na brzeg w pobliżu ludzkiego osiedla, ale może zostać wyrzucona przez fale, jeśli zdechnie w morzu lub zostanie ranna. Mając nadzieję, że zaszła ta druga okoliczność, mój ojciec, ja, a także wielu innych popędziliśmy co sił

w nogach, ponieważ foka miała stać się własnością tego, czyja broń pierwsza jej dosięgnie.

Biegiem na przedzie, ściskając w ręku widły. Nie najlepiej się nimi rzuca, ale ponieważ po piętach deptało mi kilku innych młodzieńców, w odległości stu kroków od foki zaryzykowałem i cisnąłem je z całej siły. Poszybowały prosto i pewnie, by wbić się w grzbiet zwierzęcia, a wówczas nastąpiła chwila, która do dziś powraca do mnie w najbardziej koszmarnych wspomnieniach: pod wpływem

uderzenia leżące mi kamieniach ciało przewróciło się na bok.

Ujrzałem twarz wuja Anskara, doskonale zakonserwowaną w zimnej morskiej wodzie. W

brodę wplątały mu się zielone wodorosty, a linka ze skóry morsa była ucięta zaledwie kilka piędzi od jego ciała.

Wuj Gundulf nie widział tego, gdyż popłynął na dużą wyspę. Mój ojciec i ja zanieśliśmy Anskara do domu Gundulfa, położyliśmy linkę na piersi trupa w taki sposób, aby Gundulf od razu ją zauważył, po czym usiedliśmy wraz z innymi mężczyznami, by poczekać na powrót gospodarza.

Krzyknął, kiedy zobaczył brata. Nie był to zwykły krzyk, lecz raczej ryk, jaki wydaje samiec, by odpędzić rywali od swego stada. Zaraz potem odwrócił się i uciekł w ciemność.

Wystawiliśmy strażę przy łodziach, po czym wyruszyliśmy w pościg po wyspie. Przez całą noc niebo rozświetlały ognie, które duchy rozpalają na najdalszym południu, dzięki czemu wiedzieliśmy, że Anskar poiuje razem z nami. Gdy znaleźliśmy Gundulfa między skałami na Przylądku Radboda, rozbłysły jeszcze jaśniej, a następnie zgasły.

Halvard umilkł i zapadła zupełna cisza. Wszyscy chorzy, którzy znajdowali się w zasięgu jego głosu, przysłuchiwali się opowieści.

— Zabiliście go? — zapytał wreszcie Melito.

— Nie. Dawniej nie czyniliśmy tego i było to bardzo niedobre. Teraz prawo słusznie każe płacić krwią za krew. Związaliśmy go i położyliśmy na podłodze w jego domu, a ja siedziałem przy nim, podczas gdy starsi mężczyźni szykowali łodzie. Powiedział mi, że zakochał

się w pewnej kobiecie z dużej wyspy. Nazywała się Nennoc, była piękna i znacznie młodsza od niego, ale nie chciał jej żaden mężczyzna, ponieważ urodziła dziecko człowiekowi, który umarł

minionej zimy. Kiedy był w łodzi z Anskarem, powiedział bratu, że weźmie Nennoc do domu, a ten zarzucił mu, że jest kłamcą i lekceważy przysięgę złożoną ojcu. Wuj Gundulf był bardzo silny; złapał Anskara wpół i wyrzucił go z łodzi, po czym błyskawicznie owinał mu ręce linką i przerwał ją równie łatwo, jak kobieta przerywa cienką nić.

Następnie wyprostował się, oparł o maszt i obserwował brata walczącego z żywiołem.

Dostrzegł błysk noża, ale pomyślał, że Anskar chce go nastraszyć albo będzie próbował w niego rzucić.

Halvard ponownie umilkł.

— Nie rozumiem — powiedziałem po dłuższym czasie, zorientowawszy się, że nikt nie ma zamiaru zabrać głosu. — Co właściwie zrobił Anskar ?

Na częściowo skrytych pod jasnym wąsem ustach Halvarda pojawił się lekki uśmiech.

Kiedy go zobaczyłem, wiedziałem już, jak wyglądają lodowe góry południa, błękitne i przeraźliwie zimne.

— Przeciął linę, którą Gundulf związał mu ręce. Chciał, aby ludzie, którzy go znajdą, wiedzieli, że został zamordowany. Teraz już rozumiesz?

Zrozumiałem, ale nie miałem nic do powiedzenia.

— A więc piękna dolina przeszła na własność ojca Halvarda mruknął Melito do Foili.

— Opowiadając te historie chciał dać do zrozumienia, że choć na razie nic nie posiada, to w przyszłości odziedziczy pewien majątek. Przy okazji zwrócił twoją uwagę na to, iż jeden z jego najbliższych krewnych jest mordercą.

— Melito stanowczo mnie przecenia — odparł głębokim głosem jasnowłosy mężczyzna.

— Nic takiego nie miałem na myśli. Teraz nie ma znaczenia, kto ma ziemię, skóry czy złoto, tylko kto opowie najlepszą historię. Ja, który znam ich wiele, opowiedziałem najlepszą, jaką pamiętam. To prawda, że kiedy mój ojciec umrze, odziedziczę część rodzinnego majątku, ale nie zapominajcie, że mam jeszcze niezamężne siostry, które muszą otrzymać posag, a także młodszego brata. Jednak wszystko to jest bez znaczenia, ponieważ i tak nie zabrałbym Foili na południe, gdzie żyje się bardzo ciężko. Odkąd wziąłem lancę do ręki, widziałem wiele lepszych miejsc.

— Myślę, że twój wuj Gundulf bardzo kochał Nennoc — powiedziała Foila.

Halvard skinął głową.

— Tak właśnie twierdził, kiedy leżał związany, ale u nas. na południu, wszyscy mężczyźni kochają swoje kobiety. To właśnie dla nich zmagają się z morzem, sztormami i lodowatymi mgłami. Powiada się nawet, że kiedy mężczyzna pcha swoją łódź po kamieniach, w szurgocie jaki wtedy powstaje, można usłyszeć dwa powtarzane bez przerwy słowa; żona i dzieci, żona i dzieci, żona i dzieci...

Spytałem Melita, czy chce od razu rozpocząć swoją opowieść, ale on odparł, że zbyt świeżo mamy w pamięci historię Halvarda, więc będzie chyba lepiej, jeśli on przedstawi swoją dopiero nazajutrz. Wtedy wszyscy zaczęli zasypywać Halvarda pytaniami dotyczącymi życia na południu oraz porównywać to, co usłyszeli, z tym, co zapamiętali z własnych domów i co widzieli wokół siebie. Tylko Ascianin milczał jak zaklęty. Ja opowiedziałem o pływających wyspach na jeziorze Diuturna, ale pominąłem milczeniem bitwę w zamku Baldandersa.

Rozmawialiśmy w ten sposób aż do chwili, gdy nadeszła pora kolacji.

Rozdział VIII

Peleryna

Kiedy skończyliśmy jeść, zaczęło już zmierzchać. O tej porze w lazarecie robiło się znacznie ciszej — nie tylko dlatego, że brakowało nam sił, ale także dlatego, że zdawaliśmy sobie sprawę, iż ci ranni, którzy mają umrzeć, najczęściej czynią to po zachodzie słońca. Wtedy właśnie przychodzą duchy dawno zapomnianych bitew, by odebrać zaległe należności. Poza tym, nocą jakoś bardziej zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że toczy się wojna.

Czasem na niebie pojawiały się błyski odległych wyładowań broni energetycznej, przypominające ogromne błyskawice; tej nocy, o której opowiadam, były szczególnie dobrze widoczne. Słyszeliśmy także kroki wartowników udających się na posterunki, w związku z czym słowo “wachta”, używane zazwyczaj dla określenia dziesiątej części nocy, nabierało nowego, bardziej realnego znaczenia, wypełnionego odgłosem kroków i wydawanymi półgłosem rozkazami.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy zapadło całkowite milczenie. Trwała, wydawać by się mogło, bez końca, a ciszę zakłócały jedynie głosy zdrowych, to znaczy Peleryn oraz ich niewolników, pytających pacjentów o samopoczucie. Jedna z odzianych w szkarłat kapłanek usiadła przy moim łóżku, ale moje myśli były tak ospałe, jakby pogrążone w letargu, iż dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że zapewne przyniosła ze sobą stołek.

— Ty jesteś Severian, przyjaciel Milesa?

— Tak.

— Już przypomniał sobie, jak się nazywa. Pomyślałam, że może będziesz chciał wiedzieć.

— I jak?

— Miles, przecież już ci powiedziałam.

□

Jestem pewien, że z czasem przypomni sobie znacznie więcej.

Skinęła głową. Była kobietą w średnim wieku, o przyjaznej, zwyczajnej twarzy.

— Ja też tak myślę. Przede wszystkim o domu i rodzime.

— Jeśli je ma.

— Rzeczywiście, niektórzy nie mają. Są też tacy, co nigdy nie potrafiliby ich założyć.

— Mówisz o mnie.

— Wcale nie. Tak czy inaczej, nic nie można poradzić na brak tej umiejętności, choć jest dużo lepiej,

szczególnie dla mężczyzn, jeżeli jednak mają dom. Podobnie jak ów człowiek, o którym opowiadał twój przyjaciel, większość mężczyzn uważa, że zakładają dom ze względu na rodzinę, ale prawda wygląda w ten sposób, iż myślą przede wszystkim o sobie.

— A więc słuchałaś opowieści Halvarda?

— Prawie wszystkie jej słuchałyśmy. To dobra opowieść. Przyszłam w chwili, kiedy jego dziadek wydawał rozporządzenia dotyczące swego majątku. Czy wiesz, na czym polegał

problem z tym złym wujem, Gundulfem?

— Zapewne chodziło o to, że się zakochał.

— Wcale nie, to akurat było dla niego dobre. Otóż każdy człowiek jest jak roślina: składa się z zielonej, pięknej części, często ozdobionej kwiatami i owocami, która pnie się ku słońcu i Prastwórcy, oraz z ciemnej, uciekającej przed nimi tam, gdzie panuje wieczna ciemność.

— Nigdy nie studiowałem pism filozofów, ale nawet ja zdaję sobie sprawę, że w każdym z nas mieszka dobro i zło.

— Czyżbym mówiła właśnie o nich? Przecież to korzenie dają roślinie siłę, która pozwala jej piąć się ku słońcu, choć one nie zdają sobie z tego sprawy. Przypuśćmy, że jakaś kosa przemykająca ze świstem tuż nad ziemią odetnie łodygę od korzeni; łodyga umrze, ale korzenie mogą przeżyć i dać początek nowej roślinie.

— A więc twierdzisz, że zło jest także dobrem?

— Wcale nie. Twierdzę natomiast, iż wszystko, co kochamy w innych i podziwiamy w sobie, bierze się z ukrytych rzeczy, o których rzadko kiedy myślimy. Gundulf, podobnie jak większość mężczyzn, był posłuszny instynktowi nakazującemu mu narzucać swoją wolę innym; prawidłowe działanie tego instynktu stanowi podstawowy warunek założenia rodziny

— Zresztą, kobiety także go mają. Gundulf przez wiele lat tłumił go w sobie, podobnie jak wielu spośród żołnierzy, których tu widzisz. Oficerowie mogą wydawać rozkazy, natomiast szeregowcy cierpią, ponieważ tylko wykonują polecenia, a na domiar złego nie zdają sobie sprawy z przyczyny swoich cierpień. Część z nich ratuje się nawiązując przyjaźnie z towarzyszami niedoli, nawet dzieląc się z nimi kobietą albo mężczyzną spełniającym rolę kobiety, część oswaja różne zwierzęta, a część przygarnia dzieci osierocone w wyniku działań wojennych.

— Nie rozumiem, dlaczego jesteście temu przeciwne — odparłem, myśląc o synu Casdoe.

— Nie jesteśmy przeciwne ani temu, ani wielu innym zjawiskom, znacznie mniej zgodnym z naturą. Wciąż mówię tylko o instynkcie nakazującym człowiekowi, by za wszelką cenę narzucał swą wolę innym. W przypadku złego wuja instynkt ów kazał mu pokochać kobietę, która już miała dziecko, dzięki czemu od razu miałby liczniejszą rodzinę. W ten sposób nadrobiłby część straconego czasu.

Umilkła na chwilę, a ja przyznałem jej rację skinieniem głowy.

— Okazało się jednak, że minęło już zbyt wiele czasu, w związku z czym instynkt zadziałał w inny sposób. Gundulf uznał się za jedyne go prawowitego dziedzica ziem pozostawionych przez ojca, a jednocześnie poczuł się panem życia i śmierci swojego brata. To była złudna wizja, nie uważasz?

— Chyba tak.

— Inni miewają wizje równie fałszywe, choć mniej niebezpieczne. — Uśmiechnęła się do mnie. — Czy uważasz się za człowieka posiadającego władzę?

— Jestem czeladnikiem w Zgromadzeniu Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy, a z tym stanowiskiem nie wiąże się żadna władza. Członkowie naszej konfraterni jedynie wykonują wolę sędziów.

— Myślałam, że gildia katów została już dawno zlikwidowana... Czyżby przeistoczyła się w coś w rodzaju bractwa liktorów?

— Nadal istnieje — zapewniłem kapłankę,

— Nie wątpię, ale kilkaset lat temu była prawdziwą gildią, laską jaką teraz mają na przykład złotnicy. W każdym razie, tak właśnie napisano w historycznych księgach przechowywanych przez nasz zakon.

Na chwilę ogarnęło mnie nadzwyczajne uniesienie, wcale nie dlatego, żebym uznał, że Peleryna ma rację. Być może pod wieloma Względami istotnie jestem szalony, ale wiem, iż z pewnością nie należę do ludzi podatnych na złudzenia. Niemniej jednak poczułem się naprawdę wspaniale, znalazłszy się na krótką chwilę w świecie, gdzie takie złudzenie było możliwe. Chyba po raz pierwszy zrozumiałem wówczas, że Wspólnotę zamieszkują miliony ludzi nie mających najmniejszego pojęcia ani o wyższych formach sprawiedliwości, ani o współśrodkowych okręgach intryg otaczających Autarchę, i świadomość ta podziałała na mnie jak wino albo nawet jak brandy.

— A może wydaje ci się, że dysponujesz jakimś innym rodzajem władzy? zapytała kapłanka, nie zdając sobie sprawy ze stanu, w jakim się znajdowałem.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

— Miles powiedział mi, że twierdzisz, jakobyś posiadał Pazur Łagodziciela, i że pokazałeś mu mały czarny szpon, jakby ocelota albo rysia. Podobno utrzymujesz także, iż za pomocą tego przedmiotu wskrzesiłeś wielu ludzi.

A więc nadeszła pora rozstania z Pazurem. Od chwili, kiedy dotarliśmy do lazaretu, zdawałem sobie sprawę, że ten moment wkrótce nadejdzie, ale miałem nadzieję, iż nastąpi to dopiero przed samym moim odejściem. Teraz jednak wyjąłem Pazur — po raz ostatni, jak mi się wydawało — położyłem go Pelerynie na dłoni i powiedziałem:

— Dzięki niemu uda wam się ocalić wielu rannych. Nie ukradłem go i przez cały czas szukałem sposobu, aby go wam zwrócić.

— Więc to on przywraca życie zmarłym? — zapytała łagodnie.

— Bez niego ja sam umarłbym już wiele miesięcy temu — odparłem, a następnie zacząłem opowiadać jej o moim pojedynku z Agilusem.

— Zaczekaj — przerwała mi. — Weź go, należy do ciebie. Jak sam widzisz, nie jestem już młodą kobietą; za rok będę obchodziła trzydziestą rocznicę złożenia ślubów zakonnych. Aż do minionej wiosny podczas każdego z pięciu, obchodzonych każdego roku, najważniejszych świąt, widywałam Pazur Łagodziciela wystawiany do adoracji. Był to ogromny szafir, co najmniej tak wielki jak orichalk. Z pewnością stanowił równowartość wielu pięknych domów i dlatego padł łupem złodziei.

Chciałem coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie gestem.

— Co się tyczy jego cudownych właściwości leczenia ran i wskrzeszania zmarłych...

Czy sądzisz, że wśród nas byłiby jacyś chorzy, gdyby tak właśnie miały się sprawy? Jest nas niewiele — zdecydowanie za mało, biorąc pod uwagę ogrom pracy, jaka nas czeka — a gdyby aż do ubiegłej wiosny żadna z sióstr nie umarła, nasze szeregi byłyby znacznie bardziej liczne. Moje przyjaciółki i nauczycielki, które serdecznie kochałam, nadal żyłyby między nami. Prości ludzie muszą wierzyć w cuda, podobnie jak muszą chylić głowy przed lepiej urodzonymi- Jeżeli, w co święcie wierzymy. Pazur Łagodziciela jeszcze istnieje j nie został pocięty na mniejsze kamienie, to stanowi ostatnią zachowaną relikwię najwspanialszego z dobrych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po Urth, a my czcimy go, ponieważ jest pamiątką po tym człowieku. Jeśli klejnot miałby tak cudowne właściwości jak te, o których wspominałeś, byłby cenny nie tylko dla nas i najprawdopodobniej już dawno temu zabrałby go któryś z autarchów.

— To naprawdę jest pazur...

— To, co uważasz za pazur, stanowiło jedynie wewnętrzną skazę klejnotu, Severianie.

Łagodziciel był człowiekiem, a nie ptakiem albo kotem.

Podniosła się z miejsca.

— Roztrzaskał się na kamieniach, kiedy olbrzym rzucił go ze szczytu wieży...

— Chciałam cię uspokoić, ale widzę, że tylko podsycam twoje fantazje. —

Niespodziewanie uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała mnie. — Widujemy tu wielu takich, co wierzą w rzeczy, których nie ma, ale tylko nieliczni potrafią zdobyć się na tak godne i wspaniałe pomysły. Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy.

Odprowadziłem spojrzeniem niewielką, odzianą w szkarłat postać, aż wreszcie znikła mi z oczu w półmroku, między stojącymi w ciszy rzędami łóżek. Podczas naszej rozmowy większość chorych zasnęła. Kilku jęczało cicho. Weszli trzej niewolnicy; dwaj nieśli nosze z rannym, natomiast trzeci oświetlał im drogę. Żółte światło odbijało się w gładko ogolonej, błyszczącej od potu skórze na ich głowach. Przenieśli rannego na łóżko, ułożyli mu kończyny w taki sposób, jakby był martwy, po czym odeszli.

Spojrzałem na Pazur. W obecności Peleryny był całkowicie pobawiony życia, lecz teraz od jego podstawy do ostrego końca przebiegały maleńkie punkciki białego ognia. Czuję się już całkiem dobrze — tak dobrze, że zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób zdołałem wytrzymać przez cały dzień na wąskim, twardym materacu — ale kiedy spróbowałem wstać, nogi natychmiast ugięły się pod mną. Obawiając się, że lada chwila runę na kogoś, z największym trudem dowlokłem się do łóżka, na którym położono nowego pacjenta.

Był to Emilian, którego pamiętałam jako jednego z największych elegantów na dworze Autarchy. Tak zaskoczył mnie jego widok, że aż wymówiłam głośno jego imię.

— Thecla — szepnął. — Thecla...

— Tak, to ja. Przypominasz mnie sobie. Emilianie. Wracaj szybko do zdrowia.

Dotknąłem go Pazurem.

Mężczyzna otworzył oczy i wrzasnął przeraźliwie.

Uciekłem, ale w połowie drogi nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Padłem na ziemię i ostatkiem sił zdołałem wczłapać się pod łóżko Halvarda.

Kiedy zjawili się niewolnicy, Emilian siedział już na łóżku i mógł mówić, choć wątpię, czy jego słowa miały dla kogokolwiek choć trochę sensu. Dostał do żucia uspokajające zioła, a jeden z niewolników został przy nim tak długo, aż nabrał pewności, że pacjent już się uspokoił, po czym wyszedł po cichu.

Wyczołgałem się spod łóżka, chwyciłem za krawędź i z najwyższym trudem zdołałem wstać. W lazarecie panowała cisza, lecz zdawałem sobie sprawę, że wielu chorych musiało mnie zauważyć, zanim padłem, na ziemię. Wbrew moim przypuszczeniom Emilian nie spał, ale wydawał się mocno oszołomiony.

— Thecla — wymamrotał. — Słyszałem Theclę, choć powiedziano mi, że umarła. Czy odezwą się do mnie jeszcze jakieś głosy z krainy umarłych?

— Teraz już nie — zapewniłem go. - Byłeś chory, ale wkrótce wyzdrowiejesz.

Uniosłem Pazur nad głowę, usiłując skoncentrować myśli na Melicie, Foili i wszystkich chorych w lazarecie. Zamigotał, a potem ściemniał.

Rozdział IX

Opowieść Melita: O kogucie, aniele i orle

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu i niezbyt daleko od miejsca, w którym przyszedłem na świat, było sobie znakomite gospodarstwo. słynące z wyjątkowo dorodnego drobiu. Kaczki były tam białe jak śnieg, gęsi niemal równie wielkie jak łabędzie i tak tłuste, że prawie nie mogły chodzić, a kurczęta kolorowe jak papugi. Właściciel gospodarstwa stosował najniezwyklejsze metody hodowli, ale że

przynosiły one efekty wielokroć lepsze od tradycyjnych sposobów, żaden sąsiad nie miał odwagi powiedzieć mu, że uważa go za głupca.

Jeden z najdziwniejszych pomysłów dotyczył sposobu hodowania kurcząt. Wszyscy wiedzą, że kiedy kurczaki osiągną pewien wiek, muszą zostać wykastrowane, aby nie wyrosły z nich koguty. W zagrodzie jest potrzebny tylko jeden kogut, bo gdyby były choć dwa, bez przerwy toczyłyby ze sobą walki.

Jednak ten gospodarz nie miał zamiaru zadawać sobie aż tyle trudu.

— Niech rosną — mawiał. — Niech rosną i walczą, i wiesz, co ci powiem, sąsiedzie?

Zwycięży najlepszy z nich, i to on spłodzi kolejne kurczęta, które powiększą moje stado. Jego potomstwo będzie najsilniejsze i najbardziej odporne na choroby, a kiedy twoje kurczęta padną na jakąś zarazę, przyjdiesz do mnie i kupisz moje za taką cenę, jaką uznam za stosowne wyznaczyć. Jeśli chodzi o te koguty, które zostaną zabite — po prostu zjemy je. Żaden kapłon nie jest równie kruchy i delikatny jak kogut, co przed śmiercią stoczył ciężką walkę, podobnie jak najlepsze jest mięso byka zabitego na arenie oraz tusza jelenia zagonionego przez psy. Poza tym, jeśli jesz tylko kapłony, narażasz na szwank swoją męskość.

Ten niezwykły gospodarz uważał również, że na ubój należy wybierać zawsze najgorszą sztukę w stadzie.

— Głupotą jest zabijanie najlepszych. Powinny żyć, rozwijając się pod okiem Prastwórcy, który uczynił koguty i kury tak samo jak mężczyzn i kobiety.

Być może dlatego, że wszystko, co robił, robił z głębokim przekonaniem, jego stado było tak wspaniałe, iż czasem wydawało się, że w ogóle nie ma tam gorszych sztuk.

Z tego, co powiedziałem, jasno wynika, iż kogut, który stał na czele stada, był

wspaniałym okazem, młodym, silnym i odważnym Ogon miał równie piękny jak bażant, jego grzebień zaś także byłby zachwycający, gdyby nie to, że w trakcie niezliczonych potyczek został

poszarpany na strzępy. Pierś koguta pyszniła się ognistym szkarłatem — takim samym jak szaty Peleryn — ale gęsi twierdziły, iż wcześniej była zupełnie biała i dopiero później szczerwieniała od jego własnej krwi. Dzięki niezwykle silnym skrzydłom latał lepiej niż którakolwiek z kaczek, ostrogi miał dłuższe niż mój palec wskazujący, a dziób ostry jak miecz.

Ów znamienity kogut miał tysiąc żon, lecz wybranką jego serca była kura równie piękna jak on, potomkini znakomitej rasy i niekwestionowana królowa wszystkich kurcząt w promieniu wielu mil. Jakże dumnie kroczyli -razem między rogiem stodoły i kaczym stawem! Doprawdy, trudno sobie wyobrazić wspanialszy widok chyba że ktoś miał okazję oglądać Autarchę prowadzącego swoją faworytę do Studni Orchidei. Porównanie to jest tym bardziej trafne, że doszły mnie słuchy jakoby nasz Autarcha był kapłonem.

Wszystko układało się po myśli tej szczęśliwej pary aż do pewnej nocy, kiedy koguta obudził

potworny hałas. Ogromna uszata sowa wdarła się do kurnika i poczęła szukać smakowitego kaska na kolacje Rzecz jasna, chwyciła ukochaną naszego koguta, po czym rozpostarła potężne skrzydła, szykując się do odlotu. Sowy znakomicie widzą w ciemności, więc pewnie bez trudu dostrzegła koguta, pędzącego ku niej jak pierzasta furia. Czy ktokolwiek miał

okazję zobaczyć zdumioną sowę? Z pewnością właśnie zdumienie wyrażał wzrok tej, która dostała się do kurnika. Ostrogi koguta śmignęły naprzód szybciej niż stopy tancerza, a dziób uderzył w wielkie okrągłe oczy niczym dziób dzięcioła stukającego w drzewo. Sowa wypuściła zdobycz ze szponów, wymknęła się z kurnika i odleciała w ciemność, by nigdy już nie powrócić.

Bez wątpienia kogut miał powód do dumy, ale on poczuł się nazbyt dumny. Pokonawszy w ciemności sowę doszedł do wniosku, że da sobie radę z każdym ptakiem i w każdych okolicznościach. Począł snuć plany wypraw, których celem byłoby odbieranie zdobyczy jastrzębiom, a nawet teratornisom, największym i najstraszliwszym ptakom, jakie unoszą się w powietrzu. Gdyby otoczył się mądrymi doradcami, szczególnie lamami i świniami, których nawet królowie proszą o pomoc przy rozstrzyganiu spraw wagi państwowej, z pewnością znaleźliby oni sposób, aby taktownie, lecz stanowczo odwieść go od tych ekstrawaganckich pomysłów.

Niestety, on słuchał tylko rozkochanych w nim kur oraz gęsi i kaczek, którym wydawało się, że spływa na nie część jego chwały. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy kogut posunął się za daleko — jak każdy, kto zanadto wierzy we własne siły.

Działo się to o wschodzie słońca, a jest to najbardziej niebezpieczna pora dla tych, co źle czynią. Kogut odbił się od ziemi i trzepocząc potężnymi skrzydłami leciał coraz wyżej i wyżej, aż wydawało się, że rozedrze powłokę nieba. Wreszcie usadowił się na wiatrowskazie na samym szczycie stodoły. Kiedy słońce poczęło odganiać nocne cienie biczem uplecionym ze szkarłatnych i złotych promieni, począł krzyczeć co sił w płucach, obwieszczając światu, że jest królem wszystkich pierzastych stworzeń. Powtórzył wołanie siedem razy i być może uszłoby mu to płazem, gdyż siedem to szczęśliwa liczba, ale on zapiał po raz ósmy i dopiero wtedy wrócił na podwórze.

Ledwo dotknął ziemi, kiedy w powietrzu, dokładnie nad stodołą, rozpoczął się zadziwiający spektakl: wyglądało to tak, jakby setki słonecznych promieni zwinęły się w kłębek, a następnie zaczęły ugniatać się w coraz bardziej ciasną kulę, bardzo podobną do kulki z ciasta, jaką formuje kobieta robiąca pączki. Następnie z tej kulistej światłości wyrosły nogi, ramiona, głowa i skrzydła, po czym słoneczna istota spłynęła w dół, na podwórze. Był to anioł o czerwono-błękitno-zielono-złoty skrzydłach, a choć wydawał się ledwo dorównywać kogutowi wzrostem, to wystarczyło spojrzeć mu w oczy, aby zrozumieć, że wewnątrz jest znacznie większy od niego.

— Nadeszła chwila prawdy — powiedział anioł. — Twierdzisz, jakoby nie mogło ci dorównać żadne pierzaste stworzenie: oto więc jestem, pokryty pierzem i piórami. Tam, w górze, pozostawiłem potężną broń, jaką posługują się armie światłości, abym mógł zmierzyć się z tobą jak równy z równym.

Na to kogut rozpostarł skrzydła i uklonił się tak nisko, że aż zamiótł ziemię poszarpanym grzebieniem.

— To dla mnie wielka radość, że uznałeś mnie za godnego siebie przeciwnika, gdyż wiem, iż żaden ptak nigdy nie dostąpił tego zaszczytu — odparł. — Niestety, z ogromnym żalem muszę odrzucić wyzwanie, a to z trzech powodów. Po pierwsze, choć masz pióra na skrzydłach, to jednak jesteś ich pozbawiony zarówno na piersi, jak i na głowie, a przecież tam właśnie będę kierował ciosy. Dlatego nie można powiedzieć, abys był do końca pierzastą istotą.

Anioł zamknął oczy i przesunął dłońmi po swoim ciele, a wówczas włosy na jego głowie przeistoczyły się w jaskrawożółte pióra, zamiast szaty zaś pojawiło się pierze białe jak u młodej gołębiczy.

— Po drugie — ciągnął nie zniechęcony kogut — ponieważ dysponujesz umiejętnością zmieniania kształtu, mógłbyś podczas walki przeistoczyć się w jakąś pozbawioną piór istotę, na przykład w dużego węża. Jeżeli mam się z tobą zmierzyć, muszę mieć gwarancję, że będziesz walczył uczciwie.

Na to anioł otworzył pierś, ukazując kurom, kaczkom i gęsiom zgromadzone tam umiejętności, po czym wyjął tę, która pozwalała mu przybierać dowolne kształty, i wręczył ją najtłustszej gęsi. Gęś natychmiast skorzystała z okazji i przemieniła się w szarą wędrowną gęś, jedną z tych, co przelatują od jeziora do jeziora, ale pozostała na miejscu, aby po walce zwrócić aniołowi jego własność.

— Po trzecie — mówił dalej zaniepokojony kogut — nie ulega wątpliwości, iż jesteś wysokim oficerem w służbie Prastwórcy i czyniąc sprawiedliwość wykonujesz swoje obowiązki.

Gdybym stanął do walki z tobą, jak tego żądasz, popełniłbym poważne przestępstwo, gdyż wystąpiłbym przeciwko przedstawicielowi jedyne go władcy, jakiego uznają wszystkie dzielne kury i kurczęta.

— W porządku odparł anioł. — Przytoczyłeś poważny argument i zapewne sądzisz, że udało ci się wykić tanim kosztem, ale prawda przedstawia się w ten sposób, że swoją gadaniną sprowadziłeś na siebie śmierć. Do tej pory miałem zamiar jedynie przetrzącić ci skrzydła i wyrwać pióra z ogona.

Podniósłszy głowę wydał przedziwny, dziki okrzyk. Niemal natychmiast na niebie pojawił się orzeł i spadł niczym pocisk na podwórko. Walczyli wszędzie — i koło stodoły, i koło stawu dla kaczek, i na pastwisku, ponieważ orzeł był bardzo silny, a kogut szybki i odważny.

Kogut skrył się wreszcie pod starym wózkiem bez koła, opartym o ścianę stodoły; orzeł nie mógł zaatakować go tam z góry, a kogut liczył na to, że w głębokim cieniu zdoła odzyskać nieco sił przed decydującym starciem. Był już jednak tak bardzo poraniony, że nim orzeł, który krwawił wcale nie mniej od niego, dowlóknął się w to miejsce, kogut zatoczył się i padł na ziemię.

— Oto na waszych oczach dokonana się sprawiedliwość — przemówił anioł do zgromadzonych ptaków. — Wystrzegajcie się pychy i chępliwości, bo prędzej czy później będziecie musieli za nie zapłacić. Myśleliście, że wasz idol jest niezwyciężony, a tymczasem oto tam leży bez tchu w piersi, pokonany nie przez orła, ale przez własną, nadmierną dumę.

Wówczas kogut, którego wszyscy uważali za martwego, podniósł głowę i powiedział:

— Bez wątpienia jesteś bardzo mądry, aniele, lecz niewiele wiesz o naszych zwyczajach. Kogut jest pokonany dopiero wówczas, kiedy pokaże białe pióra ukryte pod ogonem. Zawiodła mnie siła, którą nabyłem w wielu walkach, a także biegając i latając, ale mój duch, którego otrzymałem z ręki twojego pana, nadal jest silny. Orle, nie oczekuję od ciebie litości. Chodź tu i zabij mnie, ale jeśli cenisz sobie swój honor, to nie chełp się, że mnie pokonałeś.

Orzeł spojrział na anioła, anioł zaś na orła.

— Prastwórca jest niewyobrażalnie daleko stąd — odparł anioł — a tym samym i ode mnie, choć potrafię latać tylekroć wyżej od ciebie. Dlatego też, tak jak wszyscy, mogę jedynie odgadywać jego pragnienia.

Potem raz jeszcze otworzył swą pierś i umieścił tam z powrotem to, co z niej na jakiś czas wyjął, po czym wraz z orłem odleciał w siną dal, a szara gęś przez pewien czas podążała za nimi.

I tak kończy się ta opowieść.

Melito przez cały czas leżał na wznak, wpatrując się w płótno namiotu. Odniosłem wrażenie, że jest tak bardzo osłabiony, iż nawet nie zdołałby się oprzeć na łokciu. Chorzy słuchali jego opowieści w takim samym milczeniu jak historii Halvarda.

— To bardzo piękna opowieść — przerwałem głęboką ciszę, jaka zaległa po ostatnich słowach Melita. - Trudno będzie mi podjąć decyzję, więc jeśli wy dwaj, a także Foila, nie macie nic przeciwko temu, chciałbym się trochę zastanowić.

— Nie podejmuj jeszcze decyzji! — odezwała się Foila, która siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. — Zawody jeszcze się nie skończyły.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę.

— Wyjaśnię wam to jutro — dodała. — Proszę cię tylko, Severianie, żebyś wstrzymał się z wydaniem werdyktu. Jestem natomiast bardzo ciekawa, co myślicie o tej historii.

— Powiem wam, co myślę — zadudnił Halvard głębokim basem. — Otóż myślę, że Melito chce osiągnąć to, o co mnie podejrzewał. Jest bardziej chory i słabszy ode mnie, więc usiłuje zdobyć współczucie kobiety. Muszę przyznać, że ten mały kogut sprytnie zabrał się do rzeczy.

— To najgorsza historia, jaką znam.

Głos Melita był jeszcze cichszy niż wówczas, kiedy mężczyzna relacjonował przebieg walki ptaków.

— Najgorsza? — powtórzyłem. Wszyscy byliśmy zdumieni.

— Tak, najgorsza. Głupia opowiastka, jedna z tych, jakimi zabawiamy nasze dzieci, które nie widziały jeszcze nic oprócz gospodarstwa, zwierząt i skrawka nieba nad głową.

Wydawało mi się, że łatwo to zauważycie.

— Czyżbyś nie chciał zwyciężyć? — zapytał Halvard.

— Oczywiście, że chcę. Nie kochasz Foili tak mocno, jak ja ją kocham. Chętnie oddałbym życie, aby ją zdobyć, ale zarazem prędzej dałbym się zabić, niż odważyłbym się ją rozczarować. Jeżeli historia, jaką wam opowiedziałem, pozwoli mi zwyciężyć, wówczas nigdy jej nie zawiodę, przynajmniej moimi opowieściami. Znam tysiące lepszych od tej.

Halvard wstał, podszedł do mojego łóżka i usiadł na jego krawędzi tak jak poprzedniego dnia, a ja opuściłem stopy na ziemię i usiadłem obok niego.

— To, co mówi Melito, jest bardzo mądre — powiedział do mnie. — Wszystko, co on mówi, jest mądre. Ty jednak musisz ocenić te opowieści, które usłyszałeś, nie te, które znamy, ale ich nie zaprezentowaliśmy. Ja także znam wiele różnych historii. Nasze zimowe wieczory są najdłuższe w całej Wspólnocie.

Odparłem, że zgodnie z życzeniem Foili, będącej pomysłodawczynią zawodów i zarazem główną nagrodą, na razie muszę wstrzymać się z podjęciem decyzji.

— Wszyscy, którzy mówią zgodnie ze Słuszną Myślą, mówią dobrze — odezwał się Ascianin. — Na czym więc miałyby polegać przewaga jednych uczniów nad drugimi? Na sposobie mówienia. Inteligentni uczniowie mówią inteligentnie. Słuchacz może się o tym przekonać oceniając ich intonację, a dzięki pięknej mowie inteligentnych uczniów Słuszną Myślę przenosi się niczym ogień z człowieka na człowieka.

Chyba nikt z nas nie przypuszczał, że on także słuchał opowieści, więc jego słowa stanowiły dla nas spore zaskoczenie.

— On chyba chce powiedzieć, że nie powinieneś oceniać treści tych historii, tylko sposób, w jaki zostały opowiedziane — zauważyła Foila. — Nie jestem pewna, czy się z nim zgadzam, choć przyznaję, że coś w tym może być...

— Ja się nie zgadzam! — zagrzemiał Halvard. — Krasomówcze sztuczki szybko nużą słuchaczy.

Im prościej się mówi, tym lepiej. Inni przyłączyli się do sporu, który ciągnął się do późnej nocy.

Rozdział X

Ava

Kiedy byłem chory, nie przyglądałem się zbyt uważnie ludziom, którzy przynosili nam posiłki, choć teraz wystarczy, abym się skoncentrował, a bez trudu mogę ich sobie przypomnieć, podobnie jak wszystko i wszystkich. Czasem jedzenie podawała jedna z Peleryn, czasem ubrane na brązowo postulantki, a niekiedy niewolnicy o ogolonych na łyso głowach. Wieczorem tego dnia, kiedy Melito opowiedział swoją historię, kolację przyniosła postulantka, której nigdy do tej pory nie widziałem: bardzo szczupła dziewczyna o szarych oczach. Wstałem z łóżka i pomogłem jej roznosić tace.

Kiedy uporaliśmy się z tym zadaniem, podziękowała mi, a następnie powiedziała:

— Nie zostaniesz tu już długo.

Odparłem, iż muszę jeszcze coś załatwić, a poza tym i tak nie mam dokąd pójść.

— Masz swój legion, a jeżeli okaże się, że został rozbity, otrzymasz przydział do nowego.

— Nie jestem żołnierzem. Przybyłem na północ z myślą o tym, aby się zaciągnąć do armii, ale zachorowałem, zanim nadarzyła się sposobność.

— Mogłeś poczekać w swojej rodzinnej osadzie. Podobno oddziały rekrutacyjne co najmniej dwa razy do roku odwiedzają wszystkie wsie i miasteczka.

— Niestety, moim rodzinnym miastem jest Nessus. — Dziewczyna uśmiechnęła się. —

Opuściłem je już dosyć dawno temu, a nie miałem najmniejszej ochoty siedzieć przez pół roku w jakiejś dziurze i czekać, aż ktoś mnie tam znajdzie. Czy ty także pochodzisz z Nessus?

— Nie stoisz jeszcze zbyt pewnie na nogach.

— Wcale nie, czuję się już zupełnie dobrze.

Dotknęła mego ramienia nieśmiałym gestem, który nie wiedzieć czemu przywiódł mi na myśl oswojone jelenie przechadzające się po ogrodzie Autarchy.

— A jednak się chwiejesz. Co prawda opuściła cię gorączka, ale odzwyczaiłeś się od chodzenia. Byłoby dobrze, gdybyś zdawał sobie z tego sprawę — przecież przez kilka dni w ogóle nie wstawałeś z łóżka. Lepiej już się połóż,

— Jeśli to zrobię, znowu będę skazany na rozmowę z ludźmi, z którymi gawędziłem przez cały dzień. Człowiek po mojej prawej stronie jest asciańskim więźniem, a ten po lewej pochodzi z wioski, o której ani ty, ani ja nigdy nie słyszeliśmy.

— W porządku: jeżeli się położysz, usiądę przy tobie i porozmawiamy przez jakiś czas.

I tak aż do capstrzyku nie mam nic do roboty. Z której części Nessus pochodzisz?

Trzymając mnie pod ramię ruszyła w kierunku mego łóżka, a ja powiedziałem jej, że nie chcę mówić, tylko słuchać, po czym zapytałem, jakie miasto lub osadę ona nazywa swoim domem.

— Kiedy należysz do Peleryn, twój dom jest tam, gdzie akurat zostaną rozstawione namioty. Członkinie zakonu najpierw stają się twoją rodziną i przyjaciółkami, potem zaś także siostrami. Jednak zanim tu przybyłam, mieszkałam w północno-zachodniej części miasta, skąd bez trudu można dostrzec Mur.

— W pobliżu Okrutnego Pola?

— Tak, nawet bardzo blisko. Znasz to miejsce?

□

Walczyłem tam kiedyś.

Uniosła brwi.

— Naprawdę? Często chodziliśmy tam obserwować pojedynki, chociaż nie wolno nam było tego robić. Czy zwyciężyłeś?

Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiałem, więc odpowiedziałem dopiero po namyśle:

— Nie. Zostałem pokonany.

— Ale przeżyłeś. Chyba lepiej jest przegrać i pozostać przy życiu niż zabić człowieka.

Rozchyliłem koszulę i pokazałem jej bliznę, jaką pozostawił na mojej piersi kwiat zemsty Agilusa.

— Miałeś wiele szczęścia. Tutaj często przynoszą żołnierzy z podobnymi ranami, ale bardzo rzadko udaje nam się uratować któregoś z nich. — Dotknęła ostrożnie szramy.

Dziewczyna miała tak słodką twarz, jakiej nie widziałem jeszcze u żadnej kobiety. Przez chwile gładziła mnie delikatnie po piersi, a potem szybko cofnęła rękę. — Rana chyba nie była zbyt głęboka?

— Rzeczywiście.

— Kiedyś widziałam pojedynek między oficerem a przebranym arystokratą. Za broń służyły im zatrute rośliny, zapewne dlatego, że gdyby walczyli na miecze, szansę nie byłyby równe. Arystokrata zginął, a ja przeszłam w inne miejsce, ale potem powstało wielkie zamieszanie, ponieważ oficer wpadł w szal. Przebiegł obok mnie, uderzając na oślep swoją rośliną, lecz zaraz potem został powalony na ziemię. To był z pewnością najbardziej podniecający pojedynek, jaki kiedykolwiek oglądałam.

— Czy walczyli mężnie?

— Nie bardzo. Najpierw długo ustalali zasady — wiesz, tak jak zwykle robią ci, którym nie śpieszy się do walki.

— “To dla mnie wielka radość, że uznałeś mnie za godnego siebie przeciwnika, gdyż wiem, iż żaden ptak nigdy nie dostąpił tego zaszczytu. Niestety, z ogromnym żalem muszę odrzucić wyzwanie, a to z trzech powodów”. Znasz tę historię?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Szkoda, bo jest bardzo zajmująca. Kiedyś ci ją opowiem. Twoja rodzina musiała być bardzo zamożna, jeżeli mieszkaliście tak blisko Okrutnego Pola, Czyżbyś była szlachcianką?

— Prawie wszystkie z nas są szlachciankami lub arystokratkami. Obawiam się, że nasz zakon należy do najbardziej elitarnych. Czasem przyjmuje się także córki optymatów, ale obecnie jesteśmy zaledwie trzy. Podobno niektórzy optymaci uważają, iż wystarczy złożyć hojny dar, aby zapewnić dziewczynie miejsce w zakonie, ale tak wcale nie jest. Najpierw trzeba bardzo długo pomagać na wiele różnych sposobów, a pieniądze wcale nie odgrywają najważniejszej roli.

Świat wcale nie jest aż tak bardzo skorumpowany, jak się powszechnie myśli.

— A czy uważasz, że słusznie stawiacie takie przeszkody tym, które pragną wstąpić w wasze szeregi? Przecież służycie Łagodzicielowi, a on nie pytał tych, którym przywracał życie, czy są szlachcicami czy też arystokratami.

Uśmiechnęła się ponownie.

— Ten problem był wielokrotnie rozważany. Doszliśmy jednak do wniosku, że istnieje wiele zakonów dostępnych nie tylko dla optymatów, ale i dla przedstawicieli niższych warstw społeczeństwa, my natomiast, zachowując naszą odrębność, zyskujemy nie tylko znaczne Środki finansowe, ale także spore wpływy. Gdybyśmy opiekowały się jedynie zamożnymi ludźmi, bez wahania przyznałabym ci rację. Tak jednak nie jest — ba, pomagamy nawet zwierzętom, kiedy tylko możemy. Conexa Epicharis mawiała, iż nie zajmujemy się jedynie owadami, ale potem dowiedziała się, iż jedna z naszych postulantek starała się złożyć złamane skrzydło motyla.

— Nie przeszkadza wam, że ci wszyscy żołnierze robili wszystko, aby zabić jak najwięcej Ascian?

Jej odpowiedź stanowiła dla mnie ogromne zaskoczenie.

— Ascianie to nie ludzie.

— Powiedziałem ci wcześniej, że pacjent zajmujący łóżko obok mojego jest Ascianinem. Z tego, co widzę, otaczacie go równie troskliwą opieką jak każdego z nas.

— A ja z kolei powiedziałam ci, że opiekujemy się nawet zwierzętami. Nie wiesz o tym, że w pewnych okolicznościach ludzie mogą utracić swoje człowieczeństwo?

— Zapewne masz na myśli zoantropów. Spotkałem kilku.

— Oni stanowią najlepszy przykład, gdyż pozbyli się go z własnej woli. Są jednak także inni, którzy stracili je nieświadomie, czasem nawet wówczas, kiedy wydawało im się, że je umacniają albo wspinają się na poziom znacznie wyższy od tego, na jakim się urodzili. Jeszcze innym, w tym również Ascianom, odebrano człowieczeństwo wbrew ich woli.

Pomyślałem o Baldandersie, spadającym ze szczytu wieży ku powierzchni jeziora Diuturna.

— Te... istoty z pewnością zasługują na nasze współczucie.

— Na współczucie zasługują zwierzęta i dlatego pomagamy im, kiedy tylko nadarza się sposobność, lecz jeśli trzeba któreś z nich zabić, nikt przy zdrowych zmysłach nie nazywa tego morderstwem.

Usiadłem raptownie i chwyciłem ją mocno za ramię.

— Czy myślisz, że nawet jeśli jakaś relikwia — na przykład ręka albo palec Łagodziciela — pomagała ludziom, to mogła okazać się bezsilna wobec chorób tych, którzy ludźmi nie byli?

— Masz na myśli Pazur... Proszę cię, zamknij usta. Chce mi się śmiać, kiedy widzę, jak je rozdziawiasz, a nam nie wolno okazywać wesołości wobec osób nie należących do zakonu.

— A więc wiesz!

— Powiedziała mi siostra, z którą rozmawiałeś. Uważa cię za bardzo miłego, łagodnego szaleńca, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Wiem od niej, że masz Pazur i że czasem za jego pomocą udaje ci się leczyć chorych, a nawet wskrzeszać zmarłych.

— Czy ty także myślisz, że jestem szalony? Skinęła głową, wciąż się uśmiechając.

— Dlaczego? Zapomnij na chwilę o tym, co powiedziała ci tamta Peleryna. Czy zachowuję się albo mówię jak szaleniec?

— Może raczej jak ktoś, na kogo rzucono urok. Nie chodzi wcale o to, co mówisz, a przynajmniej nie tylko o to. Ty po prostu nie jesteś jednym człowiekiem.

Umilkła, jakby spodziewając się, że zaprzeczę, ale ja także milczałem.

— Widać to w twojej twarzy i sposobie, w jaki się poruszasz... Czy wiesz, że nawet nie znam twego imienia?

— Severian.

— Ja jestem Ava. Severian to jedno z tych imion nadawanych zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom, prawda? Severian i Severa. Czy masz siostrę?

□

Nie wiem. Nawet jeśli tak, to jest wiedźmą.

Ava puściła to mimo uszu.

— A ta druga... Czy ona ma jakieś imię?

— Więc wiesz, że jest kobietą?

— Aha. Roznosząc żywność odniosłam przez chwilę wrażenie, że pomaga mi jedna z sióstr, ale kiedy przyjrzałam się bliżej, okazało się, że to ty. Początkowo wydawało mi się, iż pomyliłam się, obserwując cię kątem oka, ale teraz, kiedy tu siedzimy i rozmawiamy, dostrzegam ją czasem nawet wtedy, kiedy patrzę prosto na ciebie. Chwilami znikasz, a wówczas twoje miejsce zajmuje wysoka, blada kobieta o twojej twarzy. Proszę, tylko nie mów mi, że to halucynacje wywołane zbyt ścisłym postem! Wszyscy mi to powtarzają, ale to nieprawda, a już na pewno nie w tym przypadku.

— Nazywa się Thecla. Pamiętasz swoją niedawną uwagę o utracie człowieczeństwa?

Czyżbyś chciała w ten sposób powiedzieć mi coś o niej?

Ava potrząsnęła głową.

— Nie wydaje mi się. Z pewnością chciałam natomiast o coś cię zapytać: był tutaj pacjent bardzo podobny do ciebie, podobno nawet razem przyszliście...

— Miles. Mylisz się, mój przypadek jest całkowicie odmienny. Nic ci nie powiem o tym człowieku, gdyż tylko on sam może to uczynić, ale za to opowiem ci o sobie. Słyszałaś o pożeraczach ciał?

— Z pewnością nie należysz do nich. Kilka tygodni temu mieliśmy tutaj trzech i wiem, jak wyglądają.

— Czyżby różnica była aż tak wyraźna?

— Oni... — zawahała się, szukając właściwych słów. — Oni są zupełnie nieobliczalni.

Mówią sami do siebie, choć to akurat robi wielu ludzi, i widzą rzeczy, których nie ma. Są samotni i samolubni, więc ty nie możesz być jednym z nich.

— Właśnie, że jestem.

Nie wdając się w szczegóły opowiedziałem jej o uczcie u Vodalusa.

— Zmusili cię — stwierdziła, kiedy skończyłem. — Gdybyś okazał im wtedy swoje prawdziwe uczucia, z pewnością by cię zabili.

— To bez znaczenia. Piłem wyciąg z gruczołów alzabo i jadłem ciało Thecli.

Początkowo ogarnęło mnie obrzydzenie, choć tak bardzo ją kochałem. Znalazła się we mnie, dzieląc się ze mną swoim życiem, mimo że była już martwa. Czulem, jak gnije w moim wnętrzu.

Jednak pierwszej nocy po uczcie widziałem ją w cudownym śnie, chyba najpiękniejszym, jaki

kiedykolwiek mi się przyśnił — dopiero potem zaczęły mnie nawiedzać okropne koszmary na jawie, o których mówisz, a wraz z nimi nagłe zapatrzenia, mówienie do siebie... Od dość dawna wydaje mi się, że ona znowu żyje, tyle tylko, że tu, w środku.

— Wątpię, żeby inni byli podobni do ciebie.

— Ja także w to wątpię, opierając się na tym, co o nich słyszałem. Wśród wielu rzeczy, których nie rozumiem, ta, o której ci powiedziałem, zajmuje jedno z najważniejszych miejsc.

Ava umilkła na dwa lub trzy oddechy, a potem otworzyła szeroko oczy.

— A Pazur, w którego moc tak bardzo wierzysz? Miałeś go wtedy przy sobie?

— Owszem, lecz nie wiedziałem, czy zadziała, a jeśli tak, to w jaki sposób. Co prawda ożywił pewną kobietę imieniem Dorcas, ale wówczas jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Gdyby było inaczej, może udałoby mi się uratować Theclę, sprowadzić ją z powrotem...

□

Więc miałeś go, tak?

Skinąłem głową.

— Naprawdę nie rozumiesz? On jednak ją przywołał! Sam powiedziałeś, że czasem działał bez twojej wiedzy. Tym razem również tak się zachował, sprowadzając Thecle do twego wnętrza.

— Pozbawioną ciała.

— Jesteś materialistą, jak wszyscy, którym brakuje wykształcenia, ale twój materializm jest płytki i powierzchowny. W ostatecznym rozrachunku liczą się tylko duch, marzenie, myśl, miłość i czyny.

Tak bardzo oszołomiły mnie nowe idee pchające się ku mnie ze wszystkich stron, że ponownie umilkłem na jakiś czas, by pograć się głęboko w rozważaniach. Kiedy wreszcie otrząsnąłem się z zamyślenia, ze zdziwieniem stwierdziłem, że Ava jeszcze sobie nie poszła, więc czym prędzej jej za to podziękowałem.

— Miło było tak siedzieć tu przy tobie, a gdyby pojawiła się któraś z sióstr i zapytała, co robię, powiedziałabym jej, że czekam na wypadek, gdyby któryś z chorych potrzebował pomocy.

— Jeszcze nie wiem, co myśleć o tym, co powiedziałaś o Thecli. Będę musiał porządnie się zastanowić — kto wie, czy nie zajmie mi to nawet kilku dni. Od wielu ludzi słyszałem, że nie jestem zbyt bystry.

Uśmiechnęła się. (W rzeczywistości wspomniałem o mojej głupocie częściowo po to,

żeby rozweselić Avę).

— Ja tak nie uważam. Moim zdaniem po prostu jesteście bardzo dokładny.

— Tak czy inaczej, mam jeszcze jedno pytanie. Często zdarza się, że przed zaśnięciem albo w nocy, kiedy się obudzę, próbuję ułożyć w jakąś sensowną całość moje sukcesy i porażki.

Myślę o wypadkach, kiedy udało mi się ocalić kogoś za pomocą Pazura, a także o tych, kiedy starałem się ze wszystkich sił, lecz bez rezultatu. Wydaje mi się, że w grę powinno wchodzić coś więcej niż czysty przypadek, choć jeszcze nie zdołałem odkryć żadnego schematu.

— Myślisz, że teraz ci się to uda?

— Jego częścią może być to, co powiedziałaś o ludziach tracących swoje człowieczeństwo. Pewna kobieta... Chyba należała właśnie do nich, choć była bardzo piękna. To samo dotyczy mężczyzny, mojego przyjaciela, któremu zdołałem pomóc jedynie w połowie. Jeśli ktoś może utracić człowieczeństwo, to zapewne coś, co nigdy go nie miało, może je zyskać. Ktoś coś gubi, ktoś inny to znajduje — z nim chyba tak właśnie było. Poza tym, działanie było znacznie słabsze, jeśli śmierć nastąpiła w wyniku zastosowania przemocy.

— Wcale mnie to nie dziwi -- powiedziała cicho Ava.

— Pazur zaleczył ranę małpoludowi, któremu obciąłem ramię, ale zapewne tylko dlatego, że ja sam ją zadałem. Pomógł też Jonasowi, ale ja... to znaczy Thecla... posłużyła się elektrycznymi biczami.

— Zdolność gojenia się ran chroni nas przed wrogim działaniem Natury, ale czy istnieje jakiś powód, dla którego Prastwórca miałby chronić nas przed nami samymi? Akurat tym możemy zająć się na własną rękę. Przypuszczam, że on pomaga nam tylko wówczas, jeśli żałujemy tego, co uczyniliśmy.

Skinąłem głową, wciąż myśląc intensywnie.

— Teraz idę do kaplicy. Wydobrzałeś już na tyle, że krótki spacer nie powinien sprawić ci trudności. Pójdiesz ze mną?

Kiedy leżałem pod obszernym płóciennym dachem, wydawało mi się, że mieści się pod nim cały lazaret. Teraz przekonałem się, choć była noc, że szpital tworzy wiele namiotów i pawilonów. W większości, tak samo jak w naszym namiocie, zrolowano ściany, aby wpuścić do środka świeże powietrze. Nie weszliśmy do żadnej z płóciennych budowli, lecz szliśmy wijącymi się między nimi ścieżkami, by wreszcie dotrzeć do jedynej, której ściany sięgały od dachu do ziemi. Ten namiot nie był wykonany z płótna, lecz z jedwabiu, a ponieważ w środku płonęły pochodnie, zdawał się jarzyć szkarłatną poświatą.

— Kiedyś miałyśmy ogromną katedrę — powiedziała Ava. — Mieściło się w niej dziesięć tysięcy ludzi, a mimo to po złożeniu dawało się załadować ją na jeden wóz. Matka przełożona kazała ją spalić na krótko przed moim wstąpieniem do zakonu.

— Wiem — odparłem. — Widziałem to.

Wewnątrz jedwabnego namiotu uklękniliśmy przed prostym ołtarzem ozdobionym naręczami kwiatów. Ava modliła się, ja zaś, ponieważ nie znałem żadnej modlitwy, rozmawiałem bez słów z kimś, kto czasem zdaje się przebywać w moim wnętrzu, a czasem, jak powiedział anioł, niknie w niewyobrażalnej oddali. **Rozdział XI**

Opowieść lojalnego

wobec Grupy Siedemnastu:

O prawym człowieku

Następnego ranka po śniadaniu, kiedy nikt już nie spał, zapytałem Foilę, czy nadeszła już pora, bym rozstrzygnął spór między Melitem a Halvardem. Potrząsnęła głową, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się Ascianin:

— Każdy musi na swój sposób służyć ludowi. Wół ciągnie pług, pies strzeże stada, a kot chwytą myszy w spichlerzu. Tak samo mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci mogą służyć ludowi.

Na twarzy Foili znowu pojawił się olśniewający uśmiech.

— Proszę bardzo! Nasz przyjaciel także chce nam opowiedzieć jakąś historię.

— Co takiego? — Przez chwilę wydawało mi się, że Melito usiadzie w łożku. —

Pozwolisz temu... jednemu z tych...

Wystarczył jeden zniecierpliwiony gest, żeby zamilkł.

— Owszem. — Kąciki jej ust drżały swawolnie. — Nawet na pewno. Ma się rozumieć, będę wam służyła jako tłumaczka. Nie masz nic przeciwko temu, Severianie?

— Skoro takie jest twoje życzenie...

— Ale tego nie było w umowie! — zagrzniał Halvard. — Jestem pewien, bo pamiętam każde słowo.

— Ja także — odparła Foila. — Jednak to, co chce zrobić, z pewnością jej nie narusza, a nawet powiedziałabym, że jest zgodne z jej duchem. Z pewnością Ascianin także starałby się o moją rękę, gdyby coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. Nie zauważyliście, w jaki sposób na mnie patrzy?

— Zjednoczeni, kobiety i mężczyźni, są silniejsi — wyrecytował więzień. — Jednak dzielna kobieta pragnie dzieci, nie mężów.

— Co znaczy, że pragnąłby wziąć mnie za żonę, ale wie z góry, że jego zabiegi nie zakończyłyby się powodzeniem. Myli się. — Dziewczyna spojrzała najpierw na Melita, a potem na Halvarda. — Czyżbyście obaj aż tak bardzo bali się jego udziału w konkursie? Jeśli tak, to zapewne na polu bitwy uciekacie przez Ascianami jak zające.

Żaden z nich nie odpowiedział, więc po chwili więzień rozpoczął swoją opowieść:

— W dawnych czasach wszyscy byli lojalni wobec sprawy ludu. a wola Grupy Siedemnastu była wolą wszystkich.

— Dawno, dawno temu... — przetłumaczyła Foila.

— Niech nikt nie będzie gnuśny. Jeżeli ktoś jest gnuśny, niech połączy się z innymi, takimi samymi jak on, i razem niech wyruszą na poszukiwanie ziemi leżącej odłogiem, lepiej bowiem przejść tysiąc mil niż zasiąść w Domu Głodu.

— ...daleko stąd była farma, na której pracowali wspólnie ludzie nie połączeni żadnym pokrewieństwem.

— Jeden jest silny, inny piękny, a jeszcze inny potrafi wyrabiać użyteczne przedmioty.

Który jest najlepszy? Ten, co służy ludowi.

— Na tej farmie mieszkał pewien dobry człowiek.

— Niech pracę rozdziela ten, co wie, jak to się robi. Niech żywność dzieli ten, co robi to sprawiedliwie. Niech świnie przybierają na wadze, a szczury niech zdychają z głodu.

— Inni okradali go z tego, co mu się należało.

— Werdykt wydaje ława sędziowska, ale nikt nie powinien otrzymać więcej niż sto razy.

— W końcu poskarżył się, a wówczas go pobili.

— Co stanowi pożywienie dla rąk? Krew. W jaki sposób krew dopływa do nich?

Żyłami. Jeśli żyły będą zatkane, ręce umrą.

— Opuścił więc farmę i wyruszył w drogę.

— Sprawiedliwe wyroki wydaje się tam, gdzie zasiada Grupa Siedemnastu.

— Udał się do stolicy, by złożyć skargę na tych, którzy go tak potraktowali.

— Niech dla tych, co pracują w znoju, zawsze płynie czysta woda. Niech zawsze czeka na nich gorąca strawa i czysta pościel.

— Wrócił na farmę głodny i zmęczony po podróży.

— Nikt nie powinien otrzymać więcej niż sto razy.

— Znowu został pobity.

— Za każdą rzeczą można znaleźć inną rzecz: drzewo za ptakiem, kamień pod glebą, słońce za Urth. Za naszymi staraniami powinny być kolejne starania.

— Prawy człowiek jednak nic zrezygnował i ponownie wyruszył w drogę do stolicy.

Czy można wysłuchać wszystkich proszących? Nie, ponieważ krzyczą jeden przez drugiego. W

takim razie, kogo należy wysłuchać — czy tych, którzy krzyczą najgłośniej? Nie, ponieważ wszyscy krzyczą równie głośno. Wysłuchani zostaną ci, co krzyczą najdłużej, i dla nich będzie uczyniona sprawiedliwość.

— Po przybyciu do stolicy usiadł na progu domu, w którym obradowała Grupa Siedemnastu, i błagał każdego, kto tamtędy przechodził, aby zechciał go wysłuchać. Po długim czasie wpuszczono go do pałacu i ze współczuciem wysłuchano jego opowieści.

— Tak rzecze Grupa Siedemnastu: tym, którzy kradną, należy odebrać wszystko, co mają, gdyż nic z tego, co mają, nie stanowi ich własności.

— Kazali mu wrócić na farmę i w imieniu Grupy powiedzieć złym ludziom, że muszą odejść.

— Obywatel zachowuje się wobec Grupy Siedemnastu tak samo jak posłuszne dziecko wobec matki.

— Zrobił, co mu kazano.

— Czym są niemądre słowa? Wiatrem, który wlatuje przez uszy a wylatuje przez usta.

Nikt nie powinien otrzymać więcej niż sto razy.

— Oni jednak wyśmiali go i pobili.

— Za naszymi staraniami powinny być kolejne starania.

— Prawy człowiek nie poddał się, tylko raz jeszcze wrócił do stolicy.

— Obywatel daje ludowi to, co się ludowi należy. Co należy się ludowi? Wszystko.

— Był bardzo zmęczony. Ubranie wisiało na nim w strzępach, a buty całkiem się podarły. Nie miał żywności ani niczego, co mógłby sprzedać.

— Lepiej być prawym niż dobrym, choć jedynie dobrzy sędziowie potrafią być prawi.

Wszyscy pozostali niech będą dobrzy.

□

Utrzymywał się z żebractwa.

*

W tym miejscu nie wytrzymałem i wpadłem Foili w słowo. Powiedziałem jej, że szczerze podziwiam łatwość, z jaką rozszyfrowuje znaczenie każdej sentencji i umiejscawia je w kontekście opowieści ale zupełnie nie pojmuję, w jaki sposób to robi. Skąd przykład wiedziała, że wypowiedź o prawości i dobru oznacza, że bohater został żebrakiem?

— Wyobraź sobie, że ktoś inny, na przykład Melito, w trakcie swojej opowieści nagle wyciągnął rękę w błagalnym geście. Chyba natychmiast zorientowałbyś się, co to oznacza?

Przyznałem jej rację.

— Tutaj jest dokładnie tak samo. Czasem znajdujemy ich żołnierzy, którzy zostali w tyle z powodu ran lub chorób, a kiedy zorientują się, że ich nie zabijemy, od razu zaczynają powtarzać ten tekst o dobru i prawości w swoim języku, ma się rozumieć. W Ascii to właśnie mówią wszyscy żebracy.

— Wysłuchani zostaną ci, co krzyczą najdłużej, i dla nich będzie uczyniona sprawiedliwość.

— Tym razem musiał bardzo długo czekać, aż wpuszczą go do pałacu, ale wreszcie pozwolili mu wejść i wysłuchali wszystkiego, co miał do powiedzenia.

— Ci, co nie służą ludowi, będą musieli służyć ludowi.

— Obiecali mu, że wsadzą złych ludzi do więzienia.

— Niech dla tych, co pracują w znoju, zawsze płynie czysta woda. Niech zawsze czeka na nich gorąca stawa i czysta pościel.

— Wrócił do domu.

— Nikt nie powinien otrzymać więcej niż sto razy.

— Znowu został pobity.

— Za naszymi staraniami powinny być kolejne starania.

— On jednak nie poddał się, tylko po raz kolejny wyruszył w drogę do stolicy.

— W piersi tych, co walczą za lud, bije tysiąc serc. W piersi tych, co walczą przeciwko niemu, nie bije żadne.

— Żli ludzie zaczęli się bać.

— Niech nikt nie sprzeciwia się decyzjom Grupy Siedemnastu.

— Pomyśleli sobie: “Tyle razy był już w pałacu, więc pewnie powiedział władcom, że nie zastosowaliśmy się do ich wcześniejszych rozkazów. Teraz wysła żołnierzy, którzy nas zabiją”.

— Kto opatrzy im rany na plecach?

— Żli ludzie uciekli.

— Gdzie są ci, co kiedyś odważyli się sprzeciwić decyzjom Grupy Siedemnastu?

— I nikt ich już nigdy nie widział.

— Niech dla tych, co pracują w znoju, zawsze płynie czysta woda. Niech zawsze czeka na nich gorąca strawa i czysta pościel. Będą śpiewać przy pracy, a ta zawsze będzie dla nich lekka, będą też śpiewać przy żniwach, a te zawsze będą obfite.

— Prawy człowiek wrócił do domu i żył długo i szczęśliwie.

Wszystkim ogromnie spodobała się opowieść więźnia, jego prostolinijność, a także swada i wdzięk, z jaką przełożyła ją Foila.

Nie mam pojęcia, czy ty, który kiedyś będziesz czytał moją relację, lubisz opowieści tego rodzaju czy nie. Jeżeli nie, to z pewnością przewracałeś kilka poprzednich stron nie poświęcając im więcej uwagi. Ja muszę przyznać, że wprost uwielbiam wszelkie historie. Często odnoszę wrażenie, iż spośród wszystkich dobrych rzeczy, jakie istnieją we wszechświecie, dziełem człowieka są tylko opowieści i muzyka, cała reszta zaś (to znaczy miłosierdzie, piękno, sen.

czysta woda i gorąca strawa, jak powiedziała by Ascianin) wyszła spod ręki Prastwórcy. Choć więc opowieści stanowią tylko bardzo drobny fragment planu wszechświata, to trudno jest nie kochać najbardziej tego, co własne — przynajmniej dla mnie.

Wydaje mi się, że właśnie z tej historii dowiedziałem się wielu ważnych rzeczy, mimo iż jest najkrótsza i najprostsza ze wszystkich, jakie przytoczyłem w tej księdze. Przede wszystkim uświadomiłem sobie, jak często posługujemy się wyświechtanymi banałami, uważając jednocześnie, iż wszystko, co mówimy, stanowi nowy i niepowtarzalny wytwór naszych umysłów. Ascianin posługiwał się wyłącznie wyuczonymi na pamięć sentencjami, z których każda stanowiła jednak dla nas zupełną nowość. Z kolei Foila mówiła tak, jak zazwyczaj mówią kobiety, i zapewne odpowiedziałbym przecząco na pytanie, czy ona także korzystała z arsenału gotowych wypowiedzi, choć jakże często mogłem domyślić się końca zdania usłyszawszy za ledwie jego początek.

Po drugie, przekonałem się, jak trudno jest zrezygnować z dążenia do osiągnięcia jak największej ekspresji. Nawet Ascianie, mówiący jedynie głosem swego pana, ulegali temu wewnętrznemu nakazowi, a po wysłuchaniu więźnia nie miałem najmniejszych wątpliwości, że potrafili wyrazić każde uczucie o dowolnej intensywności.

Wreszcie po trzecie, zyskałem potwierdzenie opinii, że każdą opowieść można rozumieć na wiele sposobów. Z pewnością trudno sobie wyobrazić historię prostszą od tej, jaką opowiedział Ascianin, ale co ona właściwie oznaczała? Czy miała stanowić pochwałę Grupy Siedemnastu, której nazwa siała strach wśród złoczyńców? A może miała ją potępić? Przecież jej członkowie wysłuchali skargi prawego człowieka, a mimo to nie okazali mu żadnego konkretnego wsparcia i nic nie świadczyło o tym, żeby mieli zamiar uczynić to w przyszłości.

Przed wszystkim jednak nie dowiedziałem się tego, na czym najbardziej mi zależało; dlaczego Foila zgodziła się na udział Ascianina w konkursie? Ze zwykłej przekory? Obserwując jej roześmiane oczy byłem skłonny w to uwierzyć. A może spodobał jej się? To wytłumaczenie było mniej prawdopodobne, choć także nie należało go wykluczać. Kto z nas nie spotkał kiedyś kobiety odczuwającej pociąg do zupełnie nieatrakcyjnych mężczyzn? Foila wielokrotnie stykała się z Ascianami, ten zaś z pewnością nie był zwykłym żołnierzem, skoro zadano sobie trud, by nauczyć go naszego języka. Czyżby miała nadzieję wydobyć z niego jakąś tajemnicę?

A co z nim samym? Melito i Halvard oskarżali się nawzajem o skrywanie prawdziwych intencji; czy on również tak uczynił? Jeśli tak, to z pewnością po to, by dać do zrozumienia Foili, a także nam wszystkim, że nigdy nie uzna się za pokonanego. **Rozdział XII Winnoc**

Tego wieczoru miałem jeszcze jednego gościa: był nim niewolnik o wygolonej głowie.

Usiadł na brzegu mego łóżka właśnie wtedy, kiedy podniosłem się na łokciu, aby porozmawiać z Ascianinem.

— Pamiętasz mnie, liktorze? — zapytał. — Nazywam się Winnoc.

Pokręciłem głową.

— To ja zajmowałem się tobą tej nocy, kiedy się tu zjawiałeś. Czekałem, aż odzyskasz siły, żeby z tobą porozmawiać. Przyszedłbym już wczoraj, lecz ty dyskutowałeś z jedną z kapłanek.

Zapytałem go, o czym chce mówić.

— Przed chwilą nazwałem cię liktorem, a ty nie zaprotestowałeś. Czyżbyś naprawdę nim był? Tamtej nocy miałeś na sobie jego strój.

— Owszem, byłem liktorem — odparłem. — Nie mam innego ubrania.

— Ale teraz już nie jesteś?

— Nie. Przybyłem na północ, aby zaciągnąć się do wojska.

— Aha — mruknął i na chwilę odwrócił spojrzenie.

— Z pewnością wielu czyni tak samo.

— Owszem, choć większość wstępuje do wojska na południu albo jest wcielana siłą.

Nieliczni docierają na północ, tak jak ty, ponieważ chcą dostać się do konkretnego oddziału, gdzie służy już ktoś z ich przyjaciół lub krewnych. Życie żołnierza...

Przerwał, a ja czekałem w milczeniu, aż dokończy.

— ...chyba nie przypomina życia niewolnika. Co prawda nigdy nie byłem żołnierzem, ale

rozmawiałem z wieloma z nich.

— Czyżby twoje życie było aż tak nędzne? Wydawało mi się, że Peleryny są dobrymi paniami. Bija cię?

Uśmiechnął się na to i pokazał mi plecy.

— Powiadasz, że byłeś liktorem. Co myślisz o moich bliznach?

W przyćmionym świetle ledwo mogłem je dostrzec, więc wyciągnąłem rękę i przesunąłem po nich palcem.

— Tylko tyle, że są bardzo stare i zostały po ranach zadanych biczem,

— Otrzymałem te kary, kiedy nic miałem jeszcze dwudziestu lat a teraz zbliżam się do pięćdziesiątki. Bił mnie człowiek w czarnym stroju, takim samym jak twój. Czy długo byłeś liktorem?

— Niedługo.

— A więc nie znasz się zbyt dobrze na tej robocie?

— Wystarczająco, żeby ją wykonywać.

— I to wszystko? Tamten człowiek powiedział mi, że należy do bractwa katów.

Sądziłem, że może o nich słyszałeś.

— Słyszałem.

— Czy istnieją naprawdę? Niektórzy twierdzą, że wymarli dawno temu, choć len, który mnie biczował, mówił co innego.

— O ile wiem, wciąż jeszcze prowadzą działalność — powiedziałem. — Pamiętasz może imię tego, który wykonywał wyrok?

— Przedstawił się jako czeladnik Palaemon... Widzę, że go znasz?

— Owszem. Przez jakiś czas był moim nauczycielem. Teraz jest już bardzo stary.

— A więc wciąż żyje? Czy jeszcze kiedyś go zobaczysz? — Nie przypuszczam.

— Ja bardzo chciałbym go spotkać i kto wie, może mi się uda. Bądź co bądź, wszystko spoczywa w rękach Prastwórcy. Wy, młodzi, nie zastanawiacie się nad tymi sprawami — wiem, bo ja też taki byłem. Czy zdajesz sobie sprawę, że on nadaje kształt każdemu naszemu czynowi?

— Być może.

— Wierz mi, tak jest naprawdę. Żyję na świecie znacznie dłużej od ciebie. Naturalnie, nie można

także wykluczyć, iż już nigdy nie spotkam czeladnika Palaemona i że ty zjawiłeś się tutaj, aby być moim posłańcem.

Spodziewałem się, że od razu przekaże mi wiadomość, lecz on niespodziewanie umilkł.

Pacjenci, którzy jeszcze niedawno w skupieniu słuchali opowieści Ascianina, rozmawiali teraz między sobą. ale ja i tak usłyszałem ciche brzęknięcie, z jakim przesunął się jeden z brudnych talerzy, ułożonych w stos przez starego niewolnika.

— Co wiesz o niewolnictwie? — zapytał wreszcie. — To znaczy o tym, w jaki sposób mężczyzna lub kobieta może zgodnie z prawem stać się niewolnikiem?

— Niewiele — przyznałem. — Jednego z moich przyjaciół (miałem na myśli zielonego człowieka) nazywano niewolnikiem, ale on był tylko pechowym cudzoziemcem, który został

uwięziony przez ludzi pozbawionych skrupułów. Zdaje się, że takie postępowanie jest całkowicie nielegalne.

Skinął głową.

— Czy miał ciemną skórę?

— Chyba można tak powiedzieć.

— Podobno w dawnych czasach niewolnictwo było ściśle związane z kolorem skóry: im kto ciemniejszy, tym łatwiej było uczynić go niewolnikiem. Wiem, że teraz trudno w to uwierzyć, ale w naszym zakonie była kiedyś pewna kasztelanka doskonale znająca historię, i ona mi o tym opowiedziała, a ja jej wierzę, bo nigdy nie splamiła się kłamstwem.

— Bez wątplenia wzięło się to stąd, iż niewolnicy często muszą pracować w pełnym słońcu — zauważyłem. — Poza tym, wiele zwyczajów z przeszłości straciło dla nas wszelki sens.

Moja uwaga chyba go trochę rozgniewała.

— Wierz mi, młody człowieku: żyłem w dawnych czasach i żyję teraz, i wiem lepiej od ciebie, co jest dobre, a co nie. — Tak samo mawiał mistrz Palaemon.

Zgodnie z moimi intencjami ta krótka uwaga skierowała jego myśli z powrotem na główny temat rozmowy.

— Wolny człowiek może stać się niewolnikiem jedynie na trzy sposoby — powiedział.

— W przypadku kobiet rzecz ma się nieco inaczej, gdyż tam wchodzi jeszcze w grę małżeństwo i różne inne sprawy.

Jeżeli ktoś przekroczy jako niewolnik granice Wspólnoty, pozostaje nadal niewolnikiem, a jego pan może go sprzedać lub ofiarować wedle własnego uznania. To pierwsza możliwość.

Jeńcy wojenni, tacy jak ten oto Ascianin, stają się niewolnikami Autarchy, Pana Panów i Niewolnika Niewolników. Autarcha także może ich sprzedać, jeśli ma takie życzenie, i nawet często to czyni, a ponieważ Ascianie nie nadają się do naprawdę ciężkiej pracy, często spotyka się ich na łodziach kursujących po górnych odcinkach rzek, gdzie są przykuci do wiosła. To druga możliwość.

Trzeci sposób zostania niewolnikiem polega na tym, żeby sprzedać się komuś na służbę, jako że wolny człowiek jest panem własnego ciała, a więc po trosze jakby niewolnikiem siebie samego.

— Kaci bardzo rzadko wykonują kary chłosty na niewolnikach — zauważyłem. — Nie ma takiej potrzeby, gdyż zwykle wyręczają ich właściciele.

— Wtedy jeszcze nie byłem niewolnikiem. Między innymi właśnie o to chcę zapytać czeladnika Palaemona. Byłem zwykłym młodym człowiekiem, którego przyłapano na kradzieży.

Rankiem tego dnia, kiedy miałem odebrać chłostę, czeladnik Palaemon przyszedł do mnie, aby porozmawiać. Uważałem, że to bardzo miło z jego strony, choć właśnie wtedy zdradził mi, iż należy do katowskiego bractwa.

— Zawsze staramy się przygotować klienta, jeśli istnieje taka możliwość — wtrąciłem.

— Poradził mi, żebym nie próbował powstrzymywać się od krzyku, bo podobno ból jest mniejszy, jeśli w chwili uderzenia krzyknie się głośno. Obiecał mi też, że nie zada ani jednego ciosu ponad to, co zalecił sędzia, więc mogę liczyć razy, jeśli zechcę, dzięki czemu będę wiedział, kiedy chłosta zacznie zbliżać się ku końcowi. Powiedział także, iż nie będzie bił

mocniej niż trzeba, aby przeciąć skórę, i że nie połamię mi kości.

Skinałem głowę.

— Zapytałem go wówczas, czy wyświadczy mi pewną przysługę, a on powiedział, że owszem, jeśli tylko będzie mógł. Poprosiłem więc, aby przyszedł do mnie już po wszystkim —

obiecał, że spróbuje to zrobić, jak tylko dojdę do siebie. Zaraz potem przyszedł mnich, aby odczytać modlitwę.

Przywiązali mnie do słupa z rękami podniesionymi wysoko nad głowę, a jeszcze wyżej przybito tabliczkę, na której napisano, jakie popełniłem przestępstwo... Przypuszczam, że wielokrotnie uczestniczyłeś w takich spektaklach?

— Dość często — potwierdziłem.

— Wątpię, żeby potraktowano mnie w jakiś szczególny sposób. Wciąż jeszcze noszę blizny na grzbiecie, ale są już mało wyraźne, jak sam zauważyłeś. Widziałem wielu ze znacznie gorszymi. Zgodnie ze zwyczajem strażnicy zawlekli mnie z powrotem do celi, choć przypuszczam, że dałbym rade wrócić o własnych siłach. Ból z pewnością był mniejszy, niż gdybym utracił rękę albo nogę; tutaj pomagałem już chirurgom przy wielu amputacjach.

— Czy byłeś wtedy szczupły? — zapytałem.

— Nawet bardzo. Bez trudu mógłbyś policzyć mi wszystkie żebra.

— Powinieneś się z tego cieszyć. Rzemienie tną głęboko ciało grubasów, którzy krwawią wtedy jak świnie. Ludzie powiadają, że kupcy nie otrzymują wystarczającej kary za oszukiwanie na wadze i inne machlojki, ale ci, co tak twierdzą, nawet się nie domyślają, jak bardzo cierpi otyły człowiek podczas biczowania.

— Zgadza się — przyznał mi rację Winnoc. — Nazajutrz czułem się już znacznie lepiej, a czeladnik Palaemon dotrzymał obietnicy i przyszedł mnie odwiedzić. Opowiedziałem mu o sobie, po czym poprosiłem, żeby zrewanżował mi się tym samym. Zapewne dziwi cię, że chciałem rozmawiać z człowiekiem, który zadał mi ból?

— Wcale nie. Wiele razy słyszałem o podobnych sytuacjach.

— Powiedział mi, że popełnił jakieś wykroczenie przeciwko prawu obowiązującemu w jego bractwie. Nie chciał wyznać, na czym ono polegało, ale w każdym razie został skazany na tymczasowe wygnanie. Twierdził, że czuje się nieszczęśliwy i samotny, ale znajduje pocieszenie w tym, że wielu innych cierpi jeszcze bardziej, choć wcale nie mają na sumieniu gorszych występków. Powiedział mi też, że jeśli nie chce ponownie wpaść w tarapaty, powinienem znaleźć jakieś bractwo i wstąpić w jego szeregi.

— i co?

— Postanowiłem zastosować się do jego rady. Jak tylko wypuszczono mnie na wolność, zacząłem odwiedzać mistrzów najróżniejszych gildii, najpierw z myślą o tym, aby dokonać wyboru, a potem już tylko prosząc, aby ktoś zechciał ze mną chociaż porozmawiać. Niestety, nikt nie kwapił się, aby przyjąć ucznia w moim wieku, nie mogącego zapłacić za naukę, a w dodatku obdarzonego niedobrym charakterem — wystarczyło, żeby choć raz spojrzeli na moje plecy, a od razu uznawali mnie za awanturnika.

Wpadłem na pomysł, by zamustrować się na statek lub zgłosić się na ochotnika do wojska, i od tamtej pory często żałowałem, że tak nie zrobiłem, choć wówczas zapewne również żałowałbym swojej decyzji, albo i nie, bo już bym nie żył. Później, nie wiedzieć skąd, przyszła mi do głowy myśl, aby wstąpić do jakiegoś zakonu. Rozmawiałem z wieloma opatami i dwóch nawet zgodziło się mnie przyjąć, choć uprzedziłem ich, że nie mam pieniędzy i pokazałem im grzbiet. Im więcej jednak zdobywałem informacji na temat zakonnego życia, tym większe ogarniały mnie wątpliwości, czy zdołam sprostać jego rygorom. Dużo piłem. lubiłem dziewczyny i chyba wcale nie chciałem się zmienić.

Pewnego dnia zobaczyłem na ulicy człowieka, o którym pomyślałem, że należy do jakiegoś zgromadzenia, którego jeszcze nie odwiedziłem. Akurat wtedy miałem zamiar zamustrować się na pewien statek, który jednak wyruszał w morze dopiero za tydzień, a jeden z marynarzy ostrzegł mnie, że najgorsza robota zawsze wiąże się z przygotowaniami do podróży, więc powinienem poczekać do ostatniej chwili i dopiero tuż przed podniesieniem kotwicy stawić się na pokładzie. Było to

kłamstwo, lecz wówczas nie miałem o tym pojęcia.

W każdym razie, poszedłem za tym człowiekiem, a kiedy zatrzymał się przy straganie —

wysłano go po świeże warzywa — zagadnąłem go o zakon, do którego należy. Odparł, że jest niewolnikiem Peleryn, w związku z czym powodzi mu się znacznie lepiej, niż gdyby był

mnichem. Kiedy przyjdzie mu ochota, może napić się czegoś mocniejszego i nikt nie będzie miał

do niego pretensji, pod warunkiem, że trzeźwy stawia się do pracy. Może także sypiać z dziewczętami, do czego zresztą często nadarza się sposobność, gdyż nie dość, że ciągle przenosi się z miejsca na miejsce, to w dodatku kobiety uważają go za kogoś w rodzaju świętego człowieka.

Zapytałem, czy myśli, że mogłyby mnie przyjąć, oraz powiedziałem, że jednak nie bardzo wierzę w jego opowieści. Odparł, iż z pewnością mam spore szanse, a co się tyczy moich zastrzeżeń, to co prawda nie jest w stanie udowodnić, że mówił prawdę o dziewczynach, ale za to jest gotów wypić ze mną butelkę wina.

Weszliśmy do tawerny przy rynku, gdzie okazało się, że mój nowy znajomy nie rzuca słów na wiatr. Zapewniał mnie, że jego życie bardzo przypomina życie żeglarza odwiedzającego dalekie kraje, a także życie żołnierza, ponieważ nosi u pasa broń. Kiedy zakon wędruje po niebezpiecznej okolicy. Poza tym, różnica między kapłankami a niewolnikami polega jeszcze na tym.

że one muszą słono płacić za przyjęcie do zakonu, a w razie wystąpienia z niego mają szansę odzyskać tylko część pieniędzy, natomiast niewolnik na samym początku otrzymuje znaczną sumę. Naturalnie musi ją zwrócić, gdyby chciał się wykupić, ale jeżeli zostanie, może ją zatrzymać.

Moja matka jeszcze wtedy żyła, a choć prawie wcale jej nie odwiedzałem, to zdawałem sobie sprawę, że nie ma przy duszy złamanego aes. Rozmyślając o wstąpieniu do jakiegoś zakonu stałem się bardziej religijny, co sprawiło, że dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Podpisałem więc dokument — rzecz jasna Goslin, który mnie namówił, otrzymał za to nagrodę — i zaniósłem matce pieniądze.

— Z pewnością sprawiłeś tym przyjemność nie tylko jej, ale także sobie.

— W pierwszej chwili uznała, że to jakaś sztuczka, ale i tak zostawiłem jej całą sumę.

Musiałem od razu wracać do kapłanek, które na wszelki wypadek wysłały ze mną opiekuna. Od tamtej pory minęło już trzydzieści lat.

— Mam nadzieję, że można ci pogratulować?

— Sam nie wiem. Żyło mi się ciężko, ale z tego, co widzę, mało kto ma lekkie życie.

— Ja też to zauważyłem. — Coraz bardziej chciało mi się spać i marzyłem już tylko o tym, żeby

sobie wreszcie poszedł. — Dziękuję, że zechciałeś mi opowiedzieć swoją historię.

Bardzo mnie zainteresowała.

— Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać... i poprosić, żebyś przekazał to pytanie czeladnikowi Palaemonowi, jeśli go kiedyś spotkasz.

Skinałem głową, czekając na ciąg dalszy.

— Powiedziałeś, że twoim zdaniem Peleryny powinny być dobrymi paniami, i wydaje mi się, że masz rację. Od niektórych zaznałem wiele dobra, nikt też nigdy mnie nie chłostał — w najgorszym razie kończyło się na paru szturchańcach. Powinieneś jednak wiedzieć, dlaczego tak się dzieje: otóż ci niewolnicy, z których nie są zadowolone, idą na sprzedaż. Czy rozumiesz, co to oznacza?

— Chyba nie za bardzo.

— Wielu ludzi sprzedaje się zakonowi w niewolę, myśląc — tak jak ja kiedyś — że czeka ich życie lekkie i pełne przygód. Często tak właśnie się dzieje, a w dodatku przyjemnie jest mieć świadomość, że niesie się pomoc chorym i cierpiącym. Jednak Peleryny bezwzględnie pozbywają się tych, co do których mają jakieś zastrzeżenia, a w dodatku dostają za nich znacznie więcej pieniędzy, niż im zapłaciły, teraz już rozumiesz? Dzięki temu nie muszą nikogo chłostać.

Najgorszą karą, jakiej możesz się spodziewać, jest czyszczenie wychodka, ale jeśli przestaniesz pracować jak należy, pewnego dnia znajdziesz się w kopalni.

Przez te wszystkie lata pragnąłem zapytać czeladnika Palaemona tylko o jedną rzecz... —

Winnoc umilkł na chwilę, skubiąc dolną wargę. — Był katem, prawda? Tak mi powiedział, a ty teraz to potwierdziłeś.

— Zgadza się. Nadal nim jest.

— W takim razie chcę wiedzieć, czy mówiąc to, co mi powiedział, chciał mi naprawdę pomóc, czy tylko zadać jeszcze większe cierpienie. — Odwrócił twarz, abym nie mógł dojrzeć wyrazu jego oczu. Zapytasz go o to w moim imieniu? Kto wie, może kiedyś jeszcze się spotkamy.

— Jestem pewien, że udzielił ci najlepszej rady, jakiej potrafił udzielić — odparłem. —

Gdybyś pozostał tym, kim byłeś, prawdopodobnie już dawno temu straciłbyś życie z jego ręki albo z ręki innego kata. Widziałeś kiedyś egzekucję? Nie możesz jednak mieć do niego pretensji, gdyż nawet kaci nie są wszechwiedzący.

Winnoc wstał z miejsca.

— Ani niewolnicy. Dziękuję ci, młody człowieku. Dotknąłem jego ramienia, aby zatrzymać go jeszcze na chwilę.

— A czy teraz ja mogę zadać ci pytanie? Ja także byłem katem. Jeśli przez tyle lat obawiałeś się, że mistrz Palaemon udzielił takiej rady tylko po to, by zadać ci więcej bólu, to skąd wiesz, że teraz nie postąpiłem tak samo?

— Gdybyś chciał to zrobić, powiedziałbyś coś wręcz przeciwnego. Dobrej nocy, miody człowieku.

Dość długo zastanawiałem się nad słowami Winnoca. a także nad tym, co dawno temu powiedział mi mistrz Palaemon. A więc on także był wtedy wędrowcem, kto wie, czy nawet nie dziesięć lat przed moim przyjściem na świat! Mimo to wrócił do Cytadeli i został mistrzem konfraterni. Abdiesus, którego później zdradziłem, także pragnął uczynić mnie mistrzem. Żaden z braci nigdy nie wspomniał o wykroczeniu, jakie popełnił Palaemon, a ja dopiero teraz zwróciłem uwagę na coś, co powinno dać mi sporo do myślenia nawet wtedy, kiedy jeszcze moim jedynym domem była Wieża Matachina: że bieżącymi sprawami konfraterni zajmuje się nie mistrz Palaemon, lecz znacznie młodszy od niego mistrz Gurloes. Na zewnątrz ciepły letni wiatr dokazywał wśród namiotów, ale mnie wydawało się, że znowu wspinam się po schodach naszej wieży i słyszę, jak lodowaty wichur uderza w ściany baszt Cytadeli.

Wreszcie wstałem z posłania i w nadziei, że uda mi się zająć myśli mniej bolesnymi sprawami, usiadłem na łóżku Foili. Rozmawialiśmy przez jakiś czas, ale kiedy zapytałem ją, czy mogę już wydać werdykt, odparła, że muszę poczekać jeszcze przynajmniej jeden dzień. **Rozdział XIII**

Opowieść Foili: O córce szlachcica

— Halvard, Melito, a nawet Ascianin mieli już szansę pokazać. co potrafią, więc czy nie uważacie, że mnie należy się to samo? Mężczyzna, któremu wydaje się, że tylko on jeden zaleca się do dziewczyny, mimo wszystko ma rywala, a jest nim właśnie ona. Może mu się oddać, ale może także odmówić mu swoich względów. Jego zadanie polega na tym, aby przekonać ją, że z nim będzie znacznie bardziej szczęśliwa niż sama. a choć mężczyźni często zapewniają o tym swoje wybranki, to zazwyczaj jest to nieprawda. Postanowiłam wziąć udział w zawodach i wygrać mnie dla samej siebie, jeżeli mi się uda. Skoro decydować ma umiejętność opowiadania historii, dlaczego miałabym wyjść za człowieka, który jest w tym gorszy ode mnie?

Każdy z was przedstawił opowieść ze swoich stron rodzinnych i ja uczynię to samo. Moja ojczysta ziemia jest rozległa, nakryta ogromną czaszą nieba. To ziemia trawy, wiatru i galopujących zwierząt. Latem wiatr bywa tak gorący, jak powietrze buchające z rozpalonego pieca. a kiedy pampasy staną w ogniu, pożar ciągnie się setkami mil, lwy zaś dosiadają bydła, aby przed nim uciec, podobne do diabłów. W moich Stronach mężczyźni są odważni jak byki, a kobiety dzikie jak jastrzębie.

Kiedy moja babka była młoda, w odludnej okolicy wybudowano piękną willę. Należała do pewnego szlachcica, lennika suzerena Pasculi. Ziemia była żyzna, a dom wspaniały, tyle tylko, że woły musiały ciągnąć belki stropowe przez całe lato, zanim wreszcie dowlokły je na miejsce. Ściany, wykonane z ziemi tak samo jak ściany wszystkich domów W mojej ojczyźnie, miały trzy kroki grubości. Ludzie mieszkający w lesistych okolicach odnoszą się z pogardą do takiego sposobu budowania, ale ziemne ściany dają ochłodę podczas upałów, ładnie wyglądają, a w dodatku nie ima się ich ogień. W willi znajdowała się wieża, obszerna sala bankietowa, a także napędzane przez dwa muły urządzenie złożone z lin, kół i wiader, dostarczające wodę do ogrodu na dachu budynku.

Szlachcic był rycerskim mężczyzną, jego żona zaś piękną kobietą, ale spośród wszystkich dzieci, jakie mieli, tylko jedno przeżyło więcej niż rok: smukła dziewczyna o śniadej, doskonale gładkiej skórze, o włosach koloru bladego wina i oczach ciemnych jak chmura burzowa. Jednak willa stała na takim odludziu, że nikt nie przybywał tam w odwiedzinach, w związku z czym dziewczyna nie miała żadnych przyjaciół. Często przez cały dzień samotnie jeździła wierzchem, polując rui drapieżne koty, które podkradały się do stad antylop. Równie często siedziała sama w swojej sypialni, wsłuchując się w śpiew zamkniętego w klatce skowronka i odwracając karty starych ksiąg, które jej matka przywiozła niegdyś ze swego domu.

Wreszcie ojciec postanowił, że córka musi wyjść za mąż, jako że już niedługo miała skończyć dwadzieścia lat, więc była to już właściwie ostatnia szansa na znalezienie męża.

Rozesłał wokoło sługi, aby wychwalali jej urodę i głosili, że po śmierci szlachcica zięć otrzyma cały jego majątek. Wkrótce zaczęli licznie przybywać jeźdźcy na paradnie przybranych wierzchowcach, z mieczami o kosztownie zdobionych rękojeściach. Wszystkich zapraszał w gościnę, a jego córka, z długimi włosami ukrytymi pod męskim kapeluszem i długim nożem za pasem, korzystała z okazji, by wmieszać się w tłum zalotników, słuchać przechwałek tych, co chełpili się licznymi miłosnymi podbojami oraz obserwować tych, co kradli różne cenne drobiazgi. Wieczorem każdego dnia zjawiała się u ojca, by zdać mu dokładną relację, on zaś wzywał do siebie tych, których imiona mu podała, i opowiadał im o pustkowiu, gdzie nikt nigdy się nie zapuszcza, bo palące promienie słońca zabijają każdego najdalej w ciągu jednego dnia.

Niefortunni zalotnicy z samego rana pospiesznie siodłali wierzchowce i odjeżdżali jak niepyszni.

Wkrótce zostało tylko trzech, a córka szlachcica nie mogła już ich niepostrzeżenie obserwować, ponieważ z pewnością by ją zdemaskowali. Wróciła więc do sypialni, rozpuściła włosy i rozczesała je starannie, po czym zrzuciła męski strój i wzięła wonną kąpiel. Następnie założyła pierścienie, bransolety i kolczyki, a także szczerozłoty diadem, który ma prawo nosić każda córka szlachcica. Krótko mówiąc, zrobiła wszystko, aby jak najbardziej podkreślić swą urodę, a ponieważ miała także dzielne serce, kto wie, czy udałoby się znaleźć piękniejszą od niej.

Kiedy była gotowa, posłała służącą, aby powiedziała jej ojcu, że może już przyprowadzić trzech konkurentów.

— Oto jestem — rzekła. — Widzicie złoty diadem na moim czole i złote koła w uszach.

Ramiona, którymi obejmę jednego z was, same z kolei dały się objąć złotym bransoletom, a na moich palcach są złote pierścienie. Szkatuła z kosztownościami stoi przed wami otworem, ale nie ma w niej już żadnych pierścieni, choć w tym pokoju jest jeszcze jeden, którego nie mam na sobie. Czy potraficie go znaleźć?

Trzej zalotnicy poczęli szukać pod łóżkiem i za gobelinami, aż wreszcie najmłodszy z nich zdjął z haka klatkę ze skowronkiem i zaniósł ją dziewczynie. Na prawej nóżce skowronka znajdował się maleńki, złoty pierścienek.

— A teraz słuchajcie uważnie — powiedziała. — Moim mężem zostanie ten z was, kto zwróci mi

tego małego brązowego ptaszka.

Otworzyła klatkę, wyjęła skowronka, podeszła z nim do okna i wypuściła ptaka na wolność. Złoty pierścionek zaśnił w promieniach słońca, po czym ptak wzbił się w powietrze, by wkrótce zamienić się w ledwo dostrzegalny punkcik na niebie.

Młodzieńcy natychmiast popędzili w dół po schodach, wołając, by siodłano im wierzchowce, tych chyżonogich przyjaciół, którzy nieśli ich już przez wiele mil po pustych pampasach. Chwilę później zniknęli z oczu szlachcicowi i jego córce, a także sobie nawzajem, gdyż jeden z nich skierował się na północ, ku dżungli, drugi pojechał na wschód, ku górcom, najmłodszy zaś podążył na zachód, w kierunku niespokojnego morza.

Ten, który udał się na północ, po kilku dniach dotarł do rzeki o zbyt bystrym nurcie, aby można było przez nią przepłynąć, więc chcąc nie chcąc musiał jechać wzdłuż jej brzegu, słuchając śpiewu ptaków, aż wreszcie natrafił na bród. Zaraz potem ujrzał odzianego w brąz jeźdźca siedzącego na wierzchowcu kasztanowej maści. Twarz nieznanego zasłaniał skrawek brązowego materiału, a na jego brązowym prawym bucie lśnił złoty pierścień.

— Kim jesteś? — zapytał młodzieniec.

Brązowa postać nie odezwała się ani słowem.

— Wśród tych, co zjawili się w domu szlachcica, był także pewien młody człowiek, który zniknął przedostatniego dnia — powiedział zalotnik. Myślę, że właśnie ty nim jesteś. W jakiś sposób dowiedziałeś się o moich poszukiwaniach i teraz pragniesz mi w nich przeszkodzić.

Radzę ci, zejźdź mi z drogi, bo w przeciwnym razie zginiesz.

Nie zwlekając dobył miecza i wjechał w płytką wodę. Przez długi czas walczyli tak, jak to robią mężczyźni w moich stronach, trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej długi nóż, ponieważ zalotnik był silny i odważny, a przyobleczony w brąz rycerz szybki i sprawny. Jednak wreszcie ten drugi runął z siodła, a jego krew zabarwiła wodę w rzece.

— Zostawię ci wierzchowca, gdyż jestem litościwym człowiekiem — rzekł młodzieniec starający się o rękę dziewczyny. — Jeśli masz jeszcze dość sił, zdołasz wspiąć się na jego grzbiet.

Powiedziawszy to, odjechał.

Ten, który udał się na wschód, po kilku dniach dotarł do jednego z mostów, jakie budują ludzie zamieszkujący góryste tereny: była to raczej wąska kładka spleciona z lin i bambusa, przerzucona nad przepaścią jak pajęczna nić. Tylko głupiec odważyłby się wjechać na tak kruchą konstrukcję, więc podróżny zsiadł z wierzchowca i wszedł na most prowadząc go za wodze.

Wydawało mu się, że most jest zupełnie pusty, ale zanim pokonał jedną czwartą długości, na samym środku zjawiała się jakaś postać. Na pierwszy rzut oka bardzo przypominała człowieka, tyle tylko, że była cała brązowa, z wyjątkiem jednej białej plamy, na plecach zaś miała coś w rodzaju skrzydeł. Kiedy drugi kandydat do ręki dziewczyny podszedł nieco bliżej, przekonał się, iż nieznanemu ma na

prawej kostce złoty pierścień, rzekome skrzydła zaś to tylko poły brązowego płaszcza.

Uczyniwszy przed sobą w powietrzu znak, który miał go chronić przed duchami, co zapomnieli o swoim stwórcy, zawołał:

— Kim jesteś? Powiedz, jak się nazywałeś!

— Przecież mnie widzisz — odparła brązowa postać. — Nazwij mnie moim prawdziwym imieniem, a twoja wola stanie się moją wolą.

— Jesteś duchem skowronka, przysłanym tu przez córkę szlachcica. Co prawda potrafisz zmieniać kształt, ale zdradził cię złoty pierścień.

Na to odziana w brąz postać wyciągnęła miecz i podała go zalotnikowi rękojeścią naprzód.

— Rozpoznałeś mnie. Co mi teraz rozkażesz?

— Przenieś mnie z powrotem do domu szlachcica, abym mógł pokazać cię dziewczynie i w ten sposób zdobyć jej rękę.

— Chętnie to uczynię, skoro sobie tego życzysz. Ostrzegam cię jednak, że ona nie zobaczy mnie takim samym, jakim ty mnie teraz widzisz.

— Mimo to, wracaj ze mną — odparł zalotnik, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

Na lak wąskim moście człowiek może obrócić się bez większych problemów, ale czworonożne zwierzę nie ma na to żadnych szans, w związku z czym obaj musieli najpierw przejść na drugi brzeg przepaści, aby wędrowiec mógł zawrócić wierzchowca. Ileż z tym zachodu, myślał kandydat na męża dziewczyny. Czy jednak nie uda mi się wykorzystać tej sytuacji?

Milczał jeszcze przez chwilę, po czym zwrócił się do odzianego w brązowe szaty towarzysza:

— Ja muszę iść po tym moście najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, ale dlaczego ty także to czynisz? Przecież możesz po prostu polecieć na brzeg i poczekać tam na mnie.

Brązowa postać roześmiała się, a jej śmiech był jak perlisty dźwięk dzwoneczków.

— Czyżbyś nie zauważył, że mam opatrunek na skrzydle? Przeleciałem zbyt blisko jednego z twoich rywali, który dosięgnął mnie swoim mieczem.

— Więc nie możesz latać?

— Niestety nie. Kiedy nadjechałem, odpoczywałem właśnie na jednej z lin mostu, i z trudem zdołałem z niej zeskoczyć.

— Rozumiem — odparł mężczyzna, po czym zamilkł, ale przez jego głowę przebiegały niespokojne myśli: “Gdybym zwałił most, skowronek musiałby ponownie przybrać postać ptaka, ale nie

odleciałby daleko, dzięki czemu zdołałbym go zabić, a wtedy zabrałbym go ze sobą i pokazał dziewczynie...”

Kiedy dotarli na drugi brzeg, poklepał wierzchowca po karku i zmusił go do zawrócenia, myśląc, że co prawda zwierzę będzie musiało zginać, ale chyba nie jest to wygórowana cena za piękną dziewczynę i nieprzeliczone stada bydła.

— Idź za nami — zwrócił się do postaci w brązowej szacie, po czym wkroczył

ponownie na most rozpięty nad bezdenną przepaścią. Zaraz za nim podążał wierzchowiec, pochód zamykał zaś ptak w ludzkiej postaci.

Kiedy most runie, zwierze stanie dęba, tak że skowronek nie będzie mógł precyzyjnie przycisnąć się obok niego, w związku z czym będzie musiał znowu przybrać ptasią postać albo zginać, rozmyślał zalotnik. Jak widzicie, jego plany opierały się na rozpowszechnionym w mojej ojczyźnie przekonaniu, według którego ci, co potrafią zmieniać swoje kształty, tracą tę umiejętność, kiedy dostaną się do niewoli.

Zeszli do najniższego punktu wygiętego w łuk mostu, a następnie zaczęli wspinać się ku brzegowi. Jak tylko wędrowiec postawił stopę na skale, dobył ostrego miecza i uderzył z całej siły, ale zamiast od razu przeciąć liny nośne, stracił kilka drogocennych chwil na odrąbywanie poręczy, dzięki czemu odziana na brązowo postać zdążyła wskoczyć na siodło i zmusić zwierzę, by ruszyło z kopyta. W ten sposób zalotnik zginął stratowany przez własnego wierzchowca.

Najmłodszy kandydat do ręki księżniczki po kilku dniach podróży dotarł nad brzeg morza. Na plaży, tuż poza zasięgiem wzburzonych fal, ujrzał jakiegoś człowieka w brązowym płaszczu, brązowym kapeluszu, z brązową zasłoną na twarzy i złotym pierścieniem na brązowym bucie.

— Widzisz, jak wyglądam — odezwała się tajemnicza postać. — Nazwij mnie moim prawdziwym imieniem, a twoja wola stanie się moją wolą.

— Jesteś aniołem przysłanym po to, by zaprowadzić mnie do skowronka, którego poszukuję — odparł młodzieniec,

Na to anioł dobył miecza i podał go zalotnikowi rękojeścią naprzód.

— Rozpoznałeś mnie. Co mi teraz rozkażesz?

— Nigdy nie ośmieliłbym się sprzeciwić woli Władcy Aniołów — powiedział młody mężczyzna. — Skoro przysłano cię, abys zaprowadził mnie do skowronka, życzę sobie tylko tego, byś to uczynił.

— I tak się stanie — zapewnił go anioł. — Powiedz mi jednak, jaką drogą pragniesz do niego dotrzeć: najkrótszą czy najlepszą?

To z pewnością jakiś podstęp, pomyślał młodzieniec. Empirejskie potęgi zazwyczaj potępiają wrodzoną niecierpliwość ludzi, na co łatwo mogą sobie pozwolić, gdyż są nieśmiertelne. Należy się więc spodziewać, iż najkrótsza droga prowadzi przez jakieś podziemne jaskinie wypełnione różnymi okropieństwami albo coś podobnego.

— Najlepszą — powiedział aniołowi. — Gdybym wybrał inną, czy nie splamiłbym czci tej, którą pragnę wziąć za żonę?

— Może tak, a może nie — odparł anioł. — Teraz pozwól, że usiądę za tobą na grzbiecie wierzchowca. Niedaleko stąd znajduje się zaciszny port, gdzie niedawno sprzedałem dwa rumaki równie dobre jak twój albo i lepsze. Z twoim uczynimy to samo, podobnie jak ze złotym pierścieniem, który widzisz na mojej nodze.

Zrobili tak, jak zapowiedział anioł, a za zgromadzone pieniądze kupili szybki, dzielny statek i wynajęli trzech ludzi, którzy mieli stanowić jego załogę.

Trzeciej nocy po wypłynięciu na morze kandydat do ręki dziewczyny miał sen, jeden z tych, jakie często miewają młodzi ludzie. Kiedy po obudzeniu się dotknął poduszki obok miejsca, gdzie spoczywała jego głowa, poczuł wyraźne ciepło, a kiedy ponownie ułożył się do snu, wyczuł delikatny zapach perfum taki właśnie aromat wydzielają trawy, które kobiety w moich stronach zbierają na łąkach, suszą, a następnie wplatają we włosy.

Wkrótce potem dotarli do bezludnej wyspy i młodzieniec wyszedł na brzeg, aby szukać skowronka. Nie znalazłszy go, pod koniec dnia zrzucił odzienie, aby ochłodzić się w rozfalowanym morzu. Kiedy na niebie pojawiły się gwiazdy, przyłączył się do niego anioł i razem pływali wzdłuż brzegu, a potem leżeli na piasku, snując długie opowieści.

Któregoś dnia, kiedy stali razem przy burcie statku, gwałtowny podmuch wiatru cisnął

brązowy kapelusz na pożarcie wiecznie głodnemu morzu, a chwilę później to samo uczynił z zasłoną zakrywającą twarz anioła.

Wreszcie obaj podróżnicy zatęsknili za mymi stronami rodzinnymi, gdzie podczas jesiennych pożarów lwy dosiadają bydła, mężczyźni są odważni jak byki, a kobiety dzikie jak jastrzębie. Statek, któremu nadali imię “Skowronek”, poleciał nad granatowym morzem, każdego poranka wbijając bukszpryt w serce czerwonego słońca. Sprzedali go w tym samym porcie, gdzie go kupili, uzyskując trzykrotnie wyższą cenę, gdyż “Skowronek” zyskał wielką sławę, stając się bohaterem wielu pieśni i legend. Ludzie nie mogli się nadziwić, że w rzeczywistości jest tak mały

— zaledwie kilkanaście kroków od dziobu do rufy. Sprzedali także łupy oraz wszystkie towary.

Moi rodacy hodują wierzchowce, najlepsze zatrzymując dla siebie, ale właśnie do tego portu przyprowadzają najlepsze z tych, które chcą sprzedać; młodzieniec i anioł kupili parę dzielnych rumaków, napełnili sakwy szlachetnymi kamieniami i złotem, a następnie nie zwlekając wyruszyli w drogę ku domowi szlachcica, który stał tak daleko, że prawie nikt tam nigdy się nie pojawiał.

Przeżyli wiele przygód i wielokrotnie ich miecze zboczyły się krwią, ale wreszcie dotarli do celu. Szlachcic powitał anioła okrzykami radości, żona szlachcica płaczem, a służba radosną paplaniną, anioł zaś zrzucił brązowy strój i stał się na powrót piękną dziewczyną.

Zaplanowano wspaniałą ceremonię ślubną. W moich stronach przygotowania do takich uroczystości

trwają wiele dni, gdyż trzeba wybrać najlepsze świnie, które zostaną upieczone w całości, zarznąć najsmakowitsze woły i rozesłać posłańców z zaproszeniami dla gości. Trzeciego dnia do pokoju młodzieńca przysła pokojówka dziewczyny i powiedziała:

— Dziś moja pani nie ma ochoty na polowanie, ale zaprasza cię do swojej sypialni, by powspominać chwile spędzone wspólnie na morzu i lądzie.

Młody zalotnik włożył najlepsze ubranie i wkrótce zastukał do drzwi sypialni. Wszedłszy do środka ujrzał dziewczynę siedzącą w fotelu przy oknie, przewracającą karty jednej ze starych ksiąg, które jej matka przywiozła ze swego rodzinnego domu. i słuchającą śpiewu skowronka zamkniętego w klatce. Młodzieniec podszedł bliżej, a kiedy zobaczył, że skowronek ma złoty pierścionek na nóżce, skierował na dziewczynę zdumione spojrzenie.

— Czyż anioł, którego spotkałeś na plaży, nie obiecał ci, że zaprowadzi cię do skowronka? — zapytała. — I to najlepszą drogą. Każdego ranka otwieram klatkę i wypuszczam go, aby sobie polatał, a on wkrótce do mnie wraca, gdyż wie, że czeka na niego czysta woda, pożywienie i bezpieczne schronienie.

Niektórzy powiadają, iż ślub młodzieńca i córki szlachcica był najwspanialszy, jaki kiedykolwiek odbył się w moich stronach. **Rozdział XIV**

Mannea

Tego wieczoru wiele dyskutowaliśmy o opowieści Foili, ale tym razem to ja zaproponowałem, żeby odłożyć werdykt do następnego dnia. Wzięło się to chyba częściowo z mojej głębokiej niechęci do dokonywania jakichkolwiek ocen, gdyż od dzieciństwa uczono mnie, że mam jedynie wykonywać wyroki wydawane przez sędziów, którzy zostali wyznaczeni przez wysokich rangą urzędników Wspólnoty.

Oprócz tego, mój umysł zaprzętała znacznie ważniejsza sprawa. Miałem nadzieję, że kolację ponownie przyniesie nam Ava, a kiedy tak się nie stało, wstałem z łóżka, założyłem ubranie i wyslizgnąłem się w gęstniejącą ciemność.

Spotkała mnie miła niespodzianka, gdyż okazało się, że moje nogi odzyskały dawną siłę.

Gorączka opuściła mnie już kilka dni temu. Ja jednak tak bardzo przywykłem do myśli, że jestem chory (podobnie jak wcześniej uważałem się za w pełni zdrowego), iż bez słowa skargi podporządkowałem się poleceniom Peleryn. Teraz nie ulega dla mnie wątpliwości, iż wielu spośród tych, co prowadzą aktywne życie i wykonują swoje obowiązki, jest w rzeczywistości bliskich śmierci, podczas gdy ci, którzy leżą w łóżku, często bywają zdrowsi od tych, co ich obsługują.

Idąc krętą ścieżką między namiotami usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułem się tak dobrze jak teraz. Na pewno nie w górach ani nie nad jeziorem; trudy i niewygody, jakich tam doświadczałem, stopniowo zżerały moje siły, aż wreszcie padłem ofiarą gorączki.

Także nie wówczas, kiedy uciekałem z Thraxu, ani nie wtedy, kiedy do niego dotarłem, gdyż wraz z Dorcas pokonywaliśmy podczas naszej wędrówki trudności niemal równie wielkie jak te, z którymi później musiałem sobie radzić w górach. Krótki okres mego pobytu w Domu Absolutu (wydawał mi się teraz niemal równie odległy jak panowanie Ymara) również nie wchodził w grę, gdyż odczuwałem wtedy jeszcze dość silne działanie alzabo oraz musiałem stawić czoło martwym wspomnieniom Thecli.

Wreszcie spłynęło na mnie objawienie: czułem się teraz tak samo jak tego wspaniałego poranka, kiedy wraz z Agią zmierzałem ku Ogrodom Botanicznym; był to pierwszy ranek po dniu, w którym opuściłem Cytadele. Właśnie wtedy — choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy — wszedłem w posiadanie Pazura. Przyszła mi do głowy myśl, że może powinienem uważać ów dzień nie tylko za błogosławiony, ale także za przeklęty. Kto wie, czy rany, jakie u schyłku tego właśnie dnia zadał mi kwiat zemsty, nie okazały się na tyle groźne, że trzeba było aż kilku miesięcy, abym całkowicie doszedł do siebie? Wydobyłem z ukrycia Pazur, by popatrzeć na jego srebrzysty poblask, a kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem przed sobą rozjarzoną szkarłatem kaplicę Peleryn.

Z wnętrza dobiegał śpiew, ale ja nie zatrzymałem się, odszukałem wejście, wślizgnąłem się do środka i zająłem miejsce w pobliżu ściany namiotu. Nie opowiem nic o liturgii Peleryn, gdyż takich rzeczy zazwyczaj nie da się opisać we właściwy sposób, a nawet jeśli się da, to lepiej tego nie czynić. Bractwo zwane Zgromadzeniem Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy, do którego niegdyś należałem, także ma własny ceremoniał, dokładnie opisany przeze mnie w innym miejscu. Z

pewnością nie można go zobaczyć nigdzie indziej, tak samo jak w liturgii Peleryn nie dałoby się uczestniczyć w żadnym innym zakonie, choć należy przypuszczać, iż w zamierzonych czasach wszystkie te obrzędy stanowiły nierozdzielną całość.

Jednak, ponieważ śledziłem je z pozycji niezaangażowanego obserwatora, muszę stwierdzić, iż były znacznie piękniejsze od naszych, choć zarazem nie tak bardzo teatralne, a więc na dłuższą metę mniej poruszające. Wszystkie uczestniczki miały na sobie piękne, bez wątpienia bardzo stare kostiumy, w ich śpiewie zaś pobrzmiwały niespokojne, przykuwające uwagę tony, których nie słyszałem w żadnej innej muzyce. Nasze ceremonie miały za zadanie przede wszystkim uzmysłwić młodszym członkom Zgromadzenia, jak wielką rolę odgrywa nasza konfraternia w życiu Wspólnoty — możliwe, iż liturgia Peleryn miała spełnić podobną funkcję, a jeśli nie, to zapewne kapłanki pragnęły w ten sposób przyciągnąć uwagę Wszechwidzącego, choć nie jestem w stanie stwierdzić, czy udało im się to osiągnąć. Jak powszechnie wiadomo, zakon nigdy nie otrzymał żadnych specjalnych przywilejów.

Kiedy ceremonia dobiegła końca i kapłanki odziane w szkarłatne szaty ruszyły do wyjścia, pochyliłem głowę, udając, że jestem pogrążony w modlitwie. Bardzo szybko to, co udawane, stało się jak najbardziej prawdziwe. Nadal zdawałem sobie sprawę z faktu istnienia mego klęczącego ciała, mój umysł jednak przebywał w rozgwieżdżonych przestrzeniach daleko od Urth i archipelagu planet, którego stanowi ona część. Wydawało mi się, iż ten, z kim rozmawiam, znajduje się jeszcze dalej, jakbym dotarł do granicy wszechświata i teraz krzyczał ze wszystkich sił, aby usłyszano mnie za jego ścianami.

“Krzyczałem” chyba jednak nie jest właściwym słowem. Raczej szeptałem, tak jak Barnoch, zamurowany w swoim domu, mógłby szeptać przez jakąś szczelinę do współczującego przechodnia. Opowiadałem szeptem o tym, kim byłem, kiedy jeszcze nosiłem na grzbiecie podartą koszulę i obserwowałem ptaki i zwierzęta przez wąskie okienko mauzoleum, oraz o tym, kim później się stałem. Opowiadałem nie o Vodalusie i jego walce z Autarchą, ale o motywach, jakich niegdyś w swojej naiwności doszukiwałem się w jego postępowaniu. Nie próbowałem łudzić się myślą, iż zostałem stworzony po to, by poprowadzić za sobą miliony; prosiłem tylko o to, abym zdołał poprowadzić samego siebie, i nagle odniosłem wrażenie, jakbym zyskał

nadzwyczajną ostrość widzenia, która pozwoliła mi zajrzeć do innego wszechświata, skąpanego w złocistym blasku, gdzie klęczał mój słuchacz. To, co początkowo wydawało się jedynie wąską szczeliną, rozszerzało się błyskawicznie, aż wreszcie dostrzegłem twarz i złożone ręce, a także otwór podobny do wylotu tunelu sięgającego daleko w głąb ludzkiej głowy większej niż wyrzeźbiona w górze głowa Typhona. Kiedy zrozumiałem, że szepczę do własnego ucha, natychmiast wleciałem do środka niczym pszczoła i wstałem z klęczek.

Wszyscy już wyszli, a cisza była tak głęboka, że zdawała się wisieć w powietrzu jak dym kadzidła. Ołtarz, który wznosił się przede mną, nie mógł się równać z tym, który zniszczyłem pospołu z Agią, ale również był piękny, dzięki licznym pochodniom, czystości linii oraz kasetonom z lazurytu.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków, a następnie znowu uklęknęłam. Nie potrzebowałem pomocy żadnego mędrca, aby zrozumieć, że ani trochę nie zbliżyłem się do Boskiej Istoty, choć nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że wyczuwam Jej obecność. Zdołałem — już po raz ostatni —

wydobyc Pazur, mimo że bałem się, iż nie uda mi się tego dokonać.

— Niosłem cię przez góry, rzeki i trawiaste równiny — powiedziałem, ale słowa rozbrzmiewały jedynie w moich myślach. — Pozwoliłeś Thecli ożyć w moim wnętrzu, dałeś mi Dorcas i zwróciłeś światu Jonasa. Nie mogę ci niczego zarzucić, choć ty z pewnością masz wiele zarzutów pod moim adresem. Jednak na jeden z nich z pewnością sobie nie zasługuję: nikt nigdy nie powie, że nie starałem się ze wszystkich sił naprawić zła, jakie wyrządziłem.

Zdawałem sobie sprawę, że jeśli po prostu położę Pazur na ołtarzu, przy najbliższej okazji zostanie wyrzucony jako nikomu niepotrzebny śmieć. Wspiąwszy się na podium zacząłem szukać jakiegoś bezpiecznego schowka, aż wreszcie zwróciłem uwagę na głąz stanowiący centralne miejsce konstrukcji; od spodu sterczały cztery śruby, z pewnością wkręcone na stałe i nie ruszane nawet podczas przenosin kaplicy. Mam bardzo silne palce, więc udało mi się je wykręcić, a wówczas przekonałem się, że śruby utrzymywały na miejscu coś w rodzaju drewnianej podstawy, zapewniającej głązowi niezbędną stabilność. Wnętrze podstawy było puste

— - niczego lepszego nie mogłem się spodziewać. Za pomocą brzytwy Jonasa wyciąłem z mego płaszcza kwadratowy fragment materiału, zawinałem w niego Pazur, włożyłem go pod kamień i wkręciłem śruby najmocniej jak potrafiłem, aby mieć pewność, że się nie obluzują.

Schodząc z ołtarza odczuwałem przejmujący ból, ale nie zdążyłem jeszcze pokonać połowy odległości dzielącej mnie od wyjścia, kiedy ogarnęła mnie szaleńcza radość. Nareszcie zdjęto z moich barków nieznośny ciężar życia i śmierci! Znowu stałem się zwykłym człowiekiem i niemal odchodziłem od zmysłów ze szczęścia. Czuję się tak samo jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem, a długie zajęcia prowadzone przez mistrza Malrubiusa wreszcie dobiegły końca i mogłem bawić się na Starym Dziedzińcu lub przejść przez wyrwę w zrujnowanym murze, by biegać wśród drzew i grobowców nekropolii. Popadłem w niełaskę, zostałem wygnany i stałem się bezdomnym wędrowcem, pozbawionym przyjaciół i środków do życia, i właśnie pozbyłem się najcenniejszego przedmiotu na świecie, a kto wie, czy w ogóle nie jedyne, jaki ma jakąkolwiek wartość. Mimo to wiedziałem, że wszystko będzie dobrze. Dotarłem do dna istnienia, a nawet dotknąłem go własnymi rękami,

upewniając się, że na pewno istnieje, więc teraz mogłem już tylko podążać w górę. Z rozmachem zarzuciłem połę płaszcza na ramię, tak jak czyniłem będąc aktorem, gdyż uświadomiłem sobie, że właśnie nim jestem: nie żadnym katem, którym byłem kiedyś, tylko aktorem. A także dzieckiem, lecz tym jest przecież przez całe życie każdy mężczyzna.

Na zewnątrz owionęło mnie chłodne powietrze, jakby dopiero co stworzone specjalnie dla mnie, nie mające nic wspólnego z niewyobrażalnie starą atmosferą Urth. Zanurzyłem się w nim z rozkoszą, najpierw rozpostarłszy szeroko płaszczyz, a potem unosząc ramiona ku gwiazdom, następnie zaś napełniłem nim płuca jak ktoś, kto właśnie uniknął śmierci poprzez utopienie w wodach płodowych.

Wszystko to trwało znacznie krócej niż trzeba czasu, aby o tym przeczytać, i już miałem zamiar ruszyć z powrotem w kierunku lazaretu, kiedy dostrzegłem nieruchomą postać obserwującą mnie z czarnej plamy cienia rzucanej przez sąsiedni namiot. Od chwili, kiedy wrą? z chłopcem udało mi się uciec przed ślepą istotą, która zniszczyła wioskę czarnoksiężników, obawiałem się, że odnajdzie mnie jakiś

sługa Het-hora. Miałem już rzucić się do ucieczki, ale postać wyszła z głębokiego cienia i przekonałem się, że to tylko jedna z Peleryn.

— Zaczekaj! — powiedziała głośno, a kiedy podeszła bliżej, dodała znacznie cichszym głosem: — Wybacz, jeśli cię przestraszyłam.

Kobieta miała gładką, owalną twarz, która wydawała się niemal bezpłciowa. Była młoda, choć nie tak młoda jak Ava, i wyższa od niej najmniej o dwie głowy — krótko mówiąc, prawdziwa arystokratka, taka jak Thecla.

— Kiedy przez długi czas ma się do czynienia z niebezpieczeństwami...

— Rozumiem — wpadła mi w słowo. — Może niewiele wiem o wojnie, ale na pewno sporo o mężczyznach i kobietach, którzy ją widzieli.

— Czym mogę ci służyć, kasztelanko?

— Przede wszystkim muszę wiedzieć, jak się czujesz.

— Dobrze — odparłem. — Jutro opuszczę to miejsce.

— Domyślam się więc, że przyszedłeś do kaplicy, aby podziękować za powrót do zdrowia?

Zawahałem się.

— Miałem do powiedzenia wiele rzeczy, kasztelanko, ale istotnie, o tej także wspomniałem.

— Czy mogę przejść się z tobą?

— Oczywiście, kasztelanko.

Niektórzy twierdzą, że wysoka kobieta wydaje się większa od najwyższego mężczyzny, i chyba mają rację. Ta kobieta z pewnością nie dorównywała wzrostem Baldandersowi, a jednak idąc obok niej czułem się niemal jak karzeł. Przypomniałem sobie, jak Thecla pochylała się, kiedy się obejmowaliśmy, i jak całowałem jej piersi.

Peleryna przemówiła ponownie dopiero po kilkudziesięciu krokach,

— Dobrze chodzisz. Masz długie nogi i wydaje mi się, że przebyłeś na nich wiele mil.

Chyba nie służyłeś w kawalerii?

— Trochę jeździłem wierzchem, ale nie w kawalerii. Istotnie, pokonałem góry na piechotę, jeśli to właśnie miałaś na myśli, kasztelanko,

— To dobrze, bo nie mam dla ciebie wierzchowca. Zdaje się, że jeszcze nie powiedziałam ci, jak się nazywam: jestem Mannea, przełożona postulantek zakonu. Nasza matka udała się w podróż, więc

chwilowo na mnie spoczywa odpowiedzialność za wszystko, co się tu dzieje.

— A ja jestem Severian z Nessus, wędrowiec. Z radością ofiarowałbym nawet tysiąc chrisos, aby wspomóc wasze wysiłki, ale mogę jedynie podziękować za dobroć, jaką mnie otoczyłyście.

— Severianie z Nessus, nie wspomniałam o wierzchowcu dlatego, że bym chciała ci go sprzedać ani po to, by ci go ofiarować, zyskując twoją wdzięczność. Jeżeli nie zyskałyśmy jej do tej pory, to już nigdy nam się nie uda,

— Już powiedziałem, że jestem wam ogromnie wdzięczny. Możecie być pewne, że nie nadużyję waszej dobroci i nie zostanę tu dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Mannea popatrzyła na mnie z góry.

— Wierzę ci. Dziś rano pewna postulantka opowiedziała mi o jednym z pacjentów, który przed dwoma dniami poszedł z nią do kaplicy, i opisała mi go dokładnie. Kiedy teraz zostałeś w środku sam jeden, domyśliłam się, że to byłeś ty. Chodzi o to, że nie mam komu powierzyć bardzo ważnego zadania; w spokojniejszych czasach wysłałabym oddział niewolników, ale wszyscy są potrzebni do sprawowania opieki nad chorymi i rannymi. Powiedziane jest jednak;

„On ześle żebrakowi łaskę, a myśliwemu włócznie”.

— Nie chciałbym cię urazić, kasztelanko, ale jeśli zdecydowałaś się obdarzyć mnie zaufaniem tylko dlatego, że przyszedłem do waszej kaplicy, to popełniasz błąd. Równie dobrze mogłem przecież chcieć ukraść szlachetne kamienie z ołtarza.

— Chodzi ci o to, że wśród modlących się najwięcej jest kłamców i złodziei? Masz rację, dzięki dobroci Łagodziciela. Wierz mi, Severianie, wędrowcze z Nessus: prawie nikt inny się nie modli, zarówno w zakonie, jak i poza nim... Ale ty przecież niczego nie ukradłeś. Nie dysponujemy nawet w połowie tak wielką mocą, jak przypuszczają prości ludzie, ale ci, co myślą, że jesteśmy zupełnie bezradne, bardzo się mylą. Zrobisz coś dla mnie? Dam ci list żelazny, żeby nie aresztowano cię jako dezertera.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, kasztelanko. Położyła mi rękę na ramieniu. Był to nasz pierwszy cielesny kontakt i niewiele brakowało, żebym szarpnęła się gwałtownie, gdyż poczułem się tak, jakby ktoś niespodziewanie musnął mnie ptasim piórem.

— Mniej więcej dwadzieścia mil stąd znajduje się samotnia bardzo mądrego, świętego pustelnika — powiedziała Mannea. — Aż do tej pory nic mu nie groziło, lecz przez całe lato wojska Autarchy znajdowały się w odwrocie i już niedługo wojna ogarnie tę okolicę. Ktoś musi do niego dotrzeć i przekonać, żeby do nas dołączył, a jeśli nie będzie chciał posłuchać, zmusić go, by to uczynił. Wierzę, iż Łagodziciel wybrał ciebie na posłańca. Zgadzasz się?

— Nie jestem dyplomatą — odparłem — ale jeśli chodzi o to drugie, to z całą uczciwością mogę stwierdzić, że otrzymałem odpowiednie, staranne wykształcenie. **Rozdział XV**

Najdalszy Dom

Mannea wręczyła mi naszkicowaną mapę z zaznaczonym miejscem pobytu pustelnika, podkreślając, że muszę trzymać się wytyczonej trasy, gdyż w przeciwnym razie z pewnością nie uda mi się dotrzeć do celu.

Mapa była tak niedokładna, że nie mogłem nawet ustalić położenia chaty pustelnika w stosunku do lazaretu, w dodatku zaś zaznaczone na niej odległości miały wyobrażać stopień trudności poszczególnych odcinków, wszelkie zakręty natomiast były dostosowane do wymiarów papieru. Ruszyłem na wschód, lecz wkrótce droga, którą podążałem, skręciła na północ, później na zachód, wiodąc głębokim wąwozem, którego dnem płynął wartki strumień, a wreszcie na południe.

W początkowej fazie wędrówki często spotykałem żołnierzy; raz nawet była to podwójna kolumna posuwająca się całą szerokością drogi, za którą podążały zwierzęta pociągowe zaprzęgnięte do wozów z rannymi. Dwukrotnie zatrzymywano mnie, ale za każdym razem list, który otrzymałem od przełożonej postulantek, wybawiał mnie z opresji. Został napisany na kremowym pergaminie, najlepszym, jaki kiedykolwiek widziałem, i opatrzono go pieczęcią zakonu. Jego treść brzmiała następująco:

Do wiadomości wszystkich, którzy służą.

Okazicielem niniejszego pisma jest nasz sługa Severian z Nessus, młodzieniec o ciemnych włosach, czarnych oczach i bladej cerze, szczupły, wzrostu znacznie powyżej średniego. Przez wzgląd na szacunek dla tradycji, której strzeżemy, a także na pomoc, jakiej kiedyś być może będziemy mogły wam udzielić, prosimy, abyście nie utrudniali mu realizacji zadania, jakie mu zleciłyśmy, lecz zaofiarowali mu wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował, a jakiej wy możecie udzielić.

Za Zgromadzenie Wędrujących Czciwielek Łagodziciela, zwanych także Pelerynami kasztelanka Mannea

opiekunka i wychowawczyni

Gdy tylko jednak zagłębiłem się w wąski wąwóz, odniosłem wrażenie, iż w jednej chwili przestały istnieć wszystkie armie świata. Szedłem zupełnie sam, a łoskot pędzącej wody zagłuszał dobiegający gdzieś z oddali, przytłumiony huk armat Autarchy.

Opisano mi dokładnie wygląd domu pustelnika, dodatkowo zaś dysponowałem jego szkicem, a także informacją, iż na dotarcie do niego będę potrzebował co najmniej dwóch dni.

Łatwo więc wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy o zachodzie słońca ujrzałem go na krawędzi urwiska wysoko nad moją głową.

O żadnej pomyłce nie mogło być mowy, gdyż rysunek Mannei doskonale oddawał

najbardziej rzucającą się w oczy cechę budowli to znaczy wysoki spadzisty dach, z pewnością solidny, ale nadający domowi pozory lekkości. W małym okienku płonęła już lampa.

Podczas wędrówki przez góry wspinałem się na wiele urwisk wyższych i bardziej stromych od tego, które miałem teraz przed sobą. Nie uśmiechała mi się perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem więc jak tylko zobaczyłem pustelnię, postanowiłem, że dotrę do niej, zanim zapadną całkowite ciemności.

Pierwsza część wspinaczki okazała się całkiem łatwa. Sunąłem po skalnej ścianie niczym kot i kiedy zapadł zmrok, byłem już w połowie drogi.

Nigdy nie miałem kłopotów z widzeniem w nocy, a że spodziewałem się, iż lada chwila na niebie pojawi się księżyc, uparcie podążałem w górę. Niestety okazało się, że się myliłem.

Podczas mego pobytu w lazarecie stary księżyc umarł, nowy zaś miał się narodzić dopiero za kilka dni. Gwiazdy, choć co chwila kryły się za goniącymi po niebie chmurami, dawały co prawda trochę światła, lecz było ono tak zwodnicze i niepewne, że czułem się znacznie lepiej bez niego. Nagle przypomniałem sobie, jak Agia w towarzystwie płatnych zabójców czekała kiedyś na mnie u wejścia do podziemnego królestwa małpoludów, i drobne włoski zjeżyły mi się na karku, jakbym oczekiwał, że lada chwila z ciemności posypią się na mnie eksplodujące pociski.

Wkrótce potem pojawiła się znacznie większa trudność: straciłem poczucie równowagi.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zupełnie nie mogłem utrzymać pionowej pozycji; w dalszym ciągu zdawałem sobie sprawę, że dół jest tam, gdzie wskazują moje stopy, a góra nad moją głową, ale nie byłem w stanie poczynić żadnych dokładniejszych ustaleń, w związku z czym miałem ogromne kłopoty z oszacowaniem odległości, na jaką wolno mi się wychylić, by znaleźć oparcie dla ręki lub stopy.

Akurat wtedy, kiedy moja dezorientacja była największa, chmury zwały szeregi i zapadła całkowita ciemność. Ja jednak nadal uparcie podążałem w górę; chwilami wydawało mi się, że urwisko zamieniło się w łagodny stok, na którym bez trudu mógłbym stanąć wyprostowany i dalszą część drogi przebyć szybkim marszem, chwilami zaś odnosiłem wrażenie, iż wiszę jak mucha, wczepiony wszystkimi czterema kończynami w spodnią stronę wystającego nad przepaść nawisu skalnego. Często byłem niemal pewien, że nie wspinałem się, tylko pełnę w lewo lub w prawo, a raz niewiele brakowało, bym ruszył głową na dół w stronę, z której przybyłem.

Wreszcie jednak udało mi się dotrzeć do krawędzi. Postanowiłem, że zostanę tam tak długo, aż znowu będę cokolwiek widział. Otuliwszy się szczelnie płaszczem położyłem się na ziemi, po czym przetoczyłem na bok, aby oprzeć się plecami o skalną ścianę. Nie natrafiłem jednak na żaden opór, a kiedy ponowna próba także zakończyła się niepowodzeniem, znieruchomiałem na wznak, niemal pewien, że w jakiś niezrozumiały sposób pomyliłem kierunki i coraz bardziej zbliżam się do krawędzi przepaści.

W tej samej chwili gdzieś niedaleko ogromna bombardarda wypluta z gardzieli śmiertcionośny ładunek i żółtawy poblask oświetlił od spodu ciężkie, brzuchate chmury. Błysk trwał niespełna jedno uderzenie serca, ale zdążyłem zobaczyć, że istotnie dotarłem do krawędzi przepaści i że nigdzie w pobliżu nie ma śladu domu, który widziałem z dna wąwozu. Wkrótce potem, leżąc na nagiej skale, poczułem na twarzy pierwsze krople deszczu.

Następnego ranka, zmarznięty i przygnębiony, zjadłem część żywności zabranej z lazaretu, po czym zszedłem na drugą stronę wzgórza, którego jedno zbocze stanowiło strome urwisko. Stok po przeciwnej stronie był znacznie łagodniejszy, ja zaś postanowiłem skorzystać z łatwiejszej drogi, zejść na dół, okrążyć wzniesienie i wrócić do głębokiego wąwozu zaznaczonego na mapie.

Niestety, nie zdołałem zrealizować tych planów — bynajmniej nie dlatego, żebym napotkał na swej drodze jakieś przeszkody niemożliwe do pokonania. Po prostu, po długim marszu znalazłem się w miejscu zupełnie niepodobnym do tego, do którego chciałem dotrzeć, gdyż wąwóz był znacznie płytszy, a strumień szerszy i spokojniejszy. Straciwszy na poszukiwania kilka wacht natrafiłem wreszcie na punkt, z którego (tak mi się przynajmniej wydawało) poprzedniego dnia dostrzegłem siedzibę pustelnika. Nie muszę chyba dodawać, że teraz nigdzie nie było ani pustelni, ani stromego urwiska, na którym stała.

Dopiero wtedy ponownie wyjąłem mapę, a przyjrzawszy się jej dokładnie zauważyłem sporządzony niezwykle delikatnym pismem podpis pod rysunkiem przedstawiającym chatę samotnika: Najdalszy Dom. Z jakiegoś powodu słowa te, a także sam rysunek, przywiodły mi na myśl nadrzewny domek, jaki Agia i ja widzieliśmy w dżungli, gdzie mąż i żona rozmawiali z nagim mężczyzną o imieniu Isangoma. Agia, która zdawała się sporo wiedzieć o Ogrodach Botanicznych, powiedziała mi wówczas, że nawet gdybym wrócił tą samą ścieżką, nie udałoby mi się po raz wtóry trafić do domku. Rozmyślając nad tym zdarzeniem, doszedłem do wniosku, że jej nie wierzę, choć wówczas z pewnością jej wierzyłem. Rzecz jasna, zmiana mego nastawienia mogła być reakcją na jej późniejszą zdradę albo też wtedy, zaledwie dzień po opuszczeniu Cytadeli, byłem znacznie bardziej naiwny i łatwowierny, choć nie sposób także wykluczyć możliwości, że uwierzyłem jej, ponieważ zobaczyłem tę rzecz i tych ludzi na własne oczy, a każdy z nas za najbardziej wiarygodnego świadka jest gotów uznać właśnie samego siebie.

Ogrody Botaniczne zbudował podobno Ojciec Inire. Czyż pustelnik nie mógł posiadać przynajmniej części tej samej wiedzy? Ojciec Inire zbudował także ów tajemny pokój w Domu Absolutu, który udawał zwykłe malowidło. Odkryłem to pomieszczenie wyłącznie dzięki wskazówkom starego czyściciela obrazów, który chciał, abym je odkrył. Teraz jednak przestałem się stosować do wskazówek Mannei...

Wróciłem na szczyt wzniesienia po łagodnym stoku i bez trudu odnalazłem strome urwisko oraz wąwóz ze spienionym strumieniem. Pozostały mi jeszcze co najwyżej dwie wachty dobrego oświetlenia, lecz mimo to postanowiłem zaryzykować: wkrótce okazało się, iż wędrówka w dół za dnia jest nieporównywalnie łatwiejsza od wspinaczki nocą. Po niespełna wachcie dotarłem na dno głębokiego wąwozu, który opuściłem minionego wieczoru. Tym razem w oknie nie płonęła lampa, lecz Najdalszy Dom stał tam gdzie przedtem, na skale, po której stąpałem zaledwie kilka wacht wcześniej. Pokręciłem głową, odwróciłem się i skorzystałem z resztek dziennego światła, aby ponownie przestudiować mapę narysowaną przez Manneę.

Zanim posunę się naprzód z moją opowieścią, czuję się w obowiązku podkreślić, iż wcale nie jestem pewien, czy w opisywanych przeze mnie wydarzeniach istotnie było coś nadnaturalnego. Co prawda Najdalszy Dom dwukrotnie ukazywał się moim oczom, lecz pierwszy raz miało to miejsce o zmierzchu, drugi zaś tuż przed jego zapadnięciem, nie sposób więc wykluczyć, iż stanowił on jedynie złudzenie: ściany i dach mogły być cieniami rzucanymi przez skały, oświetlone okno natomiast jasną

gwiazdą.

Co się tyczy zniknięcia głębokiego wąwozu, którego nie mogłem odnaleźć zbliżając się z drugiej strony... Chyba żaden element rzeźby terenu nie znika nam z oczu równie łatwo i chętnie jak wszelkiego rodzaju wąwozy, doliny i rozpadliny, gdyż potrafią się ukryć nawet za najmniejszą nierównością terenu. Niektóre społeczności autochtonów wykorzystują to zjawisko przy budowie swoich wiosek, aby uchronić się przed niepożądanymi odwiedzinami maruderów i dezertersów: najpierw drążą w ziemi wąską szczelinę, potem zaś wykuwają lub wygrzebują w jej ścianach swoje domostwa. Jak tylko trawa porośnie wydobytą na powierzchnię ziemię, co następuje bardzo szybko, czasem nawet już po pierwszym zimowym deszczu, można przejechać nawet w odległości pół łańcucha od całkiem sporej osady, w ogóle nie zdając sobie sprawy z jej istnienia.

Nie wydaje mi się jednak, abym był aż takim głupcem. Co prawda mistrz Palaemon mawiał, że wszystko co niewytłumaczalne istnieje po to, byśmy nie odczuwali upokorzenia lękając się nocnego wiatru, ja jednak wolałem wierzyć, iż w tej budowli było coś naprawdę niesamowitego. Teraz wierzę w to nawet silniej niż podówczas.

Bez względu na to, jak przedstawiała się prawda, od tej pory trzymałem się ściśle wskazań mapy i zanim minęła druga nocna wachta, znalazłem się na stromej ścieżce prowadzącej do drzwi Najdalszego Domu. Zgodnie z tym, co powiedziała Mannea, na dotarcie do niego potrzebowałem równo dwóch dni. **Rozdział XVI**

Pustelnik

Dom miał wąską werandę biegnącą wzdłuż całej frontowej ściany i skręcającą za rogi budynku. Takie same werandy widuje się czasem w lepszych wiejskich rezydencjach, których właściciele, nie lękając się żadnych niebezpieczeństw, lubią wieczorami zasiadać w fotelach i obserwować, jak Urth osuwa się coraz niżej i dalej od księżyca. Zastukałem do drzwi, a kiedy nie uzyskałem żadnej odpowiedzi, przeszedłem najpierw w lewą, potem zaś w prawą stronę, zaglądając w okna.

Niczego nie zobaczyłem, gdyż wewnątrz domku było pogrążone w ciemności, ale przekonałem się, że weranda sięga aż do urwiska, na jej końcu zaś nie ma żadnej, choćby najskromniejszej barierki. Zastukałem ponownie, z takim samym rezultatem co przedtem, a następnie zacząłem się sposobić do snu (zadaszona weranda zapewniała mi warunki znacznie lepsze niż jakakolwiek kryjówka wśród skał), kiedy nagle usłyszałem ciche kroki.

Gdzieś wysoko we wnętrzu tego wysokiego domu poruszał się człowiek. Początkowo szedł bardzo powoli, więc pomyślałem, że musi być stary albo chory, lecz stopniowo jego kroki stawały się coraz szybsze i pewniejsze. Kiedy zbliżyły się do drzwi, przypominały kroki żołnierza, może nawet oficera dowodzącego oddziałem piechoty lub kawalerii.

Podniosłem się z podłogi i otrzepałem płaszcz, aby zaprezentować się możliwie najlepiej, lecz byłem zupełnie nie przygotowany na widok, jaki ukazał się moim oczom, kiedy otworzyły się drzwi. Pustelnik trzymał w ręku świecę grubości mego przedramienia, jej blask zaś wydobywał z ciemności twarz bardzo podobną do twarzy hieroduli, których spotkałem w zamku Baldandersa, tyle tylko, że ta z pewnością należała do człowieka. Nie wiedzieć czemu nabrałem pewności, że tak jak oblicza posągów w Domu Absolutu miały naśladować twarze istot w rodzaju Famulimusa, Barbatusa i Osipago. tak z kolei ich oblicza stanowiły jedynie imitacje twarzy takich jak ta, którą teraz miałem przed sobą. Wielokrotnie wspominałem w mej relacji, że pamiętam wszystko, i tak jest w istocie; jednak kiedy teraz próbuję naszkicować na papierze choćby zarys tego oblicza, nie jestem w stanie tego uczynić. Mogę powiedzieć tylko tyle, że brwi były obfite i proste, oczy głęboko osadzone i błękitne jak oczy Thecli, a cera bardzo delikatna, niemal jak u kobiety. Jednak w rysach twarzy nie było nic kobiecego, sięgająca zaś do pasa broda miała kolor najgłębszej czerni. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, iż pustelnik ma na sobie białą szatę, ale zaraz potem dostrzegłem, iż tam, gdzie padał na nią blask świecy, mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

Ukloniłem się tak, jak mnie tego nauczono w Wieży Matachina, przedstawiłem się, wyjaśniłem, kto mnie przysłał, na koniec zaś zapytałem:

Sieur, czy ty właśnie jesteś pustelnikiem z Najdalszego Domu?

Skinał głową.

Jestem ostatnim, który tu mieszka. Możesz do mnie mówić Ash.

Odsunął się na bok i dał znak, abym wszedł do środka, po czym zaprowadził mnie do pokoju w tylnej części domu; z szerokiego okna roztaczał się widok na dolinę, po której zboczem wspinałem się minionego wieczoru. Wokół drewnianego stołu stały drewniane krzesła, natomiast w kątach i pod ścianami tajemniczo pobłyskiwały duże, metalowe skrzynie.

- Wybacz mi to skromne przyjęcie — przemówił ponownie gospodarz. — W tym właśnie pomieszczeniu przyjmuję gości, ale odwiedzają mnie tak rzadko, iż zacząłem traktować je jako magazyn.

— Kiedy mieszka się samotnie w takim odludnym miejscu, dobrze jest uchodzić za ubożego człowieka, mistrzu. Ten pokój jednak wcale nie wygląda ubogo.

Nie przypuszczałem, żeby na tej twarzy kiedykolwiek gościł uśmiech, ale on jednak się uśmiechnął.

— Chcesz zobaczyć moje skarby? Proszę, patrz. — Otworzywszy jedną ze skrzyń przytrzymał świecę w taki sposób, by oświetliła wnętrze wypełnione bochnami czerstwego chleba i pakietami suszonych fig. — Jesteś głodny? — zapytał, widząc moją minę. —

Zapewniam cię, że na tę żywność nie został rzucony żaden urok, jeśli obawiasz się takich rzeczy.

Zawstydziłem się, ponieważ dostałem od Peleryn spory zapas jedzenia i przypuszczałem, że wystarczyłoby mi go jeszcze na drogę powrotną, niemniej jednak odparłem:

— Chętnie skosztowałbym tego chleba, jeśli masz go w nadmiarze. Dał mi pół bochenka przekrojonego bardzo ostrym nożem, ser zawinięty w srebrzysty papier oraz nieco żółtego wytrawnego wina.

— Mannea to dobra kobieta — powiedział. — Ty natomiast, jak przypuszczam, jesteś dobrym człowiekiem, jednym z tych, którzy nie zdają sobie z tego sprawy. Czyżby przypuszczała, że zdołam ci pomóc?

— To raczej ja mam pomóc tobie, mistrzu Ash. Armie Wspólnoty znajdują się w odwrocie, już niedługo w tej okolicy rozgorzeje zacięta bitwa, potem zaś nadejdą Ascianie.

Ponownie się uśmiechnął.

— Ludzie bez cieni... To jedna z niezliczonych nazw, które jednocześnie są mylące i całkowicie prawdziwe. Co byś pomyślał, gdyby jakiś Ascianin powiedział ci, że nie ma cienia?

— Nie wiem. Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

— To stara historia. Lubisz stare historie? Ach, dostrzegłem błysk w twoim oku; wielka szkoda, że nie potrafię jej lepiej opowiedzieć. Nazywacie swoich nieprzyjaciół Ascianami, gdyż wasi ojcowie wierzyli, że ich wrogowie przybyli z centralnej części Urth, gdzie w południe słońce wisi bezpośrednio nad głowami. W rzeczywistości ich domy są położone znacznie dalej na północy, a jednak nazwa jest całkowicie słuszna. Według legendy sięgającej korzeniami do zarania dziejów naszej rasy, pewien człowiek sprzedał swój cień, w związku z czym nigdzie nie mógł dłużej zagrzać

miejsca, gdyż wypędzano go zewsząd, nie wierząc, że naprawdę jest człowiekiem.

Sącząc wino pomyślałem o więźniu, który był moim sąsiadem w lazarecie.

— Czy udało mu się odzyskać swój cień, mistrzu?

— Nie, ale przez pewien czas podróżował w towarzystwie człowieka, który utracił

odbicie. — Mistrz Ash umilkł na chwilę, po czym dodał: — Mannea to dobra kobieta. Chętnie zastosowałbym się do twojej rady, ale nie mogę stąd odejść. Poza tym, wojna nigdy tutaj nie dotrze, bez względu na to, w którą stronę skierują się armie.

— W takim razie, może zechciałbyś wrócić ze mną i osobiście uspokoić kasztelanę?

— Tego także nie wolno mi uczynić.

Zrozumiałem wówczas, iż będę musiał użyć siły, ale na razie nie wydawało mi się to konieczne; rano z pewnością nadarzy się odpowiednia okazja. Wzruszyłem ramionami z udawaną rezygnacją, po czym zapytałem:

— Wobec tego, czy przynajmniej pozwolisz mi spędzić tu noc? Muszę wrócić do lazaretu i przekazać wiadomość o twoim postanowieniu, ale odległość wynosi co najmniej piętnaście mil, ja zaś jestem już bardzo zmęczony.

Po raz kolejny dostrzegłem na jego twarzy delikatny uśmiech; tak właśnie mogłaby się uśmiechać rzeźba z kości słoniowej, oświetlona w pewien szczególny sposób migotliwym płomieniem świecy.

— Liczyłem na to, że uzyskam od ciebie trochę wiadomości o tym, co się dzieje w świecie, lecz widzę, że będę musiał z tym poczekać. Jak tylko skończysz jeść, wskażę ci twoje posłanie.

— Co prawda nie mam dworskich manier, mistrzu, ale nie jestem aż tak źle wychowany, żeby kłaść się spać, kiedy mój gospodarz pragnie ze mną porozmawiać, choć obawiam się, iż nie dowiesz się ode mnie zbyt wiele. Z opowiadań moich towarzyszy niedoli z lazaretu wynika, że wojna z każdym dniem staje się coraz bardziej zażarta. Nas wspomagają kolejne legiony i półlegiony, ich — całe armie przybywające jedna za drugą z północy, w dodatku dysponujące ciężką artylerią, w związku z czym my musimy polegać przede wszystkim na lancach miotających eksplodujące pociski; po strzale są szybko gotowe do ponownego użytku, dzięki czemu przeciwnik nie ma czasu zrobić użytku ze swojej broni, Ascianie mają także znacznie więcej ślizgaczy niż w ubiegłym roku, mimo że zniszczyliśmy znaczną ich liczbę. Ostatnio dowództwo objął sam Autarcha, który przywiódł ze sobą silne oddziały z Domu Absolutu, ale...

Wzruszyłem ramionami i umilkłem na chwilę, aby przeżuć kolejny kęs chleba z serem.

— Zawsze uważałem dzieje wojen za najbardziej nudną część historii, co nie znaczy, że nie jestem w stanie dostrzec w nich pewnych prawidłowości. Jeżeli któraś ze stron prowadzących długotrwałą wojnę nagle zaczyna zyskiwać przewagę, przyczyny należy upatrywać w jednej z trzech możliwości: pierwszą jest zawiązanie nowego sojuszu. Czy żołnierze biorący obecnie udział w walkach różnią się

jakoś od tych, z którymi mieliście do czynienia do tej pory?

— Owszem — odparłem. — Słyszałem, że są młodszy i znacznie słabszy oraz że spotyka się wśród nich wiele kobiet.

□

Żadnej różnicy w języku albo strojach?

Pokręciłem głową.

— Wobec tego, przynajmniej na razie, możemy wykluczyć pierwszą możliwość. Druga to zakończenie innej wojny, prowadzonej na odległych terenach. Gdyby tak było, oddziały przybywające z odsieczą składałyby się głównie z weteranów. Skoro jednak twierdzisz, że tak nie jest, pozostaje nam tylko trzecia ewentualność: waszym nieprzyjaciołom z jakiegoś powodu zaczęło bardzo zależeć na zwycięstwie i dążą do niego za wszelką cenę.

Co prawda uporałem się już z chlebem, ale prawie zapomniałem o zmęczeniu, gdyż słowa pustelnika bardzo mnie zaintrygowały.

— Co może być tego przyczyną?

— Wiedząc tak mało, mogę jedynie snuć domysły. Może ich przywódcy zaczęli obawiać się ludu znużonego wojną, a może wszyscy Ascianie to tylko niewolnicy, teraz zaś ich panowie postanowili osobiście przystąpić do dzieła?

— Przez chwilę pozwalasz mieć nadzieję, a zaraz potem każesz o niej zapomnieć, mistrzu.

— To nie ja, tylko historia. Czy byłeś na froncie? Pokręciłem głową.

— I bardzo dobrze. Można powiedzieć, że im więcej człowiek naoglądał się wojny, tym mniej o niej wie. Jakie nastroje panują wśród obywateli Wspólnoty? Czy zjednoczyli się pod berłem Autarchy czy też wojna tak bardzo dała im się we znaki, że głośno domagają się zawarcia pokoju?

— Roześmiałem się, słysząc te słowa, i poczułem, jak wezbraną falą ogarnia mnie ta sama gorycz, która kiedyś uczyniła ze mnie zwolennika Vodalusa.

— Zjednoczyli się? Domagają się pokoju? Wiem, że odizolowałeś się od rzeczywistości, mistrzu, by móc skoncentrować myśli na wyższych sprawach, ale doprawdy trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł tak niewiele wiedzieć o kraju, w którym żyje. Wojnę prowadzą karierowicze, najemnicy i młodzi poszukiwacze przygód. Sto mil na południe stąd, za murami Domu Absolutu, krążą jedynie plotki na jej temat.

Mistrz Ash zacisnął na chwilę usta.

— Wynika z tego, że Wspólnota jest znacznie silniejsza, niż przypuszczałem, Nic dziwnego, że waszych wrogów ogarnia desperacja.

— Jeżeli tak ma wyglądać siła, to niech Wszzechmocny zachowa nas od słabości. Mistrz, front może zostać przerwany w każdej chwili. Rozsądek nakazuje, abyś udał się wraz ze mną w bezpieczne miejsce.

Chyba mnie nawet nie usłyszał.

— Jeżeli do walki przyłączą się Ereb, Abaia i cała reszta, wytworzy się zupełnie nowa sytuacja. Bardzo interesujące... Ale ty przecież jesteś zmęczony! Chodź ze mną, pokażę ci twoje łóżko, a także te „wyższe sprawy”, na których, twoim zdaniem, koncentruję swoje myśli.

Dwa piętra wyżej weszliśmy do pokoju, gdzie prawdopodobnie płonęło światło, które dostrzegłem minionego wieczoru. Było to obszerne pomieszczenie o wielu oknach, zajmujące całą kondygnację budynku. Stało w nim trochę maszyn, jednak nie tak wielkich jak te w zamku Baldandersa, oraz stoły zawałone papierami i książkami, a na samym środku wąskie łóżko.

— Tutaj ucinam sobie krótką drzemkę, jeśli praca nie pozwala mi udać się na dłuższy spoczynek — powiedział mistrz Ash. — Łóżko może okazać się trochę za małe dla człowieka twojego wzrostu, ale jestem pewien, że nie będziesz narzekał na niewygodę.

Minioną noc spędziłem na nagiej skale, więc każde łóżko, choćby najmniejsze, stanowiło dla mnie bardzo pożądaną odmianę.

Pokazawszy mi, gdzie mogę zaspokoić potrzeby fizjologiczne i skorzystać z wody, mistrz Ash wyszedł z pokoju. Zanim zgasił świecę, dostrzegłem na jego ustach ten sam doskonały uśmiech, co przedtem. Bardzo szybko przestałem jednak o tym myśleć, gdyż jak tylko mój wzrok przywykł do ciemności, przekonałem się, że przez okna wlewa się gęsty, perlisty blask.

Znajdujemy się nad chmurami, pomyślałem, również uśmiechając się do siebie, albo raczej podczas naszej rozmowy chmury opadły poniżej samotnego domostwa. Teraz patrzę z góry na ich powłokę, najprawdziwsze „wyższe sprawy”, tak samo jak kiedyś spoglądałem na obłoki z oczu Typhona.

Potem ułożyłem się do snu. **Rozdział XVII**

Ragnarok — ostatnia zima

Czułem się trochę dziwnie, obudziwszy się bez broni u boku, choć z jakichś niewytłumaczonych powodów dopiero tego ranka po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę.

Po utracie Terminus Est bez żadnych obaw spędziłem noc w zamku Baldandersa, a potem wyruszyłem na północ. Jeszcze minioną noc przespałem, zupełnie bezbronny, na skalistej krawędzi urwiska, i także niczego się nie bałem — być może dlatego, że byłem tak bardzo zmęczony.

Myślę, iż przez wszystkie minione dni, a szczególnie te po mojej ucieczce z Thraxu, usiłowałem pozbyć się poczucia winy, wmawiając sobie, że jestem tym, za kogo brali mnie napotkam po drodze ludzie: poszukującym przygód wędrowcem. Jako kat zawsze traktowałem miecz nie jako broń, tylko jako narzędzie pracy i oznakę sprawowanej funkcji; teraz, we wspomnieniach, stał się dla mnie

orężem i nagle zdałem sobie sprawę z jego braku.

Rozmyślałem o tym leżąc na wznak na wygodnym łóżku mistrza Asha, z rękami podłożonymi pod głowę. Jeżeli chciałem pozostać na terenach ogarniętych wojną, musiałem jak najprędzej postarać się o jakiś miecz. Powinienem posiadać go nawet wtedy, gdybym zdecydował się ruszyć na południe. Tutaj w każdej chwili groziło mi wciągnięcie do walki, w której groziła śmierć, ale wędrówka na południe mogła okazać się jeszcze bardziej niebezpieczna. Abdiesus, archont Thraxu, bez wątpienia wyznaczył za moją głowę sowitą nagrodę, a gdyby zwierzchnicy konfraterni dowiedzieli się, że wróciłem w okolice Nessus, z pewnością nakazaliby mnie zgładzić.

Przez jakiś czas, wciąż jeszcze tylko na pół obudzony, rozważałem kolejne warianty, aż wreszcie przypomniałem sobie Winnoca oraz to, co opowiadał o życiu niewolników Peleryn.

Ponieważ nic nie stanowi większego upokorzenia dla kata niż przedwczesna śmierć klienta poddanego torturom, uczymy się także podstaw medycyny — przypuszczam, iż moja wiedza na ten temat niewiele ustępowała wiedzy kapłanek. Kasztelanka Mannea miała o mnie dobrą opinię, a będzie miała jeszcze lepszą, kiedy wrócę z mistrzem Ashem, więc...

Zaledwie kilka chwil temu byłem mocno zaniepokojony, ponieważ uświadomiłem sobie, że jestem bezbronny. Teraz wydawało mi się, że mam już broń — postanowienie i konkretny plan są znacznie lepsze od miecza, ponieważ w większym stopniu dają się kształtować woli człowieka. Odrzuciłem koce, a przy okazji zwróciłem uwagę, jak bardzo są miękkie. Obszerne pomieszczenie, choć chłodne, było wypełnione słonecznym blaskiem, tak jakby słońce świeciło ze wszystkich stron albo wszystkie cztery ściany znajdowały się od wschodniej strony. Zupełnie nagi podszedłem do najbliższego okna, by popatrzeć na pofalowaną białą powierzchnię, którą zauważyłem poprzedniego wieczoru.

Nie były to wcale chmury, lecz lodowa równina. Okno nie otwierało się albo ja nie potrafiłem uruchomić mechanizmu sterującego otwieraniem, więc tylko przycisnąłem twarz do szyby i spojrzałem w dół. Najdalszy Dom wznosił się na szczycie skalistego wzgórza, które jako jedyne wystawało ponad lodową skorupę. Przechodziłem od okna do okna, lecz wszędzie widok był taki sam. Wreszcie wróciłem do łóżka, wciągnąłem spodnie oraz buty, po czym narzuciłem płaszcz na ramiona.

W chwilę potem zjawił się mistrz Ash.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — powiedział. — Usłyszałem twoje kroki.

Potrząsnąłem głową.

— Nie chciałem cię niepokoić.

Moje ręce zupełnie same, bez udziału woli, przesunęły się po twarzy, a w najgłębszym zakątku mego umysłu pojawiła się myśl, że nie wiadomo kiedy zdążyłem wyhodować szczeciniasty zarost.

— Chciałem się ogolić, zanim założę płaszcz. Nie robiłem tego od chwili, kiedy opuściłem lazaret.

Czułem się tak, jakby moje myśli przedzierały się przez zwały lodu, pozostawiając usta i język

samym sobie.

— Masz tu gorącą wodę i mydło.

— To dobrze. Jeżeli zejść na dół... Znowu ten sam uśmiech.

— Chcesz zapytać, czy zobaczysz to samo? Lód? Nie. Jesteś pierwszym, który odgadł prawdę. Mogę zapytać, jak to zrobiłeś?

— Dawno temu (właściwie było to zaledwie przed kilkoma miesiącami, ale mnie wydaje się, że minęło już mnóstwo czasu) odwiedziłem Ogrody Botaniczne w Nessus. Znajduje się tam Ptasie Jezioro, w którym ciała zmarłych zachowują wieczną świeżość. Mówiono mi, że dzieje się tak za sprawą szczególnych właściwości wody, ale ja już wówczas nie bardzo mogłem w to uwierzyć. W innym miejscu, zwanym Dżunglą, liście są bardziej zielone niż gdziekolwiek na Urth — nie jasne, lecz ciemne swoją zielenią, jakby rośliny nie były w stanie spożytkować energii dostarczanej przez słońce. Ludzie, których tam spotkałem, zdawali się nie należeć do naszego czasu, choć trudno mi powiedzieć, czy pochodzili z przeszłości, przyszłości czy może z jakiegoś innego, trzeciego miejsca. Mieszkali w małym domku — był znacznie mniejszy od tego, ale mimo to bardzo go przypominał. Po opuszczeniu Ogrodów Botanicznych często wracałem do nich pamięcią, zastanawiając się, czy ich tajemnica przypadkiem nie polegała na tym, że w Ptasim Jeziorze czas stał w miejscu, natomiast każdy, kto wędrował ścieżkami wiodącymi przez Dżunglę, posuwał się albo z prądem, albo pod prąd czasu. Czy nie mówię zbyt wiele?

Mistrz Ash pokręcił głową.

— Kiedy się tu zbliżałem, dostrzegłem twój dom na szczycie wzgórza, ale wdrapawszy się tam już go nie znalazłem, a dolina, która ukazała się moim oczom, zupełnie nie przypominała tej, którą szedłem.

Umilkłem, gdyż nie miałem pojęcia, co jeszcze powinienem powiedzieć.

— Masz rację — odezwał się mistrz Ash. — Jestem tu po to, aby obserwować wszystko, co teraz widzisz, ale niższe piętra mego domu znajdują się w dawnych czasach, z których twoje są najdawniejsze.

— To bardzo niezwykle.

— Znacznie bardziej należy się dziwić, że lodowce oszczędziły tę skalną ostrogę, pokrywając szczyty znacznie wyższe i potężniejsze od tego. Mógł to sprawić jedynie przypadek.

— Ale ta skała także zniknie kiedyś pod lodem? — zapytałem.

— Tak jest.

— I co wtedy?

— Wtedy odejść, a raczej nawet trochę wcześniej.

Na chwilę ogarnął mnie irracjonalny gniew, taki sam, jaki czasem odczuwałem będąc chłopcem, kiedy mistrz Malrubius nie był w stanie zrozumieć moich pytań.

— Chodzi mi o to, co się wtedy stanie z Urth? Pustelnik wzruszył ramionami.

— Nic. Teraz widzisz ostatnie zlodowacenie. Powierzchnia słońca bardzo ostygła, ale wkrótce ponownie stanie się gorąca, tyle tylko, że jednocześnie słońce zacznie się szybko kurczyć, dostarczając coraz mniej energii krążącym wokół niego planetom. Gdyby wówczas ktoś stanął na lodowej skorupie i spojrział w górę, ujrzałby zaledwie nieco jaśniejszą gwiazdę. Lód nie byłby zamrożoną wodą, lecz zestaloną atmosferą planety. Trwałby w nie zmienionej postaci przez bardzo długi czas, może nawet do ostatniego dnia istnienia wszechświata.

Podszedłem do okna i spojrzałem na lodową pustynię.

— Kiedy to nastąpi?

— W tej chwili obserwujesz przyszłość oddaloną o wiele tysięcy lat od twojego czasu.

— Ale zanim do tego dojdzie, lód zacznie nadciągać z południa.

Ash skinął głową.

□

I zsuwać się z górskich szczytów. Chodź ze mną.

Zeszliśmy na drugie piętro, którego prawie nie zauważyłem, kiedy minionego wieczoru podążaliśmy na górę. Znajdowało się tu znacznie mniej okien, lecz mój gospodarz ustawił

krzesło przed jednym z nich i dał mi znak, abym usiadł i wyjrzał na zewnątrz. Było dokładnie tak, jak powiedział: lód, piękny w swej nieskalanej czystości, pełził w dół po górskich zboczach, tocząc zaciętą walkę z sosnami. Zapytałem, czy ta scena także rozegra się w odległej przyszłości, a on ponownie skinął głową.

— Nie za twego życia.

— A gdybym żył bardzo długo?

Poruszył lekko ramionami i uśmiechnął się pod wąsem.

— To zależy, co uznamy za “długo”. W każdym razie, ty z pewnością tego nie zobaczysz ani twoje dzieci i dzieci twoich dzieci. Jednak proces już się rozpoczął — szczerze mówiąc, rozpoczął się na długo przed twoim przyjściem na świat.

Prawie nic nie wiedziałem o południowych terenach, ale natychmiast przypomniałem sobie wyspiarzy z opowieści Halvarda, uprawiających niewielkie spłachetki żyznej ziemi i polujących na foki. Wątpię, żeby mogli tam przetrwać dużo dłużej. Już wkrótce dna ich łodzi po raz ostatni

zaszorują po kamienistej plaży. „Moja żona i dzieci, moja żona i dzieci...”

— Wielu ludziom spośród żyjących współcześnie z tobą udało się już uciec — ciągnął

mistrz Ash. — Ci, których nazywacie kakogenami, litościwie zawieźli ich na bardziej przyjazne planety. Jeszcze wielu uczyni to samo przed ostatecznym zwycięstwem lodu. Ja jestem potomkiem właśnie tych uciekinierów.

Zapytałem, czy wszyscy zdołają umknąć.

Potrząsnął głową.

— Nie wszyscy. Niektórzy nie będą chcieli, innych nie uda się w porę odnaleźć, dla jeszcze innych zabraknie miejsca.

Bardzo długo siedziałem bez ruchu, spoglądając na obleżoną przez lód dolinę i próbując uporządkować myśli.

— Zawsze wydawało mi się, że kapłani mówią uspokajające rzeczy, które nie mają nic wspólnego z prawdą, natomiast uczeni ujawniają przerażające prawdy. Kasztelanka Mannea powiedziała, że jesteś świętym człowiekiem, jednak ty wydajesz się raczej uczonym, gdyż sam przyznałeś, że wysłano cię na naszą martwą Urth, abyś badał lód.

— Rozróżnienie, na które się powołujesz, przestało już obowiązywać. Religia i nauka zawsze wiązały się z wiarą, więc były właściwie tym samym. Ty także należysz do tych, których nazywasz uczonymi albo ludźmi nauki, więc rozmawiam z tobą w określony sposób. Gdyby odwiedziła mnie Mannea w towarzystwie swoich kapłanek, mówiłbym nieco inaczej.

Towarzyszy mi tak wiele wspomnień, że czasem po prostu się wśród nich gubię. Kiedy tak spoglądałem na sosny kołyszące się w podmuchach niewyczuwalnego dla mnie wiatru, nagle odniosłem wrażenie, iż słyszę bicie bębna.

— Spotkałem kiedyś człowieka, który także twierdził, że przybywa z przyszłości —

powiedziałem. — Był zielony, prawie tak jak te drzewa, i zapewniał mnie, iż w jego czasach słońce świeci znacznie jaśniej.

— Bez wątpienia mówił prawdę.

— Ale przed chwilą sam powiedziałeś, że to, co widzę, wydarzy się zaledwie za kilka pokoleń, że stanowi cześć trwającego już procesu i że będzie ostatnim zlodowaceniem w historii!

Któryś z was musi wiec być fałszywym prorokiem.

— Wcale nie jestem prorokiem — odparł mistrz Ash — i on także nim nie był. Nikt nie zna przyszłości. Przez cały czas rozmawiamy o p r z e s z ł o ś c i.

Znowu ogarnął mnie gniew.

— Ale to dopiero ma się wydarzyć! Sam tak powiedziałeś.

— Istotnie. Jednak zarówno ty, jak i ten widok stanowicie dla mnie przeszłość.

— Nie jestem istotą z przeszłości! Należę do terażniejszości!

— Ze swojego punktu widzenia masz całkowitą rację, lecz zapominasz, że mój punkt widzenia nie ma nic wspólnego z twoim. Jesteś w moim domu i spoglądasz przez moje okna. Ten dom sięga fundamentami daleko w przeszłość — gdyby tak nie było, z pewnością bym tu oszalał, a tak mogę odczytywać minione stulecia niczym zapisaną księgę i słuchać głosów ludzi zmarłych dawno temu, w tym także twojego. Sądzisz, że czas przypomina pojedynczą nić... Tak naprawdę przypomina utkaną z tej nici tkaninę, rozciągającą się bez końca we wszystkich kierunkach. Ja zdecydowałem się ruszyć w przeszłość wzdłuż jednego ze wzorów, ale ty możesz podążyć ku przyszłości, idąc śladem jakiejś barwy. Nie mam pojęcia, na jaką się zdecydujesz; biała może doprowadzić cię do mnie, zielona — do zielonego człowieka.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wymamrotałem pod nosem, iż czas zawsze kojarzył mi się z płynącą rzeką.

— Pochodzisz z Nessus. prawda? Teraz to miasto stoi nad rzeką, ale kiedyś znajdowało się nad brzegiem morza, więc lepiej, żebyś wyobrażał sobie czas jako ogromny ocean, po którego powierzchni przebiegają fale, a pod nią płyną silne prądy.

□

Chce wrócić na dół — powiedziałem. — Do mojego czasu.

□

Rozumiem cię.

— Wątpię, mistrzu. O ile dobrze zrozumiałem, twój czas znajduje się na najwyższym piętrze domu, tam gdzie stoi twoje łóżko oraz wiele przydatnych urządzeń. Mimo to, jeśli akurat nie masz zbyt dużo pracy, śpisz tutaj, choć sam powiedziałeś, że teraz jesteśmy znacznie bliżej mojego czasu niż twojego.

Podniósł się z miejsca.

— Miało to oznaczać, że ja także uciekam przed lodem. Chodźmy, z pewnością pragniesz się posilić, zanim wyruszysz w długą drogę powrotną do Mannei.

— Obaj w nią wyruszymy.

Przystanął na pierwszym stopniu i odwrócił się w moją stronę.

— Już ci mówiłem, że nie mogę z tobą iść. Przekonałeś się na własne oczy, jak dobrze ukryty jest ten dom; dla tych, co nie podążają właściwym szlakiem, nawet jego parter jest w odległej przyszłości.

Wykręciłem mu ramiona do tyłu. unieruchomiłem je jedną ręką, drugą zaś szybko przetrząsałem jego kieszenie w poszukiwaniu broni. Nie miał jej przy sobie, a choć był silny, to na szczęście nie aż tak, jak się tego obawiałem.

— Masz zamiar mimo wszystko dostarczyć mnie Mannei, prawda?

— Tak, mistrzu. Oszczędziłbyś nam obu mnóstwa kłopotów, gdybyś zechciał iść o własnych siłach. Powiedz mi teraz, gdzie mogę znaleźć jakiś sznur; nie chciałbym korzystać z twojego paska.

— Nie mam sznura — odparł. Wobec tego jednak związałem mu ręce paskiem.

— Uwolnię cię, kiedy znajdziemy się wystarczająco daleko stąd, ale tylko wówczas, gdy dasz mi słowo, że nie będziesz próbował ucieczki.

— Okazałem ci gościnę w moim domu. Czyżbym uczynił ci coś złego?

— Owszem, ale teraz nie ma to znaczenia. Lubię cię, mistrzu, a także szanuję. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe tego, co robię, podobnie jak ja nie wziąłem ci za złe tego, co mi uczyniłeś. Peleryny wysłały mnie tutaj po to, żebym cię przyprowadził, a ja zawsze staram się wywiązywać z podjętych zobowiązań. Nie schodź za szybko. bo jeśli się potkniesz, nie będziesz mógł chwycić się poręczy,

Zaprowadziłem go do pokoju, w którym przyjął mnie poprzedniego wieczoru, i wziąłem nieco chleba oraz paczkę suszonych owoców.

Nie uważam się już za niego — ciągnąłem — ale zostałem wychowany na... — Niewiele brakowało, a powiedziałbym „kata”. lecz chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, iż nie jest

to właściwe słowo i posłużyłem się oficjalnym określeniem używanym przez członków konfraterni — ...na Poszukiwacza Prawdy i Skruchy, My dotrzymujemy obietnic.

— Mam wiele obowiązków, szczególnie na tym piętrze, gdzie spałeś.

— Obawiam się, że będziesz musiał o nich zapomnieć. Milcząc wyszliśmy na zbocze skalistego wzgórza.

— Pójdę z tobą, jeśli zdołam — odezwał się po dłuższym czasie. — Szczerze mówiąc, wiele razy przymierzałem się do tego, by ruszyć przed siebie i nigdy się nie zatrzymać.

Odparłem, że jeśli da mi słowo honoru, natychmiast go rozwiążę, ale on pokręcił głową.

— Mógłbyś wówczas pomyśleć, że zламаłem przysięgę. Nie zrozumiałem, co ma na myśli.

— Twój świat jest twoim światem i mogę w nim egzystować tylko wtedy, jeśli prawdopodobieństwo

mojego zaistnienia będzie odpowiednio wysokie.

— Ja przecież nie zniknąłem w twoim domu, prawda?

— Rzeczywiście, gdyż prawdopodobieństwo twojego zaistnienia było całkowite.

Stanowisz część przeszłości, z której wywodzimy się ja i mój dom, nie wiadomo natomiast, czyja należą do twojej przyszłości.

Pomyślałem o zielonym człowieku z Saltus, który wydawał się całkiem solidny.

— Czyżbyś miał zamiar prysnąć jak bańka mydlana? A może rozwiejesz się jak dym?

— Nie wiem — odparł. — Nie mam pojęcia, co się ze mną stanie ani gdzie się znajdę, kiedy to nastąpi. Być może w ogóle przestanę istnieć w jakimkolwiek czasie... Właśnie dlatego nigdy nie opuściłbym mego domu z własnej woli.

Zacisnąłem rękę na jego ramieniu - zapewne przypuszczałem, iż w ten sposób zdołam go przy sobie zatrzymać — i ruszyliśmy w drogę. Szedłem trasą wyznaczoną przez Manneę, więc Najdalszy Dom wznosił się za nami. równie trwały i rzeczywisty, jak zwykły dom. Myśli miałem zaprzątnięte tym wszystkim, co niedawno zobaczyłem i usłyszałem, w związku z czym przestałem zwracać uwagę na mego więźnia. Wzmianka, jaką uczynił na temat tkaniny, przypomniła mi o Valerii; ściany pokoju, w którym jedliśmy ciastka, były zawieszane wielkimi tkanymi obrazami, to zaś, co mówił o wielokrotnie przeplatanej nici. mogło stanowić aluzję do labiryntu tuneli, który musiałem pokonać, aby dotrzeć do Ogrodu Czasu. Chciałem mu o tym powiedzieć, lecz w tej samej chwili przekonałem się, że ściskam w rękę jedynie powietrze.

Najdalszy Dom uniósł się lekko, tak że przez jedno uderzenie serca przypominał statek na oceanie lodu, po czym wtopił się w ciemne skały wzgórza. Rzekomy lód okazał się tym, za co wzięłem go początkowo, to znaczy kłębowiskiem chmur. **Rozdział XVIII Prośba Foili**

Przez następne sto kroków, a może więcej, wyczuwałem jeszcze obecność mistrza Asha, a kilka razy nawet udało mi się dostrzec kątem oka jego sylwetkę. Nie wiem, jak to było możliwe ani w jaki sposób mógł jednocześnie być i nie być ze mną. Do naszych oczu bez przerwy dociera nie uporządkowany deszcz fotonów, z których każdy przypomina nieskończenie małe słońce

— tak przynajmniej uczył nas mistrz Palaemon, sam niemal całkowicie ślepy. Dzięki nim wydaje nam się, że widzimy na przykład człowieka, choć czasem bywa on równie albo nawet jeszcze bardziej niematerialny, jak mistrz Ash.

Czułem także jego mądrość, melancholijną, ale prawdziwą. Nagle zapragnąłem, aby pozostał ze mną, choć oznaczałoby to nieuchronne nadejście wielkiego lodu.

— Jestem bardzo samotny, mistrzu — powiedziałem, nie śmiać się obejrzeć. — Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo. Wydaje mi się, że ty cierpiełaś z tego samego powodu.

Kim była kobieta, którą nazwałeś Viną?

Możliwe, iż tylko wyobraziłem sobie jego głos:

— Pierwszą kobietą.

— Meschianą? Znam ją, rzeczywiście jest bardzo piękna. Moją Meschianą była Dorcas, za którą ogromnie tęsknię, podobnie jak za wszystkimi innymi. Kiedy Thecla stała się częścią mnie, myślałem, że już nigdy nie będę samotny, lecz teraz ona i ja właściwie stanowimy jedno, więc zaczęło mi brakować innych: Dorcas, wyspiarki o imieniu Pia, małego Severiana, Drotte'a i Roche'a... Gdyby zjawił się tu Eata, z radością przycisnąłbym go do piersi.

Jednak przede wszystkim chciałbym ponownie zobaczyć Valerię. Jolenta z pewnością była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek Widziałem, lecz w twarzy Valerii dostrzegłem coś, co rozdarło mi serce. Byłem wtedy tylko chłopcem, choć nie myślałem o sobie w ten sposób.

Wypełzłem z ciemności i niespodziewanie znalazłem się w miejscu zwanym Ogrodem Czasu.

Wieże — należały do rodziny Valerii — otaczały go ze wszystkich stron. Pośrodku stał

przechylony obelisk z zegarem słonecznym, a choć pamiętam, że wskazówka rzucała cień na śnieg, to nie wydaje mi się, żeby promienie słońca mogły tam docierać dłużej niż przez dwie lub trzy wachty każdego dnia. Jesteś znacznie mądrzejszy ode mnie, mistrzu, więc czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego postawiono zegar słoneczny w cieniu ogromnych wież?

Wiatr, do tej pory snujący się leniwie wśród skał, nagle powiał nieco silniej, szarpiąc moim płaszczem, który rozpostarł się za mną na kształt kruczoczarnych skrzydeł. Pospiesznie chwyciłem furkoczące poły i naciągnąłem kaptur na głowę.

— Szedłem śladem psa. Nadałem mu imię Triskele i wmawiałem sobie, że jest mój, choć nie wolno nam było trzymać żadnych zwierząt. Znalazłem go pewnego zimowego dnia. Praliśmy pościel klientów, kiedy nagle zatkał się odpływ. Niespecjalnie przykładałem się do pracy, więc Drotte kazał mi wyjść na dwór i przetkać rurę specjalnym wyciorem. Wiał przeraźliwie zimny wiatr. Wtedy nie miałem o tym pojęcia, ale teraz rozumiem, że zbliżało się zlodowacenie, bo co roku zimy stawały się coraz bardziej surowe. Rzecz jasna, jak tylko otworzyłem kratę zamykającą wylot rury odpływowej, brudna woda chlusnęła mi na ręce i ramiona.

Znajdowałem się w paskudnym nastroju, ponieważ byłem najstarszy wśród uczniów, nie licząc Drotte'a i Roche'a. i uważałem, że ta robota powinna przypaść w udziale któremuś z młodszych chłopców. Właśnie wtedy dostrzegłem go po drugiej stronie Starego Dziedzińca.

Poprzedniego wieczoru mieszkańcy Niedźwiedziej Wieży urządzili sobie chyba prywatny turniej, gdyż przed drzwiami leżały ciała martwych zwierząt. czekając na uprzątnięcie. Były wśród nich arsinoither, smilodon, a także kilka potężnych wilków. Pies leżał na samym wierzchu.

Pomyślałem, że zapewne zginął jako ostatni, a przyjrząwszy się jego ranom doszedłem do wniosku, iż zabił go jeden z wilków. W rzeczywistości pies jeszcze żył, choć sprawiał wrażenie martwego.

Zbliżyłem się, aby go obejrzeć; stanowiło to pretekst do przerwania pracy oraz dawało mi

możliwość rozgrzania zziębniętych rąk. Był sztywny i zimny jak... no, po prostu jak trup. Kiedyś zabiłem mieczem byka. a kiedy leżał martwy u moich stóp w kałuży własnej krwi i tak wyglądał

na bardziej żywego niż wówczas Triskele. W każdym razie, wyciągnąłem rękę i pogłaskałem go po łbie. Był większy od niedźwiedziej głowy i pozbawiony uszu, po których zostały tylko małe otworki. Kiedy dotknąłem go, pies otworzył oczy. a wtedy ja popędziłem z powrotem na naszą stronę Dziedzińca i zacząłem przepychać rurę z taką energią, że niemal natychmiast złamałem wycior; bałem się, żeby Drotte nie posłał Roche'a, by ten sprawdził, co robię.

Teraz, gdy wracam myślą do tamtych wydarzeń, odnoszę wrażenie, jakbym już wtedy znajdował się w posiadaniu Pazura, ponad rok przed chwilą, kiedy naprawdę dostał się w moje ręce. Nie potrafię opowiedzieć, jak wyglądał Triskele, kiedy na mnie spojrział, lecz jego wzrok poruszył moje serce. Nigdy nie skorzystałem z Pazura, aby pomóc jakiemuś zwierzęciu —

zazwyczaj zależało mi na tym, aby któreś zabić. aby w ten sposób zdobyć pożywienie obecnie jednak wcale nie jestem pewien, czy naprawdę powinniśmy zjadać zwierzęta. Zwróciłem uwagę, że wśród twoich zapasów żywności nie było ani odrobiny mięsa, tylko chleb, ser, wino i suszone owoce. Czy w twoim czasie, obojętnie na jakiej planecie, ludzie doszli do tego samego wniosku?

Umilkłem, oczekując odpowiedzi, lecz jej nie otrzymałem. Wszystkie górskie szczyty osunęły się już poniżej tarczy słońca; nie wiedziałem, czy wciąż jeszcze podąża za mną ledwo uchwytnie wspomnienie o mistrzu Ashu czy też już tylko mój cień.

— Pazur nie potrafił przywrócić życia ludziom, którzy utracili je z ręki innego człowieka, choć zaleczył ranę małpoluda, któremu odrąbałem ramię. Dorcas przypuszczała, iż stało się tak dlatego, że ja sam to uczyniłem. Nie wiem, co o tym myśleć; nigdy nie przyszło mi do głowy, że Pazur może wiedzieć, kto się nim posługuje, choć teraz wydaje mi się to całkiem prawdopodobne.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — rozległ się obcy głos.

Podniósłszy głowę ujrzałem w odległości jakichś czterdziestu kroków kawalerzystę w takim samym mundurze, jaki miał na sobie ten, którego na drodze prowadzącej do Domu Absolutu zabiły notule Hethora. Nie bardzo wiedziałem, jak powinienem zareagować, ale na wszelki wypadek pomachałem mu ręką i zawołałem:

□

Czyżbyśmy mieli już Nowy Rok?

Podjechał do mnie galopem.

— Jest środek lata, a więc początek nowego roku, który będzie wspaniały dla naszego Autarchy.

Pospiesznie odszukałem w pamięci jeden z ulubionych zwrotów Jolenty:

— Którego serce jest świątynią dla jego poddanych.

— Dobrze powiedziane! Jestem Ibar z Siedemdziesiątej Ósmej ksenagii, wyznaczony do patrolowania drogi aż do zmierzchu.

— Przypuszczam, że w tej okolicy wolno korzystać z dróg?

— Jak najbardziej, naturalnie pod warunkiem, że masz jakiś dokument potwierdzający twoją tożsamość.

— Tak, oczywiście.

Prawie zapomniałem o liście, który dała mi Mannea. Wyjąłem go z sakwy i wręczyłem jeźdźcowi.

Miałem poważne wątpliwości, czy żołnierze, którzy zatrzymywali mnie podczas mojej wędrówki ku Najdalszemu Domowi, potrafili przeczytać choć jedno słowo. Każdy z nich z mądrą miną wpatrywał się w papier, ale jest całkiem możliwe, iż jedyne, co widzieli, to pieczęć zakonu oraz regularne, energiczne pismo Mannei, którego treść pozostawała jednak dla nich całkowitą tajemnicą. Ten żołnierz na pewno umiał czytać, gdyż widziałem, jak porusza oczami, przesuwając wzrok po kartce, i chyba nawet udało mi się wychwycić moment, kiedy zatrzymał

się na chwile przy zwrocie “abyście nie utrudniali mu realizacji zadania”.

Skończywszy lekturę starannie złożył pergamin, ale nie oddał mi go.

— A więc jesteś sługą Peleryn?

— Owszem, mam zaszczyt im służyć.

— Czyli modliłeś się, kiedy cię zobaczyłem. W pierwszej chwili pomyślałem, że mówisz sam do siebie. Ja nie zaprzęgam sobie głowy żadnymi religijnymi bzdurami; nad sobą mam dowódcę, dużo wyżej zaś Autarchę, i to mi w zupełności wystarczy, ale słyszałem, że Peleryny są w porządku.

Skinałem głową.

— Jestem o tym przekonany.

— Wysłały cię z jakimś zadaniem... Ile dni temu?

— Trzy.

— Czy teraz wracasz do lazaretu na Przełęcz Środkowej?

— Tak. Mam nadzieję dotrzeć tam przed zachodem słońca.

— Nie uda ci się. I jeśli chcesz mojej rady, to nie śpiesz się za bardzo.

Zwrócił mi list, a ja schowałem pismo do sakwy.

— Podróżowałem z towarzyszem, ale jakiś czas temu straciliśmy się z oczu. Może go widziałeś?

Opisałem mu mistrza Asha.

Żołnierz pokręcił głową.

— Będę miał na niego oko i jeśli go zobaczę, to powiem mu. w którą stronę poszedłeś.

Czy odpowiesz mi na jedno pytanie? Nie musisz, bo zadam ci je zupełnie prywatnie.

— Odpowiem, jeśli będę mógł.

— Co masz zamiar robić, kiedy odejdziesz od Peleryn? Nawet nie starałem się ukryć zaskoczenia.

— Wcale nie chcę od nich odchodzić. To znaczy, przynajmniej przez pewien czas.

— Gdybyś jednak miał zamiar to zrobić, pamiętaj o lekkiej kawalerii. Wyglądasz na zdolnego człowieka, a tacy zawsze są nam potrzebni. Będziesz żył o połowę dłużej niż w piechocie i czeka cię dwa razy więcej dobrej zabawy.

Odjechał, a ja długo zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że zupełnie szczerze radził mi spędzić noc na drodze, lecz jego szczerłość odniosła tylko taki skutek, że jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Mam tak długie nogi, iż w razie potrzeby mogę maszerować nie wolniej od tych, co biegną truchtem; teraz w pełni wykorzystałem tę umiejętność, porzuciwszy na jakiś czas wszelkie myśli o mistrzu Ashu i własnej przeszłości.

Całkiem możliwe, że Ash towarzyszył mi jednak nawet wtedy, a nie da się wykluczyć, iż jakaś jego część pozostała przy mnie po dziś dzień; jeśli jednak tak jest, to wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy i nadal nie zdaję.

Urth nie zdążyła jeszcze zupełnie odwrócić twarzy od słońca, kiedy dotarłem do wąskiej dróżki, w którą niewiele więcej niż tydzień temu skręciliśmy z martwym żołnierzem. Wciąż widać było na niej plamy krwi, chyba nawet jeszcze więcej, niż wtedy. Słowa jeźdźca sprawiły, iż zacząłem się obawiać, czy aby Peleryny nie zostały oskarżone o jakąś niegodziwość, teraz jednak zorientowałem się, iż chodziło mu jedynie o to, że do lazaretu napłynęła kolejna fala rannych i, jego zdaniem, powinienem nieco odpocząć, zanim wezmę się do pracy. Poczułem wielką ulgę, gdyż oto nadarzała się szansa, abym zademonstrował swoje umiejętności, co powinno znacznie zwiększyć moje szansę, kiedy poproszę Manneę o kupienie mnie w charakterze niewolnika - - naturalnie pod warunkiem, że zdołam przedstawić jakąś przekonującą historię, która wyjaśni przyczyny mego niepowodzenia w Najdalszym Domu.

Kiedy jednak minąłem ostatni zakręt, moim oczom ukazał się przerażający widok.

Tam, gdzie jeszcze nie tak dawno stał polowy szpital, ziemia wyglądała tak, jakby rzuciła się na nią z łopatami i kilofami horda szaleńców. W płytkim zagłębieniu utworzyło się już małe jezioro, a drzewa dookoła były połamane jak patyki.

Aż do zapadnięcia całkowitej ciemności chodziłem w tę i z powrotem po dotkniętym kataklizmem terenie, szukając jakiegokolwiek śladu przyjaciół, a także choćby resztek ołtarza, w którym ukryłem Pazur Łagodziciela. Znalazłem tylko oderwaną rękę mężczyzny mogła należeć do Melita, Halvarda, asciańskiego więźnia, Winnoca albo do kogokolwiek innego.

Noc spędziłem na poboczu drogi. O pierwszym brzasku wznowiłem poszukiwania, tuż przed wieczorem zaś, w odległości co najmniej pięciu mil, odnalazłem tych, którzy ocalili.

Długo chodziłem od posłania do posłania, ale większość rannych była nieprzytomna, niemal wszyscy zaś mieli obandażowane głowy, w związku z czym nie dało się dostrzec ich twarzy.

Możliwe, iż były wśród nich Ava. Mannea oraz Peleryna, która rozmawiała ze mną po kolacji, ale nie udało mi się ich odszukać.

Znalazłem tylko Foilę, a raczej to ona mnie dostrzegła i zawołała po imieniu, kiedy snułem się wśród rannych i umierających. Natychmiast pospieszyłem do jej posłania, po czym zacząłem ją wypytywać, ale była tak słaba, że niewiele się od niej dowiedziałem. Atak nastąpił

bez żadnego ostrzeżenia, a cios był tak potężny, że zdruzgotał lazaret niczym uderzenie ogromnej pięści. Foila pamiętała właściwie tylko to, co było potem: chaos, zamieszanie, rozpaczliwe krzyki, na które długo nikt nie reagował, a wreszcie przybycie żołnierzy. Wyciągnęli ją ze zgliszczy, ale nie potrafili opatrzyć ran. Pocałowałem ją mocno i obiecałem, że wkrótce znowu ją odwiedzę — chyba oboje zdawaliśmy sobie sprawę, iż nie zdołam dotrzymać tego przyrzeczenia.

— Pamiętasz, jak opowiadaliśmy sobie historie? Wiele o nich myślałam.

Odparłem, że wcale mnie to nie dziwi.

— Szczególnie wtedy, kiedy mnie tu nieśli. Melito i Halvard chyba nie żyją, więc teraz już tylko ty znasz je wszystkie, Severianie.

Zapewniłem ją, że nigdy ich nie zapomnę.

— Chcę, byś opowiadał je ludziom. W zimowe dni albo wieczory, kiedy nie ma nic do roboty. Zapamiętałeś je?

— “Moja ojczysta ziemia jest rozległa, nakryta ogromną czaszą nieba...”

□

Tak... — szepnęła.

Wydawało mi się, że zapadła w sen.

Wywiązałem się z drugiej obietnicy; najpierw spisałem wszystkie opowieści na pustych stronach w końcowej części brązowej książki, a potem powtórzyłem je wszystkie w mojej relacji, dokładnie w takiej postaci, w jakiej je usłyszałem. **Rozdział XIX**

Guasacht

Następne dwa dni spędziłem włócząc się bez celu. Nie będę o nich opowiadał, gdyż niewiele jest do opowiadania. Przypuszczam, iż bez żadnych trudności zostałem przyjęty do jakiegoś oddziału, ale wcale nie byłem pewien, czy na tym mi właśnie zależy. Mógłbym także wrócić do Najdalszego Domu, ale poczucie dumy nie pozwalało mi zdać się na łaskę mistrza Asha — naturalnie zakładając, że jeszcze bym go tam zastał. Próbowałem sobie wmówić, iż z ochotą ponownie objąłbym stanowisko liktora w Thraksie, lecz nawet mnie trudno było w to uwierzyć. Spałem jak zwierzę w lesie i jadłem to, co mi wpadło w ręce, czyli niewiele.

Trzeciego dnia znalazłem zardzewiały miecz, który przypuszczalnie przeleżał na ziemi od ubiegłego roku. Wydobyłem z sakwy flaszeczkę z oliwą oraz złamaną osełkę (nie pozbyłem się ich nawet po tym, jak fale jeziora Diuturna zamknęły się nad zgruchotanymi resztkami ostrza Terminus Est) i spędziłem bardzo miło całą wachtę na czyszczeniu i ostrzeniu broni. Uporawszy się z tą robotą ruszyłem przed siebie, by wkrótce dotrzeć do drogi.

Ponieważ w związku z ostatnimi wydarzeniami list żelazny otrzymany od Peleryn nieco się zdezaktualizował, poruszałem się znacznie ostrożniej niż wtedy, kiedy wracałem z pustelni mistrza Asha. Z drugiej jednak strony wydawało się całkiem prawdopodobne, że wskrzeszony przez Pazur żołnierz, który kazał nazywać się Milesem, mimo iż byłem pewien, że przynajmniej w części jest Jonasem, wstąpił już do jakiegoś oddziału, a jeżeli nie ruszył od razu do boju, przypuszczalnie przebywał w jednym z wojskowych obozów, jakich wiele rozbito w pobliżu drogi, lub nawet maszerował po niej ku nowemu miejscu przeznaczenia, mnie zaś bardzo zależało na tym, żeby z nim porozmawiać. Podobnie jak Dorcas, spędził pewien czas w krainie umarłych. Ona przebywała tam znacznie dłużej, ale miałem nadzieję, że jeśli zapytam go w ciągu najbliższych kilku dni, zanim jego wspomnienia zdążą się zatrzeć, dowiem się czegoś, co może nie pozwoli mi jej odzyskać, ale przynajmniej pomoże pogodzić się ze stratą.

Dopiero teraz bowiem zrozumiałem, że kochani ją bardziej niż wówczas, gdy podążaliśmy w kierunku Thraxu. Wtedy moje myśli w nazbyt wielkim stopniu były myślami Thecli, w chwili obecnej natomiast — być może dlatego, że już tak długo stanowiła moją nieod-

łączną część — posiadałem ją w sposób bardziej wyraźny i ostateczny niż podczas aktu płciowego, kiedy to męskie nasienie wnika w ciało kobiety, by dać początek (jeśli taka będzie wola Apejrone) nowej istocie. Ona wniknęła we mnie przez usta, a z połączenia mojej i jej woli miał powstać nowy Severian — cały czas nim jestem, choć zdaje sobie sprawę z niezwykłości zmiany, jaka we mnie zaszła.

Nie mam pojęcia, czy istotnie udałoby mi się czegoś dowiedzieć od Milesa-Jonasa. Nigdy nie zdołałem go odszukać, choć po dziś dzień nie zaprzestałem wysiłków. Późnym popołudniem tamtego dnia dotarłem do okolicy pełnej połamanych drzew, a od czasu do czasu mijałem zwłoki w różnych stadiach rozkładu. Początkowo próbowałem ograbić je, tak jak uczyniłem z Milesem-Jonasem, lecz inni byli przede mną, wszystkie trupy nosiły zaś wyraźne ślady po nocnych odwiedzinach feneków o ostrych jak sztylety zębach.

Nieco później, kiedy począłem tracić siły, zatrzymałem się przy osmalonych resztkach pustego wozu zaopatrzeniowego. Zwierzęta pociągowe — zginęły chyba niezbyt dawno temu —

leżały na drodze po obu stronach woźnicy; przyszło mi do głowy, że przecież mogę wyciąć z nich tyle mięsa, ile będę potrzebował, a następnie zanieść je w jakieś odosobnione miejsce, gdzie rozpalę ogień. Jednak w chwili, kiedy zagłębiłem ostrze w tuszy pierwszego zwierzęcia, usłyszałem szybko zbliżający się tętent, więc cofnąłem się na skraj drogi, by przepuścić jeźdźca.

Okazał się nim niewysoki, energiczny mężczyzna solidnej postury, dosiadający dużego, niespokojnego wierzchowca. Na mój widok raptownie ściągnął wodze, lecz wyraz jego twarzy powiedział mi, że nie muszę ani sięgać po broń, ani szukać ratunku w ucieczce. (Gdybym musiał

wybierać, wybrałbym walkę. Wśród pni powalonych drzew i rozwleczonych resztek wozu nie mógł w pełni wykorzystać przewagi, jaką dawało mu posiadanie wierzchowca, a mimo jego kolczugi i błyszczącego hełmu odniosłem wrażenie, iż zdołałbym go pokonać).

— Kim jesteś? — zawołał, a kiedy mu powiedziałem, mruknął: — Severian z Nessus, tak? Wyglądasz na cywilizowanego człowieka, ale chyba ostatnio nie jadałeś do syta?

— Wręcz przeciwnie — odparłem. — Nawet lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Nie chciałem, aby domyślił się, że jestem osłabiony.

— Przypuszczam jednak, iż nie miałbyś nic przeciwko solidnemu posiłkowi, bo krew na twoim mieczu z pewnością nie jest krwią Ascianina. Jesteś niewolnikiem czy włóczęgą?

— Istotnie, ostatnio życie upływa mi głównie na włóczędze.

— Więc nie jesteś związany z żadną formacją?

Z zaskakującą zwinnością zeskoczył z siodła, pozwolił wodzom opaść na ziemię, a następnie podszedł do mnie szybkim krokiem. Miał trochę krzywe nogi oraz twarz z tych, które zdają się ulepione z gliny, przed samym wypalaniem zaś spłaszczone z góry i z dołu, w związku z czym czoło i podbródek są niskie, usta szerokie, a oczy przypominają wąskie szparki. Mimo to spodobał mi się, częściowo ze względu na swoją nadzwyczajną energię, a częściowo dlatego, że nie czynił żadnych wysiłków, aby ukryć przede mną, kim jest naprawdę.

— Nie jestem związany z nikim i z niczym, nie licząc wspomnień.

— Ach! -- Na chwilę wzniosł oczy ku niebu. — Wiem, wiem... Każdy z nas miał w życiu różne kłopoty, każdy, co do jednego. Poszło o kobietę czy w grę wchodzi jakiś zatarg z prawem?

Do tej pory nigdy nie rozpatrywałem swoich problemów z tego punktu widzenia, ale po krótkim zastanowieniu przyznałem, że w grę wchodzi obie sprawy.

— W takim razie zjawileś się w odpowiednim miejscu i spotkałeś odpowiedniego człowieka. Co powiesz na smaczną wieczerzę i gromadę nowych przyjaciół dzisiaj, a garść orichalków jutro?

Podoba ci się coś takiego? Pewnie, że się podoba!

Wrócił do wierzchowca i szybkim ruchem chwycił go za wodze, zanim zwierzę zdążyło się cofnąć. Zaraz potem wskoczył na siodło równie lekko i zwinnie, jak przed chwilą z niego zeskakiwał,

— Siadaj za mną! — zawołał. — To niedaleko stąd, a mój rumak bez trudu poradzi sobie z podwójnym ciężarem.

Zrobiłem, co mi kazał, choć z pewnością nie uczyniłem tego tak zgrabnie jak on, bo przecież nie mogłem oprzeć nogi na strzemieniu. Jak tylko zająłem miejsce za plecami jeźdźca, zwierzę gwałtownie szarpnęło łbem, usiłując dosięgnąć mojej nogi, jednak jego pan przewidział

chyba ten manewr, gdyż tak mocno uderzył je w głowę rękojęścią sztyletu, że aż się zachwiało, o mało co nie tracąc przytomności.

— Nie zwracaj na niego uwagi — powiedział. Mimo krótkiej szyi zdołał spojrzeć na mnie przez ramię. — To dobry zwierzak i znakomity wojownik, tyle tylko, że chce, abyś ty także docenił jego wartość. Urządził ci coś w rodzaju inicjacji. Wiesz, co to takiego?

Odparłem, iż słowo to nie jest mi zupełnie obce.

— Inicjacja czeka cię zawsze, jeśli chcesz przystąpić do czegoś, w czym warto uczestniczyć. Przekonasz się o tym, tak jak ja się przekonałem. Jeszcze nie słyszałem o takiej, której młody, silny mężczyzna musiałby się poważnie obawiać.

Wypowiedziawszy tę zagadkową uwagę wbił ogromne ostrogi w boki wierzchowca, jakby chciał wyszarpnąć mu wnętrzności, i zaraz potem pomknęliśmy drogą, ciągnąc za sobą smugę pyłu.

Od chwili, kiedy w Saltus dosiadłem rumaka Vodalusa, przypuszczałem naiwnie, że wierzchowce dzielą się tylko na dwie kategorie: pełnokrwiste i szybkie oraz pozostałe, powolne.

Te pierwsze, przynajmniej w moim przekonaniu, poruszały się ze zwinnością kota, drugie zaś potwornie niezdarnie, co jednak nie miało znaczenia, jako że i tak nie były w stanie osiągnąć większej prędkości. Jeden z nauczycieli Thecli powtarzał często, że wszystkie systemy oparte na prostej dwoistości muszą okazać się fałszywe; teraz, podczas szaleńczej jazdy, zyskałem potwierdzenie jego teorii. Wierzchowiec mego dobroczyńcy należał do trzeciej kategorii (od tamtej pory zdążyłem się już przekonać, że zdecydowanie najliczniejszej), tworzonej przez zwierzęta, które co prawda dorównują chyżością ptakom, lecz zdają się mieć nogi z żelaza. Męż-

czyźni pod wieloma względami górują nad kobietami, w związku z czym słusznie są obarczeni obowiązkiem roztaczania nad nimi ochrony. Kobiety mają przewagę tylko pod jednym względem: nigdy nie musiały doświadczyć wrażeń, jakie stają się udziałem człowieka, którego najbardziej wrażliwe organy są miażdżone między jego własną miednicą a kościstym kręgosłupem galopującej bestii. Kiedy wreszcie jazda dobiegła końca, w paskudnym nastroju zsunąłem się z grzbietu. po czym natychmiast musiałem odskoczyć w bok, by uniknąć kopnięcia zadnią nogą.

Zatrzymaliśmy się na jednej z niewielkich, w miarę płaskich łąk. jakie czasem można znaleźć między

wzgórzami. Ta miała około stu kroków średnicy, na jej środku zaś ustawiono namiot wielkości sporej chaty, nad którym powiewała wyblakła, czarno-zielona flaga. Dokoła pasło się kilkanaście luźno spętanych wierzchowców, a gromada odzianych w łachmany mężczyzn, wśród których dostrzegłem także kilka mocno zaniedbanych kobiet, czyściła broń, spała lub grała w kości.

— Patrzcie! — wykrzyknął mój dobroczyńca, zeskakując na ziemię. — Oto nowy rekrut! — Odwrócił się do mnie, by oznajmić znacznie cichszym głosem: — Severianie z Nessus, oto masz przed sobą Osiemnasty Batalion Nieregularnej Kawalerii. Każdy z nas potrafi wykazać się w bitwie nadzwyczajną odwagą, naturalnie pod warunkiem, że wyczuwa w powietrzu choćby najlżejszy zapach pieniędzy.

Mężczyźni i kobiety podnieśli się z miejsc, po czym niespiesznie ruszyli w moim kierunku. Niektórzy uśmiechali się szeroko. Na czoło wysunął się wysoki, niezmiernie chudy człowiek.

— Towarzysze, przedstawiam wam Severiana z Nessus! Severianie. Jestem twoim dowódcą. Nazywam się Guasacht. Ta chmielowa tyka, którą widzisz przed sobą, to mój zastępca Erblon. Pozostali z pewnością przedstawią się sami, kiedy nadejdzie właściwa pora. Erblon, muszę z tobą porozmawiać. Możliwe, że już jutro trzeba będzie rozesłać patrole.

Wziął wysokiego mężczyznę za ramię i poprowadził go w stronę namiotu, pozostawiając mnie samego otoczonego kręgiem awanturników.

Jeden z najpotężniejszych, człowiek iście niedźwiedziej postury, prawie dorównujący mi wzrostem i co najmniej dwukrotnie przewyższający wagą, wskazał na mój miecz.

— Widzę, że masz przy sobie kawałek żelaza. Możemy go zobaczyć?

Oddałem broń bez słowa protestu, gdyż zdawałem sobie doskonale sprawę, że w najbliższym czasie i tak nie będę miał okazji, by zrobić z niej użytek.

— A więc jesteś kawalerzystą?

— Niestety nie — odparłem. — Trochę jeździłem wierzchem, lecz na pewno nie mogę uważać się za eksperta.

— Ale potrafisz radzić sobie z wierzchowcem?

— Znacznie lepiej radzę sobie z mężczyznami i kobietami. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a mój rozmówca powiedział:

— To znakomicie, bo raczej nie będziesz miał wielu okazji, żeby wykorzystać swoje jeździeckie umiejętności, ale dobra znajomość kobiet, a także wierzchowców, może ci się przydać.

W tej samej chwili usłyszałem odgłos ciężkich kroków i ujrzałem dwóch mężczyzn prowadzących srokiego rumaka o potężnych mięśniach i dzikim spojrzeniu. Wodze były dłuższe niż zwykle, dzięki czemu każdy z nich mógł iść w odległości trzech kroków od groźnego łba. W

siodle siedziała z wdziękiem niechlujna dziewczka o włosach barwy lisiego futra i roześmianej twarzy, zamiast cugli trzymając w każdej ręce szpicrutę. Tłum zareagował głośnymi okrzykami, gwizdami i klaskaniem, na co łaciate zwierzę wspięło się na zadnie nogi, z wściekłością młóćąc powietrze przednimi. Na każdej z nich znajdowały się trzy grube, zrogowaciałe narośla; choć nazywamy je kopytami, w rzeczywistości są to szpony nadające się zarówno do walki, jak i do biegu lub chodzenia. Z trudem mogłem nadążyć wzrokiem za ich ruchami.

Barczysty awanturnik klepnął mnie w plecy.

— Co prawda miewałem już lepsze, ale ten też jest całkiem niezły. Sam go szkoliłem.

Mesrop i Lactan oddadzą ci wodze, a ty masz tylko wskoczyć na grzbiet. Jeśli zrobisz to, nie strącając jednocześnie Darii, możesz z nią robić, co chcesz, aż do chwili, kiedy was dogonimy.

W porządku, puszczajcie! — zakończył podniesionym głosem.

Spodziewałem się, że dostanę wodze do ręki, ale dwaj mężczyźni po prostu cisnęli mi je w twarz tak szybko, że nie zdołałem ich złapać. Ktoś uderzył zwierzę w zad, a barczysty łotrzyk zagwizdał donośnie. Wierzchowiec został przyuczony do walki, tak sarno jak te, które trzymano w Niedźwiedziej Wieży, a choć jego długie zęby nie były pokryte metalem, to i tak stanowiły niezmiernie groźną broń, wystając z pyska niczym noże.

Uchyliłem się przed ciosem potrójnego kopyta i wyciągnąłem rękę po wodze, ale otrzymałem uderzenie szpicrutą w twarz, a wierzchowiec pchnął mnie piersią i przewrócił na ziemię.

Widzowie musieli go przytrzymać, gdyż w przeciwnym razie stratowałby mnie w okamgnieniu. Przypuszczam też, że pomogli mi wstać, choć nie jestem tego pewien. W gardle i nosie miałem mnóstwo pyłu, a krew z rozciętej skóry na czole spływała mi strużkami do oczu.

Ruszyłem w prawą stronę, usiłując zająć zwierzę z boku, lecz ono odwróciło się zwinnie jak tancerz, a Daria chlasnęła na odlew obiema szpicrutami. Bardziej z gniewu niż dlatego, żebym miał jakiś plan, złapałem za jedną z nich i szarpnąłem z całej siły, a ponieważ dziewczyna owinęła sobie wokół przegubu skórzaną pętlę wieńczącą rękojeść szpicruty, runęła z siodła, wpadając mi prosto w ramiona. Natychmiast ugryzła mnie w ucho, lecz ja chwyciłem ją za kark, odwróciłem twarzą w dół, wbiłem palce drugiej ręki w umięśniony pośladek i podniosłem ją wysoko nad głowę. Wierzgała nogami jak szalona, co chyba nieco zbiło zwierzę z tropu, gdyż uspokoiło się na chwilę, dzięki czemu zdołałem przydeptać sięgające ziemi wodze.

Potem sprawa była już prosta. Wypuściłem dziewczynę, złapałem rumaka tuż przy pysku i podciąłem mu przednie nogi, tak jak robiłem to z niespokojnymi klientami w naszej Wieży.

Wierzchowiec wydał przeraźliwy, dziki wrzask i runął na ziemię. Stałem nad nim okrakiem, a kiedy poderwał się na nogi, ja już siedziałem w siodle. Gwałtownym szarpnięciem wodzy zmusiłem go, by stanął dęba, po czym skierowałem go w tłum.

Wielokrotnie słyszałem o podnieceniu, jakie wywołuje taka walka, lecz do tej pory nigdy nie miałem

okazji go zaznać. Rzeczywistość okazała się znacznie wspanialsza od opowieści.

Awanturnicy oraz ich kobiety rozbiegli się z krzykiem we wszystkie strony, a niektórzy dobyli mieczy, lecz z równym skutkiem mogliby zmierzyć się z szalejącą burzą, gdyż za jednym nawrotem bez trudu stratowałem co najmniej pół tuzina z nich. Dziewczyna także rzuciła się do ucieczki — jej rude włosy rozwiały się jak sztandar — ale nawet najlepszy biegacz nie zdołałby prześcignąć tego srokacza. W mgnieniu oka znaleźliśmy się przy niej, a ja schyliłem się, chwyciłem ją za płomieniste włosy, szarpnąłem i przerzuciłem ją przez łęk siodła.

Kręty szlak wiódł ku mrocznemu wąwozowi, ten zaś ku następnemu. Stado jeleni rozpierzchło się w popłochu przed nami; srokacz błyskawicznie dogonił młodego byka z porożem w scypule, który niezbyt szybko usunął się z drogi, i zepchnął go na bok. Będąc liktorem w Thraksie słyszałem opowieści o eklektykach, którzy polują na dziką zwierzynę w taki sposób, że wskakują na jej grzbiet i zabijają, wbijając sztylet w serce. Wówczas w to nie wierzyłem, ale teraz wierzę; gdybym chciał, sam mógłbym poderżnąć gardło temu jeleniowi.

Szybko zostawiliśmy go w tyle, minęliśmy jeszcze jedno wzgórze i znaleźliśmy się w zacisznej, lesistej dolinie. Rumak wyraźnie opadł z sił, więc popuściłem mu wodze i pozwoliłem, by sam wybrał sobie drogę między drzewami, największymi, jakie widziałem od chwili, kiedy opuściłem Saltus. Niebawem przystanął i począł skubać rzadką trawę, a ja rzuciłem wodze na ziemię, zeskoczyłem z siodła i pomogłem zsiąść rudowłosej dziewczynie.

— Dziękuję — powiedziała, po chwili zaś dodała. — Udało ci się.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się tego.

— Bo nie zgodziłabyś się wziąć w tym udziału? Myślałem, że cię zmuszono.

— Nie uderzyłabym cię szpicrutą. Przypuszczam, że teraz będziesz chciał mi się odwdziżyć. Użyjesz wodzy?

— Dlaczego tak myślisz?

Nagle poczułem ogromne zmęczenie, więc usiadłem tam, gdzie stałem. W trawie rosły żółte kwiatki o kielichach nie większych od kropli wody; zerwałem kilka i przekonałem się, że pachną jak aloes.

— Bo wyglądasz na takiego. Poza tym, złapałeś mnie za pośladki, a mężczyźni, którzy tak robią, zawsze chętnie w nie biją.

— Nie wiedziałem o tym. Interesujące spostrzeżenie.

Na pewno nie jedyne, jakim mogę się z tobą podzielić. — Usiadła z wdziękiem obok mnie i położyła mi rękę na kolanie. — Posłuchaj, to była tylko inicjacja. Bierzemy w tym udział

na zmianę, a że akurat przyszła moja kolej, musiałam cię uderzyć. Teraz już jest po wszystkim.

— Rozumiem.

— I nie zrobisz mi krzywdy? To wspaniale. W takim razie możemy tutaj bardzo miło spędzić czas: co tylko chcesz, ile razy chcesz, aż przyjdzie pora na posiłek.

— Nie powiedziałem, że nie zrobię ci krzywdy.

Z jej twarzy natychmiast zniknął wymuszony uśmiech i dziewczyna wbiła wzrok w ziemię. Zapytałem, dlaczego nie spróbowała ucieczki.

— Żeby sprawić ci większą radość? — Jej ręka ruszyła w górę po moim udzie. —

Całkiem nieźle wyglądasz, wiesz? I jesteś bardzo wysoki. — Pochyliła się, pocałowała mnie lekko w usta i natychmiast się cofnęła. Byłoby nam miło, naprawdę.

— Mogłabyś też odebrać sobie życie. Masz nóż?

Jej usta utworzyły na chwilę małe kółko.

— Jesteś szalony, prawda? Powinnam była od razu się domyślić.

Zerwała się na nogi, ale ja złapałem ją za kostkę i przewróciłem na trawę. Jej koszula była tak stara, że szwy puściły przy pierwszym szarpnięciu.

— Przecież powiedziałaś, że nie będziesz uciekać?

Wpatrywała się we mnie oczami wielkimi jak spodki. - Ani ty, ani twoi kamraci nie macie nade mną żadnej władzy — oświadczyłem. — Nie obawiam się ani bólu, ani śmierci. Jest tylko jedna kobieta, której pożądam, i tylko jeden mężczyzna — ja sam. **Rozdział XX**

Patrol

Utrzymywaliśmy teren o średnicy najwyżej kilkuset kroków. Nasi przeciwnicy w większości byli uzbrojeni jedynie w noże i topory - właśnie te topory, a także łachmany stanowiące ich strój przywodziły mi na myśl ochotników, z którymi walczyłem po stronie Vodalusa w naszej nekropolii — ale zgromadziło się ich już kilkuset, a wciąż przybywali nowi.

Oddział nieregularnej kawalerii osiodłał wierzchowce i wyruszył w drogę przed świtem.

Cienie były jeszcze długie, kiedy jeden ze zwiadowców pokazał Guasachtowi głębokie koleiny pozostawione przez wóz jadący na północ. Przez trzy wachty jechaliśmy jego śladem.

Ascianie, którzy dopadli go przed nami, walczyli mądrze i zawzięcie; najpierw, ku naszemu zdziwieniu, skręcili na południe, potem na zachód, a wreszcie na północ, niczym wijący się wąż, lecz mimo to gęsto padali trupem, rażeni z jednej strony przez nas, z drugiej zaś przez broniących się strażników, którzy strzelali przez otwory w ścianach pojazdu. Dopiero pod koniec starcia, kiedy Ascianie nie mogli już uciekać, zdaliśmy sobie sprawę z obecności jeszcze jednej siły.

Do południa niewielka dolina została całkowicie otoczona. Lśniący stalowy wóz ugrzązł

w błocie po osie, przed nim zaś przycupnęli asciańscy więźniowie, pilnowani przez naszych rannych. Dowodzący oficer władał naszym językiem; zaledwie wachtę wcześniej Guasacht rozkazał mu uwolnić załogę wozu i zastrzelił kilku Ascian, kiedy polecenie nie zostało wykonane. Zostało ich około trzydziestu — byli niemal nadzy, apatyczni i spoglądali na nas pustymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Ich broń zrzuciliśmy na stos w pobliżu spętanych wierzchowców.

Guasacht wyruszył na obchód naszych pozycji. Zatrzymał się na chwilę przy kryjówce mojego sąsiada, a ja w tej samej chwili zobaczyłem, jak jeden z nieprzyjaciół - była to kobieta —

wystawia głowę zza krzaka rosnącego mniej więcej w połowie zbocza. Wystrzelony przeze mnie pocisk eksplodował ognistą kulą, kobieta zaś zdążyła jeszcze odruchowo odskoczyć, ale zaraz potem skuliła się jak pająk, którego ktoś rzucił w dogasające ognisko. Jej twarz pod przewią-

zanym czerwoną chustą czołem była zupełnie biała; domyśliłem się, że kobieta nie wystawiła głowy z własnej woli, lecz została zmuszona do tego przez tych, którzy wraz z nią ukrywali się w krzakach. Posłałem tam jeszcze jeden pocisk, krzewy natychmiast zajęły się ogniem, a w naszą stronę popłynął przypominający ducha obłok szczypiącego w oczy dymu.

— Nie marnuj amunicji — powiedział Guasacht. Jego głowa znalazła się przy moim łokciu, gdyż bardziej z przyzwyczajenia, niż z rzeczywistej potrzeby, rzucił się płasko na ziemię.

Zapytałem, czy wystarczy mi jej do nocy, jeśli będę strzelał średnio sześć razy w ciągu wachty.

Wzruszył ramionami, po czym potrząsnął głową.

— Wydaje mi się, że właśnie tak często pociągam za spust. A kiedy zapadnie ciemność...

Spojrzałem na niego, lecz w odpowiedzi uzyskałem jedynie ponowne wzruszenie ramionami.

— Kiedy zapadnie ciemność, nie będziemy mogli ich dostrzec, dopóki nie zbliżą się na kilka kroków. Wówczas oddamy kilkadziesiąt strzałów na oślep, po czym dobędziemy mieczy, staniemy opierając się plecami o siebie, i wszyscy zginiemy — dokończyłem.

— Wcześniej nadejdzie pomoc — odparł, a kiedy zauważył, że mu nie wierzę, dodał ze złością: — Żałuję, że w ogóle zauważyliśmy ślady tego przeklętego wozu! Żałuję, że kiedykolwiek o nim usłyszałem!

Tym razem to ja wzruszyłem ramionami.

— Zostaw go Ascianom, to może uda nam się przebić.

— Kiedy tam są pieniądze, powiadam ci! Złoto na żołd dla naszych żołnierzy. Jest tak ciężki, że to nie może być nic innego.

— Broń także sporo waży.

— Ale nie aż tyle. Widywałem już takie wozy i zawsze było w nich złoto z Nessus albo z Domu Absolutu. Tylko te istoty, które siedzą w środku... Czy ktoś widział coś podobnego na oczy?

□

Ja widziałem.

Guasacht spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Kiedy przechodziłem przez Bramę Żalu w Murze Nessus. To człekoźwierze, stworzeni dzięki tej samej zapomnianej sztuce, która sprawiła, że nasze wierzchowce są szybsze od pojazdów używanych w przeszłości. — Usiłowałem sobie przypomnieć, czego jeszcze dowiedziałem się na ten temat od Jonasa. — Autarcha wykorzystuje ich do prac zbyt uciążliwych dla człowieka, a także do zadań, których nie można powierzyć zwykłym ludziom.

— Chyba masz rację, jakoś nie wyobrażam sobie, żeby mogli ukraść te pieniądze. Dokąd by z nimi poszli?... Wiesz co? Przyglądam ci się uważnie od jakiegoś czasu.

— Wiem o tym — odparłem. — Czuję twoje spojrzenie.

— Nie o tym mówię. Mam cię na oku. szczególnie po tym, jak zmusiłeś srokacza, żeby zaatakował swego tresera. W tej okolicy widzimy sporo silnych i dzielnych ludzi — najczęściej wtedy, kiedy są już trupami. Widzimy także sprytnych, ale dziewiętnastu na dwudziestu okazuje się za sprytnych, żeby przydać się do czegokolwiek. Najbardziej wartościowi są mężczyźni i kobiety dysponujący mocą, która każe innym bez szemrania podporządkowywać się ich poleceniom. Nie chcę się chwalić, ale ja mam taką moc — i ty także.

— Z dotychczasowego przebiegu mego życia wynika, że musiała być bardzo dobrze ukryta.

— Czasem ujawnia się dopiero na wojnie. To jedno z dobrodziejstw, jakie niesie wojna, a ponieważ nie ma ich zbyt wiele, tym bardziej powinniśmy doceniać te nieliczne. Severianie, chcę, żebyś poszedł do wozu i spróbował dogadać się z tymi stworami. Twierdzisz, że wiesz o nich co nieco, więc nakłoń ich, żeby wyszli i pomogli nam w walce. Bądź co bądź, wszyscy znaleźliśmy się po tej samej stronie.

— A jak tylko otworzą drzwi, podzielimy się złotem, które jest w środku. Potem może uda nam się uciec — przynajmniej niektórym z nas.

Guasacht z oburzeniem potrząsnął głową.

— Czyż przed chwilą nie mówiłem ci o tych, co starają się być zanadto sprytni? Gdybyś ty dysponował prawdziwym sprytem, z pewnością zwróciłbyś na to uwagę. Powiedz im, że nawet jeśli jest ich tylko trzech albo czterech, to i tak bardzo się nam przydadzą. Poza tym, być może sam ich widok odstraszy tych przeklętych włóczęgów? Daj mi broń, żebym mógł zastąpić cię na stanowisku aż do twojego powrotu.

Wręczyłem mu urządzenie miotające pociski.

— A kim oni właściwie są? — zapytałem.

— Oni? Hienami włóczącymi się za wojskowymi oddziałami. Znajdują się wśród nich markietanie i dziwki, a także dezterterzy. Co pewien czas Autarcha lub któryś z jego generałów rozkazuje, by ich wyłapano i zagoniono do pracy, ale oni bardzo szybko potrafią się wyśliznąć na wolność. Wyślizgiwanie się to ich specjalność. Powinno się ich wszystkich wytłuc.

— Czy mam rozumieć, że udzielasz mi pełnomocnictwa do prowadzenia negocjacji z naszymi więźniami zamkniętymi w wozie? I że zgodzisz się na wszystko, co ustalę?

— Oni nie są więźniami... Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, to jednak są. Przekaż im, co powiedziałem, i postaraj się zawrzeć jak najbardziej korzystną umowę. Na pewno dotrzymam jej warunków.

Dłuższy czas przyglądałem mu się bez słowa, zastanawiając się, czy mogę mu zaufać.

Podobnie jak u większości mężczyzn w średnim wieku, także w jego twarzy można było dostrzec oblicze starca, jakim miał się już niedługo stać: zgorzkniałego, mamroczonego pod nosem obelgi pod adresem każdego, kogo spotka na swojej drodze.

— Daję ci słowo honoru. Ruszaj. W porządku.

Podniosłem się z miejsca. Opancerzony wóz przypominał nieco powozy, jakimi dostarczano do Cytadeli najważniejszych klientów: miał wąskie, zakratowane okienka, a średnica jego tylnych kół dorównywała wzrostowi mężczyzny. Doskonale gładkie, stalowe ściany stanowiły wytwór owej zapomnianej sztuki, o której wspomniałem Guasachtowi, a ukryci za nimi człekoźwierze ponad wszelką wątpliwość dysponowali bronią znacznie lepszą od naszej.

Wyciągnąłem przed siebie ręce, aby pokazać, że jestem nie uzbrojony, po czym ruszyłem najspokojniej jak potrafiłem w kierunku wozu, aż wreszcie w jednym z okienek pojawiła się twarz.

Słuchając opowieści o tych istotach, łatwo wyobrazić sobie coś o stałym kształcie, umiejscowione jakby w połowie drogi między zwierzęciem a człowiekiem. W rzeczywistości wcale tak nie jest, o czym miałem okazję przekonać się teraz, a także wcześniej, przy okazji spotkania z małpoludami w kopalni w pobliżu Saltus. Jedyne porównanie, jakie nasuwa mi się na myśl, to porównanie z brzożą kołysaną podmuchami silnego wiatru: w jednej chwili wygląda jak zwyczajne drzewo, w następnej zaś, kiedy pokaże spodnią stronę liści, przypomina jakieś nadnaturalne zjawisko. Tak samo ma się sprawa z człekozwierzami. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że przez okienko spojrział na mnie gigantyczny pies, ale zaraz potem doszedłem do wniosku, że to jednak człowiek o szpetnej, choć szlachetnej twarzy, ogorzałej cerze i bursztynowych oczach. Pomyślałem o Triskele i zbliżyłem ręce do kraty, aby poczuł mój zapach.

— Czego chcesz? — zapytał głosem szorstkim, ale dość uprzejmym.

— Ocalić wam życie — odparłem, lecz niemal natychmiast zrozumiałem, że popełniłem błąd.

□

My chcemy ocalić nasz honor.

Skinąłem głową.

— Honor stanowi wyższą formę życia.

— Mów, jeśli wiesz, w jaki sposób możemy ocalić honor. Wysłuchamy cię, ale nie licz na to, że się poddamy albo postąpimy wbrew poczuciu obowiązku.

— Już postępujecie wbrew niemu.

Wiatr ucichł i w okienku natychmiast pojawił się wielki pies o białych zębach i świecących oczach.

— Wsadzono was do tego wozu nie po to, żebyście strzegli złota przed Ascianami, lecz po to, byście bronili go przed tymi obywatelami Wspólnoty, którzy pragnęliby zdobyć je w nieuczciwy sposób. Rozejrzyj się dokoła: Ascianie zostali pobici, a my jesteśmy lojalnymi poddanymi Autarchy, toczącymi walkę z przeważającymi siłami naszych wspólnych nieprzyjaciół.

— Będą musieli zabić mnie i moich towarzyszy, żeby dostać się do złota.

A więc to jednak było złoto.

— Tak właśnie uczynią. Wyjdźcie i pomóżcie nam walczyć, dopóki jeszcze jest szansa na zwycięstwo.

Zawahał się, a mnie przemknęła przez głowę myśl, że może jednak nie popełniłem aż tak poważnego błędu, mówiąc o ratowaniu jego życia.

— Nie — powiedział wreszcie. — Nie możemy tego zrobić. Nawet jeśli twoje słowa są rozsądne, to nasze prawa nie opierają się na rozsądku, tylko na poczuciu honoru i posłuszeństwie. Zostaniemy tutaj.

— Ale zdajecie sobie sprawę, że nie jesteśmy waszymi wrogami?

— Każdy, kto pożąda tego, czego strzeżemy, jest naszym wrogiem.

— My strzeżemy tego samego. Jeśli ci włóczędzy i dezercerzy znajdą się w zasięgu celnego strzału, czy otworzycie do nich ogień?

— Oczywiście.

Wszedłem w środek gromady zrezygnowanych Ascian i poinformowałem ich, że chcę rozmawiać z dowódcą. Mężczyzna, który podniósł się z ziemi, był tylko trochę wyższy od pozostałych, a inteligencja malująca się na jego twarzy przypominała nieco tę, jaką czasem można dostrzec na obliczach przebiegłych szaleńców. Poinformowałem go, iż Guasacht przysłał

mnie w swoim zastępstwie, ponieważ często miałem okazję rozmawiać z Ascianami i znałem ich obyczaje. Chodziło mi głównie o to, aby moje słowa usłyszeli trzej ranni strażnicy, którzy z pewnością widzieli, jak Guasacht zajmuje moje stanowisko obronne na granicy naszego terenu.

— Pozdrowienia w imieniu Grupy Siedemnastu — odparł Ascianin.

— W imieniu Grupy Siedemnastu.

Nie zdołał ukryć zaskoczenia, ale po krótkim wahaniu skinął głową.

— Zostaliśmy otoczeni przez nielojalnych poddanych naszego Autarchy, którzy tym samym są nieprzyjaciółmi zarówno jego, jak i Grupy Siedemnastu. Nasz dowódca, Guasacht, obmyślił plan, który pozwoli nam wszystkim zostać przy życiu.

— Słudzy Grupy Siedemnastu nie powinni ginąć bez potrzeby.

— Otóż to. A oto, jak wygląda plan: zaprzęgniemy do stalowego wozu tyle naszych wierzchowców, ile trzeba, żeby ruszyć go z miejsca. Ty i twoi ludzie także będziecie musieli pomóc. Kiedy wóz ruszy, zwrócimy wam broń i razem uderzymy na nieprzyjaciół. Potem nasi i wasi żołnierze pójną na północ, wy zaś będziecie mogli zabrać wóz wraz z jego zawartością.

— Światło Słusznej Myśli przeniknie każdą ciemność.

— Nie, nie udało nam się skontaktować z Grupą Siedemnastu. W zamian za wóz i złoto oczekujemy od was pomocy: po pierwsze, musicie pchać wóz, po drugie, walczyć ramię w ramię z nami, wreszcie po trzecie, zapewnić nam eskortę, która przeprowadzi nas przez wasze pozycje z powrotem na naszą stronę.

Oficer spojrział na lśniący pojazd.

— Żadne niepowodzenie nie musi być ostateczne, ale po to, by osiągnąć ostateczny sukces, trzeba śmiałych planów i wielkiej siły.

— A więc zgadzacie się?

Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że się pocę. lecz teraz słone krople spłynęły mi z czoła do oczu. Otarłem je skrajem płaszcza, tak samo jak czynił mistrz Gurloes.

Ascianin ponownie skinął głową.

— Uważne studiowanie Słusznej Myśli prędzej czy później pozwala odnaleźć ścieżkę wiodącą do sukcesu.

— Otóż to. Ja także ją studiowałem. Niech nasze wysiłki będą poparte innymi wysiłkami.

Kiedy wróciłem do wozu, przy okienku zjawił się ten sam człeko-zwierz co przedtem, tyle tylko, że teraz wydawał się nieco bardziej przyjaźnie nastawiony.

— Ascianie zgodzili się pomóc przy wyciąganiu waszego pojazdu z błota, ale najpierw będziemy musieli go rozładować.

— To niemożliwe.

— Jeśli tego nie zrobimy, to najdalej o zachodzie słońca złoto przepadnie na zawsze.

Nie żądam, żebyście je nam oddali: po wyładowaniu nadal będziecie go strzegli, a jeśli uznacie, że ktoś zanadto się zbliży, będziecie mogli go zastrzelić. Ja zostanę z wami, bez broni, zdany na waszą łaskę i niełaskę.

Musiałem się jeszcze sporo nagadać, ale wreszcie przystali na moją propozycję.

Poleciałem naszym rannym strażnikom, aby odłożyli broń, zaprzęgli osiem rumaków do wozu i ustawili Ascian przy obu wielkich kołach oraz wzdłuż tylnej ściany pojazdu. Zaraz potem otworzyły się stalowe drzwi, człekozwierz zaś wynieśli niewielkie metalowe skrzyneczki dwaj pracowali, podczas gdy trzeci, ten, z którym prowadziłem negocjacje, stał na straży. Byli jeszcze wyżsi, niż się spodziewałem, a ich uzbrojenie stanowiły muszkiety i pistolety — pierwsze, jakie widziałem od chwili, kiedy heriodule użyli ich przeciwko Baldandersowi w ogrodach Domu Absolutu.

Kiedy wszystkie skrzynki znalazły się na zewnątrz, a trzech człekozwierz z bronią gotową do strzału zajęli przy nich stanowiska, głośnym okrzykiem dałem znak, że już można brać się do pracy. Strażnicy zaczęli okładać batami boki wierzchowców, Ascianie naprężyli mięśnie, aż wydawało się, że lada chwila oczy wyjdą im z orbit... i kiedy już wszyscy byliśmy pewni, że nic z tego nie będzie, stalowy wóz drgnął, po czym wyjechał z błota i przetoczył się na odległość niemal pół łańcucha. Niewiele brakowało, żeby Guasacht zabił nas obu, gdyż przybiegł co sił w nogach wymachując moją bronią, ale na szczęście człekozwierz zorientowali się w porę, iż daje w ten sposób tylko wyraz swej radości i że nie grozi im z jego strony żadne niebezpieczeństwo.

Ożywił się jeszcze bardziej zobaczywszy, jak groźnie wyglądające istoty wnoszą z powrotem do wozu ciężki ładunek, po czym wpadł we wściekłość, kiedy dowiedział się o obietnicy, jaką złożyłem Ascianom. Musiałem mu przypomnieć, co mi przyrzekł.

— Jeżeli przystępuję do działania, to po to, żeby zwyciężyć! — wybuchnął.

Przyznałem, że z pewnością brakuje mi jego wojskowego doświadczenia, ale zaznaczyłem także, iż w pewnych sytuacjach za zwycięstwo należy uznać samo wykaraskanie się z oparów.

— Mimo to miałem nadzieję, że wymyślisz coś lepszego.

Przez cały czas szczyty gór przesłaniających zachodni horyzont pięły się powoli, ale nieprzerwanie w górę, tak że teraz sięgnęły już prawie krawędzi słonecznej tarczy. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę, Guasacht uśmiechnął się niespodziewanie.

□

To w końcu ci sami Ascianie, których już raz pokonaliśmy.

Wezwał do siebie ich oficera i powiedział mu, że atak poprowadzi nasza kawaleria, oni zaś ruszą na piechotę, otaczając wóz ciasnym pierścieniem. Ascianin przystał na ten plan, ale jak tylko jego podwładni odzyskali broń, uparł się, by posadzić kilku z nich na pojeździe. z resztą zaś chciał znaleźć się tam, gdzie walka będzie najcięższa. Guasacht ostatecznie przystał na to z niechęcią, która, przynajmniej moim zdaniem, była całkowicie udawana. Zaraz potem jeźdźcy dosiedli wierzchowców, a ja zauważyłem, że Guasacht rozmawia po cichu z chorążym.

Obiecałem Ascianinowi, że przebijemy się na północ, ale grunt okazał się tam za miękki, więc ostatecznie zdecydowaliśmy się na północny zachód. Asciańska piechota ruszyła niemal biegiem, strzelając w kierunku nieprzyjaciela, a wóz ruszył jej śladem. Eksplodujące pociski siały spustoszenie wśród kłębiącego się bezładnie tłumu, usadowieni na dachu pojazdu arkebuzerzy co chwila posyłali w kłębowisko ludzi fioletowe błyskawice energii, dzieła zniszczenia zaś dopełniali człekozwierze, którzy strzelali z zakratowanych okienek, za jednym naciśnięciem spustu kładąc trupem nawet pół tuzina napastników.

Resztki naszego oddziału (razem ze mną) utrzymywały jeszcze przez jakiś czas dotychczasowe pozycje, by wreszcie podążyć za wozem. Po to, by nie marnować amunicji, niektórzy awanturnicy schowali broń energetyczną do olster, dobyli mieczy i rzucili się na niedobitków wroga.

Wkrótce potem zrobiło się znacznie luźniej. Jakby na dany znak awanturnicy zwrócili broń w stronę Ascian usadowionych na dachu pojazdu i zmiotli ich stamtąd w jednej chwili.

Pozostali przy życiu rozpiezchli się we wszystkie strony, po czym zawrócili, by stanąć do ostatniej w życiu walki.

Nie miałem zamiaru uczestniczyć w tej rzezi, więc ściągnąłem wodze, dzięki czemu jako pierwszy ujrzałem przedziwne istoty, wyłaniające się z rozjarzonych krwistą poświatą obłoków niczym anioł z opowieści Melita. Były piękne, zupełnie nagie i miały ciała młodych kobiet, lecz ich tęczowe

skrzydła miały rozpiętość większą od skrzydeł teratornisa, a każda trzymała w obu rękach pistolety.

Późną nocą, kiedy wróciliśmy już do obozu i opatrzyliśmy rannych, zapytałem Guasachta, czy teraz postąpiłby tak samo.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim mi odpowiedział.

— Nie miałem pojęcia, że zjawią się te latające dziewczyny. Teraz właściwie trudno się temu dziwić; w wozie było tyle złota, że wystarczyłoby go na żołd dla połowy armii, więc doskonale rozumiem, dlaczego zdecydowali się wysiać doborowe jednostki. Ale czy przedtem można było spodziewać się czegoś takiego?

Pokręciłem głową.

— Posłuchaj, Severianie: właściwie nie powinienem rozmawiać z tobą w taki sposób, ale zrobiłeś co mogłeś, a w dodatku jesteś najlepszym zabijaką, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Poza tym, wszystko skończyło się jak najlepiej, prawda? Przecież zobaczyły kilkunastu śmiałków usiłujących odbić wóz z rąk Ascian. Kto wie, może otrzymamy podziękowanie albo nawet jakąś nagrodę?

— Mogłeś zabić zarówno Ascian, jak i strażników, kiedy złoto znalazło się poza wozem

— powiedziałem. - Nie uczyniłeś tego, ponieważ wtedy ja także musiałbym zginać. Myślę, że z całą pewnością zasłużyłeś sobie na podziękowanie, przynajmniej ode mnie.

Potańił twarz obiema rękami.

— Bez przesady. Gdyby złoto dostało się w nasze ręce, oznaczałoby to koniec Osiemnastego Batalionu. Najdalej w ciągu wachty pozabijalibyśmy się dla pieniędzy. **Rozdział XXI Przed bitwą**

Niektóre dni były wypełnione ciężką pracą, ale trafiały się też takie, kiedy nie mieliśmy nic do roboty. Często przez całą dobę w ogóle nie widzieliśmy Ascian albo jeśli już, to tylko trupy. Nasze zadanie polegało na wyłapywaniu dezertersów oraz odstraszeniu najróżniejszych przekupniów i włóczęgów, jacy zwykle towarzyszą każdej armii; nie mieliśmy jednak kogo odstraszać, ponieważ wybiliśmy tych ludzi w regularnej bitwie, jaką stoczyliśmy „w obronie”

stalowego wozu.

Księżyc zbliżał się już do pełni, wisząc na niebie niczym ogromne, zielone jabłko.

Doświadczeni żołnierze zapewniali mnie, że najbardziej krwawe walki toczą się właśnie przy pełni księżyca, która podobno sprzyja szaleństwu. Przypuszczam, iż w rzeczywistości dzieje się tak dlatego, że blask najbliższego towarzysza Urth pozwala generałom dokonywać nocnych przegrupowań wojsk.

W dniu bitwy ostre dźwięki trąbki wyrwały nas ze snu już o świcie. W porannej mgle ustawiliśmy się

dwójkami w nierówną kolumnę: Guasacht stanął na czele, tuż za nim zaś Erblon, niosący nasz sztandar. Przypuszczałem, że kobiety zostaną w obozie, tak jak zawsze, kiedy wyruszaliśmy na patrol, ale tym razem ponad połowa z nich dołączyła do nas. Te, które miały hełmy, schowały pod nimi włosy, a niemal wszystkie założyły półpancerze, zasłaniające i spłaszczające piersi. Wspomniałem o tym Mesropowi, który znalazł się w parze ze mną.

— Robią to po to, żeby nie było jakichś problemów z wypłatą żołdu - wyjaśnił. — Ktoś z pewnością nas policzy, ale w kontrakcie zobowiązaliśmy się do wystawienia samych mężczyzn.

— Guasacht wspominał, że jeszcze dzisiaj powinniśmy dostać jakieś pieniądze.

Odchrząknął i splunął, a biała flegma zniknęła we mgle, zanim doleciała do ziemi.

— Nie zapłacą nam przed bitwą. Nigdy tego nie robią.

Guasacht zawołał coś i dał znak ręką; Erblon podniósł sztandar i ruszyliśmy w drogę.

Odgłos kopyt uderzających o ziemię przypominał stłumiony łoskot setki bębnow.

— Dzięki temu oszczędzają na tych, którzy zginą — zauważyłem.

— Płacą każdemu, i to trzy razy: za to, że walczył, za przelaną krew, a na końcu dają jeszcze odprawę.

□

Cóż, tym razem będą musieli zapłacić także kobietom.

Mesrop ponownie splunął.

Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w miejscu, które na pierwszy rzut oka nie wyróżniało się niczym szczególnym. Kiedy umilkł gwar głosów, do moich uszu dotarł cichy pomruk dobiegający zza otaczających nas wzgórz. Ogromna armia, do tej pory rozproszona nie tylko ze względów sanitarnych, ale także po to, by nie stanowić dla nieprzyjaciela łatwego celu, zbierała się teraz na podobieństwo cząsteczek pyłu w kamiennym mieście, które uformowały ciała od dawna nieżyjących tancerzy.

Jednak wcale nie działo się to niepostrzeżenie. Tak jak kiedyś drapieżne ptaki podążały moim śladem przez góry, tak teraz pięcioramienne kształty, obracające się szybko niczym koła, szybowały nad chmurami, szybko rzednącymi w czerwonym blasku poranka. Początkowo, kiedy wisiały bardzo wysoko, wydawały się szare, później jednak zdecydowanie obniżyły lot, a wówczas okazało się, iż mieniały się złotożółtymi i srebrnobiałymi barwami. Powietrze jęczało, rozcinane przez wirujące kadłuby.

W pewnej chwili jeden z nich przemknął nam nad głowami. Leciał na wysokości wierzchołków drzew, dzięki czemu zdołaliśmy zaobserwować, iż każda szprycha była niczym wielka wieża, poznaczona licznymi otworami i zagłębieniami. Podmuch powietrza był tak silny, że drzewa

przygięły się do ziemi, mój srokacz zaś stanął dęba i zaryczał przeraźliwie. Tak samo uczyniła większość wierzchowców, a niektóre nawet przewróciły się, powalone gwałtownym wichrem.

Zaledwie jedno uderzenie serca później w powietrzu zapanował całkowity spokój. Liście, które jeszcze przed chwilą wirowały wokół nas jak płatki śniegu, znieruchomiały na ziemi.

Guasacht wydał rozkaz i Erblon zadał w trąbkę, po czym zaczął wymachiwać sztandarem.

Okielznawszy srokacza, ruszyłem wzdłuż porwanej kolumny, pomagając podnieść się jeźdźcom, którzy pospadali z grzbietów, oraz uspokajając spłoszone wierzchowce.

Przy okazji przekonałem się, iż wśród żołnierzy znajduje się także Daria. W stroju kawalerzysty, z szablą i buzdyganem u boku, wyglądała bardzo ładnie i chłopięco. Nie mogłem się nie zastanowić, jak w tej samej sytuacji prezentowałyby się inne znane mi kobiety: Thea zapewne przypominałaby heroinę z jakiegoś scenicznego dramatu, piękną i bohaterską, lecz nieprawdziwą; Thecla — teraz stanowiąca cześć mnie samego — żądną zemsty boginię, wymachującą zatrutą bronią; Agia, w dopasowanej do figury kolczudze, pędziłaby przed siebie na chyżonogim rumaku, z włosami rozwianymi w dziką chmurę; Jolenta byłaby dostojną królową odzianą w zbroję najeżoną stalowymi szpikulcami, uśmiechniętą marzycielsko i korzystającą z każdej chwili, by zaznać nieco odpoczynku; Dorcas przeistoczyłaby się w najadę, której skóra błyszczy w promieniach słońca niczym woda w fontannie; wreszcie Valeria, która zapewne stanowiłaby arystokratyczny odpowiednik Darii.

Kiedy zobaczyłem, jak nasi ludzie pierzchają we wszystkie strony, wydawało mi się, że ponowne uformowanie kolumny okaże się niemożliwe; tymczasem zaledwie kilka chwil po przelocie tajemniczego obiektu znowu tworzyliśmy zwartą formację. Sporo ponad milę pokonaliśmy galopem — przede wszystkim chyba po to, by pozwolić zdenerwowanym wierzchowcom pozbyć się części energii — po czym zatrzymaliśmy się nad strumieniem i pozwoliliśmy im napić się do syta, uważając jednak, aby nie stały się zanadto ociążałe. Kiedy mój srokacz zaspokoił pragnienie, przejechałem na pobliską łąkę, skąd mogłem obserwować niebo. Niebawem dołączył do mnie Guasacht.

— Szukasz następnego? — zapytał żartobliwie.

Skinąłem głową, a następnie wyjaśniłem, iż nigdy w życiu nie widziałem takiego pojazdu.

— Można je zobaczyć wyłącznie w pobliżu linii frontu. Gdyby poleciały na południe, przepadłyby na zawsze.

— My na pewno nie zdołalibyśmy ich zatrzymać.

Nagle spowaźniał i zmrużył oczy, w wyniku czego zamieniły się w wąziutkie szparki.

— Rzeczywiście, ale zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z działami.

Srokacz szarpnął się niespokojnie.

— Pochodzę z części miasta, o której prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś, to znaczy z Cytadeli. Są tam działa górujące nad całą dzielnicą, ale z tego, co wiem, odzywają się wyłącznie dla uczczenia

ważnych wydarzeń.

Wciąż wpatrując się w niebo próbowałem wyobrazić sobie, jak piecioszprychowe koła pojawiają się nad Nessus i jak wszystkie działa ustawione na wieżach Cytadeli zwracają paszcze w ich stronę i plują ogniem. Ciekawe, jaką otrzymałyby odpowiedź?

— Chodźmy — powiedział Guasacht. — Nie ma sensu ich wyglądać, i tak zawsze zjawiają się w najmniej oczekiwanym momencie.

Wróciliśmy nad strumień, gdzie Erblon kończył formować kolumnę.

— Nie strzelały do nas, choć z pewnością mają na pokładzie broń,

— Stanowimy dla nich zbyt mało istotny cel. Zorientowałem się, że Guasacht chce, bym zajął swoje miejsce w kolumnie, ale waha się, czy wydać mi rozkaz. Nagle poczułem, jak ogarnia mnie niesłyszany strach: najpierw obezwładnił mi nogi, zaraz potem jednak sięgnął mackami w górę aż do serca. Zależało mi na tym, by umilknąć, lecz słowa same cisnęły mi się na usta.

— Kiedy dotrzemy na pole bitwy...

(Chyba wyobrażałem sobie, że będzie przypominało przystrzyżony trawnik, na którym walczyłem z Agilusem). Guasacht parsknął śmiechem.

— Kiedy ruszymy do bitwy, nasi artylerzyści będą zachwyceni, jeśli uda nam się wywabić je na otwartą przestrzeń.

Zanim zdążyłem się zorientować, co zamierza, uderzył płazem w zad mego wierzchowca, a srokacz natychmiast skoczył naprzód, w kierunku formującej się kolumny.

Strach przypomina chorobę, która zniekształca twarz, pokrywając ją ropiejącymi wrzodami; człowiek znacznie bardziej przejmuje się ich obecnością niż przyczyną ich powstania i czuje się nie tylko ośmieszony, ale wręcz zhańbiony. Kiedy srokacz zwolnił kroku, wbiłem mu piętę w boki i zająłem miejsce na samym końcu kolumny.

Jeszcze nie tak dawno mogłem nawet zastąpić Erblona, teraz natomiast zostałem zdegradowany — nie przez Guasachta, tylko przez samego siebie do jednej z najpośledniejszych ról. Zadziwiające, że strach ogarnął mnie wtedy, kiedy nie było już się czego bać. więc cały dramat mego wyniesienia i upadku rozegrał się z lekkim opóźnieniem. Było to tak, jakby jakiś młodzieniec został zasztyletowany w parku, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, tylko zaczął zalecać się do atrakcyjnej żony swego mordercy, aż wreszcie dopadł ją w bocznej alejce i przycisnął do piersi, a ona wtedy krzyknęła głośno, gdyż uderzyła się o rękojeść sztyletu sterczącego z jego boku.

Zaraz po tym, jak kolumna ruszyła naprzód, Daria wyjechała z szyku i zaczęła na uboczu, aż się z nią zrównam.

— Boisz się.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie. Nie był to także zarzut, tylko niemal coś w rodzaju hasła, podobnego do zdumiewających odezwań, jakie słyszałem podczas uczyty u Vodalusa.

— Owszem. Zapewne masz zamiar przypomnieć mi o przechwałkach, jakich nie szczędziłem ci w lesie? Mogę ci powiedzieć tylko tyle. że wtedy traktowałem je zupełnie serio.

Pewien mądry człowiek próbował mnie kiedyś nauczyć, że nawet jeśli klient wytrzymał jeden rodzaj tortur, to po to, by złamać jego wolę i zmusić do zeznań wystarczy zastosować inny, nawet znacznie mniej bolesny. Przyswoiłem sobie tę wiedzę, lecz aż do tej pory nie miałem okazji wprowadzić jej w życie — dopiero teraz, na własnym przykładzie, przekonałem się, że człowiek ów miał całkowitą rację. Jeśli jednak ja występuję w roli klienta, to kto jest katem?

— Wszyscy się boimy, mniej albo bardziej — powiedziała dziewczyna. — Właśnie dlatego Guasacht odesłał cię do szeregu: obawiał się, że twój lęk zwielokrotni jego strach, a wówczas nie byłby w stanie dowodzić. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zrobisz to, co do ciebie należy, i podobnie postąpi każdy z nas.

— Czy nie powinniśmy ruszyć za nimi? Koniec kolumny zniknął właśnie za zakrętem.

— Jeśli to zrobimy, wszyscy domyśla się, że jedziemy z tyłu, ponieważ się boimy. Jeżeli jednak zaczekamy jeszcze trochę, wielu z tych, co teraz rozmawiają z Guasachtem, pomyśli, iż posłał cię tutaj, abyś poganiał maruderów, a ja zostałam, żeby ci pomóc.

— W porządku — odparłem.

Jej spocona ręka. drobna i szczupła jak ręka Dorcas, spoczęła na moim ramieniu. Aż do tej chwili byłem pewien, że Daria brała już udział w walce.

— Dla ciebie to też pierwszy raz? — zapytałem ze zdumieniem.

— Potrafię się bić lepiej niż większość mężczyzn i mam już dosyć, kiedy nazywają mnie dziwką — oświadczyła.

Razem ruszyliśmy za oddalającą się kolumną. **Rozdział XXII Bitwa**

Kiedy ich dostrzegłem, przypominali różnokolorowe punkciki rozsypane na przeciwległym zboczu doliny, wędrujące bez przerwy w tę i z powrotem niczym bąbelki w naczyniu wypełnionym jabłecznikiem. Jechaliśmy stępą przez resztki zagajnika; białe kikuty roztrzaskanych drzew przypominały fragmenty kości sterczące z otwartej rany. Nasza kolumna była teraz znacznie większa — kto wie, czy nie tworzyły jej wszystkie oddziały nieregularnej kawalerii. Mniej więcej od połowy wachty znajdowaliśmy się pod ostrzałem, w wyniku którego kilkunastu żołnierzy zostało rannych (jeden z nich, jadący niedaleko mnie, bardzo ciężko), kilku zaś zabitych. Ranni zajmowali się sami sobą i starali się pomagać sobie nawzajem; nawet jeśli w naszym zgrupowaniu byli sanitariusze, to nigdzie w pobliżu nie mogłem dostrzec żadnego z nich.

Od czasu do czasu mijaliśmy trupy. Zazwyczaj leżały po dwa lub trzy, ale zdarzały się też

pojedyncze. Jeden z nich na wpół siedział, a na wpół wisiał, zahaczony kołnierzem kurtki o kikut ułamanej gałęzi; przemknęła mi myśl, że trudno sobie wyobrazić okropniejszą sytuację niż być martwym, a jednocześnie nie móc zaznać odpoczynku. Zaraz potem jednak uświadomiłem sobie, iż taki sam los stał się udziałem tych wszystkich drzew, które zginęły, lecz nie runęły na ziemię.

Niemal w tej samej chwili, kiedy zdałem sobie sprawę z obecności nieprzyjaciela, zauważyłem, że po obu stronach kolumny zajęli pozycje żołnierze naszej armii: ci z prawej stanowili zbieraninę kawalerii i piechoty — jeźdźcy mieli odkryte głowy i nagie torsy, przepasane zrolowanymi czerwonymi i niebieskimi kocami, ale byli lepiej uzbrojeni od nas, gdyż każdy trzymał długą, miotającą ogniste pociski lancę oraz niewielką mosiężną tarczę, którą można także przymocować do ramienia. Nie wiedziałem, z której części Wspólnoty pochodzą ci ludzie, ale z jakiegoś powodu podejrzewałem — przypuszczalnie zasugerowałem się ich długimi włosami i faktem, że byli obnażeni do pasa — iż są to członkowie jakichś barbarzyńskich plemion.

Jeśli tak było w istocie, to kręcący się wśród nich piechurzy o spalonej przez słońce skórze, pochylonych ramionach i skołtunionych włosach, mieli jeszcze gorsze pochodzenie. Nie widziałem ich zbyt dokładnie, gdyż obserwację utrudniały kikuty połamanych drzew, lecz odniosłem wrażenie, iż od czasu do czasu opadają na wszystkie cztery kończyny i poruszają się na czworakach. Zdarzało się również, że chwyтали za strzemię, lak jak i ja czyniłem podróżując u boku Jonasa, ale jeźdźcy reagowali natychmiast, uderzając ich po rękach czym tylko się dało.

Droga skręcała lekko w lewo, biegnąc przez płytkie zagłębienie terenu. Całą jej szerokością sunęła armia nieporównanie bardziej liczna od naszej kolumny oraz dzikich jeźdźców i ich towarzyszy razem wziętych; tworzyły ją bataliony peltastów o lśniących włóczniach i dużych, przezroczystych tarczach, łucznicy na rącznych wierzchowcach, z wypełnionymi strzałami kołczanami przerzuconymi przez ramie, a także lekka jazda, z daleka przypominająca falujące morze pióropuszy ze sterczącymi tu i ówdzie drzewcami sztandarów.

Nic nie wiedziałem o odwadze tych wszystkich dziwnych żołnierzy, którzy nagle stali się moimi towarzyszami broni, lecz podświadomie przypuszczałem, iż wcale nie jest większa od mojej, w dodatku zaś zdawali się zbyt słabym przeciwnikiem dla kolorowych kropek poruszających się po drugiej stronie doliny. Ostrzał przybrał na sile, a z tego, co widziałem, wynikało, że nasza artyleria nie zaczęła jeszcze niepokoić wroga.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej (choć zdawało mi się, że od tamtej pory minął już co najmniej rok) byłbym przerażony na samą myśl o tym, że ktoś mógłby strzelać do mnie z takiej broni, jakiej Vodalus użył w naszej nekropolii tej mglistej nocy, od której rozpocząłem moja relację. W porównaniu z eksplozjami, które teraz następowały wokół nas, promień wystrzelony z tamtego pistoletu wydawał się niemal równie mało groźny, co lśniące pociski miotane z łodzi hetmana.

Nie miałem pojęcia, jakie urządzenie wystrzeliwało te ładunki ani nawet, czy składały się one z czystej energii czy raczej miały coś wspólnego z bardziej konwencjonalną amunicją; wybuch następował w momencie, kiedy uderzały w ziemię, a choć nie sposób było ich dostrzec, to nadlatywały z przeraźliwym gwizdem, trwającym nie dłużej niż mgnienie oka. Po natężeniu tego gwizdu nauczyłem się rozpoznawać, w jakiej odległości nastąpi eksplozja oraz jaką będzie miała siłę. Jeżeli odgłos nie zmieniał wysokości, oznaczało to, że pocisk spadnie daleko, ale jeśli szybko

piął się ku wyższym rejestrom, należało się spodziewać, iż niebezpieczeństwo będzie bardzo bliskie. Każdy taki wybuch zabierał co najmniej jednego z nas, a te najgłośniejsze czasem nawet kilku.

Dalsza jazda naprzód w dość ciasnej formacji wydawała mi się szaleństwem. Powinniśmy byli już dawno rozproszyć się albo zsiąść z wierzchowców i poszukać schronienia między drzewami; myślę, że gdyby uczynił tak jeden z nas, reszta szybko poszłaby w jego siady. Po każdym wybuchu wydawało mi się, iż ja będę tym pierwszym, lecz wspomnienie o niedawnym przerażeniu trzymało mnie na miejscu niczym mocny łańcuch. Jeśli inni rzucą się do ucieczki, ja zacznę uciekać razem z nimi, ale na pewno nie wcześniej.

Wreszcie nastąpiło to, co musiało się zdarzyć: pocisk eksplodował tuż przy naszej kolumnie. Sześciu jeźdźców zostało rozerwanych na strzępy, jakby we wnętrzu każdego z nich wybuchła mała bomba; głowy, ramiona, tułowia i nogi zamieniły się w krwawą, rozszarpaną miazgę. Zginęli także ci, którzy jechali w parach z nieszczęśnikami, gdyż siła podmuchu była tak wielka, że runęli na ziemię, a ich czaszki popękały jak gliniane skorupy.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że nadal jechaliśmy stępą. Skoro nie mogłem uciec, chciałem przynajmniej jak najszybciej znaleźć się w ogniu prawdziwej walki i zginąć, jeśli tak było mi pisane. Rzeź, jaka rozegrała się przed nami, pozwoliła mi przynajmniej częściowo zadośćuczynić moim pragnieniom: dałem Darii znak ręką i pogońłem wierzchowca, omijając kilku ludzi jadących między nami a tymi, którzy zginęli, by zająć wolne miejsce w szyku. Zaraz potem zjawił się tam również Mesrop i uśmiechnął się szeroko.

— Dobrze myślisz. Zwykle nie spadają dwa razy w to samo miejsce.

Wolałem nie wyprowadzać go z błędu.

Przez pewien czas zdawało się jednak, że ma rację, gdyż artylerzyści nieprzyjaciela skierowali ogień na dzikusów maszerujących po naszej prawej stronie. Pstrokata piechota zareagowała na pierwsze eksplozje dzikimi wrzaskami, natomiast jeźdźcy — tak mi się przynajmniej wydawało — uciekli się do pomocy jakichś zaklęć. Wyśpiewywali je tak głośno i wyraźnie, że chwilami mogłem rozróżnić poszczególne słowa, choć oczywiście nie byłem w stanie ich zrozumieć. W pewnej chwili jeden z nich stanął na grzbiecie wierzchowca jak akrobata. wyciągnął jedną rękę ku słońcu, drugą zaś w stronę Ascian. Każdy jeździec zdawał się dysponować własnym zaklęciem, a kiedy obserwowałem, jak ich szeregi topnieją z każdą chwilą, bez trudu zrozumiałem, dlaczego wśród prymitywnych społeczności wiara w czary trwa nadal i będzie trwać jeszcze przez długie wieki: ci, co ocaleli, byli świeżo przekonani, że zawdzięczają życie właśnie czarom, natomiast martwi z oczywistych powodów nie mogli zgłosić żadnych zastrzeżeń do skuteczności uroków, które wezwali na pomoc.

Nie my pierwsi nawiązaliśmy bezpośredni kontakt z wrogiem; z przodu, na niżej położonym terenie, oddział lekkiej jazdy ruszył galopem w poprzek doliny, by niczym ognista fala uderzyć w czworobok nieprzyjacielskiej piechoty.

Do tej pory przypuszczałem, iż druga strona będzie dysponowała bronią znacznie doskonalszą od naszej — na przykład pistoletami i muszkietami, jakie mieli człekozwierze — i że setka tak uzbrojonych żołnierzy bez trudu poradzi sobie z dowolnie licznym oddziałem kawalerii. Nic takiego

jednak się nie stało: kilka pierwszych szeregów padło jak skoszona trawa, a ja wyraźnie słyszałem bojowe okrzyki jeźdźców oraz widziałem, jak kolejni piechurzy rzucają się do ucieczki. Niektórzy ciskali na ziemię ogromne tarcze, jeszcze większe od tych, jakie nieśli peltaści, choć w przeciwieństwie do tamtych lśniły metalicznym blaskiem. Wszystko wskazywało na to, że jedyną broń ofensywną stanowiły ostro zakończone włócznie o długości mniej więcej trzech łokci, zdolne wyrzucać strumień ognia, lecz o bardzo niewielkim zasięgu.

Za pierwszym oddziałem pojawił się drugi, również uformowany w czworobok, dalej zaś trzeci, czwarty i następne.

Byłem pewien, że lada chwila ruszymy w sukurs walczącej kawalerii, lecz ku memu zdumieniu otrzymaliśmy rozkaz, żeby się zatrzymać. Spojrzawszy w prawo przekonałem się, że barbarzyńcy już to uczynili i że przeganiają towarzyszące im kudłate istoty na swoją prawą flankę, daleko od nas.

— Ustawiamy blokadę, chłopcy! — wykrzyknął Guasacht. — Zachować spokój!

Popatrzyłem na Darię, która zrewanżowała mi się równie zdziwionym spojrzeniem.

Mesrop chyba zorientował się, że nic nie rozumiemy, gdyż wskazał na wschodni koniec doliny i powiedział:

— Mamy pilnować tego skrzydła. Jeśli nikt się nie zjawi, będziemy mogli uznać dzień za wyjątkowo udany.

— My może tak, ale nie ci, co zginęli — zauważyłem.

Ostrzał, który stopniowo tracił na sile, teraz zupełnie ustał. Martwa cisza była chyba jeszcze bardziej przerażająca od gwizdu nadlatujących pocisków.

— Z pewnością.

Wzruszenie ramionami miało zapewne oznaczać, iż utrata kilkunastu ludzi nie wpłynęła na osłabienie naszej siły bojowej.

Jazda cofnęła się za łuczników, którzy zasypali pierwszą linię Ascian gradem strzał.

Większość ześlizgnęła się po tarczach, nie czyniąc żadnej szkody, ale kilka chyba wbiło się w metal, który natychmiast zajął się ogniem. W niebo uniosły się kłęby białego dymu.

Zaraz potem tworzące gigantyczną szachownicę zastępy Ascian ruszyły naprzód. Nasza jazda kontynuowała odwrót i teraz dotarła już na tyły oddziału peltastów, całkiem niedaleko od nas. Wyraźnie widziałem ciemne twarze jeźdźców; byli to sami mężczyźni, wszyscy brodaci, w sile około dwóch tysięcy, ale w palankinach zamocowanych na grzbietach ogromnych arsinotherów dostrzegłem także około dziesięciu młodych, obwieszonych klejnotami kobiet w bogato zdobionych szatach. Miały czarne oczy i ciemną cerę, podobnie jak mężczyźni, lecz ze względu na obfite kształty i omdlewające spojrzenia natychmiast przywiodły mi na myśl Jolentę.

Wskazałem je Darii, po czym zapytałem, czy wie, w co są uzbrojone, gdyż nie mogłem przy nich dostrzec żadnych śmiercionośnych narzędzi.

— Chciałbyś taką jedną albo nawet dwie, co? Z pewnością podobają ci się nawet z takiej odległości.

— Ja też nie pogardziłbym kilkoma — odezwał się Mesrop i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Daria parsknęła śmiechem.

— Walczyłyby jak lwice, gdyby któryś z was spróbował je choćby dotknąć. To Córy Wojny, święte i niedostępne. Miałeś kiedyś do czynienia ze zwierzętami, których dosiadają?

Pokręciłem głową.

— Łatwo ruszają do ataku i nic nie może ich powstrzymać, ale zawsze zachowują się w taki sam sposób: pędzą prosto na to, co im się nie spodobało, zatrzymują się łańcuch lub dwa dalej, po czym wracają, żeby wszystko powtórzyć od początku.

Przyglądałem się w milczeniu. Arsinothery mają dwa duże rogi — nie rozstawione na boki, jak rogi bawołu, tylko umieszczone jeden za drugim i różniące się między sobą wielkością jak kciuk od palca wskazującego. Jak się wkrótce przekonałem, szarżują z nisko pochyloną głową i rogami ustawionymi równolegle do ziemi. Kawalerzyści przegrupowali się i ponownie ruszyli do ataku, a w sporej odległości za nimi rogate zwierzęta pochyliły potężne łby i zaczęły powoli nabierać prędkości; ziemia drżała pod ich ciężkimi stąpanieniami, a piękne kobiety o obfitych kształtach i ciemnych twarzach stanęły wyprostowane pod baldachimami, trzymając się oburącz złożonych słupków. Nie wątpiłem, że mają uda pełne jak wymiona mlecznych krów i krągłe jak pnie drzew.

Szarża zakończyła się dość głęboko — ale nie za głęboko — w szeregach nieprzyjaciela, Asciańscy piechurzy strzelali z bliska w niczym nie osłonięte boki zwierząt, atakowali wielkie łby i byli wyrzucani w powietrze, próbowali wdrapać się na szare grzbiety. Jeźdźcy natychmiast pospieszyli z odsieczą, a szachownica zafalowała, zadrżała, po czym zniknął z niej jeden kwadrat.

Obserwując walkę ze znacznej odległości przypomniałem sobie, jak kiedyś porównywałem w myślach wojnę do partii szachów; nagle ogarnęło mnie graniczące z pewnością przecucie, iż oprócz mnie ktoś jeszcze czynił takie same porównania i podświadomie wykorzystał je przy opracowywaniu szczegółów swojego planu.

— Są naprawdę urocze — ciągnęła Daria kpiącym tonem. — Wybiera się je, kiedy mają dwanaście lat, i karmi miodem oraz oliwą. Słyszałam, że mają tak delikatne ciała, iż nie mogą kłaść się na ziemi, gdyż natychmiast robią im się siniaki, a śpią wyłącznie w puchowej pościeli.

Jeżeli z jakichś powodów taka pościel nie jest dostępna, musza kłaść się w błocie, które dostosowuje się do kształtów ich ciał. Eunuchowie wlewają w błoto wino podgrzane nad ogniskiem, żeby ich panie nie zmarzły w nocy.

— Powinniśmy osiąść z wierzchowców, żeby trochę odpoczęły — powiedział Mesrop.

Ja jednak chciałem śledzić przebieg bitwy, więc zostałem w siodle, podobnie jak Guasacht.

Nasza jazda ponownie została zmuszona do odwrotu, a w dodatku znalazła się pod ostrzałem artylerii. Peltaści padli płasko na ziemię, przykrywając się tarczami, natomiast z lasu w północnej części doliny poczęły wyłaniać się kolejne czworoboki asciańskiej piechoty. Było ich tak wiele, że zaczęto mi świtać podejrzenie, iż trafiliśmy na przeciwnika dysponującego niewyczerpanymi zasobami ludzkimi.

Uczucie to nasiliło się, kiedy kawalerzyści zaatakowali po raz trzeci. Jeden z pocisków wystrzeliwanych przez niewidoczne działa trafił prosto w arsinothera, zamieniając zarówno jego, jak i dosiadającą go kobietę, w stertę krwawych strzępów. Piechurzy obrali teraz za cel właśnie kobiety; chwilę później kolejna została zmieciona z grzbietu potężnego zwierzęcia, a ozdobny palankin zniknął we wnętrzu ognistej kuli. Ascianie niestrudzenie maszerowali naprzód, deptając pstrokato odziane ciała i trupy wierzchowców.

Podczas wojny każdy krok uczyniony naprzód przez zwycięzcę może stać się przyczyną jego porażki. Prąca do przodu szachownica zdobyła już tyle terenu, że najdalej wysunięty z jej kwadratów niespodziewanie ustawił się bokiem do nas; natychmiast kazano nam dosiąść wierzchowców, ustawić się w szyk i ruszyć na nieprzyjaciela, najpierw stępą, potem kłusem, a wreszcie szaleńczym galopem, tak że pęd powietrza o mało nie pozrywał nam skóry z twarzy.

Byliśmy jeszcze gorzej uzbrojeni od tamtych kawalerzystów, lecz w gwałtownym ataku jazdy jest magia znacznie potężniejsza od zaklęć barbarzyńców, bo jak tylko otworzyliśmy ogień, nieprzyjaciel począł kłaść się pokotem jak zboże dotknięte ostrzem kosy żeńca. Pogoniłem srokacza, aby nie dać się wyprzedzić rumakowi gnającemu za mną, ale w chwilę potem Daria jednak mnie prześcignęła; ciągnąc za sobą chmurę rozwianych płomieniście rudych włosów, prawie leżała na siodle, z pistoletem w jednej ręce, a szablą w drugiej. Policzki miała bledsze niż biała piana ściekająca po bokach jej wierzchowca. Zrozumiałem wówczas, skąd wziął się zwyczaj uczestniczenia w walce kobiet dosiadających arsinotherów, i zmusiłem srokacza do jeszcze większego wysiłku, aby ocalić dziewczynę, mimo że Thecla roześmiała się moimi ustami.

Wierzchowce nie biegną jak zwykle zwierzęta, lecz śmigają przez powietrze na podobieństwo strzał. Na chwilę ogień wystrzeliwany przez odległą o pół mili asciańską piechotę utworzył przed nami nieprzeniknioną, wydawałoby się, ścianę, ale zaledwie jedno uderzenie serca później byliśmy już wśród nieprzyjaciół, a nasze rumaki broczyły po kolana we krwi.

Czworobok, który z daleka wydawał się tworzyć niewzruszony monolit, przeistoczył się w zbieraninę żołnierzy o wygolonych głowach, z wielkimi tarczami, którzy tak bardzo pragnęli dobrać się nam do skóry, że w bitewnym zapale często razili siebie nawzajem.

Wojna to głupota, żeby użyć najłagodniejszego określenia, jakie nasuwa się na myśl, lecz mimo to trzeba o niej sporo wiedzieć, najważniejszą zaś rzeczą jest to, że liczby zaczynają odgrywać znaczenie dopiero poniewczasie. W bezpośredniej walce zawsze biorą udział dwaj.

czasem trzech przeciwnicy. Dzięki wierzchowcom od razu uzyskaliśmy przewagę, nie tylko ze względu

na ich wzrost i wagę, ale przede wszystkim dlatego, że stawały dęba i zadawały potężne ciosy przednimi nogami; uderzenia były tak silne, że nawet najpotężniejszy człowiek -może z wyjątkiem Baldandersa - nie zdołałby równie mocno rąbnąć maczugą.

Ognisty pocisk uderzył w mój miotacz. Odrzuciłem go, lecz w dalszym ciągu zadawałem śmierć, uderzając na lewo i prawo mieczem. Nawet nie zauważyłem, kiedy kolejny pocisk zadał mi głęboką ranę w nogę.

Wydaje mi się, że powaliłem co najmniej pół tuzina Ascian, zanim spostrzegłem, że wszyscy wyglądają tak samo; co prawda nie mieli identycznych twarzy, jak to się dzieje w niektórych oddziałach naszej armii, gdzie żołnierze są sobie bliźsi niż bracia, ale różnice, jakie mogłem dostrzec, wydawały się przypadkowe i mało istotne. Podobne zjawisko zaobserwowałem wśród tych, którym odebraliśmy stalowy powóz, lecz wówczas nie poświęciłem mu więcej uwagi. Zastanowiło mnie to dopiero teraz, w szaleństwie bitwy, ponieważ zdawało się stanowić część tego szaleństwa. Wśród nieprzyjaciół znajdowały się zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

Kobiety miały niewielkie, lecz obwisłe piersi i były może o pół głowy niższe, lecz na tym kończyły się różnice. Wszyscy mieli wielkie, dziko błyszczące oczy, krótko ostrzyżone włosy, wychudzone twarze, szeroko otwarte do krzyku usta oraz wystające zęby.

Biliśmy się każdy na własną rękę, tak jak nasi poprzednicy, i zdołaliśmy zdeformować czworobok piechoty, lecz nie udało nam się go zniszczyć. Kiedy odstepiliśmy na chwilę, aby dać odpocząć wierzchowcom, przeciwnik błyskawicznie ustawił się w takim samym szyku, co przedtem, kryjąc się za ruchomą ścianą utworzoną z błyszczących tarcz. Jeden z włócznieików oderwał się od formacji i wymachując bronią puścił się pędem w naszą stronę; w pierwszej chwili pomyślałem, że tylko popisuje się odwagą, potem, kiedy się zbliżył (miałem czas na te rozważania, ponieważ biegł nieporównanie wolniej od rumaka), że chce oddać się do niewoli. On jednak, znalazłszy się w niewielkiej odległości, podniósł groźnie włócznie, więc jeden z naszych położył go celnym strzałem. Wstrząsany konwulsjami padł na ziemię, lecz ostatkiem sił zdążył

jeszcze cisnąć płonąca włócznie w górę. Doskonale pamiętam, jak pomknęła w ciemnogrnatowe niebo.

Guasacht skierował ku mnie wierzchowca.

— Bardzo krwawisz. Dasz sobie radę, kiedy ponownie ruszymy do ataku?

Czułem się tak zdrowy i silny, jak jeszcze nigdy w życiu, i powiedziałem mu o tym.

— Mimo to powinieneś chyba zabandażować sobie nogę. Istotnie, z głębokiego rozcięcia o osmalonych brzegach obficie sączyła się krew. Daria, która do tej pory nie doznała żadnych obrażeń, założyła mi prowizoryczny opatrunek.

Do drugiej szarzy jednak nie doszło, gdyż zupełnie niespodziewanie (przynajmniej z mojego punktu widzenia) otrzymaliśmy rozkaz do odwrotu i ruszyliśmy stępą na północny wschód, przez rozległe,

pofalowane pola szepczącej cicho trawy.

Barbarzyńcy zniknęli bez śladu. Ich miejsce zajęła inna formacja — w pierwszej chwili pomyślałem, że to kawaleria dosiadająca centaurów, istot, których wizerunki oglądałem w brązowej księżce, gdyż widziałem głowy i ramiona jeźdźców nad ludzkimi głowami wierzchowców. Kiedy jednak odległość między nami nieco się zmniejszyła, przekonałem się, że to tylko bardzo mali ludzie, właściwie karły, siedzący na ramionach niezmiernie wysokich żołnierzy.

Powoli coraz bardziej zbliżaliśmy się do siebie. Karły przyglądały nam się spode łba, natomiast wysocy mężczyźni w ogóle nie spoglądali w naszym kierunku. Wreszcie, kiedy naszą kolumnę dzieliło od ich kolumny najwyżej kilka łańcuchów, kazano nam zatrzymać się i zwrócić twarzami w ich stronę. Dopiero wówczas stwierdziłem z przerażeniem, że to Ascianie, i zrozumiałem, że nasz manewr miał na celu uniemożliwienie im przeprowadzenia uderzenia w bok formacji peltastów. Manewr w pełni się udał, w związku z czym teraz, jeżeli nadal chcieli zrealizować poprzedni plan, musieli najpierw przedrzeć się przez nasze szeregi. Nie powinni mieć z tym żadnego problemu, gdyż wydawało mi się, że jest ich wielokrotnie więcej od nas.

Mimo to atak nie nastąpił. Staliśmy bez ruchu jeden obok drugiego, dotykając się strzemionami. Pomimo przewagi liczebnej Ascianie niezbyt pewnie przemieszczali się to w lewo, to w prawo, jakby nie mogli się zdecydować, w którym miejscu przeprowadzić uderzenie. Było jednak oczywiste, że znaczną część sił musieliby zaangażować na skrzydłach, aby uniemożliwić nam wykonanie manewru okrążającego. Nic strzelaliśmy, jakby w nadziei, że w ten sposób uda się umknąć starcia.

Po pewnym czasie staliśmy się świadkami takiego samego zachowania jak to, które niedawno zaprezentował nam samotny włóczyk. Jeden z wysokich mężczyzn popędził naprzód; w jednej ręce dzierżył cienką laskę, w drugiej miecz o dwustronnym, wygiętym ostrzu. W miarę jak zbliżał się do nas, coraz bardziej zwalniał kroku, a ja przekonałem się, że jego oczy mają ten sam pusty wyraz, co oczy ślepców. Dosiadający go karzeł miał niewielki łuk ze strzałą założoną na cięciwę.

Kiedy znaleźli się w odległości pół łańcucha od nas. Erblon wysłał dwóch ludzi, żeby ich odpędzili. Jednak zanim ci dwaj zdążyli się zbliżyć, ślepiec pognął w naszą stronę tak szybko, jak najbardziej chyży rumak, tyle tylko, że w całkowitej ciszy. Co najmniej dziesięciu naszych żołnierzy wystrzeliło w jego kierunku, dzięki czemu miałem okazję przekonać się naocznie, jak trudno jest trafić w cel przemieszczający się z tak wielką prędkością. Strzała pomknęła ku nam i eksplodowała pomarańczowym płomieniem, a kiedy jeden z żołnierzy sparował cios laski, miecz olbrzyma z ogromną siłą spadł na jego czaszkę i rozłupał ją na dwie części.

Zaraz potem od zasadniczej formacji oddzieliła się grupka trzech ślepych olbrzymów z karłami na ramionach, a potem jeszcze jedna. i jeszcze. Nasz hipparcha podniósł rękę, Guasacht powtórzył jego gest. Erblon zaś zadął w trąbkę; wydobył się z niej donośny sygnał, podobny nieco do tęsknego ryku jakiegoś zwierzęcia.

Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, każda bitwa, w której z obu stron uczestniczą oddziały kawalerii, bardzo szybko przeistacza się w serię potyczek. Uderzyliśmy na nich i, choć straciliśmy dwudziestu albo trzydziestu ludzi, przebiliśmy się przez ich szeregi, tylko po to jednak, aby natychmiast zawrócić i ponownie ruszyć do ataku. Chcieliśmy uniemożliwić im przeprowadzenie

uderzenia na peltastów, a także jak najprędzej odzyskać kontakt z naszą armią.

Oni, rzecz jasna, zwrócili się twarzami w naszą stronę, w związku z czym już wkrótce nie sposób było dopatrzeć się ani linii frontu, ani jakiegokolwiek taktyki poza tą, którą każdy z walczących stosował dla własnych potrzeb.

Moja polegała na tym, żeby trzymać się z daleka od tych karłów, które właśnie szykowały się do oddania strzału, natomiast starać się dopaść każdego, do którego mogłem zbliżyć się z boku lub od tyłu. Przez pewien czas wydawała mi się nawet dość skuteczna, dopóki nie przekonałem się, że choć karły stawały się zupełnie bezradne, jeśli zabito im wierzchowca, to ślepi olbrzymi wpadali w istny szal, gdy tylko stracili jeźdźca, z niespożytą energią atakując wszystko, co znalazło się na ich drodze, przez co stawali się znacznie bardziej niebezpieczni.

Bardzo szybko płonące strzały karłów oraz wyładowania naszych miotaczy wznieciły ogień w wysokiej trawie, a gryzący dym przyczynił się do zwiększenia i tak już niemałego zamieszania. Straciłem z oczu Darię i Guasachta; w pewnej chwili wśród kłębow dymu dostrzegłem niewyraźną sylwetkę jednego z naszych jezdnych walczącego z czterema Ascianami. Natychmiast ruszyłem z odsieczą; choć jeden z nieprzyjaciół odwrócił się nagle i posłał w moją stronę strzałę, która przemknęła mi ze świstem tuż obok ucha. Wpadłem na niego całym pędem i powaliłem na ziemię jego ślepego wierzchowca. W tej samej chwili zza kępy płonącej trawy wyskoczyła jakaś kudłata postać i trzema lub czterema ciosami siekiery rozprawiła się z kolejnym przeciwnikiem.

Okazało się, że jeździec, któremu pospieszyłem z pomocą, nie należał do naszego oddziału, lecz był jednym z barbarzyńców, których jakiś czas temu widziałem na prawej flance.

Podczas walki odniósł kilka ran, a kiedy zobaczyłem płynącą krew, przypomniałem sobie, że ja także jestem ranny. Nogę miałem zupełnie sztywną i z każdą chwilą traciłem coraz więcej sił. Z

pewnością wycofałbym się ku południowemu krańcowi doliny, gdybym wiedział, w którą stronę powinienem się zwrócić, ponieważ jednak całkowicie straciłem orientację, puściłem luzem wodze i mocno klepnąłem srokacza w zad, gdyż opowiadano mi kiedyś, że bojowe zwierzęta często potrafią same wrócić do miejsca ostatniego popasu. Natychmiast ruszył przed siebie kłusem, który wkrótce zamienił się w galop. W pewnej chwili dał potężnego susa. o mało nie wysadzając mnie z siodła; spojrzałem w dół w samą porę. aby ujrzeć martwego Erblona leżącego na wznak obok nieżywego rumaka, a obok nasz czarno-zielony sztandar. Zawróciłbym, aby sprawdzić, czy mimo wszystko nie da się mu jakoś pomóc, ale mój wierzchowiec pędził tak szybko, że nie miałem żadnych szans na to, aby go zatrzymać. Po prawej stronie pojawiła się zwarta formacja jeźdźców, a za nią ogromna maszyna plująca przed siebie ogniem; wyglądała jak ruchoma wieża.

Jeszcze chwilę temu byli prawie niewidoczni, by zaraz potem runąć na mnie jak burza. Nie mogę powiedzieć, kim byli ani jakich dosiadali zwierząt, bynajmniej nie dlatego, żebym zapomniał —

gdyż ja niczego nie zapominam — lecz po prostu dlatego, że nie miałem okazji im się przyjrzeć.

Nie było mowy o żadnej walce; chodziło tylko o to, żeby przeżyć. Sparowałem cios zadany jakąś bronią stanowiącą skrzyżowanie miecza z toporem, a zaraz potem mój wierzchowiec wydał

przeraźliwy ryk i wspiął się na zadnie nogi. W jego piersi tkwiła płonąca strzała. Chwilę później zderzyliśmy się z jednym z jeźdźców i runąłem w ciemność. **Rozdział XXIII Morska flota zbliża się do lądu**

Zaraz po odzyskaniu przytomności poczułem ból w nodze. Tkwiła pod trupem srokacza, ja zaś zacząłem walczyć, by ją stamtąd wydostać, jeszcze zanim uświadomiłem sobie, kim jestem i w jaki sposób znalazłem się w obecnym położeniu. Moje ręce i twarz, a także ziemia wokół

mnie, były pokryte zaschniętą krwią.

Panowała całkowita cisza. Bezskutecznie nasłuchiwałem łoskotu kopyt, uderzających w brzuch Urth, jakby to był bęben obciągnięty naprężoną skórą. Nie słyszałem ani okrzyków bojowych naszych żołnierzy, ani dzikich, przeraźliwych wrzasków, jakie dobiegały od strony ustawionych w szachownicę oddziałów Ascian. Wciąż próbowałem się uwolnić, lecz moje wysiłki nie dawały żadnego efektu.

Gdzieś daleko, przypuszczalnie za jednym ze skalnych grzebieni biegnących wzdłuż obu krawędzi doliny, wilk zawył do księżyca. Ten przerażający odgłos, który Thecla słyszała kilka razy uczestnicząc w polowaniach organizowanych w pobliżu Silvy, uświadomił mi, że moje kłopoty z postrzeganiem bardziej oddalonych ode mnie przedmiotów nie są spowodowane dymem ani, jak zacząłem się już obawiać, jakimś urazem głowy; dolinę spowijał półmrok, choć nie byłem w stanie stwierdzić, czy poprzedzający nadejście świtu czy stanowiący ostatnią pozostałość wieczoru.

Wreszcie zrezygnowałem z bezowocnych wysiłków, a po pewnym czasie zasnąłem.

Obudził mnie odgłos powolnych, ciężkich, ostrożnych kroków. Zrobiło się znacznie ciemniej. W

taki sposób chodziłby Baldanders, gdyby był jeszcze cięższy i bardziej powolny. Otworzyłem usta, żeby zawołać o pomoc, lecz natychmiast zamknąłem je, gdyż przyszło mi do głowy, że mógłbym ściągnąć na siebie uwagę istoty równie groźnej jak ta, którą kiedyś obudziłem w kopalni zamieszkałej przez małpoludy. Przycisnąłem się do martwego ciała wierzchowca, mało co nie wykręcając sobie nogi w stawie biodrowym. Kolejny wilk zawył do zielonej wyspy na niebie — jego żalonna pieśń brzmiała tak samo przerażająco, jak poprzednia, tyle tylko, że rozległa się znacznie bliżej.

Jako chłopiec często słyszałem od dorosłych, że brakuje mi wyobraźni. Jeżeli to była prawda, w takim razie połączenie z Theclą całkowicie odmieniło sytuację, gdyż wystarczyło, abym choć na chwilę przymknął powieki, a natychmiast widziałem przed sobą dzikie wilki, czarne, poruszające się bezszelestnie kształty, każdy niemal tak wielki jak onager, pędzące w dół

po zboczach doliny. Słyszałem też trzask, z jakim pękały w ich mocarnych szczekach kości zabitych. Nie zdając sobie z tego sprawy zacząłem krzyczeć i krzyczałem tak długo, aż zabrakło mi tchu w piersi.

Kroki ucichły na chwilę, choć z pewnością kierowały się teraz w moją stronę, bez względu na to, dokąd podążały wcześniej. Nagle trawa zaszeleściła tuż przy mojej głowie i ujrzałem małego fenka,

który przystanął na chwilę, zdumiony moim widokiem, po czym dał

ogromnego susa i zniknął, uciekając przed czymś, czego ja jeszcze nie mogłem dostrzec.

Wspomniałem już, że trąbka Erblona umilkła; teraz odezwała się inna, o głosie głębszym, donośniejszym i bardziej dzikim. Na tle ciemniejącego nieba pojawił się na chwilę jej zarys —

była wygięta w przedziwny, choć zarazem piękny sposób — zaraz potem zaś ujrzałem kudłatą głowę trębacza, która zasłoniła zielony księżyc. Wznosiła się nad ziemią na wysokości trzy razy większej od tej, na jakiej zwykle znajduje się głowa jeźdźca. Dźwięk powtórzył się, głęboki jak wodospad, trąba powędrowała w górę, a wówczas po obu jej stronach dostrzegłem dwa białe, wygięte ciosy i zrozumiałem, iż oto mam przed sobą symbol wszelkiej władzy, bestię zwaną mamutem.

Jeśli wierzyć Guasachtowi, mimo utraty Pazura wciąż dysponowałem pewną władzą nad zwierzętami. Usiłowałem z niej teraz skorzystać, szepcząc sam nie wiem co i tak bardzo koncentrując myśli, że wydawało mi się, iż lada chwila eksplodują mi skronie. Trąba opuściła się badawczo ku mnie jej koniec miał co najmniej łokieć średnicy i musnęła moją twarz delikatnie jak ręka dziecka. Owionął mnie wilgotny, gorący oddech pachnący sianem. W chwilę potem ciało srokacza zostało odsunięte na bok, a ja natychmiast spróbowałem się podnieść, lecz zatoczyłem się i byłbym upadł, gdyby nie to, że mamut objął mnie trąbą w pasie, a następnie podniósł wysoko nad głowę.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był wylot potężnej lufy oraz wypukła soczewka przyrządu celowniczego. Z tyłu znajdowało się miejsce dla artylerzysty, lecz było puste, gdyż ten, kto je zapewne jeszcze niedawno zajmował, przeszedł na szeroki kark zwierzęcia i stał tam, oparty jedną ręką o lufę. Na chwile zapłonęło silne światło, całkowicie mnie oślepiając.

— To ty. Jak widzę, cudom nie ma końca. — Głos nie był ani kobiecy, ani męski, i gdybym musiał go opisać, powiedziałbym chyba, że należał do chłopca. Zostałem położony u stóp człowieka stojącego na karku potwora. — Widzę, że jesteś ranny. Czy ta noga wytrzyma twój ciężar?

Odparłem, iż wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Nie radzę ci kłamać, bo nadzwyczaj łatwo stąd spaść. Z tyłu jest wygodna gondola, ale obawiam się, że Mamillian nie sięgnie tam trąbą. Będziesz musiał usiąść tutaj i oprzeć się plecami o podstawę działa.

Poczułem pod pachami jego ręce — nieduże, dość słabe i wilgotne. Chyba właśnie dzięki ich dotykowi poznałem, z kim mam do czynienia: z androgynem, którego najpierw spotkałem w zasypanym śniegiem Lazurowym Pałacu, a później w przemyślnie zamaskowanym pokoju, udającym malowidło zawieszony na ścianie korytarza w Domu Absolutu.

Autarcha.

We wspomnieniach Thecli widziałem go w szatach bogato zdobionych złotem i klejnotami. Choć powiedział, że mnie poznaje, ja byłem tak skołowany, iż mimo wszystko podałem hasło, którego kiedyś mnie nauczył:

— Morska flota zbliża się do lądu...

— Istotnie, to nie ulega żadnej wątpliwości. Obawiam się jednak, że jeśli teraz spadniesz, mimo całej swojej inteligencji Mamillian nie zdąży cię w porę złapać. Byłoby dobrze, żebyś okazał mu tyle pomocy. ile możesz, gdyż ja nie jestem tak silny, jak na to wyglądam.

Zacisnąłem rękę na jakiejś części działa, dzięki czemu zdołałem nieco podciągnąć się w jego kierunku. Skórę mamuta czuć było stęchlizną.

— Szczerze mówiąc, według mnie nigdy nie wyglądałeś na silnego.

— Jako fachowiec natychmiast to zauważyłeś, ale ja jestem jeszcze słabszy, niż ci się wydaje. Ty, dla odmiany, zawsze wydawałeś mi się skonstruowany z twardego rogu i wygotowanej skóry. Chyba to prawda, bo w przeciwnym razie z pewnością byłbyś już martwy.

Co się stało z twoją nogą?

— Trafił w nią ognisty pocisk.

— Myślę, że będziemy musieli ci to jakoś wynagrodzić. Do domu! — powiedział nieco donośniej głosem. — Mamillian, do domu!

— Czy wolno mi zapytać, co tutaj robisz?

— Oglądam pole bitwy. Domyślam się, że ty także tu dzisiaj walczyłeś?

Skinałem głową, choć bałem się, że głowa lada chwila spadnie mi z ramion.

— Ja nie... to znaczy, ja także, tyle tylko, że nie osobiście. Wydałem rozkaz, aby rzucono do boju kilka oddziałów lekkiej kawalerii i wsparłem je jednym legionem peltastów.

Domyślam się, że byłeś jednym z kawalerzystów. Czy straciłeś jakichś przyjaciół?

— Miałem tylko jednego, kobietę. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, była cała i zdrowa.

Zęby androgyna błysnęły w świetle księżyca.

— Widzę, że nie przestałeś interesować się kobietami. Czy to ta Dorcas, o której mi opowiadałeś?

— Nie. Zresztą, to bez znaczenia. — Nie bardzo wiedziałem, jak powinienem sformułować myśl, którą miałem zamiar wyrazić. (Trudno o lepszy dowód braku wychowania, niż stwierdzić otwarcie, iż rozpoznało się kogoś, kto najwyraźniej pragnie zachować incognito).

— Widzę, że piastujesz ważne stanowisko we Wspólnocie — wykrztusiłem wreszcie. — Jeżeli moja śmiałość nie sprawi, że zostanę zrzucony z grzbietu twego zwierzęcia, chciałbym zapytać, jak to możliwe, żeby ktoś wydający rozkazy całym legionom jednocześnie prowadził przybytek uciech w Algedonie?

Niebo nagle pociemniało, a gwiazdy zaczęły niknąć jedna za drugą jak płomyki świec w wielkich żyrandolach zwieszających się z sufitu sali balowej, gaszone przez służbę po skończonym przyjęciu. Gdzieś z bardzo daleka do moich uszu dotarł głos androgyna:

— Widzę, że wiesz, kim jesteśmy. Jesteśmy samą istotą bytu, wszechwładcą, Autarchą.

My jednak wiemy więcej. Wiemy, kim ty jesteś.

Teraz wiem już, że mistrz Malrubius przed samą śmiercią był bardzo chorym człowiekiem. Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, gdyż samo pojęcie choroby było mi zupełnie obce. Przynajmniej połowa uczniów umarła przed osiągnięciem wieku, kiedy mogli zostać czeladnikami, lecz mimo to nigdy nie zaświtało mi podejrzenie, iż nasza wieża może wywierać niekorzystny wpływ na zdrowie zamieszkujących ją ludzi ani że wody Gyoll, w której tak często zażywaliśmy kąpeli, po tej stronie miasta właściwie niczym nie różnią się od ścieków.

Uczniowie zawsze umierali, a kiedy ci, co pozostali przy życiu, kopali im groby, wydobywali na powierzchnię drobne kości i niewielkie czaszki. Zakopywaliśmy je ponownie, ale za którymś razem na skutek uderzeń łopaty rozpadały się na drobne kawałki, by potem roztopić się bez śladu w przypominającej smołę ziemi. Tak się jednak jakoś złożyło, że przez cały czas mego pobytu w konfraterni największymi dolegliwościami, na jakie się skarżałem, były ból gardła i katar; rola tych przypadłości polega wyłącznie na zwodzeniu zdrowych ludzi, tak by wydawało im się, że wiedzą, na czym polega prawdziwa choroba. Mistrz Malrubius cierpiał na prawdziwą chorobę, co oznacza, że w każdym cieniu widział czającą się śmierć.

Kiedy stał za katedrą, nietrudno było się zorientować, iż zdaje sobie sprawę z czyjejś obecności za swoimi plecami. Patrzył prosto przed siebie, prawie nigdy nie spoglądając na boki i do tyłu, a to, co mówił, adresował nie tylko do nas, ale i do tego niewidzialnego słuchacza.

— Starłem się ze wszystkich sił, aby przekazać wam najbardziej ogólne podstawy wiedzy. Są to ziarna drzew, które powinny wykiełkować i rosnąć w waszych umysłach.

Severianie, spójrz, jak wygląda twoje “Q”; powinno być okrągłe i pełne jak twarz szczęśliwego chłopca, lecz nie wiedzieć czemu zapadł mu się jeden policzek, zupełnie jak tobie. Wszyscy widzieliście, jak wygląda rdzeń kręgowy, który uparcie pnie się coraz wyżej, by wreszcie, na samym szczycie, rozkwitnąć niezliczonymi ścieżkami połączeń nerwowych mózgu. Dlaczego więc ta literka ma mieć jeden policzek okrągły i zadowolony, drugi zaś mizerny i nieszczęśliwy?

Drżącą ręką sięgnął po rysik, lecz ten wysunął mu się z palców, stoczył poza krawędź

stołu i z donośnym stukotem upadł na podłogę. Malrubius nie schylił się, by go podnieść; przypuszczalnie obawiał się, że niechcący spojrzy do tyłu i zobaczy towarzyszącą mu milczącą istotę.

— Poświęciłem całe życie rozsiewaniu tych ziaren w umysłach uczniów naszej konfraterni. Odniosłem kilka sukcesów, lecz nie było ich wiele. Szczególnie dobrze pamiętam pewnego chłopca, który jednak...

Podszedł do okrągłego okienka i splunął na zewnątrz. Siedziałem najbliżej, dlatego bez trudu zobaczyłem, że plwocina składa się niemal wyłącznie z krwi, i natychmiast zrozumiałem, iż nie jestem w stanie dostrzec czarnej postaci (gdyż śmierć ma barwę jeszcze ciemniejszą od fuliginu), ponieważ ona znajduje się już w jego wnętrzu.

Teraz przekonałem się, że śmierć, która objawiła mi się pod nową postacią, to znaczy w przebraniu wojny, jest w stanie napełnić moje serce przerażeniem oraz że słabość mego ciała może stać się przyczyną rozpacz i przerażenia z pewnością nie mniejszych niż te, z jakimi walczył mój siary nauczyciel. Jadąc na grzbiecie mamuta, to odzyskiwałem przytomność, to znowu ją traciłem.

Świadomość pojawiała się i znikła niczym niespokojny wiosenny wiatr, w związku z czym ja, który tak często miałem kłopoty z zaśnięciem, zmagając się z cieniami przeszłości, teraz ze wszystkich sił starałem się wyrwać z objęć snu, zupełnie jak dziecko, które walczy z wiatrem ciągnąc za sznurek latawca. Chwilami zdawałem sobie sprawę jedynie z istnienia mego obolałego ciała. Ból promieniujący we wszystkie strony z rany był tak silny — pojawił się dopiero teraz, gdyż najpierw w ogóle nic nie czułem, potem zaś, kiedy Daria zakładała mi opatrunek, prawie wcale nie dawał mi się we znaki - że stał się czymś w rodzaju wszechobecnego podkładu pod moje myśli, czymś w rodzaju bicia bębnow towarzyszącego zrównaniu dnia z nocą. Przewracałem się niespokojnie z boku na bok, bo wciąż wydawało mi się, że przygniatam zranioną nogę.

Słyszałem nic nie widząc, a chwilami widziałem nic nie słysząc. Oderwałem policzek od pokrytej splątaną sierścią skóry Mamilliana i wtuliłem go w poduszkę utkaną z miękkich, delikatnych piór kolibrów.

W pewnej chwili dostrzegłem szkarłatny i złocisty blask pochodni trzymany przez małpy o poważnych twarzach. Pochylił się nade mną człowiek z rogami i pyskiem byka —

konstelacja, która nagle ożyła i zstąpiła z nieba. Powiedziałem mu, że nie jestem w stanie podać dokładnej daty moich narodzin, oraz podziękowałem za opiekę, jaka roztaczał nad moim życiem.

Zaraz potem przypomniałem sobie jednak, że znam tę datę, że mój ojciec aż do śmierci urządził dla mnie wielki bal w każdą rocznicę moich urodzin oraz że przyszedłem na świat pod znakiem Łabędzia. Słuchał uważnie, odwróciwszy głowę na bok, by móc obserwować mnie brązowym okiem.

Rozdział XXIV

Ślizgacz

Ciepły blask słońca na mojej twarzy.

Spróbowałem usiąść, lecz udało mi się zaledwie podnieść nieco na łokciu. Powietrze wokół mnie mieniło się feerią barw, od fioletu i cyjanu aż po szkarłat i lazur, a promienie słońca przesywały roztańczone, różnokolorowe plamy jak sztylety, wbijając mi się w oczy. Nagle wszystko znikło, ja zaś przekonałem się, że jestem w obszernym, wysokim namiocie z pstrokatego jedwabiu, z otwartym wejściem.

Podszedł do mnie człowiek, którego ostatnio widziałem na grzbiecie mamuta. Jak zawsze, miał na sobie żółtą szatę, a w rękę dzierżył czarną laskę zbyt cienką, aby mogła służyć jako broń.

— Widzę, że wracasz do zdrowia.

— Powiedziałbym, że owszem, gdybym się nie bał, że tak wielki wysiłek może mnie zabić.

Uśmiechnął się samymi kącikami ust.

— Chyba ty właśnie powinieneś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek, że cierpienia, jakich doznajemy w tym życiu, pozwolą nam w następnym zaznawać rozmaitych, niekoniecznie dozwolonych, przyjemności... Czy chciałbyś już teraz otrzymać zapłatę?

Pokręciłem głową i położyłem ją na poduszce. Odniosłem wrażenie, iż czuję delikatny zapach piżma.

— To dobrze, ponieważ minie sporo czasu, zanim będziesz mógł ją wykorzystać.

— Czy tak mówią twoi lekarze?

— Ja jestem swoim lekarzem i osobiście się tobą zajmuję. Najgorszy ze wszystkiego był

szok... Wiem, że wielu uważa to za przypadłość starych kobiet i ty zapewne też tak myślisz, ale musisz wiedzieć, że z tego właśnie powodu umiera wielu rannych. Gdyby wszyscy moi żołnierze, do których śmierci się przyczynił, mogli ożyć, chętnie zamieniłbym ich na tych, co otrzymali cios prosto w serce.

— Czy będąc swoim — i moim — lekarzem mówisz pacjentom prawdę?

Uśmiechnął się znacznie szerzej niż przedtem.

— Zawsze. Na tym stanowisku trzeba gadać właściwie bez przerwy, żeby utrzymywać jakiś porządek w nie kończącym się łańcuchu kłamstw. Rzecz jasna, musisz zdawać sobie sprawę, że prawda... mała, zwyczajna prawda, nie ostateczna, uniwersalna Prawda, którą znam w nie większym stopniu niż ty... że prawda jest znacznie bardziej zwodnicza.

— Zanim straciłem przytomność, usłyszałem, jak mówisz, że jesteś Autarchą.

Rzucił się jak dziecko na usłaną grubymi kobiercami ziemię.

— Tak powiedziałem, bo nim jestem. Co, zaimponowałem ci?

— Zaimponowałbyś znacznie bardziej, gdybym nie pamiętał tak dobrze mojej wizyty w Lazurowym Pałacu.

(Ganek przykryty czapą tego samego śniegu, który tłumiał odgłos naszych kroków, pojawił

się w jedwabnym pawilonie niczym upiór. Kiedy spojrzenie błękitnych oczu Autarchy spotkało się z

moim, poczułem nagle, że Roche stoi obok mnie w białym puchu. Obaj mieliśmy na sobie niezbyt dobrze dopasowane ubrania, w których czuliśmy się dosyć nieswojo. We wnętrzu Lazurowego Pałacu kobieta, która nie była Theclą, właśnie się w nią przeistaczała, tak samo, jak ja miałem później przeistoczyć się w Meschię, pierwszego człowieka. Któż wie, do jakiego stopnia aktor identyfikuje się z odtwarzaną przez siebie postacią? Kiedy grałem Pomocnika, nie miało to większego znaczenia, gdyż musiałem stać się tym, kim byłem w życiu — a przynajmniej za kogo się uważałem; jednak jako Meschia przyłapywałem się czasem na dziwnych myślach, obcych zarówno Severianowi, jak i Thecli, dotyczących początku wszystkich rzeczy oraz powstania świata).

— Jeśli się nie mylę, nigdy ci nie mówiłem, że jestem w y ł ą c z n i e Autarchą.

— Kiedy spotkałem cię w Domu Absolutu, zdawałeś się jednym z mniej ważnych urzędników, przyznaję jednak, że nie próbowałeś mnie okłamać, co zresztą i tak nie na wiele by się zdało, gdyż już wtedy wiedziałem, kim jesteś naprawdę. Przypuszczam, że to właśnie ty dałeś pieniądze doktorowi Talosowi?

— Przyznaje się bez wstydu. To całkowita prawda. W gruncie rzeczy piastuje jednocześnie kilka pomniejszych stanowisk na moim dworze... Co w tym niezwykłego? Skoro ja sam mianuje wszystkich urzędników, mogę także mianować samego siebie. Rozkaz otrzymany bezpośrednio od Autarchy czasem wywiera wręcz paraliżujące wrażenie; jest czas właściwy dla dekretów władcy, jest też czas właściwy dla rozporządzeń wydawanych przez któregoś z jego mato ważnych urzędników. Ja jestem zarówno jednym, jak i drugim, a nieraz nawet czymś jeszcze.

— A w tym pałacu w Algedonie...

— Jestem także przestępcą, podobnie jak ty.

Głupota nie ma granic. Podobno granice przestrzeni są, wyznaczone przez jej krzywiznę, natomiast głupota sięga w nieskończoność. Ja, który zawsze uważałem się jeśli nie za inteligentnego, to przynajmniej za kogoś, kto jest w stanie szybko przyswajać sobie nowe wiadomości, który myślałem o sobie jako o człowieku bardzo praktycznym i dość przewidującym, aż do tej pory nigdy nie skojarzyłem sobie, iż usytuowanie Autarchy na samym szczycie prawnej struktury Wspólnoty musi mieć jakiś związek z jego wiedzą o moim przeniknięciu do Domu Absolutu w charakterze emisariusza Vodalusa. Gdybym mógł, zerwał-

bym się z miejsca i uciekł, dokąd mnie oczy poniosą, ale nogi w dalszym ciągu miałem jak z wosku.

— Wszyscy jesteśmy przestępcami — przynajmniej ci, którzy pilnują, aby ludzie przestrzegali prawa. Czy myślisz, że twoi bracia z konfraterni byliby wobec ciebie tak bardzo surowi — aż doniesień moich agentów wynika, iż wielu żądało dla ciebie kary śmierci — gdyby sami mieli na sumieniu podobny występki? Stanowiłeś dla nich poważne niebezpieczeństwo, ponieważ jeśli nie zostałbyś przykładnie ukarany, twój przykład działałby jak niebezpieczna pokusa. Sędzia lub strażnik więzienny, który nie dopuścił się żadnego występku, jest potworem nadużywającym na zmianę prawa łaski, należnego wyłącznie Prastwórcy, oraz okrutnego rygoru, którego nikt nikomu nie powinien narzucać.

Tak więc ja także stałem się przestępcą, tyle tylko, że miłość, jaką żywię do ludzkości, nigdy nie pozwoliłaby mi dopuścić się naprawdę odrażających zbrodni, a jednocześnie brakuje mi zdolności manualnych i bystrości myśli, jakimi musi dysponować każdy złodziej. Zacząłem więc szukać, i wreszcie — myślę, że było to mniej więcej wtedy, kiedy przyszedłeś na świat —

odnalazłem swoje powołanie. Dzięki niemu mogę zaspokajać pewne emocjonalne potrzeby, które pozostawały nie zaspokojone, a także zdobywać wiedzę na temat ludzkiej natury. Wiem, kiedy zaproponować łapówkę i w jakiej wysokości, a także, co jest chyba znacznie ważniejsze, kiedy nie należy tego czynić. Wiem, w jaki sposób sprawić, aby pracujące dla mnie dziewczyny były zadowolone z perspektyw na przyszłość, a jednocześnie niezadowolone ze swojej obecnej sytuacji. Rzecz jasna, wszystkie są klonami, wyhodowanymi z komórek pobranych z ciał

najpiękniejszych arystokratek. Wiem, jak zaaranżować spotkanie, aby każdy z klientów uważał je za zupełnie wyjątkowe wydarzenie, nie za coś pośredniego między łzawym romansem a własnoręcznym zaspokojeniem swoich potrzeb. Ty także sądziłeś, że spotkało cię coś wyjątkowego, prawda?

— My też ich tak nazywamy — powiedziałem. — Mówimy o nich: klienci.

Słuchając jego słów, jednocześnie zwracałem uwagę na ton, jakim je wypowiadał. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że androgyn jest szczęśliwy, choć z pewnością nie był taki podczas żadnego z naszych poprzednich spotkań. Miałem wrażenie, że wsłuchuję się w beztroski śpiew drozda. Jemu chyba towarzyszyło podobne odczucie, gdyż w pewnej chwili uniósł głowę ku rozjaśnionej blaskiem słońca kopule namiotu, a zgłoska “r” w słowach “zaaranżować” i “romans”

zamieniła się w coś w rodzaju trylu.

— Odnoszę korzyści jeszcze innego rodzaju: pozostaję mianowicie w kontakcie z niższymi warstwami społeczeństwa, dzięki czemu wiem, czy podatki istotnie są ściągane, czy uważane są za znośne czy też za nadmiernie uciążliwe, jakie poglądy zyskują na popularności, a jakie na niej tracą.

Odniosłem wrażenie, że czyni jakąś aluzję do mnie, choć nie miałem pojęcia, o co mu może chodzić.

— Te damy dworu... Dlaczego nie zatrudnisz prawdziwych? Jedna z nich udawała Theclę, która w tym czasie była zamknięta w podziemiach naszej wieży.

Popatrzył na mnie w taki sposób, jakbym powiedział coś niezmiernie głupiego, i zapewne tak właśnie było.

— Ponieważ nie mogę im ufać, ma się rozumieć. Taka rzecz musi pozostać w tajemnicy

— pomyśl tylko, jaka by to była gratka dla zamachowców! Czy naprawdę przypuszczasz, iż te wszystkie obsypane złotem osobistości należące do starożytnych rodzin, które kłaniają mi się do samej ziemi, uśmiechają się i opowiadają na ucho głupawe żarciki, czują wobec mnie jakąkolwiek lojalność? Jeśli tak, to już niedługo przekonasz się, że w rzeczywistości sprawy mają się zupełnie inaczej. Na dworze jest bardzo niewielu ludzi, którym mogę zaufać, i żaden z nich nie jest arystokratą.

— Powiedziałeś, że wkrótce sam się o tym przekonam... Czy to znaczy, że nie masz zamiaru mnie zgładzić?

Czułem pulsowanie krwi w żyłach i bez trudu mogłem sobie wyobrazić jej szkarłatny strumień, tryskający z pozbawionego głowy karku.

— Dlatego że poznałeś naszą tajemnicę? Nie. Mamy wobec ciebie inne plany, jak ci już powiedziałem, kiedy rozmawialiśmy w pokoju ukrytym za obrazem.

— Ponieważ złożyłem przysięgę Vodalusowi?

Tym razem nie zdołał zapanować nad rozbawieniem: odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnął donośnym śmiechem, zupełnie jak jakieś pulchne, szczęśliwe dziecko, które właśnie rozszyfrowało zasadę działania zmyślnej zabawki. Kiedy wreszcie się uspokoił, klasnął w dłonie: choć sprawiały wrażenie bardzo słabych, odgłos, jaki się rozległ, był zdumiewająco donośny.

Do namiotu weszły dwie istoty o ciałach kobiet i głowach kotów. Miały wielkie jak śliwki oczy, umieszczone w odległości piędzi jedno od drugiego, poruszały się zaś na palcach z gracją, jakiej nie zdołałyby osiągnąć nawet najlepsze tancerki — byłem jednak pewien, że jest to ich zwyczajny chód. Powiedziałem, że miały ciała kobiet, ale nie jest to do końca prawdą, ponieważ nad opuszkami krótkich, delikatnych palców dostrzegłem koniuszki pazurów. Niezwykłe stworzenia zaczęły mnie ubierać, a ja wziąłem jedno z nich za rękę i lekko ścisnąłem, tak jak czasem czyni się z łapą zaprzyjaźnionego kota; pazury natychmiast wysunęły się z ukrycia. Na ich widok łzy nabiegły mi do oczu, ponieważ każdy miał kształt Pazura, który kiedyś nosiłem ukryty w klejnocie, zwanym przeze mnie, w mojej ignorancji, Pazurem Łagodziciela. Autarcha dostrzegł moje łzy i widocznie doszedł do wniosku, że kobiety-koty sprawiły mi ból, gdyż polecił

im, by położyły mnie z powrotem na miękkich kobiercach. Czułem się jak małe dziecko, któremu właśnie powiedziano, że już nigdy nie zobaczy matki.

— Nie zrobiłyśmy mu nic złego, Legionie! — zaprotestowała jedna z nich głosem, jakiego nigdy przedtem nie zdarzyło mi się słyszeć.

— Powiedziałem, że macie go natychmiast położyć!

□

Nawet mnie nie drasnęły, Sieur — stanąłem w ich obronie.

Przy pomocy kobiet-kotów mogłem nawet chodzić. Był wczesny poranek, pora, kiedy zapóźnione nocne cienie umykają przed blaskiem wstającego słońca. Światło, które mnie obudziło, padło na różnobarwny namiot o samym brzasku. Napełniłem płuca świeżym powietrzem nowego dnia, a rosa, pokrywająca drobnymi kropelkami zmierzwioną trawę, zmoczyła mi buty. Na twarzy poczułem podmuch wiatru równie delikatnego jak gasnące gwiazdy.

Namiot Autarchy stał na szczycie wzgórza, w samym centrum ogromnego wojskowego obozu, składającego się nie tylko z mnóstwa szarych, czarnych i ciemnobrązowych namiotów, ale także z

prymitywnych chat wzniesionych z brył torfu oraz ziemianek, z których żołnierze wyłaniali się właśnie niczym srebrzyste mrówki.

— Musimy zachować ostrożność — powiedział Autarcha. — Co prawda znajdujemy się w znacznej odległości od linii frontu, ale gdyby obóz bardziej rzucał się w oczy, bylibyśmy narażeni na atak z powietrza.

— Zastanawiałem się, Sieur, dlaczego Dom Absolutu jest ukryty pod ogrodami.

— Teraz nie jest to już potrzebne, ale kiedyś naloty potrafiły obrócić w perzynę znaczną część Nessus.

Dokoła odezwały się przenikliwe dźwięki sygnałówek.

— Czy minęła tylko noc? — zapytałem. — A może przespałem też cały dzień?

— Nie, tylko noc. Dałem ci lekarstwa, które koją ból i zapobiegają zakażeniu. Nie budziłbym cię, ale kiedy wszedłem do namiotu, ty już nie spałeś. Dobrze się stało, gdyż nie mamy zbyt wiele czasu.

Nie wiedziałem, co chce przez to powiedzieć, lecz zanim zdążyłem zapytać, dostrzegłem niedaleko od nas sześciu niemal nagich mężczyzn ciągnących za linę. W pierwszej chwili pomyślałem, że usiłują sprowadzić na ziemię jakiś balon, po chwili jednak przekonałem się, iż jest to ślizgacz. Widok jego czarnego kadłuba obudził we mnie wspomnienia z dworu Autarchy.

— Spodziewałem się ujrzeć... jak on się nazywa? Mamilliana.

— Nie pora na to. Mamillian jest wspaniałym towarzyszem, milczącym, mądrym i potrafiącym walczyć na własną rękę, jeśli można tak powiedzieć, ale w gruncie rzeczy jeżdżę na nim wyłącznie dla przyjemności. Dziś ukradniemy jedną z cięciw Ascian i skorzystamy z latającego pojazdu.

— Czy to prawda, że ślizgacze korzystają z zawartej w nich energii? Wydaje mi się, iż opowiadał mi o tym jeden z twoich pilotów.

— Zapewne kiedy byłaś kasztelanką Theclą — to znaczy, tylko nią.

— Oczywiście. Czy wolno mi zapytać, Autarcho, dlaczego kazałeś mnie zabić? I w jaki sposób mnie teraz rozpoznałeś?

— Rozpoznałem cię, ponieważ widzę twoją twarz w twarzy mego młodego przyjaciela i słyszę jego głos w twoim głosie. Twoje piastunki także cię poznały. Spójrz tylko na nie.

Zrobiłam to i przekonałam się, że na twarzach kobiet-kotów maluje się wyraz przerażenia połączonego ze zdumieniem.

— Co do twojej śmierci... Porozmawiam o tym później, ale już z nim, nie z tobą, na pokładzie ślizgacza. Naturalnie, jeśli czas nam pozwoli. A teraz już wracaj. Łatwo ci nad nim zapanować, ponieważ jest słaby i chory, ale potrzebuję jego, nie ciebie. Jeśli nie wycofasz się dobrowolnie,

znam sposoby, aby cię do tego zmusić.

— Sieur...

— Tak, Severianie? Boisz się? Siedziałeś kiedyś w czymś takim?

— Nie — odparłem. — I wcale się nie boję.

— Pamiętasz, jak pytałeś mnie, skąd czerpią energię? Źródło napędu stanowi odpowiednik kawałka żelaza przeniesionego tu ze wszechświata skonstruowanego z antymaterii, utrzymywany w pułapce silnych pól magnetycznych. Ponieważ antyżelazo ma odmienną strukturę magnetyczną, jest odpychane przez promagnetyzm, lecz kiedy stara się uciec z zasięgu jednego pola, natychmiast wpada w drugie i wraca, by rozpocząć całą rzecz od nowa. W świecie złożonym z antymaterii ten kawałek ważyłby tyle co spory głaz, lecz na Urth równoważy ciężar promaterii użytej do zbudowania ślizgacza. Rozumiesz mnie?

— Chyba tak, Sieur.

— Problem polega na tym, że za pomocą dostępnej nam technologii nie jesteśmy w stanie hermetycznie zamknąć komory, w związku z czym parę cząsteczek powietrza zawsze przedostanie się albo przez spawy, albo przez izolację przewodów. Każda taka cząsteczka neutralizuje równą sobie masę cząsteczkę antyżelaza oraz wytwarza ciepło, co z kolei prowadzi do zmniejszenia siły nośnej ślizgacza. Jedyne rozwiązanie, jakie udało nam się do tej pory znaleźć, polega na tym, by kiedy tylko się da, trzymać ślizgacz wysoko w górze, gdzie ciśnienie jest mniejsze.

Maszyna znajdowała się już na tyle nisko, bym mógł w pełni docenić piękno jej smukłego kadłuba. Kształtem prawie wcale nie różniła się od liścia wiśni.

— Szczerze mówiąc, nie wszystko jest dla mnie zupełnie jasne, ale wydaje mi się, że lina, która utrzymuje ślizgacz w wyznaczonym miejscu, musi być niezmiernie długa i gdyby nocą pojawiło się któreś z latających kół Ascian, bez trudu mogłoby ją przeciąć.

Kąciki ust kobiet-kotów zadrżały lekko, jakby niezwykle istoty usiłowały zapanować nad wesołością.

— Lina służy tylko do ściągania go na ziemię. Ślizgacz wypuszcza ją, kiedy znajdzie się nad właściwym miejscem, tak samo jak człowiek, który chce wyjść ze stawu, wyciąga rękę do ludzi stojących na brzegu. Ta maszyna ma własny mózg — może nie taki jak Mamillian, ale wystarczająco sprawny, aby uniknąć niebezpieczeństw i przybyć na nasz sygnał tam, gdzie jej potrzebujemy.

Spodnia część ślizgacza została wykonana z matowego, czarnego metalu, górna natomiast była tak doskonale przezroczysta, że prawie niewidoczna; przypuszczam, iż zrobiono ją z tej samej substancji co dach nad Ogrodami Botanicznymi. Z rufy sterczała lufa działa identycznego jak to, które niósł na grzbiecie Mamillian, na dziobie zaś zainstalowano podobne, tyle tylko, że dwa razy większe.

Autarcha podniósł rękę do ust i szepnął coś w dłoń. W kopule natychmiast pojawił się okrągły otwór (wyglądało to tak, jakby ktoś zrobił dziurę w bańce mydlanej) i wysunęły się srebrne schodki, tak

delikatne, jakby zostały utkane z pajęczyny. Półnaczy mężczyźni przestali ciągnąć za linę.

— Myślisz, że uda ci się wejść?

— Jeśli będę mógł pomagać sobie rękami.

Ruszył jako pierwszy, a ja powlokłem się za nim, powłócząc zranioną nogą. Siedzenia

— raczej długie ławy, biegnące wzdłuż zakrzywionych ścian kadłuba — były wyłożone futrem, ale nawet ono wydawało się zimniejsze od lodu. Za moimi plecami otwór zmniejszył się, by po chwili zupełnie zniknąć.

— Bez względu na wysokość lotu we wnętrzu będzie panowało takie samo ciśnienie co na powierzchni Urth. Nie musisz też obawiać się braku powietrza.

— Obawiam się tylko tego, Sieur, że zbyt mało wiem, aby naprawdę odczuwać strach.

— Chcesz zobaczyć swój oddział? Są dość daleko po prawej stronie, ale spróbuję ich dla ciebie odszukać.

Autarcha zajął miejsce przy urządzeniach sterowniczych. Do tej pory miałem kontakt jedynie z maszynami Typhona i Baldandersa. a także z tymi, którymi w Wieży Matachina posługiwał się mistrz Gurloes. Jeżeli czegoś się bałem, to właśnie ich, nie braku powietrza, lecz udało mi się zapanować nad strachem.

— Minionej nocy odniosłem wrażenie, iż nie wiedziałeś o tym, że jestem w twojej armii.

— Kiedy spałeś, przeprowadziłem małe śledztwo.

— Czy to właśnie ty dałeś nam rozkaz do ataku?

— W pewnym sensie. Wydałem rozkaz, który sprawił, że zostaliście wysłani do boju, choć nie wyznaczyłem was bezpośrednio, jeśli to właśnie masz na myśli. Masz do mnie żal o to, co uczyniłem? Czyżbyś wstępując do armii przypuszczał, że nigdy nie będziesz musiał walczyć ?

Pięliśmy się stromo w górę albo też spadaliśmy w otchłań nieba, dokładnie tak, jak w moim koszmarnym śnie. Wciąż jednak miałem świeżo w pamięci dym, donośny dźwięk trąbki i widok żołnierzy rozszarpywanych na strzępy przez niewidoczne pociski, i moje przerażenie zamieniło się we wściekłość.

— Nie znam się na wojnie. A ty, jak dużo o niej wiesz? Uczestniczyłeś kiedyś w prawdziwej bitwie?

Obejrzał się przez ramię i zmierzył mnie spojrzeniem błękitnych oczu.

— Uczestniczyłem w tysiącu bitew. Ty masz w sobie dwoje ludzi: jak myślisz, z ilu istnień ludzkich j a się składam?

Minęło sporo czasu, zanim odpowiedziałem na to pytanie. **Rozdział XXV**

Milosierdzie Agii

W pierwszej chwili pomyślałem, że chyba nie może istnieć nic bardziej niezwykłego od widoku ogromnej armii rozciągającej się od horyzontu po horyzont, najeżonej bronią i pancerzami, lśniącej tysiącem barw w promieniach słońca. Skrzydlate istoty unosiły się nad nią prawie równie wysoko jak my, zataczając szerokie kręgi na falach porannego wiatru.

Jednak zaraz potem moim oczom ukazał się jeszcze bardziej zdumiewający obraz: była to armia Ascian, wodnistobiała i szaroczarna, zupełnie nieruchoma, w przeciwieństwie do naszej, i skupiona bliżej północnego horyzontu. Przeszedłem na przód maszyny, by jej się dokładniej przyjrzeć.

— Mógłbym pokazać ci ją z bliska, ale zobaczyłbyś wówczas tylko ludzkie twarze —
powiedział Autarcha.

Zrozumiałem, że wystawia mnie na próbę, choć nie wiedziałem, na czym miałaby ona polegać.

— Mimo wszystko chciałbym im się przyjrzeć.

Obserwując naszych żołnierzy ruszających do ataku nie mogłem się nadziwić, że w masie sprawiają wrażenie słabych i bezradnych: kawaleria przypominała falę, która co prawda uderza z ogromną siłą, lecz zaraz potem cofa się drobnymi strumyczkami, niezdolna unieść nawet myszy, a peltaści ze swoimi kryształowymi tarczami, ustawieni w karne szeregi, wydawali się niewiele bardziej groźni niż ołowiane żołnierzyki na stole. Teraz przekonałem się, ile siły drzemało w formacjach nieprzyjaciół, w tych regularnych kwadratach i prostokątach, z których każdy składał

się ze stu tysięcy wojowników oraz kilku maszyn, wielkich jak fortece.

Kiedy jednak na ekranie umieszczonym pośrodku pulpitu sterowniczego pojawiły się okryte hełmami głowy, pierwsze wrażenie natychmiast prysło. Za przezroczystymi osłonami kryły się twarze starców, dzieci, a nawet szaleńców. Wszystkie były potwornie wychudzone, tak jak te, które widziałem minionego dnia; natychmiast przypomniałem sobie człowieka, który odłączył od szyku i przed śmiercią cisnął w niebo swoją włócznię. Pospiesznie odwróciłem się od tego okropnego widoku.

Autarcha roześmiał się, ale w jego głosie nie było ani odrobiny wesołości.

— Widziałeś, jak któryś odebrał sobie życie?

— Nie.

— A więc miałeś szczęście. Ja często to widzę, kiedy stąd na nich patrzę. Dostają broń do ręki dopiero tuż przed starciem i wówczas wielu korzysta ze sposobności. Włócznicy zazwyczaj wbijają broń w ziemię i odstrzelują sobie głowy, a kiedyś widziałem, jak dwóch piechurów — właściwie dwoje, bo to byli mężczyzna i kobieta — stanęło naprzeciwko siebie, policzyli na palcach do trzech i wbili sobie nawzajem miecze w brzuchy.

— Kim oni są? — zapytałem.

Spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

— Co powiedziałaś?

— Zapytałem, kim oni są, Sieur. Wiem, że to nasi wrogowie, że mieszkają na północy, w gorących krajach, i że podobno są niewolnikami Erebu, ale nie wiem, kim naprawdę są.

— Przypuszczam, że aż do tej pory nie zdawałeś sobie sprawy ze swojej niewiedzy, zgadza się?

Ze zdziwieniem stwierdziłem, iż zaschło mi w gardle.

— Całkiem możliwe. Po raz pierwszy zobaczyłem któregoś z nich dopiero wtedy, kiedy znalazłem się w lazarecie. Na południu wojna wydaje się czymś bardzo odległym.

Skinął głową.

— Odzyskaliśmy już połowę terenów, które nam kiedyś odebrali. Kim są, dowiesz się we właściwym czasie. Teraz najważniejsze jest to, że pragniesz się tego dowiedzieć. — Umilkł na chwilę. — Obie mogłyby być nasze; obie armie, nie tylko ta na południu. Czy, twoim zdaniem, powinienem je przejąć?

Dotknął kilku przycisków na pulpicie i ślizgacz nagle pochylił dziób w kierunku ziemi, jakby miał zamiar za chwilę runąć w dół z ogromną prędkością.

— Nie rozumiem.

— Połowa z tego, co o nich mówiłeś, nie była prawdą. Nie zamieszkują gorących krajów na północy, lecz kontynent położony po drugiej stronie równika. Miałeś jednak rację nazywając ich niewolnikami Erebu, gdyż uważają się za sprzymierzeńców tych, co czekają w głębinach. Tymczasem prawda przedstawia się w ten sposób, że Ereb oraz jego sojusznicy oddaliby mi ich w zamian za nasze południe, czyli za twoje rodzinne strony.

Musiałem chwycić się oparcia fotela, żeby nie zsunąć się po pochylej podłodze.

— Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

Ślizgacz wyprostował się, podskakując w powietrzu, jakby był dziecinną łódką kołyszącą się na falach.

— Ponieważ już niedługo okaże się konieczne, abyś wiedział, że to, co czujesz, inni już czuli przed tobą.

Brakowało mi odwagi, by zadać pytanie, które cisnęło mi się na usta.

— Obiecałeś mi wyjaśnić, dlaczego zabiłeś Theclę — wykrztusiłem wreszcie.

— Czyż ona nie żyje dalej w ciele Severiana?

Ślepy mur, jaki z najwyższym trudem wybudowałem w moim umyśle, legł w gruzach.

— Ja umarłam! - krzyknąłem. Dopiero kiedy usłyszałem swój głos, dotarło do mnie znaczenie moich słów.

Autarcha wyjął spod pulpitu pistolet, położył go sobie na kolanach, po czym odwrócił się w moją stronę.

— Nie potrzebujesz tego, Sieur. Jestem zbyt słaby.

— Ale potrafisz błyskawicznie regenerować siły. Już to raz widziałem... Istotnie, kasztelanka Thecla odeszła, choć jakaś jej część pozostała w twoim umyśle. Mimo że przez cały czas jesteście razem, obojgu doskwiera samotność. Wciąż tęsknisz za Dorcas? Opowiadałeś mi o niej podczas naszego spotkania w Tajnym Pałacu.

— Dlaczego zabiłeś Theclę?

— Nie zabiłem jej. Popelniasz błąd sądząc, że jestem przyczyną wszystkiego. Nikt nie może tego o sobie powiedzieć: ani ja, ani Erebus, ani ktokolwiek. Co się tyczy kasztelanki...

Przecież teraz ty nią jesteś. W jaki sposób zostałaś aresztowana?

Wspomnienia, które nagie powróciły, były wyraźniejsze, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać. Szłam korytarzem o ścianach zawieszonych smutnymi srebrnymi maskami, by w pewnej chwili skręcić do jednej z opuszczonych komnat, wysoko sklepionych, wypełnionych zapachem zakurzonych draperii. Kurier, z którym miałam się spotkać, jeszcze nie przyszedł.

Ponieważ wiedziałam, że jeśli usiądę na pokrytej grubą warstwą kurzu kanapie, to zabrudzę sobie suknię, zajęłam miejsce na krześle z połączanej kości słoniowej. Nagle ze ściany za moimi plecami oderwała się część obicia; pamiętam, jak podniosłam głowę i ujrzałam wyhaftowane kolorowymi niciami Przeznaczenie w koronie z łańcuchów oraz Rozgoryczenie z berłem i szklanym pucharem, pędzące w moim kierunku.

— Zostałaś pojmana przez moich oficerów, którzy dowiedzieli się, że przekazujesz ważne informacje kochankowi swojej przyrodniej siostry. Uczylni to potajemnie, ponieważ twoja rodzina ma wiele do powiedzenia na północy kraju, a następnie przewieźli do prawie zapomnianego więzienia. Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, ty już nie żyłaś. Czy powinienem był

ukarać tych oficerów za to, co zrobili podczas mojej nieobecności? Przecież oni byli patriotami, a ty zdrajczynią.

— Ja, Severian, także jestem zdrajcą — odezwałem się, a następnie opowiedziałem -

po raz pierwszy ze wszystkimi szczegółami — jak kiedyś ocalałem Vodalusa oraz o bankiecie, w którym uczestniczyłem jakiś czas potem.

Kiedy skończyłem, Autarcha skinął głową.

— Znaczna część lojalności, jaką masz dla Vodalusa, bez wątpienia pochodzi od kasztelanki. Zaczęła ci ją wpajać jeszcze za życia, by dokończyć dzieła po śmierci. Mimo całej twojej naiwności nie wydaje mi się, abyś sądził, że wyłącznie zbiegowi okoliczności należy zawdzięczać, iż właśnie jej ciało podano ci podczas uczty u zjadaczy trupów.

— Nawet gdyby Vodalus dowiedział się o naszym związku, miał za mało czasu, by sprowadzić jej zwłoki z Nessus! — zaprotestowałem.

Autarcha uśmiechnął się dobrodusznie.

— Czyżbyś zapomniał, że przed chwilą sam mi powiedziałeś, iż owej nocy, kiedy ocaliłeś mu życie, uciekł takim samym pojazdem jak ten, w którym teraz jesteśmy? Tamten las mogło dzielić od Muru Nessus nie więcej niż kilkanaście mil: lot do miasta, odgrzebanie zwłok zakonserwowanych w zimnej ziemi i powrót zajęłyby niewiele ponad jedną wachtę. Poza tym, Vodalus wcale nie musiał wiedzieć tak dużo ani działać tak szybko, gdyż mógł już wcześniej otrzymać informację o śmierci kasztelanki Thecli — na przykład wtedy, kiedy ty przebywałeś samotnie w celi, uwięziony przez swoich braci z konfraterni. Podając jej ciało swoim podwładnym pragnął utwierdzić ich w oddaniu dla swojej osoby. Bez wątpienia przechowywał

zwłoki w śniegu lub lodzie, przypuszczalnie w jednej z opuszczonych kopalń, których jest mnóstwo w tamtej okolicy. Kiedy się zjawiałeś, kazał ją podać, aby i z ciebie uczynić swego wiernego sługę.

Na zewnątrz coś mignęło zbyt szybko, żebym zdołał dostrzec, co to mogło być, a w chwilę potem ślizgaczem wstrząsnęło potężne uderzenie. Ekran rozbłysł tysiącem iskier.

Zanim Autarcha zdołał dopaść sterów, zaczęliśmy spadać rufą naprzód. Rozległ się wybuch tak silny, że przez jedno uderzenie serca byłem jak sparaliżowany, zaraz potem zaś niebo eksplodowało żółtymi płomieniami. Kiedyś widziałem, jak Eata ugodził kamieniem lecącego wróbla; ptak zatoczył się w powietrzu, tak samo jak my teraz, a następnie, trzepocząc bezradnie skrzydłami, runął ku ziemi.

Ocknąłem się w ciemności przesyconej gryzącym dymem i zapachem świeżej ziemi. Na krótką chwilę, a może na całą wachtę, zapomniałem o tym, że już raz zostałem uratowany; wydawało mi się, że znowu jestem na polu, gdzie Daria, ja, Guasacht, Erblon i cała reszta walczyliśmy z Ascianami.

Ktoś leżał niedaleko mnie — do moich uszu docierał szmer oddechu oraz słaby szelest —

lecz po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że to nie człowiek, tylko jakieś skradające się zwierzę, i ogarnął mnie strach. Dopiero po dłuższym czasie przypomniałem sobie, co się stało, i nabrałem pewności, iż te słabe odgłosy wydaje Autarcha, któremu, podobnie jak mnie, udało się przeżyć katastrofę. Zawołałem do niego.

— A więc żyjesz... — przemówił bardzo słabym głosem. — Obawiałem się, że zginąłeś, choć właściwie powinienem był się domyślić. Nie byłem w stanie cię ocucić i prawie nie mogłem wyczuć pulsu.

— Zapomniałem, rozumiesz? Zapomniałem, że lecieliśmy wysoko nad armiami. Teraz już wiem, co to znaczy zapomnieć!

Spróbował się roześmiać.

— I na zawsze to zapamiętasz.

— Mam nadzieję, choć akurat to wspomnienie błędnie nawet teraz, kiedy rozmawiamy.

Niknie jak mgła, która prawdopodobnie sama jest zapomnieniem... Co w nas trafiło?

— Nie wiem. Słuchaj, bo to najważniejsze słowa mojego życia. Słuchaj mnie. Służyłeś Vodalusowi oraz jego marzeniu o wskrzeszonym imperium. Zapewne nadal pragniesz, żeby ludzkość ponownie sięgnęła do gwiazd?

Przypomniałem sobie, co Vodalus powiedział mi w lesie.

— Ludzie z Urth, żeglujący między gwiazdami, przenoszący się z galaktyki do galaktyki, władcy wszystkich cór słońca...

— Tacy kiedyś byli. Zabrali ze sobą wojny Urth, po czym rozniecili nowe, gdziekolwiek postawili stopę. Nawet oni — nie widziałem go, lecz poznałem po jego głosie, że ma na myśli Ascian — rozumieją, że to nie może się powtórzyć. Pragną, aby składał się z jednego osobnika, powielonego nieskończoną liczbę razy, my natomiast dążymy do tego, żeby każda jednostka nosiła w sobie wszystko, czym jest cały gatunek. Zwróciłeś uwagę na fiolkę, którą noszę na szyi?

— Owszem.

— Zawiera specyfik bardzo podobny do wyciągu z gruczołów alzabo, przygotowany do użycia. Nic już nie czuję poniżej pasa... Wkrótce umrę, ale zanim to nastąpi, musisz go zażyć.

— Nie widzę cię — powiedziałem. — I prawie nie mogę się ruszyć

— Z pewnością znajdziesz jakiś sposób. Ponieważ niczego nie zapominasz, pamiętasz więc z pewnością ten wieczór, kiedy zjawiłeś się w Lazurowym Pałacu. Tego samego wieczoru przybył tam jeszcze jeden człowiek... Kiedyś, dawno temu, byłem służącym w Domu Absolutu.

Dlatego mnie nienawidzą, tak samo jak będą nienawidzić ciebie za to, kim niegdyś byłeś...

Paeon, mój nauczyciel i wychowawca. Jeden z nielicznych, którym mogłem wierzyć. Powiedział mi, że ty będziesz następnym, ale nie przypuszczałem, że to nastąpi tak szybko...

Jego głos ucichł, a ja zacząłem czołgać się w kierunku, z którego jeszcze niedawno dobiegał. Wreszcie moja wyciągnięta ręka natrafiła na rękę Autarchy.

— Użyj noża — szepnął. — Jesteśmy za liniami Ascian, ale wezwałem Vodalusa, żeby cię uratował.

Już słyszę stukot kopyt jego wierzchowców...

Tylko z najwyższym trudem mogłem go zrozumieć, choć prawie przyłożyłem ucho do jego ust.

— Odpocznij - powiedziałem. Byłem pewien, że majaczy; przecież Vodalus nienawidził go i pragnął jego śmierci.

— Jestem jego szpiegiem. To jeszcze jedna funkcja, jaką pełnię. On przyciąga zdrajców...

Dzięki temu wiem, kim są, co robią i co myślą. Przekazałem mu wiadomość, że Autarcha jest uwięziony we wraku ślizgacza, i podałem mu naszą pozycję. Wcześniej... przed tym wszystkim... należał do mojej osobistej ochrony.

Teraz ja także usłyszałem kroki. Podniosłem rękę, szukając jakiegoś sposobu, aby dać znak, że tu jesteśmy; moje palce trafiły na futro, z czego wynikało, że ślizgacz przewrócił się do góry dnem, a my zostaliśmy uwięzieni pod nim jak ropuchy.

Rozległ się donośny trzask, a zaraz potem jęk rozdieranego metalu. Światło księżycy, jasne jak sam dzień, lecz jednocześnie zielone niczym liście wierzby, runęło wezbraną kaskadą przez otwór w kadłubie, który powiększał się na moich oczach. Zobaczyłem Autarchę, o rzadkich siwych włosach pokrytych skorupą zaschniętej krwi, nad nim zaś jakieś sylwetki, zielone cienie wpatrujące się w nas w milczeniu. Nie mogłem dostrzec ich twarzy, ale natychmiast zorientowałem się, iż te błyszczące oczy i wąskie czaszki nie należą do zwolenników Vodalusa.

Usiłowałem sięgnąć po pistolet Autarchy, lecz chwycono mnie za ręce i mocno pociągnięto w górę; pomyślałem, że wyglądam jak martwa kobieta, którą wyciągano z grobu w nekropolii, gdyż ślizgacz zarył się głęboko w miękką ziemię. Tam gdzie trafił pocisk Ascian, ziała ogromna dziura, wypełniona płataniną pozrywanych przewodów. Metal był pogięty i osmalony.

Nie zdążyłem jednak dokładniej oszacować rozmiarów zniszczeń, ponieważ natychmiast zaczęto mnie obracać we wszystkie strony i oglądać, szczególną uwagę poświęcając twarzy.

Asciańscy zwiadowcy ostrożnie dotykali mego płaszcza, jakby widzieli coś takiego po raz pierwszy w życiu. Ze swoimi wielkimi oczami i zapadniętymi policzkami przypominali żołnierzy, z którymi walczyłem, z tą tylko różnicą, że co prawda było wśród nich kilka kobiet, ale nie dostrzegłem starców ani dzieci. Zamiast pancerzy mieli srebrzyste czapki i koszule, ich uzbrojenie zaś stanowiły nadzwyczaj duże muszkiety; nawet kiedy były oparte kolbami o ziemię, końce luf sterczały wysoko nad głowami właścicieli.

— Obawiam się, Sieur, że twoja wiadomość została przechwycona — powiedziałem, kiedy z wraku ślizgacza wydobyto Autarchę.

— Niemniej jednak dotarła do celu.

Nie miał siły, żeby wyciągnąć rękę, ale ja podążyłem spojrzeniem za jego wzrokiem i po chwili ujrzałem na tle zielonej tarczy księżycu jakieś lecące z wielką prędkością kształty.

Zjawily się tak szybko, jakby spuszczały się ku nam po naprężonych linach. Miały wielkie czaszki, okrągłe i białe, ozdobione na szczycie kościaną mitrą, o wydłużonych szczękach zakończonych zakrzywionym dziobem pełnym ostrych zębów. Ich skrzydła były tak wielkie, że prawie nie sposób było dostrzec tułowia; musiały mieć rozpiętość co najmniej dwudziestu łokci i poruszały się nie wydając żadnego dźwięku, choć ja, daleko w dole, wyraźnie czułem na twarzy podmuchy powietrza.

(Kiedyś wyobrażałem sobie podobne istoty kładące pokotem lasy Urth i zamieniające jej miasta w sterty gruzów; czy to możliwe, żebym ściągnął je myślą?) Minęło sporo czasu, zanim asciańscy zwiadowcy zdali sobie sprawę z ich obecności.

Kiedy to nastąpiło, dwaj albo trzej strzelili niemal jednocześnie; najpierw jedna ze skrzydlatych istot została trafiona w korpus i dosłownie rozpadła się na strzępy, a zaraz potem taki sam los spotkał drugą i trzecią. Na chwilę zrobiło się ciemno — właśnie wtedy coś zimnego i miękkiego uderzyło mnie mocno w twarz, powalając na ziemię.

Podniósłszy głowę, przekonałem się, że co najmniej pięciu Ascian nie żyje, pozostali zaś strzelają w górę do prawie niewidocznych celów. Nagle z nieba spadł jakiś białawy kształt i rąbnął w kadłub ślizgacza, który zadźwięczał jak cymbały. Spodiewając się eksplozji, wtuliłem głowę w ziemię, ale kiedy nic takiego nie nastąpiło, spojrzałem ostrożnie, by przekonać się, że to ludzkie ciało, bezwładne i pogruchotane niczym zepsuta lalka. Nie dostrzegłem jednak ani odrobiny krwi.

Jeden ze zwiadowców zmusił mnie, bym się podniósł, a następnie wbił mi lufę w plecy i pchnął naprzód. Dwaj inni podtrzymywali Autarchę w taki sam sposób, w jaki jeszcze niedawno podtrzymywały mnie kobiety-koty. Stwierdziłem, że całkowicie zatraciłem poczucie kierunku.

Mimo że księżyc nadal świecił na niebie, zwarte obłoki przesłoniły większość gwiazd. Na próżno szukałem krzyża oraz tych trzech słońc, które z niewiadomych powodów są zwane Ósemką i wiszą nieruchomo nad skuwającym południe lodem. Zwiadowcy w dalszym ciągu strzelali w górę; w pewnej chwili w sam środek grupy spadła jakaś strzała albo włócznia, jarząca się jaskrawym blaskiem.

— To wystarczy - szepnął Autarcha.

Całkowicie oślepiiony tarłem ręką załzawione oczy, ale zdołałem jednak go zapytać, co ma na myśli.

— Widzisz cokolwiek? No, właśnie. Nasi latający przyjaciele, a raczej przyjaciele Vodalusa, jak mi się wydaje, nie spodiewali się tak silnego oporu. Teraz jednak nie ma już mowy o precyzyjnym celowaniu, a jak tylko chmury przesłonią tarczę księżyca...

Autarcha znajdował się po mojej lewej stronie, prowadzony przez dwóch Ascian, którzy zarzucili sobie muszkiety na plecy. Nagle zobaczyłem, jak głowa opada mu bezwładnie na ramię; albo stracił przytomność, albo był już martwy. "Legion" — tak właśnie zwracały się do niego kobiety-koty, i nie trzeba było nadzwyczajnego intelektu, aby skojarzyć to imię z tym wszystkim, co powiedział mi we wnętrzu zniszczonego ślizgacza. Tak jak Severian i Thecla połączyli się we mnie, tak w nim zamieszkało zapewne wiele różnych osobowości. Już przy naszym pierwszym spotkaniu, kiedy Roche zaprowadził mnie do Lazurowego Pałacu (prawdziwe znaczenie tej nazwy dopiero teraz zaczęło

sobie torować drogę do mojej świadomości), wyczułem złożoność jego myśli, tak jak wyczuwamy — nawet przy słabym oświetleniu - złożoność mozaiki składającej się z niezliczonych, nieskończenie drobnych kawałeczków, które razem tworzą rozjaśnioną twarz i wielkie oczy Nowego Słońca.

Powiedział, że mam objąć po nim sukcesję, ale na jak długo? Ze zdziwieniem stwierdziłem, iż jego słowa rozbudziły we mnie niepoohamowaną ambicję, co było dość zabawne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że byłem więźniem i miałem tak niewiele sił, że nawet krótki odpoczynek na zmierzwionej trawie wydawał mi się prawdziwym rajem. Powiedział też, że muszę jeszcze za jego życia zjeść kawałek jego ciała i połknąć medykament. Darzyłem go ogromną miłością, a jednak byłem gotów rzucić się z gołymi rękami na trzymających go Ascian, by zrobić to, co mi polecił. Byłem teraz równocześnie Thecla i Severianem; kto wie, czy obdarty uczeń katowskiej konfraterni nie pragnął luksusów i władzy bardziej niż młoda arystokratka przetrzymywana siłą na dworze Autarchy? Dopiero teraz zrozumiałem, co naprawdę czuła nieszczęsna Cyriaca w ogrodzie archonta; gdyby jednak czuła to co ja w tej chwili, z pewnością pękłoby jej serce.

Chwilę później mój nastrój zmienił się diametralnie. Jakaś cząstka mnie zapragnęła ocalić najbardziej prywatne miejsce, do którego nawet Dorcas nigdy nie uzyskała dostępu. Hen, gdzieś w najgłębszych zakamarkach mego umysłu, w uścisku molekuł, byliśmy tylko we dwoje, ja i Thecla. Gdyby inni — dziesiątki, a może nawet tysiące obcych ludzi, których miałem wchłonąć wraz z osobowością Autarchy — mieli się tam nagle zjawić, poczułbym się tak, jakbym zaprosił

tłum z miejskiego bazaru do buduaru ukochanej kobiety. Przycisnąłem do serca serce wybranki i poczułem, jak jej serce przyciska się do mojego.

Księżyc przygasł niczym lampa, której ktoś skrócił knot. Ascianie w dalszym ciągu posyłali w niebo różnobarwne promienie ze swoich muszkietów, przesywając chmury kolorowymi szpilkami, ale bez efektu. Zerwał się gwałtowny, gorący wiatr, a na jego skrzydłach nadleciało coś, co mogę opisać jedynie jako błysk nieprzeniknionej ciemności. Autarcha zniknął, ja zaś rzuciłem się twarzą na ziemię.

Możliwe, że jej dotknąłem, choć zupełnie tego nie pamiętam. Chwilę później znalazłem się w powietrzu, bez wątplenia wznosząc się z ogromną prędkością; ziemia przeistoczyła się w noc rozwleczoną gdzieś hen. daleko pod moimi stopami. Czyjaś przeraźliwie chuda ręka, twarda jak kamień i trzykrotnie większa od ludzkiej, ścisnęła mnie w pasie.

Nagle zaczęliśmy spadać, ślizgając się i zataczając na uskoku powietrza, by wkrótce znowu ruszyć w górę, aż wreszcie poczułem na skórze ukłucia straszliwego zimna. Wykręciłem głowę, by spojrzeć do góry, i ujrzałem białe, potężne szczęki koszmarnego istoty ze snu, który nawiedził mnie przed wieloma miesiącami, tej nocy, kiedy dzieliłem łożę z Baldandersem, choć we śnie podróżowałem na jej grzbiecie, nie zaś w uścisku trupiej ręki. Nie wiem, skąd wzięła się ta różnica między snem a rzeczywistością. Krzyknąłem głośno (nie mam pojęcia co), a potwór otworzył dziób najeżony ostrymi zębami i zasyczał przeraźliwie.

Z wysoka do moich uszu dobiegi kobiecy głos:

— Zrewanżowałam ci się za to, co zrobiłeś po wyjściu z kopalni. Wciąż jeszcze żyjesz. **Rozdział**

Nad dżunglą

Wylądowaliśmy przy świetle gwiazd. Dla mnie było to jak przebudzenie: czułem, że zostawiam za sobą krainę z koszmarnego snu. Ogromna istota zataczała coraz węższe kręgi, niczym martwy liść opadając przez warstwy rozgrzewającego się stopniowo powietrza, aż wreszcie poczułem zapach Dżungli z Ogrodów Botanicznych: składała się nań woń zielonego życia i butwiejącej śmierci, doprawiona aromatem nieznanymi kwiatów.

Nad drzewami pojawił się brązowy wierzchołek zikkuratu. On także był udrapowany zielenią, ponieważ w zakamarkach rozpadających się murów znalazły dla siebie miejsce trawa, krzewy, a nawet małe drzewka, rozrastające się niczym grzyby opanowujące martwy pień. Lekko jak piórko wylądowaliśmy na szczycie budowli i natychmiast otoczyły nas pochodnie oraz podekscytowane głosy. Wydawało mi się, że lada chwila zemdleję — były to skutki oddychania rozrzedzonym powietrzem na wielkiej wysokości.

Miejsce kościstych szponów, które trzymały mnie tak długo, zajęły ludzkie ręce. Szliśmy w dół po drabinach i rozpadających się kamiennych schodach, aż wreszcie stanąłem przy ognisku. Po jego drugiej stronie ujrzałem przystojne, poważne oblicze Vodalusa oraz przypominającą kształtem serce twarz jego towarzyszkę Thei, naszej przyrodniej siostry.

— Kto to jest? — zapytał Vodalus.

Chciałem podnieść ręce, ale przekonałem się, że są unieruchomione w silnym uścisku.

— Panie, z pewnością mnie pamiętasz.

Za moimi plecami rozległ się ten sam głos, który usłyszałem w powietrzu:

— To zabójca mego brata, człowiek, którego obiecałeś mi w nagrodę za służbę — mnie, a także Hethorowi, który jest moim sługą.

— W takim razie po co mi go przyprowadziłaś? Jest twój. Czyżbyś sądziła, że wycofam się z naszej umowy, kiedy go zobaczę?

Może zachowałem więcej sił, niż mi się wydawało, a może po prostu człowiek, który stał po mojej prawej stronie, nie spodziewał się żadnych problemów. W każdym razie zdołałem odwrócić się gwałtownie i pchnąć go w ognisko, tak że porzucił stopami płonącą polana.

Za moimi plecami stała półnaga Agia, tuż za nią zaś Hethor, szczerzący w uśmiechu popsute zęby i trzymający oburącz jej piersi. Rzuciłem się do ucieczki, lecz ona uderzyła mnie na odlew w twarz: poczułem potworny ból, a w chwilę potem z mojego policzka trysnęła krew.

Później dowiedziałem się, że ta broń nosi nazwę *lucivee* i że Agia miała ją przy sobie ze względu na jej małe rozmiary, gdyż nikomu, z wyjątkiem osobistej ochrony Vodalusa, nie wolno było przebywać

z bronią w jego obecności. *Lucivee* składa się z krótkiego metalowego pręta, który łatwo można ukryć w dłoni, z pierścieniami na kciuk i serdeczny palec oraz czterema lub pięcioma zakrzywionymi ostrzami. Tylko niewielu udało się przeżyć zadane nim uderzenie.

Ja należałem do tych nielicznych i po dwóch dniach wstałem z posłania, by przekonać się, że jestem zamknięty w pokoju prawie zupełnie pozbawionym sprzętów. Chyba każdy człowiek ma w życiu okazję zapoznać się z jednym rodzajem pomieszczeń lepiej niż z innymi; w przypadku więźnia jest to zawsze cela. Ja, który obsługiwałem tyle cel, wsuwając przez szczelinę pod drzwiami tacki z żywnością dla przebywających w nich klientów, teraz trafiłem do własnej.

Nie mam pojęcia, jaką funkcję pełnił kiedyś zikkurat: może właśnie więzienia, może świątyni, a może miejsca, w którym uprawiano jakieś zapomniane sztuki. Moja cela była niemal dwukrotnie większa od tej, jaką zajmowałem w podziemiach Wieży Matachina, gdyż miała dziesięć kroków długości i sześć szerokości. Przy ścianie stały niezmiernie stare drzwi z jakiegoś błyszczącego stopu, teraz zupełnie bezużyteczne, gdyż nikt nie potrafił ich zamknąć; z tego właśnie względu zastąpiono je innymi, zbitymi z chropawych, niezmiernie twardych desek. Wysoko w ścianie znajdował się okrągły otwór średnicy mniej więcej mego ramienia, który chyba nigdy nie miał

pełnić funkcji okna. Przez niego do celi wpadało światło.

Minęły jeszcze trzy dni, zanim odzyskałem siłę na tyle, żeby podskoczyć, uchwycić jego krawędź jedną ręką i podciągnąć się dostatecznie wysoko, by wyrzeć na zewnątrz. Zobaczyłem pofałdowany, porośnięty bujną roślinnością teren, nad którym unosiło się mnóstwo motyli. Był to widok tak bardzo różny od tego, jaki spodziewałem się ujrzeć, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że straciłem zmysły, i runąłem na podłogę celi. Dopiero po dłuższym czasie uświadomiłem sobie, że widziałem po prostu wierzchołki gęsto rosnących, potężnych drzew — widok, jaki zazwyczaj mogą oglądać tylko ptaki.

Stary mężczyzna o mądrej, ale złej twarzy zabandażował mi policzek oraz zmienił

opatrunek na nodze. Później przyprowadził mniej więcej trzynastoletniego chłopca i połączył

nasze krwiobiegi na tak długo, że usta młokosa przybrały barwę ołowiu. Zapytałem starca, skąd pochodzi, a on, uważając zapewne, iż urodziłem się w tych stronach, odparł:

— Z wielkiego miasta na południu, położonego w dolinie rzeki, która osusza chłodne obszary kraju. Ta rzeka nazywa się Gyoll i jest większa od waszej, choć nie płynie tak szybko.

— Widzę, że dysponujesz znaczną wiedzą — powiedziałem. — Nigdy nie spotkałem równie zręcznego medyka. Czuje się już znacznie lepiej i wolałbym, żebyś przerwał zabieg, zanim chłopiec umrze.

Starzec uszczypnął go w policzek.

— Szybko wróci do siebie — z pewnością na czas, żeby jeszcze dziś wieczorem ogrzać moje łóżko. Ci młodzi wszyscy są właśnie tacy... Nie, to nie to, o czym myślisz. Dzielę z nim łóżko tylko dlatego, że oddech śpiącego chłopca pozwala mi łatwiej znosić brzemię podeszłego wieku. Młodość to

choroba, więc należy czynić wszystko, aby zarazić się jej łagodną postacią.

Jak tam twoja rana?

Byłem pewien, że mówi prawdę — chyba nawet bardziej, niż gdyby próbował

potwierdzić moje domysły, kierując się zwyrodniałym pragnieniem zaimponowania mi swoją starczą potencją. Ja także powiedziałem mu prawdę: że nadal nie odzyskałem czucia w prawym policzku, jeśli nie liczyć słabego, ale dokuczliwego swędzenia, oraz że zastanawiam się, którego spośród swoich obowiązków chłopiec bardziej nienawidzi.

Stary medyk posmarował mi ranę nieprzyjemnie pachnącą brązową maścią.

— Wrócę jutro — zapowiedział — choć nie wydaje mi się, żebyś jeszcze potrzebował

pomocy Mamasa. Prędko wracasz do zdrowia. Kasztelanka — ruchem głowy dał mi do zrozumienia, że ma to być żartobliwa aluzja do Agii — z pewnością będzie zadowolona.

Odparłem, starając się, by zabrzmiało to zupełnie niewinnie, iż mam nadzieję, że wszyscy jego pacjenci równie szybko odzyskują siły.

— Masz na myśli tego donosiciela, którego przywieziono razem z tobą? Cóż, akurat on miewa się dokładnie tak, jak należało oczekiwać.

Mówiąc to odwrócił głowę, abym nie zauważył wyrazu niepokoju na jego twarzy.

Mając nadzieję, że zyskam przychyłność medyka, co być może pozwoli mi w jakiś sposób pomóc Autarsze, jeszcze raz pochwaliłem jego umiejętności, po czym dodałem, iż nie pojmuję, dlaczego człowiek dysponujący tak wielką wiedzą zadaje się z tymi wyrzutkami społeczeństwa.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

— Dla wiedzy — odparł wreszcie. — Nigdzie nie mógłbym nauczyć się tyle co tutaj.

— Masz na myśli zjadanie umarłych? Brałem w tym udział, choć wątpię, aby cię o tym poinformowano.

— Skądże znowu. Wykształceni ludzie, a szczególnie uprawiający mój zawód, praktykują to wszędzie, zazwyczaj ze znacznie lepszym skutkiem, ponieważ starannie wybieramy obiekty oraz koncentrujemy się na tkankach zawierających najwięcej informacji.

Jednak wiedzy, której poszukuję, nie da się zdobyć w taki sposób, gdyż nie posiadał jej żaden z niedawno zmarłych, a nie da się wykluczyć, iż w ogóle nikomu jeszcze nie udało się jej zdobyć.

Oparł się o ścianę i zdawał się mówić nie tylko do mnie, ale także do jakiejś niewidzialnej istoty.

— Sterylna wiedza przeszłości doprowadziła jedynie do wyczerpania zasobów planety i zagłady zamieszkujących ją istot. Gromadzono ją głównie po to, by eksploatować pokłady energii oraz materialnej substancji wszechświata, nie przywiązując najmniejszej wagi do ich wzajemnych odniesień. Spójrz! — wyciągnął rękę w taki sposób, że padły na nią promienie słońca przedostające się do celi przez okrągłe okienko. — Oto światło. Z pewnością stwierdzisz, że nie jest żywą istotą, lecz zapomnisz dodać, iż jest czymś więcej. Nie zajmując przestrzeni wypełnia cały wszechświat, stanowiąc pokarm samo czerpie siły ze zniszczenia. Wydaje nam się, że nad nim panujemy, ale czy w rzeczywistości ono nie hoduje nas, traktując jako źródło żywności? Czyż nie może być tak, że las rośnie tylko po to, by pewnego dnia spłonąć, a kobiety i mężczyźni rodzą się jedynie w tym celu, żeby rozniecać ogień? Czyż nie może być tak, że nasze przechwałki o panowaniu nad światłem okażą się równie absurdalne co twierdzenie zboża, iż jesteśmy jego podwładnymi, ponieważ dostosowujemy glebę do jego potrzeb i czynimy wszystko, by mogło jak najwięcej uzyskać od naszej Urth?

— Wszystko to jest bardzo dobrze powiedziane, ale nie ma nic wspólnego ze sprawą — odparłem. — Dlaczego służysz Vodalusowi?

— Takiej wiedzy nie sposób zdobyć bez eksperymentów.

Uśmiechnął się i dotknął ramienia chłopca, a ja oczami wyobraźni ujrzałem płonące dzieci. Mam nadzieję, że się myliłem.

Wszystko to miało miejsce dwa dni przed tym, jak podciągnąłem się na jednej ręce i wyjrzałem przez okno. Stary medyk już się u mnie nie zjawił; może wypadł z łask, może został

skierowany w inne miejsce, a może po prostu doszedł do wniosku, że nie wymagam już jego opieki.

Agia przyszła tylko raz; najpierw splunęła mi w twarz, a potem, stojąc między dwiema uzbrojonymi kobietami ze straży przybocznej Vodalusa, opowiedziała o męczarniach, jakie ona i Hethor mają zamiar mi zadać, jak tylko odzyskam siły na tyle, żeby je znieść. Kiedy skończyła, odparłem zgodnie z prawdą, iż przez większą część mego życia asystowałem przy znacznie bardziej przerażających operacjach, oraz poradziłem, by zwróciła się do kogoś z prośbą o fachową pomoc. Odwróciła się i wyszła bez słowa.

Potem przez kilka dni byłem zupełnie sam. Każdego ranka zaraz po obudzeniu wydawało mi się, że jestem zupełnie nowym człowiekiem, ponieważ natłok myśli, które korzystając z mojej samotności tłoczyły mi się do głowy, był wystarczająco wielki, by niemal doszczętnie zniszczyć moją osobowość. Wszyscy ci Severianowie i wszystkie Thecle najbardziej pragnęli wolności.

Najłatwiej było sięgnąć do wspomnień. Często to robiliśmy, wracając do tych beztroskich chwil, kiedy wraz z Dorcas podążałem do Thraxu, do zabaw w roślinnym labiryncie zaraz za willą mego ojca i na bruku Starego Dziedzińca, do długiej wędrówki Schodami Adamniana, jaką odbyłem z Agia, nie wiedząc jeszcze, że mam w niej wroga.

Jednak niemal równie często pozostawiałem wspomnienia samym sobie i zmuszałem się do myślenia, czasem kuśtykając w tę i z powrotem po celi, czasem zaś czekając, aż przed wieczorem przez

okienko zaczął wlatywać owady, które później dla rozrywki łapałem w powietrzu. Planowałem ucieczkę, choć na razie nawet nie było co o niej marzyć, a także ślęczałem nad stronicami brązowej książki, starając się dopasować zawarte w niej treści do własnych przeżyć, aby stworzyć tak pełną, jak to tylko możliwe, teorię ludzkich działań, która mogła okazać mi się pomocna, gdybym kiedyś jednak zdołał wydostać się na wolność.

Skoro medyk, człowiek w podeszłym przecież wieku, w dalszym ciągu gromadził wiedzę, nie bacząc na zbliżającą się szybkimi krokami śmierć, czyż ja, którego śmierć wydawała się jeszcze bardziej nieunikniona, nie mogłem szukać pociechy w przekonaniu, że wszystko da się jeszcze odwrócić?

Dlatego właśnie przypominałem sobie poczynania magów, a także człowieka, którego spotkałem przy lepiance zamieszkaney przez chorą dziewczynkę i jej brata, jak również wielu innych mężczyzn i kobiet, szukając klucza, który pozwoliłby mi otworzyć wszystkie serca.

Nie znalazłem żadnego, a już szczególnie takiego, który dałby się wyrazić prostymi słowami: “Mężczyźni i kobiety postępują tak, jak postępują, ponieważ...” Nie pasował żaden z przemyślnie powyginanych kawałków metalu, jakie wpadały mi w ręce: ani żądza władzy, ani pragnienie miłości, ani umiłowanie spokoju lub chęć ubarwienia życia odrobiną romantyzmu.

Wpadłem jednak na trop pewnej zasady, którą nazwałem Zasadą Prymitywizmu, która z pewnością jest powszechnie stosowana, a jeśli nawet nie powoduje bezpośrednio żadnego działania, to przynajmniej wywiera znaczny wpływ na jego rodzaj, kiedy już zostanie podjęte.

Można sformułować ją w następujący sposób: “Ponieważ cywilizacje prehistoryczne przetrwały tyle chiliad, dziedzictwo, jakie po nich otrzymaliśmy, każe nam zachowywać się w taki sposób, jakby nadal obowiązywały warunki, w których im przyszło egzystować”.

Oto przykład: technologia, która mogłaby umożliwić Baldandersowi śledzenie wszystkich poczynań hetmana z wioski nad jeziorem dawno temu popadła w zapomnienie, lecz ponieważ korzystano z niej przez trudne do wyobrażenia eony, pozostawiła po sobie coś w rodzaju uroku działającego równie efektywnie co ona.

Dokładnie w ten sam sposób wszyscy nosimy w sobie duchy od dawna nie istniejących rzeczy, zniszczonych miast i cudownych maszyn. Opowieść, którą przeczytałem Jonasowi, kiedy byliśmy uwięzieni (w o ile większym towarzystwie i z o ile mniejszymi obawami znosiłem tamtą niewolę!), dowodziła tego ponad wszelką wątpliwość; teraz, w zikkuracie, czytałem ją niemal na okrągło. Autor, pragnący stworzyć zamieszkującego morskie głębiny antagonistę głównego bohatera, ukształtował jego głowę — która stanowiła jedyną część ciała widoczną nad wodą —

na podobieństwo okrętu, dzięki czemu potwór opuścił protoplazmową rzeczywistość i stał się maszyną, czyli tym, czego istnienia domagała się zapłodniona przed wiekami podświadomość pisarza.

Zabawiając się tymi spekulacjami zyskiwałem coraz więcej dowodów na to, że Vodalus jedynie tymczasowo zajął starożytną budowlę; choć, jak już wspomniałem, medyk przestał mnie odwiedzać, Agia zaś zjawiała się tylko jeden jedyny raz, do moich uszu bardzo często dociera! z korytarza tupot

pospiesznych kroków, a czasem nawet jakieś krzyki. Kiedy tylko coś takiego się zdarzyło, natychmiast przyciskałem nie zabandażowane ucho do drzwi i siedziałem tak bez ruchu nawet przez kilka wacht, w nadziei, że może usłyszę rozmowę, która pozwoli mi poznać plany Vodalusa. Wytężając tak na próżno słuch nie mogłem nie pomyśleć o setkach klientów zamkniętych w lochach pod naszą wieżą, którzy z pewnością nasłuchiwali moich kroków, kiedy roznosiłem tacę z żywnością. Bez wątplenia oni także starali się wychwycić choćby fragmenty rozmów, jakie prowadziłem z Theclą.

A jak ma się sprawa ze zmarłymi? Przyznam, iż nieraz myślałem o sobie jako o nieboszczyku.

Czyż te wielomilionowe tłumy nie są zamknięte w podziemnych celach jeszcze mniejszych od mojej? Nie ma takiej kategorii ludzkiej działalności, w której martwi nie przewyższaliby liczebnie żyjących. Większość uroczych dzieci już nie żyje, podobnie jak większość żołnierzy i tchórzów. Najpiękniejsze kobiety i najmądrzejsi mężczyźni — wszyscy od dawna nie żyją. Ich ciała spoczywają w trumnach i sarkofagach, w kamiennych kryptach i płytkich dołach. Ich duchy nawiedzają nasze umysły, a kiedy tylko mogą, przyciskają uszy do naszych czoł. Kto wie, na jakie słowo czekają, wsłuchując się w nasze myśli? **Rozdział XXVII Przed obliczem Vodalusa**

Rankiem szóstego dnia zjawily się po mnie dwie kobiety. Miałem za sobą nie przespaną noc, gdyż do mojej celi wleciał przez okienko krwiożerczy nietoperz, przedstawiciel gatunku bardzo rozpowszechnionego w dżunglach północy, i choć zdołałem wygnać go na zewnątrz i zahamować krwotok, to on uparcie wracał, zwabiony, jak przypuszczam, zapachem moich ran.

Nawet teraz, kiedy spoglądam na przesyconą zielenią ciemność, która jest blaskiem księżyca, widzę tego nietoperza, jak wpęła przez okrągły otwór niczym wielki pajak, a potem rzuca się z góry na mnie.

Kobiety były równie zaskoczone faktem, że już nie śpię, co ja ich widokiem, gdyż był

dopiero świt. Kazały mi wstać z posiania i jedna przyłożyła mi do gardła ostrze sztyletu, podczas gdy druga zajęła się wiązaniem rąk. Ta właśnie zapytała, czy już zagoił mi się policzek, po czym dodała, że dotarły do niej słuchy, iż jestem nadzwyczaj przystojnym młodzieńcem.

— Kiedy mnie tu przyprowadzono, byłem niemal równie bliski śmierci jak teraz —

odparłem.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że choć obrażenia, jakich doznałem w katastrofie ślizgacza, zdążyły się zagoić, to zarówno rana na nodze, jak i na policzku, w dalszym ciągu sprawiały mi sporo bólu.

Kobiety zaprowadziły mnie do Vodalusa. Urzędował nie w zikkuracie ani nie przy ognisku, gdzie widziałem go w towarzystwie Thei. lecz na łące ograniczonej z trzech stron przez płynącą powoli, zieloną wodę. Dopiero po dłuższej chwili — musiałem zaczekać, ponieważ przywódca buntowników był zajęty jakąś inną sprawą — uzmysłowiłem sobie, iż rzeka płynie, najogólniej rzecz biorąc, na północny wschód, a ja nigdy do tej pory nie widziałem rzeki toczącej swe wody w tym kierunku.

Wszystkie strumienie i rzeczulki, jakie napotykałem podczas wędrówki, zdążyły na południe lub południowy zachód, by połączyć się z płynącą właśnie na południowy zachód Gyll.

Wreszcie Vodalus skinął głową w moją stronę i doprowadzono mnie przed jego tron.

Kiedy zobaczył, że ledwo trzymam się na nogach, polecił strażniczkom, aby pozwoliły mi usiąść, po czym kazał im oddalić się na kilkanaście kroków.

— Miałeś nieco gorsze wejście niż wtedy, kiedy zjawiłeś się w lesie nie opodal Nessus

— powiedział.

Przyznałem mu rację.

— Jednak zarówno wtedy, panie, jak i teraz, przybywam jako twój sługa. Byłem nim już wówczas, kiedy spotkaliśmy się przy rozkopanym grobie, gdzie ocaliłem ci życie. Jeśli teraz widzisz mnie w zakrwawionych łachmanach i ze spętanymi rękami, to tylko dlatego, że tak właśnie traktujesz swoje sługi.

— Istotnie, wiązanie ci rąk uważam za pewną przesadę, jeśli wziąć pod uwagę stan, w jakim się znajdujesz. — Uśmiechnął się lekko. — Czy to boli?

— Nie, gdyż już straciłem w nich czucie.

— Mimo to więzy nie są potrzebne.

Vodalus dobył noża o długim ostrzu, wstał i jednym ruchem przeciął sznury.

Rozprostowałem ostrożnie ramiona, pęta zsunęły mi się z przegubów, a zaraz potem odniosłem wrażenie, jakby ktoś wbił mi w ręce tysiące igieł.

Vodalus wrócił na miejsce, po czym zapytał, czy nie zamierzam mu podziękować.

— Ty nigdy mi nie podziękowałeś, panie. Dałeś mi tylko monetę. Myślę, że ja też znajdę jakąś dla ciebie.

Zacząłem grzebać w sakwie w poszukiwaniu pieniędzy, które dostałem od Guasachta.

— Możesz sobie zatrzymać swoje monety, gdyż mam zamiar poprosić cię o coś znacznie ważniejszego. Czy powiesz mi, kim naprawdę jesteś?

— Oczywiście, panie. Jestem Severian, niegdyś czeladnik w konfraterni katów.

— I to wszystko?

— Tak, panie.

Vodalus westchnął głęboko, rozparł się w fotelu, a następnie westchnął raz jeszcze.

— Mój sługa Hildegrin zawsze twierdził, że jesteś kimś ważnym. Kiedy zapytałem go, dlaczego tak uważa, uraczył mnie mnóstwem domysłów, z których żaden nie wydał mi się przekonujący. Doszedłem do wniosku, że po prostu próbuje wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy za bardzo prostą robotę, jaką mu zleciłem, ale teraz widzę, iż jednak miał rację.

— Tylko jeden jedyny raz moja osoba miała dla ciebie jakieś znaczenie, panie.

— Wykorzystujesz każdą okazję, aby mi przypomnieć, że kiedyś ocaliłeś mi życie. Czy wiesz, że Hildegrin ocalił twoje? To właśnie on krzyknął “Uciekaj!” do twojego przeciwnika, z którym pojedynkowałeś się w mieście. Leżałeś wtedy na ziemi, a on mógł cię łatwo dobić.

— Czy Agia jest tutaj? — zapytałem. — Będzie chciała cię zabić, jeśli się o tym dowie.

— Nikt nie słyszy naszej rozmowy. Możesz jej powiedzieć o tym później, jeżeli zechcesz, ale i tak ci nie uwierzy.

— Nie możesz być tego pewien. Uśmiechnął się znacznie szerzej niż do tej pory.

— Doskonale, w takim razie oddam cię w jej ręce, żebyś mógł sprawdzić słusność swojej teorii.

— Jak sobie życzysz.

Z niedbałą elegancją machnął ręką.

— Wydaje ci się, że wygrasz ze mną odnosząc się lekceważąco do śmierci, a tymczasem podsuwasz mi bardzo łatwy sposób wybrnięcia ze skomplikowanej sytuacji. Twoja Agia zjawiała się u mnie z bardzo zręcznym traumaturkiem i zażądała za swoje oraz jego usługi tylko jednej zapłaty: ciebie, Severiana ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy. Teraz ty twierdzisz, że jesteś tylko nim i nikim więcej, więc przyznam, iż z każdą chwilą znajduję coraz mniej powodów, aby nie dotrzymać umowy, jaką z nią zawarłem.

— A kim chcesz, żebym był jeszcze?

— Tak się składa, że jeden z moich najlepszych ludzi przebywa, a raczej przebywał, na terenie Domu Absolutu. Znasz go, gdyż jemu właśnie przekazałeś ode mnie wiadomość. — Na twarzy Vodalusa znowu pojawił się uśmiech. — Jakiś tydzień temu przekazał nam ważną informację; rzecz jasna, nie skierował jej bezpośrednio do mnie, ale ja i tak jej oczekiwałem, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że może nadejść. Czy wiesz, o czym zawiadomił mnie ów sługa?

Pokręciłem głową.

— To dziwne, gdyż akurat wtedy byliście razem. Otóż powiedział, że znajduje się w zestrzelonym ślizgaczu i że razem z nim jest tam Autarcha. Byłby idiotą, gdyby wysłał tę informację w normalnych okolicznościach, bo podał także swoją pozycję, a poza tym, znalazł się dość daleko w głębi naszych pozycji, z czego z pewnością zdawał sobie sprawę.

— A więc służycie Ascianom?

— Pomagamy im przy przeprowadzaniu rekonesansów. Widzę, iż niepokoi cię świadomość, że Agia i jej traumaturg musieli zabić kilku ich żołnierzy, żeby się do was dostać?

Zapewniam cię, że nie warto się przejmować. Ich dowódcy cenią sobie życie swoich podwładnych jeszcze mniej niż ja, a poza tym, nie było czasu na negocjacje.

— Jednak nie zdołali schwytać Autarchy.

Nie potrafię kłaniać, lecz byłem zanadto wycieńczony, żeby Vodalus mógł łatwo wyczytać prawdę z mojej twarzy. Pochylił się do przodu i spojrział na mnie płonącymi oczami.

— A więc jednak tam był! Wspaniale. Widziałeś go, prawda? Leciałeś z nim królewskim ślizgaczem.

Po raz kolejny skinąłem głową.

— Może to się wydać zabawne, ale przez chwilę obawiałem się, że to ty nim jesteś.

Nigdy nie wiadomo. Jeden Autarcha umiera, drugi natychmiast zajmuje jego miejsce i może rządzić przez jeden dzień albo pół stulecia. A więc było was trzech, nie więcej?

— Nie.

— Jak wygląda Autarcha? Opisz mi go ze wszystkimi szczegółami. Zrobiłem, co mi kazał, przedstawiając dokładny rysopis doktora Talosa.

— I wymknął się zarówno stworom traumaturga, jak i Ascianom? A może ta kobieta i jej kompan trzymają go potajemnie tylko dla siebie?

□

Powiedziałem ci już, że Ascianie nie zdołali go schwytać.

Vodalus spróbował się uśmiechnąć, lecz w połączeniu z płonącymi oczami grymas, jaki pojawił się na jego twarzy, świadczył raczej o bólu niż o wesołości.

— Przez pewien czas obawiałem się, że to ty okazesz się Autarchą — powtórzył. —

Znaleźliśmy mego sługę, lecz doznał poważnego urazu głowy i odzyskuje przytomność tylko na parę chwil, by zaraz ponownie ją utracić. Obawiam się, że niedługo umrze. Jednak do tej pory zawsze dostarczał prawdziwych informacji, Agia zaś twierdzi, że w ślizgaczu byliście tylko wy dwaj.

— Naprawdę myślisz, że jestem Autarchą? Przecież to absurd.

— Bardzo różnisz się od człowieka, którego kiedyś poznałem.

— Przecież ty sam dałeś mi wyciąg z alzabo i życie kasztelanki Thecli. Kochałem ją.

Czy to takie dziwne, że się zmieniłem, wchłonawszy cząstkę jej osobowości? Teraz przebywa ze mną zawsze, ponieważ moje ciało zamieszkują jakby dwie osoby, ale daleko mi do Autarchy, który udziela gościny tysiącu ludziom.

Vodalus nic nie odpowiedział, tylko przymknął oczy, jakby przestraszył się, że dostrzegę płonący w nich ogień. W głębokiej ciszy, jaka zapadła na polanie, słychać było jedynie szept fal oraz szmer głosów kilkunastu uzbrojonych kobiet i mężczyzn, którzy zbili się w ciasną grupkę jakieś sto kroków od nas i od czasu do czasu spoglądali w naszą stronę. W pewnej chwili rozległ

się wrzask papugi, a zaraz potem ptaszysko przeleciało z furkotem z drzewa na drzewo.

— Nadal będę ci służył, jeśli wyrazisz zgodę — zwróciłem się do Vodalusa.

Nie zdawałem sobie sprawy, że to kłamstwo, dopóki nie usłyszałem swego głosu, a wówczas ogarnęło mnie bezbrzeżne zdumienie; nie pojmowałem, jak to możliwe, aby te słowa, tak prawdziwe w ustach Thecli i Severiana, stały się tak fałszywe w moich.

— Autarchą, którego ciało stanowi mieszkanie dla tysiąca ludzi... — mruknął Vodalus. — To prawda, ale jak niewielu z nas zdaje sobie z tego sprawę! **Rozdział XXVIII W marszu**

Dzisiaj, ostatniego dnia przed opuszczeniem Domu Absolutu, uczestniczyłem w poważnej ceremonii religijnej. Rytuały tego rodzaju dzielą się na siedem kategorii w zależności od swego znaczenia lub jak powiadają heptarchowie, “transcendencji” — wtedy kiedy rozgrywały się opisywane przeze mnie wydarzenia, nie miałem jeszcze o tym najmniejszego pojęcia. Najniższa kategoria, Aspiracja, obejmuje prywatne modlitwy oraz czynione na osobności zaklęcia.

Wszelkie zgromadzenia organizowane w celu wspólnego zanoszenia modłów — jako chłopiec przypuszczałem, że stanowią jedyny przejaw i zarazem sens istnienia religii — tworzą drugą kategorię, Integrację. To, co robiliśmy dzisiaj, należy do kategorii siódmej i zarazem najwyższej

— kategorii Asymilacji.

Zgodnie z zasadą kolistości większość blichtru, w jaki obrósł ceremoniał w sześciu niższych kategoriach, znikła bez śladu; nie było muzyki, a bogato zdobione stroje zostały zastąpione przez siermiężne szaty, których posągowe fałdy upodobniły nas wszystkich do postaci z ikon. Nie możemy już, tak jak niegdyś, sprawować obrządku wśród lśniących gwiazd tworzących pas galaktyki; jednak, aby możliwie najbardziej zbliżyć się do ideału, na terenie bazyliki zneutralizowano działanie pola grawitacyjnego Urth. Było to dla mnie zupełnie nowe przeżycie i choć nie odczuwałem lęku, to natychmiast ogarnęły mnie wspomnienia o tej nocy, którą spędziłem samotnie w górach, kiedy to zdawało mi się, że lada chwila runę z krawędzi świata w bezdenną przepaść - już jutro mam to zrobić naprawdę, i to w dodatku z własnej woli.

Chwilami sufit wydawał się podłogą, chwilami zaś (co znacznie bardziej mi przeszkadzało) stawał się którąś ze ścian, tak że spoglądając w górę, widziałem przez otwarte okna trawiaste, pionowe

zbocze sięgające aż do gwiazd. Po krótkim zastanowieniu musiałem jednak przyznać, że wrażenie to, choć na pozór niezwykle, niczym prawie nie różni się od tego, jakie możemy odnieść wędrując przez góry w całkiem zwyczajnych warunkach.

Każdy z nas stał się słońcem, a lśniące, białe czaszki były naszymi planetami.

Wspomniałem, że obywaliśmy się bez muzyki, lecz nie jest to do końca prawda, ponieważ kiedy czaszki zaczęły się obracać, rozległo się delikatne, melodyjne buczenie i pogwizdywanie, spowodowane przepływem powietrza przez oczodoły i szpary między zębami; te, które krążyły po orbitach kolistych, wydawały dźwięki wciąż tej samej wysokości, natomiast śpiew czaszek umiejscowionych na orbitach elipsoidalnych wznosił się i opadał, zależnie od odległości.

Jakże jesteśmy głupi, dostrzegając w tych pustych oczodołach i lśniących czerepach wyłącznie śmierć! Iluż mamy wśród nich przyjaciół! Książka w brązowych okładkach, która odbyła ze mną tak długą podróż --- jedyna rzecz z Wieży Matachina, jaka znajduje się jeszcze w moim posiadaniu — została napisana, wydrukowana i oprawiona przez mężczyzn i kobiety o właśnie takich, trupich twarzach; my, zanurzeni w ich głosach, w imieniu tych, co są już przeszłością, ofiarujemy zarówno ich, jak i nas samych, oślepijącemu światłu Nowego Słońca.

Jednak w tamtej chwili, otoczony wieloznacznymi, wspaniałymi symbolami, nie mogłem oprzeć się myśli o tym, jak odmiennie przedstawiała się rzeczywistość następnego dnia po mojej rozmowie z Vo-dalusem, kiedy opuściliśmy zikkurat i wyruszyliśmy w drogę (pilnowało mnie sześć uzbrojonych strażniczek, które czasem musiały mnie nieść). Przez sześć dni, a może więcej, maszerowaliśmy przez zabójczą dżunglę. Nie wiedziałem — i nadal nie wiem — czy uciekaliśmy przed armią Wspólnoty, czy przed Ascianami, którzy byli sojusznikami Vodalusa.

Możliwe, iż jedynie dążyliśmy do połączenia z większymi siłami powstańców. Strażniczki narzekały na ogromną wilgoć; para wodna skraplała się na liściach drzew i spadała w postaci rzadkiego deszczu, przeżerając metalowe części broni niczym kwas. Na dodatek było potwornie gorąco, choć ja w ogóle tego nie odczuwałem. Pamiętam, jak kiedyś spojrzałem na moje udo i stwierdziłem ze zdumieniem, że nie ma na nim skóry; widziałem niczym nie osłonięte wstęgi mięśni oraz część stawu kolanowego, przypominającego pracującą bez przerwy maszynę młyna.

Stary medyk szedł z nami i odwiedzał mnie dwa albo trzy razy dziennie. Początkowo starał się, żeby bandaże na mojej twarzy były zawsze suche, ale przekonawszy się, iż jego wysiłki nie przynoszą żadnych rezultatów, usunął opatrunek i ograniczył się do smarowania rany maścią. Dało to taki efekt, że część strażniczek robiła wszystko, żeby tylko na mnie nie spojrzeć, a kiedy ze mną rozmawiały, czyniły to ze wzrokiem wbitym w ziemię. Pozostałe zdawały się odczuwać dumę z powodu, że są w stanie patrzeć mi w twarz, i czyniły to nawet częściej, niż było konieczne, stojąc w rozkroku — taką właśnie pozę uważają za najbardziej wojowniczą — i z udawaną beztroską opierając lewą rękę na rękojeści broni.

Wykorzystywałem każdy pretekst, by z nimi porozmawiać, bynajmniej nie dlatego, żebym ich pożądał — choroba odebrała mi ochotę na wszelkie sprawy tego rodzaju — ale dlatego, że pośrodku posuwającej się powoli naprzód kolumny byłem tak samotny, jak nigdy dotąd, chyba nawet bardziej niż wówczas, gdy przebywałem zupełnie sam na targanej wojną północy lub gdy siedziałem

zamknięty w wiekowej celi w zikkuracie, a także dlatego, że w jakimś odizolowanym od rzeczywistości zakątku mego umysłu wciąż jeszcze kołatała się myśl o ucieczce. Wypytywałem je o wszystko, co mogły wiedzieć, i ani na chwilę nie opuszczało mnie zdumienie, pod jak wieloma względami różnią się nasze sposoby myślenia. Żadna z nich nie przyłączyła się do Vodalusa po to, by poprzeć dążenie do odbudowy potęgi ludzkości, a przeciwstawić się stagnacji, w jakiej znalazła się Wspólnota. Trzy kobiety po prostu poszły w ślady swoich mężczyzn, dwie miały nadzieję znaleźć sposobność do dokonania osobistej zemsty, jedna natomiast uciekała przed zniechwalonym ojczymem. Wszystkie, z wyjątkiem ostatniej, żałowały swego kroku; żadna nie miała pojęcia, gdzie do tej pory byliśmy, a tym bardziej, dokąd się teraz udajemy.

Przewodnikami naszej kolumny byli trzej barbarzyńcy: dwaj spośród nich musieli być braćmi, albo nawet bliźniakami, trzeci zaś, znacznie starszy, nosił na twarzy groteskową maskę, pod którą skrywał twarz zdeformowaną jakąś chorobą. Mimo różnicy wieku wszyscy trzej przypominali mi nagiego mężczyznę, jakiego kiedyś widziałem w Dżungli. Podobnie jak on nie nosił ubrania oraz mieli lśniąco metalicznie skórę i proste włosy. Dwaj młodszy byli uzbrojeni w dmuchawy dorównujące długością rozpiętości ich ramion, na plecach zaś nieśli plecione kołczany z małymi strzałkami o grotach zabarwionych na ciemny brąz. Najprawdopodobniej za pomocą soku jakiejś rośliny, stary natomiast podpierał się laską równie poskręcaną i krzywą jak on sam, zwieńczoną zmumifikowaną głową małpy,

Z przodu kolumny w zakrytej lektyce niesiono Autarchę; ze słów medyka należało się domyślać, że jeszcze nie skończył. Którejś nocy, kiedy moje strażniczki gawędziły ze sobą, a ja siedziałem przy małym ognisku, stary przewodnik (nie sposób było pomylić go z nikim innym ze względu na jego pokręconą sylwetkę oraz maskę, z daleka podobną do wielkiej głowy) podkraść

się do lektyki i ukradkiem wślizgnął do jej wnętrza, by jakiś czas potem równie niepostrzeżenie się oddalić. Później dowiedziałem się, że starca uważano za *uturuncu*, szamana potrafiącego przemieniać się w tygrysa.

Kilka dni po opuszczeniu zikkuratu, podczas których nie natrafiliśmy na nic, co można by nazwać drogą albo nawet ścieżką, dotarliśmy do szlaku wyznaczonego trupami. Byli to Ascianie pozbawieni odzienia i ekwipunku, tak iż łatwo można było odnieść wrażenie, że ich wychudzone, nagie ciała zostały zrzucone z powietrza. Według mnie nie żyli najwyżej od tygodnia, lecz ze względu na wysoką temperaturę i wilgotność rozkład następował wyjątkowo szybko. Nie sposób było domyślić się przyczyny śmierci.

Aż do tej pory nie widzieliśmy stworzeń większych niż wielkie żuki, które wieczorami zlatywały się do ognia. Słyszeliśmy głosy ptaków, lecz one same kryły się wysoko wśród wierzchołków drzew, a jeśli nawet odwiedzały nas krwiożercze nietoperze, to czyniły to niezmiernie dyskretnie, nie wyłaniając się z dusznej ciemności. Teraz łatwo można było odnieść wrażenie, iż posuwamy się naprzód wśród całej armii najróżniejszych stworzeń, ciągnących do trupiego szlaku jak muchy do martwego muła. Rzadko kiedy mijala wachta, żebyśmy nie słyszeli trzasku kości miażdżonych w potężnych szczękach, nocą zaś, tuż za kręgami światła otaczającymi nasze ogniska, jarzyły się zielone i szkarłatne oczy, czasem umieszczone w odległości dwóch piędzi od siebie. Choć wydawało się mało prawdopodobne, żeby ze strony obżartych padliną drapieżników groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, zdwojono strażę, a kobiety, które miały za zadanie mnie pilnować, spały w

pełnym rynsztunku, z bronią gotową do użycia.

W miarę jak szliśmy naprzód, ciała stawały się coraz świeższe, aż wreszcie natrafiliśmy także na żywych ludzi. Któregoś przedpołudnia spomiędzy drzew wyskoczyła szalona kobieta o krótko obciętych włosach, wykrzykując niezrozumiałe słowa, przedarła się przez naszą kolumnę, po czym zniknęła w lesie. Do naszych uszu docierały przeraźliwe wrzaski, błagalne jęki oraz obłąkańcze majaczenia, lecz Vodalus kategorycznie zakazał oddalać się od grupy. Po południu tego samego dnia zagłęбилиśmy się — niemal w tym samym sensie, w jakim poprzednio zagłębiliśmy się w dżungłę — w hordę Ascian.

Nasz oddział składał się z kobiet, jucznych zwierząt, Vodalusa wraz ze swiątą oraz jego doradców z czeladzią. W sumie stanowiliśmy z pewnością nie więcej niż piątą część jego sił, ale nawet gdyby razem z nami maszerował każdy buntownik, jaki zaciągnął się pod jego sztandar, i gdyby każdy z nich przyprowadził stu nowych, zniknęlibyśmy w tej nieprzeliczonej masie tak, jak łyżka wody zniknęłaby w nurcie Gyoll.

Najpierw spotkaliśmy piechurów. Autarcha powiedział mi, że dostawali broń do ręki dopiero bezpośrednio przed bitwą, lecz widocznie ich oficerowie doszli do wniosku, że starcie może nastąpić w każdej chwili, gdyż wszyscy byli uzbrojeni we włócznie. Nabrałem już przekonania, iż cała piechota Ascian dysponuje wyłącznie tą bronią, kiedy, tuż przed zapadnięciem zmroku, dostrzegłem również takich z sierpami w dłoniach.

Ponieważ szliśmy znacznie szybciej od nich, przed nocą dotarliśmy daleko w głąb ich formacji, ale że wcześniej od nich zatrzymaliśmy się na spoczynek (jeżeli oni w ogóle to uczynili), aż do chwili, kiedy wreszcie zmorzył mnie sen, słyszałem odgłos ich kroków i stłumione, chrapliwe okrzyki. Rankiem ponownie otaczali nas martwi lub umierający Ascianie i dopiero po wachcie wytężonego marszu dogoniliśmy ich tylne szeregi.

Żołnierzy tych charakteryzuje ślepe posłuszeństwo, jakiego nigdy wcześniej ani później nie widziałem. Wydaje mi się, iż nie ma ono źródła ani w ich charakterze, ani we wpojonej dyscyplinie; byli posłuszni, gdyż po prostu nie wiedzieli, że mogą zachować się inaczej. Nasi żołnierze niemal zawsze noszą kilka rodzajów broni, a przynajmniej jakiś miotacz energii i długi nóż (wśród kawalerzystów tylko ja nie miałem takiego noża i musiałem zadowolić się lekkim mieczem). Jeżeli chodzi o Ascian, to nigdy nie widziałem, żeby któryś z nich niósł coś więcej niż włócznie lub sierp, większość oficerów zaś w ogóle była bez broni, jakby sama myśl o bezpośrednim udziale w walce budziła w nich niewysłowioną odrazę. **Rozdział XXIX**

Autarcha Wspólnoty

Około południa ponownie zaczęliśmy mijać tych, których wyprzedziliśmy poprzedniego dnia, a wkrótce potem dotarliśmy do taborów. Chyba wszystkich nas zaskoczyło odkrycie, że nieprzeliczone ludzkie mrowie, które widzieliśmy do tej pory, stanowi zaledwie tylną straż wielokroć liczniejszej armii.

Jako zwierząt jucznych Ascianie używają uintatherów i platybelodonów, a także sześcionożnych maszyn, z całą pewnością skonstruowanych z myślą o tym właśnie przeznaczeniu. O ile mogłem się

zorientować, poganiacze nie czynili różnicy między nimi a zwierzętami; jeśli któryś czworo- albo sześcionóg padał na ziemię i nie mógł się podnieść, niesiony przez niego ładunek rozdzielano między pozostałe, jego samego zaś porzucano. Nikt nie zarzynał zwierząt, aby wykorzystać ich mięso, ani nie demontował maszyn w celu odzyskania cennych części.

Późnym popołudniem przez naszą kolumnę przebiegła fala podniecenia, choć ani ja, ani moje strażniczki nie mogliśmy się zorientować, co było jego przyczyną. Obok nas przemknął

sam Vodalus w towarzystwie kilku adiutantów, dając początek wzmożonemu ruchowi między końcem a początkiem kolumny. Wkrótce potem zaczęło się zmierzchać, lecz my nie zatrzymaliśmy się na odpoczynek, tylko maszerowaliśmy dalej razem z Ascianami. Rozdano pochodnie, a ponieważ nie byłem obciążony bronią i pomału odzyskiwałem siły, niosłem te, które przydzielono naszej małej grupce, czując się prawie tak, jakbym był dowódcą sześciu towarzyszących mi kobiet.

Postój zarządzono dopiero około północy. Strażniczki zebrały nieco gałęzi i za pomocą pochodni rozpaliliśmy małe ognisko. Szykowaliśmy się już do spoczynku, kiedy nagle do mężczyzn niosących lektykę podjechał posłaniec i kazał im, czym prędzej ruszyć naprzód, następnie zaś zamienił szeptem kilka słów z kobietą dowodzącą moją eskortą. Natychmiast związane mi ręce (po raz pierwszy od chwili, kiedy stanąłem przed obliczem Vodalusa) i podążyliśmy za lektyką. Nie zatrzymując się minęliśmy czoło kolumny, gdzie stał niewielki namiot kasztelanki Thei, by zagłębić się w mrowie wynędzniałych istot tworzących armię Ascian.

Ich kwatery główna mieściła się pod ogromną, metalową kopułą. Przypuszczam, iż konstrukcja ta dawała się w jakiś sposób składać albo zwijać, lecz kiedy ją ujrzałem, sprawiała wrażenie solidnej, jak każda stała budowla: na zewnątrz była całkowicie czarna, natomiast w środku jarzyła się nie mającym żadnego konkretnego źródła, bladym światłem, o czym przekonałem się, gdy tuż przed nami w gładkiej powierzchni kopuły pojawił się półokrągły otwór. Vodalus stał w wyrażającej szacunek pozie obok lektyki; zasłonki po obu stronach były podwinięte, dzięki czemu od razu zobaczyłem nieruchome ciało Autarchy. Na środku pomieszczenia stał niski stół, przy którym siedziały trzy kobiety. Przez cały czas trwania rozmowy nie spojrzały ani na Vodalusa, ani na Autarchę, na mnie zaś zerknęły ukradkiem najwyżej dwa lub trzy razy. Na stole przed nimi piętrzyły się stosy papierów, lecz kobiety im także nie poświęcały najmniejszej uwagi; patrzyły wyłącznie na siebie. Z wyglądu przypominały Ascianki, jakie widywałem do tej pory. z tą tylko różnicą, że miały mniej szalone oczy i nie były tak bardzo wychudzone.

— Oto on — powiedział Vodalus. — Teraz macie przed sobą ich obu.

Jedna z kobiet szepnęła coś w swoim języku do dwóch pozostałych, a kiedy obie skinęły głowami, przemówiła głośno:

— Tylko ten, co występuje przeciwko ludowi, ukrywa swoją twarz. Zapadła cisza. Po dłuższym czasie przerwał ją Vodalus, który syknął do mnie:

— Odpowiedz jej!

— Na co mam odpowiedzieć? Przecież o nic mnie nie zapytała.

— Kto jest przyjacielem ludu? — zabrała ponownie głos kobieta. — Ten, który go wspomaga. Kto jest nieprzyjacielem ludu?

— Czy zgodnie z twoją najlepszą wiedzą nieprzytomny człowiek, którego widzisz przed sobą, jest przywódcą mieszkańców północnej części tej półkuli? — Vodalus mówił bardzo szybko, jakby z niewiadomych powodów zaczęło mu ogromnie zależeć na czasie. — A jeśli nie on, to może ty nim jesteś?

— Nie — odparłem. Trudno było uznać to za kłamstwo, gdyż na podstawie tego, co widziałem, należało wysnuć wniosek, iż Autarcha nie jest już prawie niczym przywódcą. — Co to za głupota? — zapytałem Vodalusa przyciszonym głosem. — Czy one naprawdę uważają, że przyznałbym się, iż jestem Autarcha?

— Wszystko, co mówimy, jest transmitowane na północ.

Odezwała się jedna z milczących do tej pory Ascianek; mówiła dość długo, a raz wskazała w naszą stronę. Kiedy umilkła, wszystkie trzy zamarły w bezruchu. Odniosłem wrażenie, iż wsłuchują się w jakiś niesłyszalny dla mnie głos i że nie śmia się poruszyć, dopóki on nie umilknie, ale jest całkiem możliwe, że to tylko zadziałała moja wyobraźnia. Vodalus poruszył się nerwowo, ja zmieniłem nieco pozycję, aby jak najbardziej odciążać zranioną nogę, a wąska pierś Autarchy unosiła się w rytmie nieregularnego oddechu, lecz one trzy przypominały postaci wycięte z obrazu.

Kiedy już niemal straciłem nadzieję, że to nastąpi, odezwała się ta, która wcześniej przemówiła jako pierwsza:

— Wszyscy należą do ludu.

Dwie pozostałe jakby się nieco odprężyły.

— Ten człowiek jest bardzo chory — powiedział Vodalus, spoglądając na Autarchę, —

Dobrze mi służył, choć wydaje mi się, że teraz nie będzie już użyteczny. Jeśli chodzi o tego drugiego, to obiecałem go jednemu z moich zwolenników.

— Prawdziwego poświęcenia dokonuje ten, kto nie bacząc na własne dobro oddaje wszystko, co ma, na służbę ludowi.

Ton głosu kobiety świadczył o tym, że nie może być mowy o żadnej dyskusji.

Vodalus zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem, a następnie wzruszył ramionami, odwrócił się na pięcie i wyszedł spod kopuły. Niemal natychmiast zjawili się asciańscy oficerowie z batogami.

Umieszczono nas w namiocie jakieś dwa razy większym od mojej celi w zikkuracie.

Płonął tam ogień, nie było natomiast żadnych posłań, więc oficerowie, którzy wnieśli Autarchę.

po prostu rzucili go na ziemię przy ognisku. Oswobodziwszy sobie ręce, przewróciłem go na plecy i

ułożyłem mu ramiona wzdłuż tułowia.

Otoczająca nas ze wszystkich stron armia zachowywała się tak cicho, jak cicho może zachowywać się tak liczne wojsko; od czasu do czasu do moich uszu docierał czyjś niewyraźny okrzyk, lecz zazwyczaj słyszałem jedynie powolne kroki strażników krążących wokół namiotu.

Nie jestem w stanie opisać przerażenia, jakie wywołała we mnie świadomość, że zostanę zabrany na północ, do Ascii; perspektywa oglądania do końca życia wychudłych, szalonych twarzy, a także spotkania z tym, co doprowadziło tych ludzi do szaleństwa, wydawała mi się znacznie gorsza od najgorszego losu, jakiego mogli się spodziewać klienci przetrzymywani w podziemiach Wieży Matachina. Spróbowałem podnieść płótno namiotu, przekonany, że strażnicy w najgorszym razie mogą mnie zastrzelić, lecz okazało się ono w jakiś tajemniczy sposób przytwierdzone do ziemi. Właściwie nie było to nawet płótno, tylko dość plastyczny, lecz zarazem bardzo twardy materiał, którego nie mogłem rozedrzeć. Brzytwę Milesa zabrały mi już dawno moje strażniczki. Ruszyłem w kierunku drzwi, ale zatrzymał mnie szept Autarchy:

— Zaczekaj...

Natychmiast zawróciłem i padłem na kolana przy jego głowie. Nagle ogarnęła mnie granicząca z pewnością obawa, że jesteśmy podsłuchiwani.

— Myślałem, że... że śpisz.

— Większą część czasu byłem chyba pogrążony w śpiączce, ale nawet kiedy odzyskiwałem przytomność, starałem się nie dać tego po sobie poznać, aby uniknąć przesłuchania. Masz zamiar uciec?

— Na pewno nie sam. Sieur, i nie teraz. Byłem pewien, że umrzesz.

— Nie pomyliłeś się, a jeśli nawet, to najwyżej o jeden dzień... Tak, bez wątplenia tak właśnie będzie najlepiej: musisz uciec. Ojciec Inire dołączył do buntowników. Miał przynieść ci wszystko, co niezbędne, a następnie pomóc w ucieczce. Ale my już nie jesteśmy tam, gdzie przedtem, prawda? Możliwe więc, że nie zdoła ci pomóc. Rozwiąż moją szatę; za pasem znajdziesz to, czego w tej chwili najbardziej potrzebujesz.

Postąpiłem zgodnie z jego życzeniem. Skóra, którą musnąłem palcami, była zimna jak u trupa. Tuż przy lewym biodrze dostrzegłem wystającą zza pasa, miniaturową rękojeść nie grubszą od kobiecego palca. Wyjawszy broń przekonałem się, iż ostrze ma zaledwie piędź

długości, lecz jest grube i silne, a przede wszystkim tak ostre jak żadne z tych, z którymi miałem do czynienia po tej nieszczęsnej chwili, kiedy maczuga Baldandersa zdruzgotała Terminus Est.

— Nie wolno ci jeszcze odejść! — szepnął Autarcha.

— Na pewno nie odejdę, dopóki żyjesz — odparłem. — Nie wierzysz mi?

— Obaj będziemy żyć i obaj stąd odejdziemy. Znasz ten wstrętny obrzęd... — Zacisnął

rękę na moim przedramieniu. — Zjadanie ciał umarłych po to, by wchłonąć martwe resztki ich życia. Na szczęście istnieje jeszcze jeden sposób, o którym do tej pory nie słyszałeś, i jeszcze jeden specyfik. Musisz go połknąć, a następnie spożyć wciąż jeszcze żywą tkankę mego przodomózgowia. — Chyba próbowałem się cofnąć, gdyż wzmocnił uchwyt. — Kiedy żyjesz z kobietą, często napełniasz ją swoim życiem, aby powstało nowe. Jeśli uczynisz to, co ci każę, moje życie oraz życia tych wszystkich, co są we mnie, będą dalej trwać w tobie. Komórki mego mózgu zostaną wchłonięte przez twój system nerwowy i zaczną się tam rozmnażać. Specjalny medykament jest w fiolce, którą noszę na szyi, a ostrze tego sztyletu przetnie kości czaszki tak łatwo, jakby była zrobiona z drewna. Używałem go już i mogę ci to zagwarantować. Pamiętaj, że kiedy zatrzasnąłem ogromną księgę, przysiągłeś mi posłuszeństwo? Użyj teraz noża i zrób to najszybciej, jak potrafisz.

Obiecałem mu, że to uczynię.

— Mój specyfik działa znacznie silniej niż ten, którego próbowałeś, a choć wszystkie pozostałe osobowości będą znacznie słabsze od mojej, to jednak są ich setki... Jesteśmy wieloma w jednym.

— Rozumiem.

— Ascianie wyruszą o świcie. Czy do brzasku została więcej niż jedna wachta?

— Mam nadzieję, Sieur, że przeżyjesz i tę, i wiele następnych.

— Musisz zabić mnie teraz, zanim Urth zwróci twarz ku słońcu. Potem będę żył w tobie...

i nigdy nie umrę. Teraz utrzymuje mnie przy życiu jedynie siła woli. Każde wypowiedziane słowo pozbawia mnie części sił.

Ku memu zdumieniu w jego oczach pojawiły się łzy.

— Nienawidziłem cię, już kiedy byłem chłopcem. Nigdy nie wyrządziłem ci krzywdy, ale zawsze chciałem to uczynić, a teraz tego żałuję.

Jego głos osłabł tak bardzo, że stał się niewiele donośniejszy od cykania świerszcza.

— Miałeś prawo mnie nienawidzić, Severianie. Jestem symbolem... tak jak i ty nim będziesz... wszystkiego, co niewłaściwe.

— Ale dlaczego? — zapytałem, ponownie osuwając się na kolana. — Dlaczego?

— Ponieważ wszystko inne jest jeszcze gorsze. Aż do nadejścia Nowego Słońca musimy wybierać między różnymi rodzajami zła. Wszystkie już wypróbowaliśmy i wszystkie nas zawiodły: powszechna dostępność dóbr, władza ludu... Wszystko. Pragniesz postępu?

Znajdziesz go u Ascian. Oszaleli na jego punkcie, stracili zmysły, obserwując śmierć natury, a teraz są skłonni uznać za bogów Ereba i całą resztę. My celowo utrzymujemy ludzkość w stagnacji, zwanej przez niektórych barbarzyństwem. Autarcha broni prosty lud przed arystokratami, oni zaś chronią go przed Autarchą. Religia daje wszystkim pociechę.

Zamknęliśmy drogi, aby sparaliżować funkcjonowanie społeczeństwa...

Zamknął oczy, a ja położyłem rękę na jego piersi, starając się wyczuć choćby najslabsze uderzenie serca.

— Aż do nadejścia Nowego Słońca...

Przed tym właśnie chciałem uciec — wcale nie przed Agią, Vodalusem ani Ascianami.

Najdelikatniej, jak potrafiłem, zdjąłem mu z szyi łańcuszek, otworzyłem fiolkę i połknąłem jej zawartość, po czym wziąłem do ręki nóż o krótkim, mocnym ostrzu i uczyniłem to, co należało uczynić.

Kiedy było już po wszystkim, nakryłem ciało żółtą szatą, a następnie powiesiłem sobie na szyi pustą fiolkę. Narkotyk istotnie miał niezwykle silne działanie; wy, co czytacie te słowa, przypuszczalnie zawsze posiadaliście tylko jedną osobowość, nie możecie więc wiedzieć, co to znaczy mieć ich dwie lub trzy, a tym bardziej setki. Obudziły się we mnie z radością, każda na swój sposób, by stwierdzić, że oto zaczęło się dla nich nowe życie. Martwy Autarcha, którego czaszkę przepołowilem zaledwie przed chwilą, także ożył. Moje oczy i ręce były jego oczami i rękami, ja natomiast nagle zyskałem wiedzę na temat życia świętych pszczół hodowanych w Domu Absolutu, które odzyskują złoto z roślin tworzących zielony płaszcz Urth. Wiedziałem, w jaki sposób odbył wędrówkę na tron Feniksa, do gwiazd i z powrotem. Jego umysł stał się moim umysłem, wypełniając mnie wiedzą, której istnienia nawet nie podejrzewałem, przyniesioną przez setki innych umysłów. Świat rzeczywisty wydał mi się płaski i niewyraźny niczym rysunek wykonany na piasku chłostanym przez gwałtowny wiatr. Nie mógłbym się nad nim skupić nawet wtedy, gdybym chciał, a ja wcale tego nie chciałem.

Czarny materiał, z którego było wykonane nasze więzienie, wyraźnie zszarzał, szczyt namiotu zaś rozjarzył się nagle różnobarwnymi kształtami, zmieniającymi położenie jak w kalejdoskopie. Nie zdając sobie z tego sprawy runąłem na wznak obok ciała mego poprzednika, a wszelkie próby podniesienia się z ziemi zaowocowały jedynie gwałtownym trzepotaniem rękami.

Nie mam pojęcia, jak długo tak leżałem bez przytomności. Kiedy się ocknąłem, wytarłem ostrze noża — mojego noża — i ukryłem go dokładnie tak samo jak on. Wystarczyło, żebym spojrział na ścianę, a natychmiast pojawiały się na niej niezliczone postaci — Severian, Thecla, mnóstwo innych uciekające w ciemność. Wizja była tak plastyczna, iż przez chwilę wydawało mi się, że naprawdę tego dokonałem, ale zaraz polem, kiedy próbowałem ominąć pogrążonych we śnie Ascian, przekonałem się, że nadal jestem w znajomym namiocie, a obok mnie spoczywa trup spowity w żółtą szatę.

Poczułem na ciele dotyk czyichś rąk. Pomyślałem, że to zapewne wrócili oficerowie z batogami, więc zacząłem gramolić się na nogi, żeby nie zostać uderzonym za opieszałość, lecz poplątane wspomnienia uderzyły mi do głowy niczym młode wino, sprawiając, iż zamiast wnętrza namiotu ujrzałem nakładające się na siebie obrazy: jakiś wyścig, potężne piszczalki organów, wykres z biegnącymi w różne strony krzywymi, kobietę na wozie.

— Wszystko w porządku? — zapytał czyjś głos. — Co ci się stało? Usiłowałem odpowiedzieć, lecz

tylko poczułem, jak ślina kapie mi z ust.

Rozdział XXX

Korytarze Czasu

Coś uderzyło mnie boleśnie w twarz.

— Co się stało? Tamten nie żyje. Dali ci jakiś narkotyk?

— Tak. Dali.

Dopiero po chwili poznałem ten głos: należał do Severiana, tego młodego kata.

W takim razie, kim ja byłem?

— Wstawaj, musimy się stąd wydostać!

— Strażnik.

— Strażnicy — poprawił nas nieznajomy głos. — Było ich trzech, ale wszystkich zabiliśmy.

Szedłem w dół po schodach białych jak sól, ku nenufarom i stojącej wodzie.

Towarzyszyła mi opalona dziewczyna o skośnych oczach. Zza jej ramienia wychylała się głowa jednego z posągów wyrzeźbionych w onyksie, przez co twarz miała barwę trawy.

— Czy on umiera?

— Już nas widzi. Spójrz w jego oczy.

Wreszcie przypomniałem sobie, gdzie jestem. Wkrótce człowiek z bębniem wsadzi głowę do namiotu i każe mi odejść.

— Nad ziemią... - szepnąłem. — Powiedziałaś mi, że znajdę ją nad ziemią. To było łatwe, bo ona jest tutaj.

— Musimy już iść.

Zielony człowiek ujął mnie pod lewe ramię, Agia pod prawe, i wyprowadzili mnie na zewnątrz.

Pokonaliśmy znaczną odległość, niemal tak dużą, jak w mojej wizji, co jakiś czas potykając się o śpiących Ascian.

— Prawie wcale nie wystawiają straży — szepnęła Agia. — Vodalus powiedział mi, że ich dowódcy cieszą się tak wielkim posłuchem, iż nie potrafią sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł

zaatakować ich zniecka. Dzięki temu podczas wojny naszym żołnierzom często udaje się przeprowadzić atak z zaskoczenia.

— Naszym żołnierzom... — powtórzyłem jak dziecko, gdyż nie rozumiałem ani słowa z tego, co

powiedziała.

— Hethor i ja nie będziemy już im służyć. Teraz, kiedy ich zobaczyliśmy, to zupełnie nie do pomyslenia. Odniosę większe korzyści, jeśli zacznę współpracować z tobą.

Powoli zaczynałem odnajdywać samego siebie; liczne umysły mieszkające w moim umyśle poczęły kolejno wycofywać się na dalszy plan. Kiedyś powiedziano mi, że “autarcha”

znaczy tyle co “samo-władca”; chyba wiedziałem już, skąd wziął się ten tytuł.

— Kiedyś chciałaś mnie zabić, a teraz zwracasz mi wolność. Mogłaś mnie przecież zakłuć.

Przypomniałem sobie zakrzywiony nóż z Thraxu tkwiący w okiennicy domku Casdoe.

— Mogłam pozbawić cię życia wielekroć łatwiej. Zwierciadła Hethora dały mi robaka nie dłuższego od twojej ręki, który jarzy się białym ogniem. Wystarczy go rzucić, a on zabija i wraca posłusznie do mnie. W taki właśnie sposób rozprawiłam się ze strażnikami, ale ten zielony człowiek nie pozwoliłby mi teraz ciebie zabić, a poza tym, wcale mi na tym nie zależy. Vodalus obiecał mi, że będziesz umierał całymi tygodniami, więc tylko to może mi sprawić pełną satysfakcję.

— Prowadzisz mnie do niego?

Agia potrząsnęła energicznie głową. W bladym świetle poranka sączącym się między liśćmi zobaczyłem, że jej brązowożłote kędziory podskakują dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy otwierała okiennice w sklepie z łachmanami.

— Vodalus nie żyje. Czy myślisz, że mając do dyspozycji świetlistego robaka pozwoliłabym mu ujść z życiem po tym, jak mnie oszukał? Prędzej czy później i tak by się do ciebie zabrali. Teraz pozwolę ci odejść — przede wszystkim dlatego, że chyba wiem, dokąd się udasz — a na koniec i tak wpadniesz znowu w moje ręce, choćby tak jak wówczas, gdy nasze pteriopy odbiły cię z rąk asciańskich zwiadowców.

— A więc ratujesz mnie, ponieważ mnie nienawidzisz?

Skinęła głową. Przypuszczam, iż Vodalus co najmniej równie mocno nienawidził tej części mnie, która zawsze była Autarcha. albo raczej nienawidził własnej koncepcji bycia Autarchą, ponieważ zawsze był lojalny — przynajmniej na tyle, na ile mógł — wobec prawdziwego Autarchy, którego uważał za swego sługę. Kiedy jako chłopiec służyłem w kuchni Domu Absolutu, pracował tam pewien kucharz, który tak bardzo nienawidził szlachciców i arystokratów, którym przygotowywał posiłki, że po to, by nie narazić się na żadne wyrzuty z ich strony, wznosił się na wyżyny swoich kulinarnych umiejętności. Po pewnym czasie został

mianowany szefem kucharzy w tym skrzydle. Kiedy o nim myślałem, Agia niepostrzeżenie wysunęła mi rękę spod pachy, a gdy w chwilę później odwróciłem się w jej stronę, dziewczyny już przy mnie nie było. Zostałem sam z zielonym człowiekiem.

— Skąd się tu wziąłeś? — zapytałem. — Przecież niewiele brakowało, byś stracił życie, a wiem, że

blask naszego słońca jest dla ciebie o wiele za słaby.

Uśmiechnął się. Mimo że miał zielone wargi, to jego zęby były zupełnie białe.

— Jesteśmy twoimi dziećmi, nie mniej prawdziwymi od ciebie, choć nie zabijamy po to, by zaspokoić głód. Podzieliłeś się ze mną kamieniem, który potem przeciął metal i zwrócił mi wolność. Jak przypuszczałeś, co zrobię, kiedy pozbędę się łańcucha?

— Przypuszczałem, że będziesz chciał wrócić do swojego czasu. Działanie narkotyku osłabiło już na tyle, iż zacząłem się obawiać, że obudzimy żołnierzy. Kiedy jednak się rozejrzałem, nie zobaczyłem ani jednego — tylko ciemne, potężne pnie drzew.

— Mamy zwyczaj odwdzięczać się naszym dobroczyńcom. Biegałem w tę i z powrotem korytarzami Czasu w poszukiwaniu chwili, kiedy ty także zostaniesz uwięziony, abym mógł cię uwolnić.

Nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć. Kiedy wreszcie zebrałem myśli, odparłem:

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak dziwnie się czuję, wiedząc, że ktoś badał moją przyszłość poszukując sposobności, by wyświadczyć mi przysługę. Mam nadzieję jednak, że zdajesz sobie sprawę, iż pomogłem ci nie dlatego, żebym oczekiwał od ciebie rewanzu?

— Wręcz przeciwnie: oczekiwałeś ode mnie pomocy w odnalezieniu kobiety, która przed chwilą nas opuściła, a którą od tamtej pory odnajdywałeś już kilka razy. Powinieneś jednak zdawać sobie sprawę, iż nie jestem sam; są tu inni, tacy jak ja, i dwóch z nich przyślę ci do pomocy. Poza tym rachunki nie zostały jeszcze wyrównane, bo choć zjawiłem się tu, kiedy byłeś więźniem, to jednocześnie uczyniła to ta kobieta, która uwolniłaby cię nawet bez mojej pomocy.

Dlatego możesz być pewien, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Powiedziawszy to puścił moje ramie, po czym oddalił się w kierunku, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy aż do chwili, kiedy ujrzałem statek kakogenów odlatujący znad zamku Baldandersa. Zielony człowiek biegł bez wysiłku, a pomimo panującego półmroku jeszcze dość długo mogłem oglądać jego sylwetkę, oświetlaną powtarzającymi się w nieregularnych odstępach czasu błyskami. Wreszcie zamienił się w mały czarny punkcik, lecz w chwili, kiedy spodziewałem się, że punkcik zniknie, zaczął się błyskawicznie powiększać, tak że odniosłem wrażenie, jakbym stał u wylotu tunelu, z którego wnętrza coś wielkiego pędzi w moją stronę.

Był to statek, tyle tylko, że zupełnie inny od tego, który widziałem poprzednio, a przede wszystkim znacznie mniejszy. Mimo to był tak duży, że kiedy wreszcie cały znalazł się w naszej rzeczywistości, dotykał burtami kilku drzew naraz. Kadłub otworzył się i wysunęły się z niego schodki, sporo krótsze od tych przy ślizgaczu Autarchy.

Po schodkach zeszli mistrz Malrubius oraz mój pies Triskele.

W tej samej chwili odzyskałem pełnię władzy nad swoją osobowością, co nie udało mi się od momentu, kiedy na leśnej polanie napiłem się wyciągu z alzabo i skosztowałem ciała Thecli.

Nie stało się tak dlatego, że Thecla zniknęła (wcale tego nie pragnąłem, choć wiedziałem już, iż pod wieloma względami była okrutną i głupią kobietą), podobnie zresztą jak osobowości mego poprzednika oraz setek innych, nieznanym ludzi. Stara, prosta struktura mojej osobowości ostatecznie rozsypała się w pył, a nowa, skomplikowana, wreszcie przestała mnie oszalać i przerażać. Co prawda nadal przypominała labirynt, ale teraz ja byłem jego właścicielem, a nawet budowniczym. Malrubius ujął mnie delikatnie za rękę i położył ją na swoim chłodnym policzku.

— A więc istniejesz naprawdę — powiedziałem. - Nie. Jesteśmy tym, za kogo nas uważasz: siłami ukrytymi za sceną. *Deus ex machina*, tylko że nie można nazwać nas bogami. Ty natomiast jesteś aktorem, jak przypuszczam?

Pokręciłem głową.

— Nie poznajesz mnie, mistrzu? Uczyłeś mnie, kiedy byłem chłopcem, a potem zostałem czeladnikiem naszej konfraterni.

— Mimo to jesteś także aktorem. Masz wszelkie prawo uważać się zarówno za jednego, jak i drugiego. Występowałeś przecież na scenie, kiedy rozmawialiśmy z tobą na łące w pobliżu Muru Nessus, a kiedy ujrzeliśmy cię ponownie, w Domu Absolutu, ty znowu brałeś udział w przedstawieniu. To była dobra sztuka; szkoda, że nie mogłem obejrzeć jej do końca.

□

Znajdowałeś się na widowni?

Mistrz Malrubius skinął głową.

— Jako aktor z pewnością wielokrotnie słyszałeś określenie, które przytoczyłem przed chwilą. Odnosi się ono do nadnaturalnej siły, która interweniuje w ostatniej chwili po to, by sztuka miała optymistyczne zakończenie. Wykorzystują ją tylko najsłabsi dramatopisarze, lecz nie należy zapominać, iż lepiej jest pokazać bóstwo zjeżdżające na scenę po linie i doprowadzić akcję do szczęśliwego końca, niż nie pokazać niczego i pozwolić, by spektakl zakończył się tragicznie. Oto nasza lina i nasz statek. Wejdiesz na jego pokład?

— Czy właśnie dlatego tak wyglądacie? — zapytałem. — Żeby wam zaufałem?

— Owszem.

Triskele, który do tej pory siedział u moich stóp i wpatrywał mi się w twarz, poderwał się na trzy łapy i pokuśtykał w stronę trapu, merdając kikutem ogona i spoglądając na mnie błagalnie, tak jak tylko psy potrafią to robić.

— Ale ja wiem, że nie jesteście prawdziwi. Może Triskele, lecz z pewnością nie ty, mistrzu. Byłem na twoim pogrzebie. Twoja twarz nie jest maską, ale pod nią na pewno jest jakaś maska, jeszcze głębiej zaś ukrywa się oblicze jednego z tych, których ludzie nazywają kakogenami, choć doktor Talos wyjaśnił mi kiedyś, że wolicie określenie “hierodule”.

Malrubius ponownie wziął mnie za rękę.

— Nie oszukiwalibyśmy cię, nawet gdybyśmy mogli to uczynić. Mam jednak nadzieję, że ty uczynisz to za nas, dla dobra swojego i całej Urth. W tej chwili jakiś narkotyk otępia twój umysł — znacznie bardziej, niż ci się wydaje — dzięki czemu znajdujesz się w podobnym stanie co wtedy, kiedy byłeś pogrążony we śnie niedaleko Muru Nessus. Gdybyś był zupełnie przytomny, być może nie odważyłbyś się pójść z nami, nawet gdyby rozsądek nakazywał ci to uczynić.

— Na razie mój rozsądek niczego mi jeszcze nie nakazał — odparłem. — Dokąd chcecie mnie zabrać i dlaczego? Poza tym, czy jesteś mistrzem Malrubiusem, czy jednym z hieroduli?

Nagle znacznie wyraźniej niż do tej pory zdałem sobie sprawę z obecności drzew, stojących na baczność w pewnym oddaleniu, niczym żołnierze czekający cierpliwie, aż oficerowie uzgodnią szczegóły operacji. Noc powoli wypełniała się zapowiedzią brzasku i bladymi barwami.

— Czy wiesz, co oznacza słowo “hierodule”, którego tak często używasz? Ja jestem Malrubius i służę tym samym panom co oni. “Hierodule” znaczy tyle co “święci niewolnicy”.

Tam gdzie są niewolnicy, muszą też być ich panowie.

— A chcesz mnie zabrać...

— ...do Oceanu, aby ocalić ci życie. Nie, nie do kochanek Abaii, które uratowały cię i wspomagały, ponieważ byłeś katem i miałeś stać się Autarchą — dodał pospiesznie, jakby czytając w moich myślach. — Wiedz, że grożą ci znacznie większe niebezpieczeństwa. Wkrótce słudzy Erebu, którzy cię tu więzili, przekonają się, że uciekłeś, a wówczas Ereb skieruje tę armię

— i wiele innych, podobnych do tej — do otchłani, aby cię ponownie pojmać. Chodź ze mną.

Pociągnął mnie w kierunku trapu. **Rozdział XXXI**

Piaskowy Ogród

Nie udało mi się dostrzec ani jednego członka załogi. Przypuszczałem, że wzbijemy się w powietrze jak ślizgacz albo znikniemy w którymś z korytarzy Czasu, jak to uczynił zielony człowiek; tymczasem unieśliśmy się tak gwałtownie, że aż zrobiło mi się niedobrze. Z zewnątrz dobiegi trzask łamanych gałęzi.

— Teraz jesteś Autarchą — powiedział mistrz Malrubius. — Zdajesz sobie z tego sprawę?

Jego głos z trudem docierał do moich uszu, zagłuszany przez świst wiatru w takielunku.

— Tak. Mój poprzednik, którego umysł należy teraz do mnie, trafił na tron w bardzo podobny sposób. Znam wszystkie tajemnice i słowa dające władzę, choć jeszcze nie miałem czasu, aby o nich pomyśleć. Czy wrócimy do Domu Absolutu?

Pokręcił głową.

— Nie jesteś gotów. Wydaje ci się, że dysponujesz całą wiedzą poprzedniego Autarchy i właściwie masz rację, tyle tylko, że jeszcze nie potrafisz zrobić z niej użytku, a kiedy nadejdzie chwila próby, spotkasz wielu, którzy bez wahania zabiją cię, gdy tylko dostrzegą najmniejsze zawahanie. Wychowywałeś się w Cytadeli Nessus; jak brzmi hasło ustalone z jej kasztelanem?

W jaki sposób można zapanować nad małpoludami zamieszkującymi nieczynne kopalnie? Jakie słowa otwiera-ją skarbiec Tajnego Pałacu? Nie musisz mi tego mówić, ponieważ są to najważniejsze tajemnice, dzięki którym będziesz mógł sprawować władzę, a poza tym, i tak znam je wszystkie. Czy jednak ty także potrafisz je sobie przypomnieć na zawołanie, nie zastanawiając się zbyt długo?

Wszystkie potrzebne słowa i wyrażenia znajdowały się w moim umyśle, ale kiedy próbowałem je schwytać, by im się przyrzuć, umykały we wszystkie strony jak małe rybki.

Wreszcie bezradnie wzruszyłem ramionami.

— Oprócz tego pozostała ci do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Czeka cię dodatkowa przygoda, nie licząc tej z Oceanem.

— Jaka?

— Gdybym ci powiedział, nie przydarzyłaby ci się, ale niczego się nie lękaj. To bardzo prosta sprawa, którą załatwisz bez wysiłku, lecz ja najpierw muszę ci sporo wyjaśnić, a nie mamy na to zbyt wiele czasu. Czy wierzysz w nadejście Nowego Słońca?

Tak jak przed chwilą zajrzałem do swego wnętrza w poszukiwaniu tajemnych słów, tak teraz uczyniłem to, by sprawdzić, czy jest we mnie wiara. Te poszukiwania zakończyły się takim samym rezultatem co poprzednie.

— Przez całe życie uczyli mnie o tym nauczyciele, którzy — jak choćby prawdziwy Malrubius — sami w to nie wierzyli, więc trudno mi powiedzieć, czy ja wierzę czy nie.

— Kim jest Nowe Słońce? Człowiekiem? Jeśli tak, to jak jest możliwe, żeby wraz z jego przyjściem wszystko, co zielone, zazieleniło się ponownie, a spichlerze zapełniły się po brzegi?

Nie powiem, żeby teraz, kiedy zaczęło do mnie powoli docierać, iż otrzymałem w spadku całą Wspólnotę, było mi przyjemnie wracać do na wpół zapomnianych spraw, o których słyszałem w dzieciństwie.

— Będzie nowym wcieleniem Łagodziciela, jego awatarą, niosącą pokój i sprawiedliwość

— powiedziałem. — Na ilustracjach pokazuje się go z twarzą promieniującą jak słońce. To wszystko, co wiem, gdyż byłem uczniem w bractwie katów, a nie akolitą.

Otuliłem się szczelnie płaszczem, gdyż zimny wiatr zaczął dawać mi się we znaki.

Triskele zwinął się w kłębek u moich stóp.

— A czego ludzkość bardziej potrzebuje? Pokoju i sprawiedliwości, czy Nowego Słońca?

Spróbowałem się uśmiechnąć.

— Przyszło mi właśnie do głowy, że choć raczej nie jesteś moim starym nauczycielem, to przecież mogłeś wchłonąć jego osobowość, tak jak ja wchłonałem osobowość kasztelanki Thecli.

Jeżeli mam rację, to wiesz już, co ci odpowiem. Udręczony klient pragnie przede wszystkim ciepła, pożywienia i ulgi w cierpieniu. Pokój i sprawiedliwość idą w drugiej kolejności. Deszcz symbolizuje litość, blask słońca — miłosierdzie, ale same deszcz i słońce są czymś lepszym od litości i miłosierdzia. Gdyby było inaczej, cnoty, których są symbolami, straciłyby na wartości.

— Masz sporo racji. Mistrz Malrubius, którego znałeś, istotnie żyje we mnie, a twój stary Triskele w tym Triskele, którego widzisz. Teraz jednak nie to jest najważniejsze — jeżeli wystarczy nam czasu, sam się o tym przekonasz, zanim wyruszymy w drogę. — Malrubius przymknął oczy i podrapał się po piersi porośniętej siwymi włosami, tak jak czynił wówczas, kiedy ja byłem najmłodszym spośród uczniów. — Bałeś się wejść na pokład tego statku, mimo że dałem ci słowo, iż nie zabierze cię z Urth ani nawet na sąsiedni kontynent. Przypuśćmy jednak, że teraz powiedziałbym ci, iż już za chwilę statek odleci daleko poza orbitę Phalega, którego wy nazywacie Verthandi. poza orbity Bethora i Aratrona, a następnie zagłębi się w czarną pustkę, by dotrzeć do miejsca położonego na jej drugim brzegu. Czy taka zapowiedź również wzbudziłaby w tobie strach?

— Nikt nie lubi przyznawać się do tego, że się boi, ale owszem, bałbym się.

— Czy mimo to zdecydowałbyś się odbyć tę podróż, gdyby miała doprowadzić do nadejścia Nowego Słońca?

Odniosłem wrażenie, jakby jakiś lodowaty upiór wyłonił się z odmetów i zacisnął ręce na moim sercu. Nie dałem się zwieść, nie przypuszczam też, aby Malrubiusowi zależało na tym, by mnie oszukać. Twierdząca odpowiedź oznaczała zgodę na odbycie takiej podróży. Zawahałem się w całkowitej ciszy, wypełnionej jedynie rykiem krwi tętniącej mi w skroniach.

— Nie musisz odpowiadać już teraz, jeśli nie jesteś do tego przygotowany. Zapytamy cię ponownie, ale nie licz na to, że wcześniej dowiesz się czegoś, co może wywrzeć wpływ na twoją decyzję.

Bardzo długo przechadzałem się po tym dziwnym pokładzie, wystawiając ręce na spotkanie lodowatego wiatru, podczas gdy myśli kotłowały mi się w głowie niczym wzburzone fale. Gwiazdy przyglądały nam się w milczeniu, a ja chwilami odnosiłem wrażenie, że oczy mistrza Malrubiusa są dwiema z nich.

Wreszcie stanąłem przed nim i powiedziałem:

— Od dawna pragnąłem, żeby... Polecę, jeśli dzięki temu nadejdzie Nowe Słońce.

— Nie mogę ci tego zagwarantować. Czy podejmiesz ryzyko, jeśli dzięki temu być może nadejdzie Nowe Słońce? Pokój i sprawiedliwość — owszem, z pewnością, ale Nowe Słońce...

Ciepło i energia dla Urth w takiej ilości, w jakiej docierały do niej na długo przed narodzinami pierwszego człowieka...

Wtedy właśnie miało miejsce najdziwniejsze wydarzenie ze wszystkich, jakie relacjonowałem w tej przydługiej opowieści, choć nie towarzyszyły mu niezwykle dźwięki ani zdumiewające obrazy oraz nie uczestniczyły w nim ani mówiące zwierzęta, ani ogromne kobiety.

Po prostu nagle poczułem na piersi znajomy ucisk, jaki towarzyszył mi podczas pobytu w Thraksie, kiedy zdawałem sobie sprawę, że powinienem wyruszyć na północ, w poszukiwaniu prawowitych właścicielek Pazura. Przypomniałem sobie dziewczynkę z lepianki.

— Tak — odparłem. — Polecę, nawet jeśli tylko być może przyczynię się do nadejścia Nowego Słońca.

— A jeżeli czeka cię tam próba? Znasz tego, kto był przed tobą Autarchą — ba, nawet go pokochałeś. Teraz żyje w tobie. Czy był mężczyzną?

— Był człowiekiem, czyli kimś, kim ty chyba nie jesteś, mistrzu.

— Doskonale wiesz, że nie o to pytam. Czy był mężczyzną w tym sensie, w jakim ty nim jesteś? Połową pary, na jaką składają się mężczyzna i kobieta?

Pokręciłem głową.

— Dowiedz się więc, że ty również taki się staniesz, jeśli nie przejdziesz pomyślnie próby. Czy mimo to nie zmienisz zdania?

Triskele potarł o moje kolano swoją okaleczoną głową — mój pies, ambasador wszystkich nieszczęśliwych istot, poczynając od Autarchy roznoszącego potrawy w Domu Absolutu, a dużo później leżącego bezwładnie w lektyce w oczekiwaniu na okazje, by przekazać mi tysięczne głosy huczące w jego głowie, poprzez Theclę wijącą się z bólu w sali przesłuchań, kończąc na kobiecie o której ja, chępiący się niezawodną pamięcią, prawie zapomniałem —

umierającej w kałuży krwi obok wejścia do naszej wieży. Choć kiedyś wspomniałem, iż odnalezienie Triskele w żaden sposób nie zmieniło mojego życia, to teraz okazało się, że ono właśnie zmieniło w nim wszystko. Tym razem nawet nie musiałem nic mówić, gdyż mistrz Malrubius wyczytał odpowiedź z mej twarzy.

— Z pewnością słyszałeś o bezdennych przepaściach kosmosu, zwanych czasem czarnymi dziurami, z których nigdy nie powrócił najmniejszy skrawek materii ani najslabszy błysk światła. Możesz jednak nie wiedzieć, że owe czarne dziury mają swój odpowiednik w postaci białych fontann, z których światło i materia płyną bez chwili przerwy obfitym strumieniem, niestrudzenie zasilając nasz wszechświat. Jeżeli pomyślnie przejdziesz próbę i jeśli nasz gatunek zostanie uznany za godny tego, by wypłynąć na rozległe przestrzenie kosmosu, w sercu naszego słońca powstanie taka właśnie fontanna.

— A jeśli zawiodę?

— Jeśli zawiedziesz, zostanie odebrana ci męskość, abyś nie mógł przekazać tronu Feniksa swoim potomkom. Twój poprzednik także podjął wyzwanie.

□

I nie sprostał mu, jak można się domyślić z twoich słów.

— Istotnie. Mimo to okazał większe męstwo niż wielu tak zwanych bohaterów i był pierwszym od bardzo długiego czasu, który odważył się poddać próbie. Przed nim uczynił to Ymar, zapewne znany ci z wielu opowieści.

— Z tego wynika, że on także nie został zaakceptowany. Czy już wyruszyliśmy w drogę? Za relingiem widzę tylko gwiazdy.

Mistrz Malrubius pokręcił głową.

— Nie patrzysz tak uważnie, jak ci się wydaje. Właśnie docieramy do celu.

Chwiejnym krokiem podszedłem do relingu. Jedną z przyczyn moich zawrotów głowy był zapewne ruch statku, ale sporą rolę odgrywało także wciąż dające mi się we znaki działanie narkotyku.

Urth nadal była okryta płaszczem nocy, gdyż lecieliśmy szybko na zachód, uciekając przed świtem, który począł nieśmiało ogarniać dżungle, gdzie rozłożyła się obozem armia Ascian. Po chwili odniosłem wrażenie, iż zawieszona najniżej gwiazdy poruszają się lekko i drżą, a potem wszystkie zafalowały, zupełnie jak łan zboża, kiedy dosięgnie go podmuch wiatru. To chyba morze, pomyślałem.

— Oto wielkie morze zwane Oceanem — potwierdził moje domysły mistrz Malrubius.

— Zawsze pragnąłem je ujrzeć...

— Już niedługo staniesz na jego brzegu. Pytałeś, kiedy opuścisz tę planetę; na pewno nie wcześniej, zanim utwierdzisz swoje panowanie, to znaczy dopiero wtedy, gdy zarówno miasto jak i Dom Absolutu będą ci posłuszne, a twoje armie odeprą niewolników Erebu. Może nastąpi to za kilka lat, a może dopiero za kilka dziesięcioleci. Tak czy inaczej, my dwaj przybędziemy po ciebie.

— Jesteś drugą osobą, która tej nocy mówi mi, że jeszcze się zobaczymy.

Ledwo zdążyłem to powiedzieć, poczułem lekki wstrząs, podobny do tego, z jakim prowadzone pewną ręką łodzie przybijają do brzegu. Zszedłem po trapie na piasek, a mistrz Malrubius i Triskele podążyli za mną. Zapytałem, czy nie mogliby zostać jeszcze przez jakiś czas, aby służyć mi radą.

— Owszem, ale bardzo krótko. Jeśli masz jakieś pytania, musisz zadać je teraz.

Srebrny język trapu zniknął właśnie we wnętrzu statku. Jak tylko schował się zupełnie, statek wzbił się

w powietrze, by zaraz potem zniknąć w tej samej dziurze w naszej rzeczywistości, ku której pobiegł zielony człowiek.

— Mówiliście o pokoju i sprawiedliwości, jakie ma przynieść ze sobą Nowe Słońce.

Czy jest sprawiedliwe, że wzywa mnie aż tak daleko? I na czym będzie polegała próba, której zostanę poddany?

— To nie on cię wzywa, lecz ci. co pragną jego przybycia odparł mistrz Malrubius, ale ponieważ zauważył, że nic z tego nie rozumiałem, opowiedział mi w skrócie historię Czasu, która jest największą ze wszystkich tajemnic i którą przytoczę w tej opowieści we właściwym miejscu. Jak tylko skończył, zakręciło mi się w głowie; ogarnął mnie strach, że wszystko zaraz zapomnę, ponieważ wydawało mi się, iż jest tego stanowczo zbyt wiele jak na jednego człowieka, tym bardziej że wiedziałem już, iż mgła zapomnienia może w każdej chwili zasnuć mój umysł tak samo, jak zasnuwa umysły innych ludzi.

— Nie obawiaj się, ty na pewno niczego nie zapomnisz. Podczas bankietu u Vodalusa powiedziałeś, że z pewnością zapomnisz bezsensowne hasła, jakich nauczył cię zamiast prawdziwych słów dających władzę, lecz nic takiego nie nastąpiło. Będziesz wszystko pamiętał, a przede wszystkim musisz pamiętać, żeby się nie bać. Możliwe, iż epicka pokuta ludzkości ma się już ku końcowi. Stary Autarcha mówił prawdę: nie polecimy znowu do gwiazd, dopóki nie staniemy się bogami, lecz ten czas wcale nie musi być bardzo odległy. Właśnie w tobie sprzeczne dążenia naszego gatunku mogą wreszcie utworzyć zgodną całość.

Triskele wspiał się na chwilę na tylne łapy, po czym zawrócił raptownie i pognął przed siebie po oświetlonej blaskiem gwiazd plaży, zostawiając za sobą wyraźnie odcisnięte ślady trzech łap. Kiedy dzieliło go od nas co najmniej sto kroków, odwrócił się i spojrzał na mnie.

jakby chciał, żebym ruszył za nim.

Zrobiłem kilka kroków w jego kierunku, lecz zatrzymał mnie głos mistrza Malrubiusa:

— Nie wolno ci iść tam. dokąd on zmierza, Severianie. Wiem, że nadal uważasz nas za kakogenów; do tej pory sądziłem, iż będzie lepiej, jeśli nie wyprowadzę cię z błędu, lecz teraz widzę, że jednak muszę to uczynić. Jesteśmy aquastorami, istotami stworzonymi i utrzymywanymi przy życiu siłą wyobraźni oraz potęgą koncentracji.

— Słyszałem o takich stworach, ale przecież was dotykałem...

— To o niczym nie świadczy. Jesteśmy równie namacalni jak większość fałszywych rzeczy. Prawdziwe jest wyłącznie to, czego nie da się dotknąć, o czym powinieneś już wiedzieć.

Kiedyś poznałeś kobietę imieniem Cyriaca, która opowiedziała ci historię o wielkich, myślących maszynach z przeszłości; taka właśnie maszyna znajdowała się na statku, którym lecieliśmy.

Potrafi ona czytać w myślach.

— Czy ty jesteś tą maszyną? — zapytałem, czując, jak ogarnia mnie uczucie samotności połączone z trudnym do wytłumaczenia lękiem.

— Jestem mistrz Malrubius, a Triskele to Triskele. Maszyna przeszukała twoje wspomnienia i odnalazła wśród nich nas dwóch. Nie jesteśmy tak kompletni jak Thecla lub stary Autarcha, ale istniejemy i żyjemy razem z tobą. W świecie fizycznym pojawiliśmy się dzięki energii tej maszyny, lecz jej zasięg wynosi zaledwie parę tysięcy lat.

W chwili gdy wypowiedział te słowa, jego dało poczęło rozsypywać się w srebrzysty pył, który zamigotał w blasku gwiazd, po czym zniknął. Triskele pozostał ze mną jeszcze przez kilka oddechów, a kiedy i jego żółte futro zesrebrzyło się i rozwiało w łagodnym wietrze, usłyszałem jedno pożegnalne szczeknięcie.

Zostałem zupełnie sam na brzegu morza, które od tak dawna pragnąłem ujrzeć, ale choć byłem samotny, widok rozkołysanej powierzchni wprowadził mnie w dobry nastrój. Głęboko wdychałem ożywczy zapach i uśmiechałem się do niezliczonych, drobnych fal. Łąd — Nessus, Dom Absolutu i cała reszta — leżał na wschodzie, na zachodzie natomiast rozciągało się morze.

Ruszyłem na północ, ponieważ nie chciałem się z nim zbyt szybko rozstać, a także dlatego, że Triskele przed zniknięciem biegł właśnie w tym kierunku, tuż poza zasięgiem fal. Bez względu na to, od jak dawna ogromny Abaia płał się w towarzystwie swoich kobiet, morze było od niego znacznie starsze i mądrzejsze. My, ludzie, podobnie jak wszystkie żywe istoty zamieszkujące lądy, wyszliśmy z morza, a ponieważ nie potrafiliśmy go podbić, ono zawsze do nas należało. Po prawej stronie weszło stare, czerwone słońce, muskając fale swoim umierającym pięknem, do moich uszu zaś dotarł krzyk niezliczonych morskich ptaków.

Zmęczyłem się, zanim jeszcze cienie stały się naprawdę krótkie. Bolała mnie twarz i zraniona noga, nie miałem nic w ustach od południa minionego dnia i tyle samo czasu nie zmrużyłem oka, jeśli nie liczyć transu, w jaki wpadłem w namiocie Ascian. Zatrzymałbym się na odpoczynek, ale słońce mocno przypiekało, a stromy brzeg wznoszący się za plażą nie dawał ani odrobiny cienia. Wreszcie poszedłem wzdłuż śladu pozostawionego przez dwukołowy wózek i po pewnym czasie dotarłem do kępy dzikich róż rosnącej na jednej z wydm. Usiadłem w ich cieniu, by ściągnąć buty i wysypać piasek, jaki przedostał się do środka przez rozłazące się szwy.

Jeden z kolców wbił mi się w skórę i odłamał się od gałęzi, pozostając w moim ciele, z maleńką kroplą krwi lśniącej na jego końcu. Wyszarpnąłem go, a zaraz potem padłem na kolana.

Był to Pazur.

Lśnił głęboką czernią tak samo jak wtedy, kiedy chowałem go pod ołtarzem Peleryn. Cały ten krzew, a także inne, rosnące nie opodal, były pokryte białymi kwiatami oraz dokładnymi kopiami Pazura. Ten, który trzymałem w dłoni, roztaczał wokół siebie wyraźną poświatę.

Oddając Pazur zachowałem jednak mały skórzany woreczek uszyty przez Dorcas.

Wyjąwszy go z sakwy zawiesiłem go sobie ponownie na szyi, tak jak dawniej, i schowałem do niego

Pazur. Dopiero po dłuższej chwili przypomniałem sobie, że bardzo podobny krzew widziałem w Ogrodach Botanicznych, na samym początku mojej wędrówki.

Nikt nie jest w stanie wyjaśnić takich zagadkowych zdarzeń. Po powrocie do Domu Absolutu wielokrotnie rozmawiałem z heptarchą i najróżniejszymi mędrkami, lecz dowiedziałem się od nich tylko tyle, że Prastwórca już dawno temu zdecydował się objawić pod postacią tych właśnie krzewów.

Wtedy byłem zanadto oszołomiony, żeby się nad tym zastanawiać, ale potem zaświtało mi podejrzenie, czy przypadkiem nie zostałem ponownie zaprowadzony do nie ukończonego jeszcze Piaskowego Ogrodu. Kiedy byłem w nim po raz pierwszy, miałem już przy sobie Pazur, choć nic o tym nie wiedziałem, gdyż Agia wsunęła mi go ukradkiem do sakwy. Może zjawiliśmy się w Piaskowym Ogrodzie tylko po to, by Pazur, który przez cały czas poruszał się pod prąd czasu, mógł się ze mną pożegnać? Co prawda pomysł ten wydaje się absurdalny, ale tak właśnie ma się rzecz ze wszystkimi sensownymi pomysłami.

Uderzyło mnie na plaży — uderzyło niemal w dosłownym sensie, tak że aż zatoczyłem się jak po silnym ciosie — to, że jeśli Odwieczna Zasada istotnie spoczywała w zakrzywionym cierniu, który niosłem na szyi przez tak wiele mil, a teraz przemieściła się do nowego, choć może tego samego, to w gruncie rzeczy mogła być zawarta w czymkolwiek, a najprawdopodobniej zawierała się dokładnie we wszystkim, w każdym cierniu i w każdej kropli morskiej wody. Cierń stał się świętym Pazurem, ponieważ wszystkie ciernie są świętymi Pazurami; piasek w moich butach był świętym piaskiem, ponieważ pochodził ze świętej plaży. Cenobici czczą relikwie męczenników, ponieważ męczennicy mieli kontakt z Prastwórcą, ale przecież właściwie wszystko miało kontakt z Prastwórcą, ponieważ wszystko wyszło z Jego ręki! Wszystko jest więc relikwią — cały świat jest relikwią. Ściągnąłem buty, które służyły mi tak długo, i cisnąłem je w fale, żeby nie skalać świętej ziemi obutą stopą.

Rozdział XXXII

“Samru”

Kroczyłem naprzód niczym potężna armia, gdyż czułem, iż towarzyszą mi ci wszyscy, których miałem w sobie. Otaczała mnie liczna straż, taka jaka zwykle podąża przed i za monarchą. W skład orszaku wchodziły także kobiety, niektóre radosne, inne zasmucone, oraz dzieci, które śmiejąc się i krzycząc biegały po plaży i rzucały wyzwanie Erebowi oraz Abaii, ciskając do morza muszelki.

Po trwającym pół dnia marszu dotarłem do ujścia Gyoll, tak szerokiego, że nie sposób było dostrzec drugiego brzegu. Między trójkątnymi wyspami przemykały statki o żaglach wypełnionych wiatrem, przypominające obłoki żeglujące wśród górskich szczytów. Kiedy jeden z nich przepływał blisko miejsca, w którym się zatrzymałem, krzyknąłem głośno, czy na pokładzie znajdzie się miejsce dla wędrowca zmierzającego ku Nessus.

Z rozoraną twarzą, w podartym płaszczu i wychudzony jak śmierć musiałem przedstawiać sobą dość niezwykły widok, lecz mimo to kapitan wysłał po mnie łódź; do dzisiaj pamiętam o jego dobrym uczynku. W oczach wioślarzy dostrzegłem strach i zdumienie. Początkowo przypuszczałem, iż była to reakcja na widok moich ran, ale potem doszedłem do wniosku, że to niemożliwe, ponieważ w swoim życiu widzieli mnóstwo ran, w tym sporo znacznie bardziej okropnych niż moje, i przypomniałem

sobie swoje odczucia, kiedy w Lazurowym Pałacu po raz pierwszy ujrzałem twarz Autarchy, mimo że przecież nie dorównywał mi wzrostem ani nie był

mężczyzną.

Dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy “Samru” płynęła w górę Gyoll. Kiedy tylko nadarzała się okazja, stawialiśmy żagle, a kiedy wiatr cichł lub wiał z niewłaściwego kierunku, w ruch szły wiosła, po dwanaście z każdej burty. Trasa ta sprawia żeglarzom wiele trudności, bo choć prąd jest prawie niewyczuwalny, to jednak ani na chwilę nie udaje się na spoczynek, meandry rzeki są zaś tak rozległe, iż wieczorem sternik często widzi to samo miejsce, na wysokości którego znajdował się statek, kiedy uderzenia w bębny oznajmiły o rozpoczęciu pierwszej dziennej wachty.

Dla mnie podróż była równie przyjemna jak wycieczka luksusowym jachtem, bo choć zaproponowałem, że będę wraz ze wszystkimi pracował przy żaglach i wiosłach, to jednak nie pozwolono mi się do niczego dotknąć. Powiedziałem więc kapitanowi, mężczyźnie o chytrej twarzy, który wyglądał na kogoś, komu dobrze znane są tajniki prowadzenia nielegalnego handlu, że zapłacę mu zaraz po dotarciu do Nessus, on jednak nie chciał o niczym słyszeć, powtarzając bez przerwy (skubał przy tym wąsy, co czynił zawsze, kiedy chciał podkreślić wagę swych słów), że sama moja obecność na pokładzie stanowi dla niego i dla jego załogi wystarczającą nagrodę. Wątpię, aby domyślili się, że jestem ich Autarchą, a z obawy przed ludźmi pokroju Vodalusa wolałem im tego nie sugerować; ze względu na mój sposób bycia i wyraz oczu uważali mnie zapewne za kogoś w rodzaju czarnoksiężnika.

W podejrzeniach tych utwierdził ich zapewne wypadek z mieczem kapitana. Była to duża broń, najcięższa, jakiej używa się na morzu, o zakrzywionym ostrzu szerokości mojej dłoni, pokrytym wygrawerowanymi wizerunkami gwiazd, słońca, a także wieloma innymi symbolami, niezrozumiałymi dla kapitana. Nosił go wtedy, gdy przepływaliśmy blisko brzegu lub innego statku, oraz przy wszelkich okazjach, kiedy wydawało mu się, że powinien prezentować się z godnością; jednak zazwyczaj miecz leżał w niewielkiej nadbudówce. Znalazłem go tam, a ponieważ moim jedynym zajęciem było wpatrywanie się w niesione przez wodę patyki i skórki owoców, dobyłem osełki i zacząłem go ostrzyć. Kiedy kapitan zauważył, że sprawdzam opuszką kciuka, czy broń jest już wystarczająco ostra, zaczął chwalić się swoją sprawnością we władaniu mieczem. Ogromnie mnie tym rozbawił, ponieważ jego miecz był o jedną trzecią krótszy od Terminus Est i miał bardzo krótką rękojeść. Kiedy minęła mniej więcej połowa wachty i kapitan zaczął pomału tracić zainteresowanie swoimi zmyślanymi naprędce bajdurzeniami, dostrzegłem leżący nie opodal zwój liny grubej jak moje przedramię. Poprosiłem, aby wraz z bosmanem rozwinęli ją na jakieś trzy łokcie i mocno naprężyli. Miecz przeciął linę tak łatwo, jakby była cienka jak włos, a zanim któryś z nich zdołał otrząsnąć się ze zdumienia, rzuciłem go wysoko ku słońcu i bez wysiłku chwyciłem za rękojeść.

Incydent ten stanowi chyba najlepszy dowód, że szybko wracałem do pełni sił. Choć mało kto docenia zalety odpoczynku, świeżego powietrza i niewyszukanego pożywienia, to jednak połączone działanie tych trzech czynników może sprawić istne cuda, jeśli chodzi o gojenie ran i odzyskiwanie sprawności fizycznej.

Kapitan chętnie odstąpiłby mi swoją kabinę, ale ja spałem na pokładzie, zawinięty w koc, jedynej deszczowej nocy zaś znalazłem schronienie pod łodzią, która była umieszczona do góry dnem na

śródkręciu. Bardzo szybko przekonałem się, iż zazwyczaj wiatr cichnie, jak tylko Urth odwróci twarz od słońca, bardzo szybko więc zapadałem w sen, mając w uszach przytłumiony śpiew wioślarzy. Rankiem budził mnie klekot wciągane łańcucha kotwicznego.

Czasem jednak budziłem się wcześniej, szczególnie wtedy, gdy staliśmy blisko brzegu lub gdy sunęliśmy powoli naprzód pod zrefowanymi żaglami, z bosmanem u steru i wachtowymi drzemiącymi przy fałach. Jednej z takich księżycowych nocy, krótko po tym, jak przepłynęliśmy pod Murem, poszedłem na rufę i długo wpatrywałem się w fosforyzujący ślad, jaki zostawał za nami na wodzie. Przez chwilę byłem niemal pewien, że to małpoludy z nieczynnej kopalni zdążają ku mnie, pragnąc zostać wyleczone przez Pazur lub pomścić tych, co zginęli w starciu ze mną. W fakcie, że statek pozostawia za sobą fosforyzujący ślad, nie ma nic niezwykłego - cała reszta stanowiła po prostu wytwór pograżonego w półśnie umysłu. Wydarzenie, jakie miało miejsce następnego ranka, właściwie też wcale nie było niezwykłe, choć wywarło na mnie spore wrażenie.

Wioślarze zginali rytmicznie grzbiety, pchając statek ku oddalonemu o kilka mil miejscu za obszernym zakrętem, gdzie istniała szansa na złapanie w żagle choćby odrobiny wiatru.

Łoskot bębna i szmer wody skapującej z wiosł wywierają niemal hipnotyczne działanie, przypuszczalnie dlatego, że odgłosy te przypominają bicie serca śpiącego człowieka oraz szum krwi przepływającej przez ucho środkowe w drodze do mózgu.

Stałem przy relingu spoglądając na brzeg, wciąż podmokły w miejscach, gdzie niżej położone tereny zostały niegdyś zalane przez wody zamulonej Gyoll. Wydawało mi się, że dostrzegam jakiś porządek w usytuowaniu licznych wzgórz i pagórków — takie samo wrażenie odnosimy oglądając niektóre obrazy; patrząc na nie, nie widzimy niczego niezwykłego, wystarczy jednak, żebyśmy odwrócili wzrok, a od razu ogarniają nas graniczące z pewnością podejrzenia, że przeoczyliśmy coś naprawdę istotnego. W pewnej chwili podszedł do mnie kapitan, ja zaś powiedziałem mu, iż słyszałem, jakoby ruiny miasta sięgały daleko w dół rzeki, po czym zapytałem, gdzie mógłbym je zobaczyć. Roześmiał się na to i odparł, że płyniemy wśród nich już od dwóch dni, a następnie pożyczył mi lunetę, abym przekonał się na własne oczy, że to, co wzięłem za kikut martwego drzewa, jest w rzeczywistości ułamaną, mocno pochyloną kolumną obrosniętą brunatnym mchem.

Mury, ulice i pomniki wyłoniły się z ukrycia jak na komendę, niczym kamienne miasto, które odbudowywało się na naszych oczach, kiedy wraz z dwiema wiedźmami byliśmy ukryci na dachu grobowca. Co prawda zmiana zaszła wyłącznie w moim umyśle, jednak poczułem się tak, jakbym w jednej chwili przeniósł się — znacznie szybciej, niż mógłby to uczynić nawet statek mistrza Malrubiusa — z rozległych, dzikich przestrzeni w sam środek starożytnego, ciągnącego się bez końca, cmentarzyska.

Jeszcze teraz często się zastanawiam, na ile zdajemy sobie sprawę z tego, co nas naprawdę otacza. Przez wiele tygodni mój przyjaciel Jonas wydawał mi się zwykłym człowiekiem z protezą zamiast ręki, a przebywając w towarzystwie Baldandersa i doktora Talosa przeoczyłem niezliczone dowody świadczące o tym, że to olbrzym jest panem, doktor zaś niewolnikiem. Jakże poruszyło mnie przy Bramie Żalu przywiązanie Baldandersa, który nie wykorzystał znakomitej okazji do ucieczki!

W miarę jak dzień zbliżał się ku końcowi, ruiny stawały się coraz bardziej wyraźne, pnać się ku

niebu coraz wyższymi, zielonymi ścianami. Kiedy obudziłem się następnego ranka, niektóre budynki miały już górne piętra, wkrótce potem zaś ujrzałem niedużą, prawie nową łódkę, uwiązaną do rozpadającego się pomostu. Natychmiast wskazałem ją kapitanowi, a on uśmiechnął się pobłaźliwie i odparł:

— Są rodziny, które od wielu pokoleń żyją z penetrowania tych ruin.

— Słyszałem o tym, ale ta łódź jest przecież za mała, żeby zmieścić w niej łupy.

— Biorą tylko biżuterię i monety. Oprócz nich nikt nie schodzi na brzeg. Tutaj nie obowiązuje żadne prawo — rabusie mordują się nawzajem, a także tych, co ośmielą się wkroczyć na ich teren.

— Muszę tam pójść. Zaczekacie na mnie? Wytrzeszczył na mnie oczy, jakby zobaczył szaleńca.

— Jak długo?

— Najwyżej do południa. Wyciągnął przed siebie rękę.

— Widzisz ten zakręt? Tam właśnie się spotkamy. Przypuszczam, że dotrzemy tam wczesnym popołudniem.

Zaraz potem kapitan kazał opuścić łódkę na wodę i polecił czterem ludziom, by odwieźli mnie na brzeg. Zanim wyruszyliśmy w drogę wręczył mi swój zakrzywiony miecz.

— Pomógł mi wyjść cało z wielu niebezpieczeństw — rzekł z powagą w głosie. —

Zawsze celuj w głowę i bardzo uważaj, żeby nie trafić w pasy, które nabijają ćwiekami.

Podziękowałem mu i odparłem, że zazwyczaj staram się uderzać w kark.

— To dobrze, naturalnie pod warunkiem, że nie masz u boku towarzyszy, których także mógłby dosięgnąć twój cios — powiedział, skubiąc wąsy.

Ponieważ siedziałem na rufie, mogłem obserwować twarze wioślarzy; nie ulegało wątpliwości, że to, co może im grozić na brzegu, napęłnia ich niemal równie wielkim lękiem, jak moja osoba. Przybili do pomostu obok małej łódki, po czym o mało nie wywrócili swojej, tak szybko ruszyli z powrotem. Przekonawszy się, że wzrok mnie nie mylił i że na pojedynczym siedzeniu małej łódki leży nieco przywiedły, szkarłatny kwiat maku, skierowałem spojrzenie na

“Samru”; mimo iż lekki wiatr wiał prosto w rufę, kapitan rozkazał wioślarzom wzmocnić tempo, prawdopodobnie po to, by jak najszybciej pokonać rozległe rozlewisko. Należało się spodziewać, że jeśli nie stawię się o umówionej porze w wyznaczonym miejscu, nie czekając ani chwili dłużej, wyruszy w dalszą drogę. Gdyby później dręczyły go wyrzuty sumienia albo jeśli ktoś przedstawiłby mu jakieś zarzuty, mógł powiedzieć, że to nie on nie dotrzymał umowy, a poza tym, przecież dał mi własny miecz, aby zwiększyć moje szansę na przeżycie.

Zaraz za pomostem zaczynały się schody bardzo podobne do tych, przy których kapałem się jako chłopiec. Wspiąwszy się po nich stanąłem na gęstym trawniku, który wyrósł w miejscu, gdzie niegdyś były ułożone kamienne płyty, i spojrzałem na rozciągające się przede mną Nessus, moje Nessus, tyle że z dawno minionej przeszłości. Panowała całkowita cisza. Wysoko w górze krążyło kilka ptaków, lecz nawet one milczały, podobnie jak gwiazdy przyćmione blaskiem słońca. Utykając na zranioną nogę, ruszyłem przed siebie. Jeszcze przez chwilę słyszałem delikatny szept Gyoll, toczącej swoje wody wzdłuż obudowanych schodami brzegów, ale jak tylko rzeka znikła mi z oczu, natychmiast umilkła, niczym nieśmiały gość, który przestaje mówić przechodząc do następnego pokoju.

Trudno było uwierzyć, że jest to ta sama dzielnica, z której (jak opowiadała mi Dorcas) wywożono meble i najróżniejsze przedmioty codziennego użytku. Początkowo dość często zaglądałem przez drzwi i okna, lecz we wnętrzu budynków znajdowały się jedynie sterty śmieci oraz trochę żółtych liści, które wiatr zerwał już z młodych drzew rosnących między płytami chodnika. Nie dostrzegłem ani śladu rabusiów, natomiast zauważyłem sporo zwierzęcych odchodów, a także nieco piór i porozrzucanych kości.

Nie wiem, jak daleko zapuściłem się w głąb łądu; wydawało mi się, że co najmniej milę, choć możliwe, iż nie przeszedłem nawet połowy tej odległości. Nie przejmowałem się, że mogę stracić okazję powrotu na pokład "Samru" — przecież większą część drogi z Nessus do ogarniętych wojenną pożogą gór pokonałem na własnych nogach, a choć szedłem jeszcze niezbyt pewnie, to moje bose stopy stwardniały na deskach pokładu. Ponieważ nigdy nie zdołałem przyzwyczać się do noszenia miecza przytroczonego do pasa, położyłem go sobie na ramieniu, tak jak czyniłem z Terminus Est. Blask letniego słońca przesycony był tym wspaniałym, rozkosznym ciepłem, które znika natychmiast, jak tylko w porannym powietrzu zjawia się pierwsza zapowiedź nadchodzących chłodów. Upajałem się nim, podobnie jak ciszą i samotnością, i zapewne upajałbym się jeszcze bardziej, gdyby nie to, że przez cały czas myślałem, co też powiem Dorcas, jeśli ją kiedyś odnajdę, i co od niej usłyszę.

Gdybym wiedział to, co wiem teraz, oszczędziłbym sobie tych trosk; spotkałem ją bowiem znacznie prędzej, niż mogłem przypuszczać, lecz nic do niej nie powiedziałem ani ona do mnie — wydaje mi się nawet, że mnie nie zauważyła.

Budowle, blisko rzeki niezwykle obszerne i solidne, ustąpiły miejsca znacznie mniejszym i bardziej zniszczonym, które prawdopodobnie pełniły funkcję sklepów oraz budynków mieszkalnych. Nie wiem, w jaki sposób trafiłem do jej domu. Nie usłyszałem szłochu, a jeśli do moich uszu w ogóle dotarł jakiś odgłos, to było to co najwyżej skrzypnięcie przerdzewiałego zawiasu lub zgrzyt żwiru pod podeszwą buta. Możliwe, iż nie zdając sobie z tego sprawy, wyczułem charakterystyczny dla niej zapach, gdy ją bowiem ujrzałem, miała jak zwykle wpięty we włosy biały, wonny kwiat. Bez wątplenia po to właśnie go przyniosła, wyrzuciwszy do łodzi zwiędnięty mak. (Obawiam się jednak, że nieco wyprzedzam bieg wydarzeń).

Chciałem wejść od frontu, lecz podłoga zdążyła już zupełnie przegnić, a podtrzymująca ją konstrukcja sklepienia piwnicy pozapadała się w wielu miejscach. Wąska alejka biegnąca obok budynku zapewne nie należała kiedyś do najbezpieczniejszych, gdyż właściciele sklepów pozostawili od tej strony tylko wąskie okienka, a niektórzy kazali je zamurować, ale udało mi się znaleźć drzwi ukryte za gęstą zasłoną pnączy. Żelazne okucia prawie przestały istnieć, przezarte deszczem, drewno

przypominało zbutwiałe płótno, ale prowadzące na piętro schody, na które ostrożnie wszedłem, okazały się całkiem solidne.

Kłęczała odwrócona do mnie plecami. Zawsze była szczupła, jednak teraz jej ramiona przypominały drewniane oparcie krzesła, na które ktoś narzucił suknię. Tylko włosy koloru bladego złota pozostały takie same od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem ją w Ogrodzie Wiecznego Snu. Na marach spoczywało ciało starego człowieka, który pływał małą łódką po Ptasim Jeziorze; jego twarz po śmierci stała się tak młoda, że z trudem go poznałem. Na podłodze stał niezbyt duży koszyk, obok zaś zamknięty korkiem słoje z wodą.

Nie odezwałem się ani słowem, a po pewnym czasie odszedłem. Gdyby była tam od dawna, z pewnością podszedłbym do niej i wziął ją w objęcia, wszystko jednak wskazywało na to, że dopiero co przybyła. Podczas gdy ja wędrowałem z Thraxu ku jezioru Diuturna i od jeziora ku wojnie, potem zaś byłem więźniem Vodalusa i płynąłem w górę Gyoll, ona uparcie zdążyła tu, do miejsca, w którym przed czterdziestu lub więcej laty urodziła się i wychowywała.

Tak samo zresztą jak ja, cuchnący z daleka starością niczym nieświeży trup rozkładem —

stary wcale nie dlatego, żeby uczyniły mnie takim umysły Thecli, Autarchy albo setek innych ludzi. To nie ich wspomnienia mnie postarzyły, lecz moje własne, a najbardziej to. w którym Dorcas i ja siedzieliśmy obok siebie na trawiastej ścieżce, mokrzy i drżący z zimna, potem zaś oboje piliśmy z flaszki Hildegrina jak bezradne niemowlęta, którymi w gruncie rzeczy byliśmy.

Nie mam pojęcia, dokąd skierowałem się później. Najpierw szedłem długą, prostą ulicą wypełnioną krzykiem ciszy, a kiedy dotarłem do jej końca, skręciłem na oślep w jeden z bocznych zaułków. Dotarwszy do Gyoll ujrzałem "Samru" stojącą na kotwicy w umówionym miejscu; chyba nie byłbym bardziej zdumiony nawet wtedy, gdybym zobaczył basilozaura, który dotarł aż tutaj z otwartego morza.

Wkrótce potem otoczyli mnie roześmiani marynarze, a kapitan uściśnął mi mocno rękę.

— Bałem się, że przyplniemy za późno — powiedział. — Wyobrażałem już sobie, jak walczysz o życie na brzegu rzeki, a my jesteśmy jeszcze o ćwierć lub pół mili od celu.

Bosman, człowiek tak niewyobrażalnie głupi, że przez cały czas uważał swego kapitana za najważniejszego na pokładzie, rąbnął mnie z całej siły w plecy, po czym wykrzyknął:

— Założę się, że dałby im nieźle w kość! **Rozdział XXXIII Cytadela Autarchy**

Mimo że oddalając się od Dorcas miałem wrażenie, iż lada chwila pęknie mi serce, to jednak nawet nie jestem w stanie wyrazić, jak dobrze mi było na "Samru" po wędrowce przez puste, zrujnowane miasto.

Jej pokłady zostały wykonane ze świeżych, prawie białych desek, czyszczonych codziennie za pomocą urządzenia zwanego "niedźwiedziem"; było to coś w rodzaju dużej maty splecionej z kawałków lin i obciążonych ciałami obu kucharzy, którą przed śniadaniem załoga przeciągała kilka

razy przez całą długość statku. Szczeliny między deskami wypełniono smołą, przez co pokłady przypominały tarasy pokryte kobiercami w śmiałe, fantastyczne wzory.

Statek miał wysoki dziób o wygiętej do tyłu dziobnicy. Drogę pomagały mu znajdować oczy, każde o źrenicy wielkości talerza i jaskrawoblękitnej tęczęwce; przez otwór w lewym oku spuszczano i wciągano kotwice.

Wysunięta przed dziobnicę i przytrzymywana tam przez trójkątny drewniany uchwyt, pokryty misternymi zdobieniami i złoceniami, znajdowała się duża rzeźba przedstawiająca ptaka nieśmiertelności; miał głowę kobiety o pociągłej, arystokratycznej twarzy i niewielkich czarnych oczach. Ponieważ była całkowicie pozbawiona wyrazu, znakomicie oddawała nastrój tych, co nigdy nie zaznają śmierci. Z drewnianej czaszki wyrastały kolorowe, także drewniane pióra okrywające ramiona i otaczające półkoliste piersi, ramiona zaś były właściwie skrzydłami odgiętymi do tyłu i w górę, tak że ich złote i szkarłatne lotki częściowo zasłaniały trójkątną podporę. Uznałbym tę istotę za wytwór czyjejś fantazji — bez wątpienia za coś takiego właśnie uważali ją wszyscy marynarze — gdybym nie tak dawno nie widział skrzydlatych żołnierzy Autarchy.

Długi bukszpryt, skierowany lekko ku sterburcie, przechodził między skrzydłami

“Samru”, a w pokładzie dziobowym był osadzony przedni maszt, tylko niewiele przewyższający go rozmiarami. Przechylono go nieco do przodu, by żagiel miał więcej miejsca. W przeciwień-

stwie do niego główny maszt stał prosto jak sosna, której pniem zresztą kiedyś był, natomiast bezanmaszt chylił się ku rufie, w związku z czym wierzchołki masztów dzieliła znacznie większa odległość niż ich podstawy. Każdy miał ukośną reję utworzoną z dwóch związanych żerdzi, do każdej rei zaś był umocowany trójkątny, rdzawobrunatny żagiel.

Sam kadłub poniżej linii zanurzenia został pomalowany na białe, a powyżej niej na czarno — z wyjątkiem oczu oraz opisanej już przeze mnie figury dziobowej, a także nadburcia w okolicach nadbudówki, które, przypuszczalnie dla podkreślenia statusu zajmującego ją kapitana, otrzymało kolor szkarłatny. Nadbudówka ciągnęła się zaledwie na jednej szóstej długości kadłuba, ale znajdowały się tam koło sterowe i kompas, i stamtąd właśnie roztaczał się najwspanialszy widok (chyba że komuś chciałoby się wdrapać na któryś z masztów). Również w nadbudówce umieszczono jedyne, obrotowe działo statku, niewiele większe od tego, jakie na swoim grzbiecie nosił Mamillian, przeznaczone do obrony przed korsarzami i buntownikami. Na samej rufie, tuż za relingiem, znajdowały się dwa misternie powyginane, metalowe słupki z latarniami o kloszach z wielu połączonych ze sobą szybek; jedna z lamp miała kolor bladoczerwony, druga natomiast zielony jak światło księżycy.

Następnego wieczoru stanąłem przy tych latarniach, wsłuchując się w dudnienie bębna, delikatne mlaskanie wiosł oraz śpiew poruszających nimi marynarzy, kiedy nagle dostrzegłem pierwsze światła na brzegu. Dotarliśmy do umierającej krawędzi miasta, zaludnionej przez najuboższych z ubogich — co znaczyło tylko tyle, że tu właśnie przebiegała granica między życiem a śmiercią. Ludzie sposobili się do snu, niektórzy zaś może spożywali posiłek wieńczący kolejny dzień. W każdym z tych światełek dostrzegłem tysiące ciepłych uczuć i usłyszałem tysiące opowieści snutych przy dogasającym ogniu. W pewnym sensie wróciłem już do domu, niesiony tą samą pieśnią, przy

której wtórnie ruszałem wiosną na wędrówkę: Silniej, bracia, ramionami!

Prąd jest przeciw nam.

Silniej, bracia, ramionami!

Ale Bóg jest z nami.

Mocniej, bracia, ramionami!

Wiatr nam wieje w twarz.

Mocniej, bracia, ramionami!

Ale Bóg jest z nami.

Byłem ogromnie ciekaw, kto też wyrusza w podróż tej nocy.

Każda długa opowieść, jeżeli ma być prawdziwa, musi zawierać wzmianki o wszystkim, co współtworzyło dramat ludzkiej egzystencji od chwili, kiedy pierwszy prymitywny statek dotarł do brzegów Luni — nie tylko o szlachetnych czynach i podniosłych uczuciach, lecz także o zabawnych nieporozumieniach, żalonych pomyłkach, i tak dalej, i tak dalej. Ze wszystkich sił

starłem się umieścić w tej historii niczym nie upiększoną prawdę, w najmniejszym stopniu nie przejmując się tym, że ty, mój czytelniku, możesz uznać niektóre jej fragmenty za nieprawdopodobne, inne natomiast za nudne. Jeżeli uznamy, iż góry, w których toczyła się wojna, stały się widownią bohaterskich czynów (dokonywanych raczej przez innych niż przeze mnie), jeśli przyjmiemy, że czas, jaki spędziłem w niewoli u Vodalusa i Ascian, był czasem grozy, a podróż na pokładzie „Samru” sielankowym interludium, to teraz nadeszła pora na przerywnik komediowy.

Do tej części miasta, w której wznosi się Cytadela — czyli południowej, choć wcale nie najbardziej wysuniętej na południe — dotarliśmy za dnia i pod pełnymi żaglami. Kazałem wysadzić się na wschodnim, oświetlonym blaskiem słońca brzegu, tuż przy omszałych schodach, gdzie kiedyś pływałem i biłem się z rówieśnikami. Miałem nadzieję, że uda mi się przejść przez nekropolię i dostać się na teren Cytadeli przez wyrwę w murze nie opodal Wieży Matachina, lecz okazało się, iż brama jest zamknięta, a nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem oddziału ochotników, który mógłby mnie wpuścić. Tym samym zostałem zmuszony do odbycia długiej wędrówki wzdłuż ogrodzenia nekropolii, a następnie obok muru twierdzy aż do barbakanu.

Strażnicy zaprowadzili mnie do oficera; kiedy powiedziałem mu, że jestem katem, uznał

mnie za jednego z oszustów, którzy ściągają tłumnie przed zimą w nadziei, że zostaną przyjęci do konfraterni i przeczekają w ciepłym zakątku największe chłody. Nie zastanawiając się wiele kazał mnie wychłostać — słuszna decyzja, naturalnie pod warunkiem, że jego domysły byłyby prawdziwe. Aby do tego nie dopuścić, musiałem złamać kciuki dwóm jego ludziom, następnie zaś zademonstrować na oficerze chwyt zwany “kotkiem i piłeczką” i zażądać widzenia z jego przełożonym, czyli kasztelanem.

Przyznam, iż perspektywa spotkania z tym wysokim urzędnikiem, pełniącym funkcję dowódcy całej fortecy, którego przez cały okres mego w niej pobytu ani razu nie widziałem na oczy, napełniała mnie lekkim niepokojem. Okazało się, że jest to stary żołnierz o zupełnie siwych włosach, utykający tak samo jak ja. Stałem z boku, pozwalając, by oficer łamiącym się głosem przedstawił zarzuty: czynna napaść na jego osobę, znieważenie, okaleczenie dwóch strażników, i tak dalej. Kiedy skończył, kasztelan przez chwilę mierzył nas obu uważnym spojrzeniem, po czym kazał mu odejść, mnie zaś wskazał krzesło.

— Jesteś nie uzbrojony — stwierdził. Mówił zachrypniętym, cichym głosem, jakby nadwerężył go, wykrzykując rozkazy.

Przyznałem mu racje.

— Mimo to widziałeś wojnę, a także byłeś w dżungli na północ od gór, gdzie od chwili, kiedy nieprzyjaciel zaatakował naszą flankę, nie toczyła się żadna bitwa.

— To prawda — odparłem. — Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Rana na twojej nodze pochodzi od strzały. Widziałem ich tyle, że bez trudu mogę je rozpoznać. Promień przeszedł przez mięśnie i odbił się od kości. Naturalnie mogłeś siedzieć na przykład na drzewie i zostać zestrzelony jak kaczką, ale bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że brałeś udział w ataku kawalerii — naturalnie nie katafraktów, bo wtedy strzała odbiłaby się od pancerza. Lansjerzy?

— Nieregularne oddziały lekkiej jazdy.

— Później koniecznie musisz mi o tym opowiedzieć, gdyż, sądząc po twoim akcencie, pochodzisz z miasta i odebrałeś jakieś wykształcenie. Na stopie masz sporą, podwójną bliznę po ukąszeniu krwiożerczego nietoperza, a takie duże okazy można spotkać już tylko w prawdziwej dżungli daleko na północy. W jaki sposób tam się dostałeś?

— Nasz ślizgacz rozbił się i zostałem wzięty do niewoli.

— Ale uciekłeś?

Wyglądało na to, że jeszcze chwila, a będę musiał opowiedzieć o Agii, zielonym człowieku, a także o wędrownicy przez dżunglę aż do ujścia Gyoll. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, wypowiedziałem słowa dające mi władzę nad Cytadelą i jej kasztelanem.

Ze względu na jego kalectwo pozwoliłbym mu siedzieć, on jednak zerwał się na równe nogi i zasalutował, potem zaś padł na kolana, by pocałować mnie w rękę. Choć o tym nie wiedział, był pierwszym, który złożył mi hołd, w związku z czym zyskał prawo do jednej prywatnej audiencji w ciągu roku. (Do tej pory ani razu nie skorzystał z tego prawa i mocno wątpię, czy kiedykolwiek skorzysta).

Nie było mowy o tym, żeby stary kasztelan pozwolił mi zostać w stroju, który miałem na sobie, a tak bardzo przejął się moim bezpieczeństwem, że gdybym chciał pójść dalej incognito, ani chybi

wysłałby za mną co najmniej pluton halabardników. Wkrótce przyniesiono mi błękitny kaftan, koturny i koronę, a także hebanowe berło i obszerny płaszcz z adamaszku, wyszywany licznymi perłami. Przedmioty te były niesamowicie stare; wydobyto je z magazynu, w którym leżały spokojnie od czasów, kiedy Cytadela pełniła funkcję rezydencji autarchów.

Tak więc, zamiast wrócić do naszej wieży w tym samym stroju, w którym z niej wyszedłem, zjawiłem się tam jako przedziwna, trudna do rozpoznania istota w zmurszałym ze starości paradnym kostiumie, wychudzona jak szkielet, kulawa i z paskudną blizną na twarzy.

Pod tą właśnie postacią wkroczyłem do gabinetu mistrza Palaemona; jestem pewien, że o mało nie przestraszył go na śmierć, gdyż zaledwie przed kilku chwilami powiedziano mu, że Autarcha zjawił się w Cytadeli i pragnie z nim rozmawiać.

Odniosłem wrażenie, iż podczas mojej nieobecności ogromnie się postarzał — chyba dlatego, że zapamiętałem go nie takim, jakim był wtedy, gdy wyruszałem na wygnanie, lecz takim, jak wyglądał wiele lat wcześniej, kiedy nauczał małych chłopców, w tym i mnie, zgromadzonych w niewielkiej salce. Mimo to lubię myśleć, że trochę mu na mnie zależało, i wcale nie jest wykluczone, że mam rację; bądź co bądź, byłem jego ulubionym uczniem, ponad wszelką wątpliwość jemu właśnie zawdzięczam życie, a poza tym, dał mi swój miecz.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, iż na jego wiecznie zatroskanej twarzy pojawiło się wiele nowych zmarszczek, a rzadkie włosy, które zawsze wydawały mi się siwe, przybrały żółtawą barwę starej kości słoniowej. Ukląkł, ucałował moją dłoń i nawet nie starał się ukryć zaskoczenia, kiedy pomogłem mu wstać i kazałem usiąść z powrotem za biurkiem.

— Jesteś dla mnie zbyt łaskaw, Autarcho - powiedział, a następnie zacytował starą formułę: — Twoje miłosierdzie sięga aż do samego Słońca.

— Czyżbyś nas nie pamiętał?

— Byłeś tu kiedyś uwięziony? — Przyjrzał mi się uważnie przez skompilowany zestaw soczewek, dzięki któremu w ogóle cokolwiek widział; jego wzrok, od dawna już słaby, chyba pogorszył się jeszcze bardziej. — Widzę, że istotnie zadawano ci męczarnie, lecz w tak mało wyrafinowany sposób, iż mocno wątpię, aby uczynił to któryś z członków naszego bractwa.

— Masz rację — odparłem, dotykając szramy na policzku. Niemniej jednak przez pewien czas przebywałem w jednej z cel pod tą wieżą.

Westchnął płytko, tak jak czynią bardzo starzy ludzie, a następnie spojrział na stertę papierów piętrzącą się na jego biurku i powiedział coś tak cicho, że nic nie zrozumiałem.

Musiałem poprosić go o powtórzenie.

— A więc ta chwila nadeszła. Miałem nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, lecz jednak...

Wygnasz nas, Autarcho, czy wyznaczysz nam inne obowiązki?

— Jeszcze nie podjęliśmy decyzji, co uczynimy z tobą oraz z konfraternią, do której należysz.

— Nie warto, Autarcho. Wybacz, jeśli cię uraziłem, ale złóż to na karb mego sędziwego wieku. Naprawdę nie warto. Prędzej czy później przekonasz się, że potrzebujesz kogoś, kto robiłby to, czym my się zajmowaliśmy — nazwij to leczeniem, jeśli sobie życzysz, albo rytuałem, bo i tak się o tym kiedyś mówiło, lecz i tak stwierdzisz, że w przebraniu prawda staje się jeszcze bardziej okropna. Czy będziesz chciał uwięzić wszystkich, którzy popełnili jakieś przestępstwo, ale nie zasłużyli na śmierć? Nagle okaże się, że masz w kajdanach całą armię.

Przekonasz się, iż wśród więźniów są tacy, których ucieczka oznaczałaby prawdziwą katastrofę, oraz że potrzebujesz sług do karania tych, co sprowadzili cierpienia na dziesiątki lub setki współbraci. Kto to zrobi, jeśli nie my?

— Z pewnością nikt, gdyż nie będzie takiej potrzeby. Przed chwilą powiedziałeś, że nasze miłosierdzie sięga do samego Słońca i mam nadzieję, iż tak jest naprawdę. Dlatego właśnie nawet najwięksi zbrodniarze dostąpią łask szybkiej śmierci — nie dlatego, żebyśmy się nad nimi litowali, lecz dlatego, że jest nie do pomyślenia, by dobrzy ludzie poświęcali całe życie zadawaniu bólu.

Poderwał raptownie głowę, tak że soczewki błysnęły tajemniczo. Po raz pierwszy od chwili, kiedy go poznałem, dostrzegłem na jego twarzy ślady minionej młodości.

— Kiedy to muszą robić właśnie dobrzy ludzie! Fałszywie ci doradzono, Autarcho.

Jeżeli coś jest nie do pomyślenia, to tylko to, że zajmują się tym źli ludzie!

Uśmiechnąłem się. Widok jego twarzy przypomniiał mi o czymś, co już przed wieloma miesiącami wyrzuciłem z pamięci: że członkowie konfraterni są moją rodziną, ona sama zaś jest jedynym domem, jaki będę miał w życiu.

— Tak tylko między nami, mistrzu... Postanowiliśmy już, że nikt nie będzie tego robił.

Nie odpowiedział, a ja dopiero po chwili domyśliłem się, iż moje słowa w ogóle do niego nie dotarły. Wsłuchiwał się w mój głos i chyba wreszcie go rozpoznał, gdyż na zniszczonej, pooranej zmarszczkami twarzy zamigotała radość podobna do wesołych, ruchliwych płomieni.

— Masz rację — potwierdziłem jego domysły. — To Severian.

Podczas gdy on ze wszystkich sił starał się nad sobą zapanować, podszedłem do drzwi i wziąłem z rąk oficera straży moją starą sakwę, zawiniętą w wypłowiałą, podartą szmatę, która kiedyś była katowskim fuliginowym płaszczem. Rozpostarłszy płaszcz na biurku mistrza Palaemona otworzyłem sakwę i wysypałem jej zawartość.

— To wszystko, co przyniosłem.

Uśmiechnął się tak samo, jak czynił to w sali lekcyjnej, kiedy przyłapał mnie na jakimś drobnym wykroczeniu.

— Nie licząc tronu, ma się rozumieć? Czy opowiesz mi o tym?

Uczyliem zadość jego prośbie. Trwało to tak długo, że moi ochroniarze kilkakrotnie stukali do drzwi, aby upewnić się, że nic mi nie jest. Poleciłem, aby przyniesiono nam posiłek, a kiedy z bażanta zostały same kości, po winie zaś jedynie wspomnienie, my wciąż jeszcze rozmawialiśmy. Wtedy właśnie wpadłem na pomysł, który ostatecznie zaowocował powstaniem tej oto relacji; początkowo miałem zamiar rozpocząć ją w dniu, kiedy opuściłem naszą wieżę, a zakończyć ją w chwili mego powrotu, ale choć taka konstrukcja zapewniłaby opowieści symetrię tak bardzo cenioną przez artystów, to czytelnik nie znający pewnych wydarzeń z okresu mego dzieciństwa i wieku chłopięcego nie zrozumiałby większości moich późniejszych przygód. Z

kolei sporo innych wątków nie zostałyby doprowadzonych do końca, gdybym nie objął relacją kilku dni po powrocie (tak jak zamierzam to uczynić). Możliwe, iż w ten sposób jedynie dodam nieco obowiązków bibliotekarzom, choć jeśli się zastanowić, to może niesłusznie robię sobie nawet takie nadzieje?

Rozdział XXXIV

Klucz do wszechświata

Wysłuchawszy mnie do końca, mistrz Palaemon pochylił się nad biurkiem, na które wysypałem mój skromny dobytek, i wziął do ręki smutne pozostałości Terminus Est.

— To był dobry miecz — powiedział. — Niewiele brakowało, a stałby się przyczyną twojej śmierci, ale to jednak był bardzo dobry miecz.

□

Zawsze nosiliśmy go z dumą i nigdy nas nie zawiódł.

Westchnął, ale to westchnienie zakończyło się suchym kaszlem.

— Teraz już go nie ma. W mieczu najważniejsze jest ostrze, nie oprawa, choćby była najpiękniejsza. Ta rękojeść, sakwa i płaszcz będą przechowywane przez konfraternię, ponieważ stanowiły twoją własność i wiele stuleci po naszej śmierci starzy ludzie, tacy jak ja, będą poka-zywać je uczniom. Szkoda, że nie zachowało się także ostrze... Używałem tego miecza przez wiele lat, zanim zostałem przyjęty do bractwa, ale nigdy nie przypuszczałem, że zostanie zniszczony przez jakąś diabelską broń. — Odłożył rękojeść i spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. — Co się stało? Widywałem już ludzi, którzy mieli weselsze miny, chociaż wypalano im oczy.

— Istnieje wiele rodzajów “diabelskiej broni”, jak ją nazywasz, której nie ima się nawet najtwardsza stal. Widzieliśmy kilka z nich na Przełęczy Orithyia. Mimo to dziesiątki tysięcy naszych żołnierzy przeciwstawia im płomieniste lance i włócznie, a także miecze pod żadnym względem nie dorównujące Terminus Est. Jakoś dają sobie radę, ale wyłącznie dlatego, że Ascianie nie mają zbyt wielu egzemplarzy najgroźniejszej broni, a w dodatku brakuje im energii do jej zasilania. Co jednak będzie, jeśli zapłonie Nowe Słońce? Nasi wrogowie mogą okazać się znacznie lepiej od nas

przygotowani do korzystania z jego niewyczerpanych zasobów.

— Całkiem możliwe — zgodził się ze mną mistrz Palaemon.

— Zastanawialiśmy się nad tym wspólnie z autarchami, którzy rządzą przed nami —

nawiasem mówiąc, są to nasi bracia z nowej konfraterni. Mistrz Malrubius powiedział nam, że jedynie nasz bezpośredni poprzednik odważył się poddać próbie; kiedy dotykamy umysłów pozostałych, często dowiadujemy się, iż nie uczynili tego, ponieważ byli przekonani, że nasi wrogowie, którzy zachowali znacznie więcej starożytnych umiejętności, zyskają na tym więcej od nas. Czy tak mogło być w istocie?

— Nie wiem — odparł mistrz Palaemon po długim namyśle. — Uważasz mnie za mądrego, ponieważ kiedyś cię uczyłem, ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, nigdy nie zapuściłem się na daleką północ i nie widziałem armii Ascian. Pochlebiasz mi swoim pytaniem.

Z twojej opowieści wynika, że są twardzi i uparcie dążą do celu. Przy-puszczam jednak, iż niewielu z nich jest w stanie samodzielnie cokolwiek wymyślić.

Wzruszyłem ramionami.

— Tak jest w przypadku każdego większego zbiorowiska, mistrzu, choć przyznaję ci rację, że u nich daje się to dostrzec wyraźniej niż gdziekolwiek. To, co nazywasz uporem, budzi wręcz przerażenie; osobno wydają się zwykłymi kobietami i mężczyznami, lecz w masie przypominają maszynę wykonaną z drewna i kamieni.

Mistrz Palaemon wstał zza biurka, podszedł do okrągłego okienka i spojrzął na ciasno stłoczone wieże.

— My także jesteśmy zbyt twardzi, zarówno tu, w naszej konfraterni, jak i w całej Cytadeli. Wiele daje mi do myślenia fakt, że ty, wychowany i wykształcony tutaj, postrzegałeś nieprzyjaciół właśnie w taki sposób. Wydaje mi się jednak, że pomimo ich wiedzy — która w ostatecznym rozrachunku wcale nie musi okazać się najważniejsza — ludność Wspólnoty zdoła szybciej dostosować się do nowych warunków, a to dzięki swojej większej elastyczności.

— My nie jesteśmy ani elastyczni, ani uparci — odparłem. — Pomimo naszej niespotykanej dobrej pamięci jesteśmy całkiem zwyczajnym człowiekiem.

— Nie! — Mistrz Palaemon rąbnął pięścią w biurko. — Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem żyjącym w zwyczajnych czasach. Kiedy jeszcze byłeś uczniem, raz lub dwa złołem ci skórę; wiem, że z pewnością to pamiętasz. Jednak nawet wtedy zdawałem sobie sprawę, że staniesz się niezwykłą osobistością, największym mistrzem, jakiego kiedykolwiek miało nasze bractwo. I zostaniesz nim, możesz być pewien! Wybierzemy cię nawet wtedy, jeśli nas zniszczysz.

— Powiedzieliśmy ci już, że nie mamy zamiaru niszczyć konfraterni, tylko ją zreformować, choć nie jesteśmy pewni, czy nawet do tego mamy wystarczające kompetencje.

Poważasz nas, ponieważ sięgnęliśmy po najwyższe zaszczyty, ale osiągnęliśmy to przez przypadek i doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Nasz poprzednik również dokonał tego samego zupełnie przypadkowo, umysły zaś, które nam ze sobą przyniósł — z jednym lub dwoma wyjątkami — wcale nie należą do geniuszów. W większości są to zwykli ludzie, żeglarze i rzemieślnicy, stateczne żony i rozpustnice, a także ekscentryczni, niewiele warci mędracy — tacy, jakich często wyśmiewała Thecla.

— Ty nie tylko osiągnąłeś najwyższe miejsce, ale stałeś się nim — zwrócił mi uwagę mistrz Palaemon. — Teraz jesteś państwem.

— Nieprawda. Państwo tworzą wszyscy inni — ty, kasztelan, oficerowie czekający za drzwiami. My jesteśmy ludem, naszą Wspólnotą. — Aż do tej pory sam nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wziąłem do ręki brązową książkę. — Zatrzymamy ją, ponieważ była jednym z naszych najwierniejszych towarzyszy, podobnie jak twój miecz. Ponownie będziemy zachęcać ludzi do pisania książek. W tych szatach nie ma kieszeni, ale może nawet będzie lepiej, jeśli wszyscy zobaczą, co stąd zabieramy.

Mistrz Palaemon przechylił głowę niczym stary kruk.

— Dokąd, jeśli wolno spytać?

— Do Domu Absolutu. Już od ponad miesiąca nie zajmowaliśmy się jego sprawami.

Musimy zbadać, jak wygląda sytuacja na froncie, by w razie potrzeby wysłać posiłki. Mamy też wiele innych spraw do załatwienia — dodałem, myśląc o Lomerze, Nicarete i pozostałych więźniach zamkniętych w przedpokoju.

Mój stary nauczyciel podrapał się po brodzie.

— Zanim odejdziesz, Severianie... to znaczy, Autarcho... może zechciałbyś raz jeszcze odwiedzić nasze lochy? Wątpię, czy ktokolwiek z twojej świty wie o drzwiach prowadzących bezpośrednio na zachodnią klatkę schodową.

Są to najrzadziej używane schody w wieży i całkiem możliwe, że najstarsze, a już z pewnością zachowane w stanie najbardziej zbliżonym do oryginalnego. Wąskie i bardzo strome, wiją się wokół centralnej kolumny aż czarnej od rdzy. Drzwi do pomieszczenia, w którym —

jako Thecla — byłem poddawany działaniu urządzenia zwanego Rewolucjonistą, były lekko uchylone, więc mimo że nie wchodziliśmy do środka, dostrzegłem fragment tego starego mechanizmu. W dalszym ciągu budził przerażenie, lecz z pewnością nie tak wielkie, jak lśniąca, choć znacznie starsze maszyny zgromadzone w zaniku Baldandersa.

Wizyta w lochach oznaczała powrót do czegoś, o czym sądziłem, że już nigdy tego nie zobaczę. Długie korytarze o podłogach, ścianach i sufitach z metalu oraz ciągnących się w nieskończoność drzwiach wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziałem je po raz ostatni przed wyruszeniem do Thraxu. Zaglądając przez małe okienka w drzwiach stwierdziłem, że cele zajmują ci sami klienci, których karmiłem i pilnowałem jako czeladnik.

— Jesteś blady, Autarcho — powiedział mistrz Palaemon. — Czuję, że drży ci ręka.

(Podtrzymałem go lekko, ująwszy za łokieć).

— Przecież wiesz, że nasze wspomnienia nigdy nie blakną. Dla nas kasztelanka Thecla wciąż jeszcze siedzi w jednej z tych cel, a czeladnik Severian w drugiej.

— Zapomniałem... Tak, to istotnie musi być straszne. Właśnie miałem zamiar zaprowadzić cię do celi kasztelanki, ale teraz sam nie wiem, czy powinienem to zrobić...

Zażądałem, aby to uczynił, lecz kiedy dotarliśmy na miejsce, przekonałem się, że w celi przebywa nowy klient, a drzwi są zamknięte. Kazałem mistrzowi Palaemonowi wezwać brata pełniącego służbę, aby nas wpuścił do środka, a kiedy ten to uczynił, przez długą chwilę stałem bez ruchu, spoglądając na proste łóżko i nieduży stolik. Wreszcie zwróciłem uwagę na klienta, który siedział na jedynym krześle z szeroko otwartymi oczami i wyrazem twarzy stanowiącym trudną do opisanie mieszankę przerażenia i nadziei. Zapytałem go, czy mnie rozpoznaje.

— Nie, Sieur.

— Jesteśmy twoim Autarchą. Dlaczego się tu znalazłeś? Zerwał się z krzesła, tylko po to jednak, by paść na kolana.

— Uwierz mi, jestem niewinny!

— W porządku, wierzymy ci. Chcemy jednak wiedzieć, o co cię oskarżono i jak doszło do tego, że zostałeś skazany.

Uraczył mnie jedną z najbardziej pogmatwanych i niejasnych opowieści, jakie kiedykolwiek słyszałem. Jego szwagierka spiskowała przeciwko niemu wraz z jego matką: twierdziły, że bije żonę, nie pielęgnuje jej w chorobie, że zabrał jej pieniądze, które dostała od ojca, i wydał wbrew jej woli. Skarżąc się na te niesprawiedliwości (i na wiele innych), jednocześnie podkreślał, jak wielki musiał wykazać spryt demaskując oszczerstwa i nieprawdziwe zarzuty, które stały się przyczyną jego uwięzienia, choć jednocześnie niemal na każdym kroku przeczył sam sobie. Na przykład zaklinał się, że rzekome złoto nigdy nie istniało, by zaraz potem stwierdzić, iż jego teściowa wykorzystała je do przekupienia sędziego, oraz że żona nigdy nie chorowała, ale jednocześnie zapewniał mnie, iż sprowadzał do niej najlepszych lekarzy.

Przeszedłem do sąsiedniej celi, gdzie także wysłuchiłem zajmującego ją klienta, a potem do następnej i jeszcze następnej, tak że w sumie odwiedziłem ich czternaście. Jedenastu klientów próbowało mnie przekonać o swojej niewinności — niektórzy lepiej niż pierwszy, inni jeszcze gorzej — ale żadnemu się to nie udało. Tylko trzech stwierdziło, że są winni zarzucanych im czynów (choć jeden z nich zaklinał się, iż co prawda popełnił wszystkie przestępstwa, za jakie go uwięziono, ale jednocześnie obciążono go odpowiedzialnością za zbrodnie, z którymi nie miał

nic wspólnego). Dwóch obiecało uroczyście, iż będą wystrzegać się wszystkiego, co mogłoby przyczynić się do ich ponownego uwięzienia, jeżeli zwrócę im teraz wolność, co też uczyniłem.

Trzeci — kobieta, która kradła dzieci, a następnie zmuszała je, by służyły za meble w specjalnie przygotowanym przez nią pokoju, czasem nawet przybijając im ręce gwoździami, by nie zmieniały wyznaczonej pozycji — równie szczerze stwierdziła, iż prędzej czy później na pewno wróci do swego procederu, ponieważ poza tym nic ją właściwie nie interesuje. Nie prosiła o uwolnienie, tylko o przeniesienie do zwykłego więzienia. Byłem pewien, że jest szalona, choć ani przebieg naszej rozmowy, ani wyraz błękitnych oczu kobiety na to nie wskazywały; powiedziała mi nawet, iż przed rozprawą została poddana badaniom i uznana za zdrową na umyśle.

Dotknąłem jej czoła Nowym Pazurem, lecz nic to nie dało, gdyż był równie martwy jak stary Pazur, kiedy próbowałem pomóc Jolencie i Baldandersowi.

*

Nie jestem w stanie uwolnić się od myśli, że siła obu Pazurów pochodzi ze mnie i właśnie dlatego wydaje mi się, że ich poświata jest zimna, mimo iż prawie wszyscy twierdzą, jakoby była ciepła, a nawet gorąca. Myśl ta stanowi psychologiczny ekwiwalent bolesnej, rozgwieżdżonej otchłani, która napełniała mnie takim lekiem podczas samotnych nocy w górach. Odrzucam ją i boje się jej, ponieważ pragnę ze wszystkich sił, aby okazała się prawdziwa, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że gdyby była w niej choć odrobina prawdy, wyczułbym ją w swoim wnętrzu.

Niczego nie wyczuwam.

Co gorsza, istnieją rozliczne dowody świadczące przeciwko niej, z których najważniejszy, najbardziej przekonujący i najtrudniejszy do zignorowania jest fakt, iż Pazur obudził Dorcas z trwającego wiele dziesięcioleci śmiertelnego snu, jeszcze zanim dowiedziałem się, że mam go przy sobie.

Ten argument wydaje się decydujący, choć nadal nie jestem do końca o tym przekonany.

A może jednak wiedziałem już wtedy? I co to właściwie znaczy “wiedzieć”? Wydawało mi się, że byłem nieprzytomny, kiedy Agia wsunęła mi Pazur do sakwy, ale nie można wykluczyć, iż za utratę przytomności wziąłem zwykłe oszołomienie, a poza tym, dość rozpowszechnione jest przekonanie, że nawet nieprzytomni ludzie są świadomi dziejących się wokół nich wydarzeń i reagują na zewnętrzne bodźce, takie jak mowa i muzyka. W jaki inny sposób wytłumaczyć wpływ, jaki na nasze sny mają dźwięki otaczającego nas świata? I która właściwie część mózgu traci przytomność? Z pewnością niecały, bo wówczas serce przestałoby bić, a płuca wciągać i wypychać powietrze. Działanie pamięci opiera się na chemii — wspomnienia Thecli oraz wszystko, co odziedziczyłem po poprzednim Autarsze, trafiło do mego mózgu właśnie w postaci związków chemicznych, w których przyswojeniu pomogły mi wyciąg z gruczołów alzabo oraz inny, znacznie potężniejszy narkotyk, jaki zawierała flaszeczka noszona przez Autarchę na szyi.

Czyż nie może być tak, że pewne informacje pochodzące ze źródeł zewnętrznych są w taki właśnie sposób wchłaniane przez mózg, nawet jeśli na jakiś czas ustała jego aktywność elektryczna, od której uzależnione jest funkcjonowanie świadomego myślenia?

Poza tym, jeżeli energia wykorzystywana przez Pazur istotnie ma źródło nie w nim, lecz we mnie, to

czy naprawdę musiałem zdawać sobie sprawę z jego obecności, aby umożliwić mu działanie? Równie prawdopodobna wydaje mi się inna teoria, potwierdzona dodatkowo poprzez sposób, w jaki wtargnęliśmy do świętego przybytku Peleryn, oraz przez fakt, że zarówno Agia, jak i ja wyszliśmy bez szwanku z wypadku, który zabił zarówno woźnicę, jak i zwierzęta. Prosto z katedry udaliśmy się do Ogrodów Botanicznych, gdzie, jeszcze zanim weszliśmy do Ogrodu Wiecznego Snu, ujrzałem krzew pokryty niezliczonymi Pazurami. Wtedy uważałem jeszcze Pazur za klejnot, ale może ta myśl została mi tylko zasugerowana, a mój umysł skwapliwie ją podchwycił? Niedługo potem w żółtym domku spotkaliśmy trzy osoby, które wzięły nas za istoty z innego świata.

Jeśli ta nadzwyczajna moc istotnie bierze się ze mnie (choć ponad wszelką wątpliwość nie stanowi mojej własności), to skąd się u mnie w ogóle wzięła? Wymyśliłem dwa wytłumaczenia, oba równie mało prawdopodobne. Rozmawiałem kiedyś z Dorcas o symbolicznym znaczeniu przedmiotów istniejących w świecie rzeczywistym, w których dzięki nauczaniu filozofów można dostrzec manifestacje znacznie wyższych bytów, i które na niższym poziomie same stają się wzorami dla innych symboli. Najprostszym przykładem może tu być artysta malujący na poddaszu portret brzoskwini. Jeżeli na miejscu Prastwórcy znajdzie się mierny malarz, powiemy, że jego obraz ma symbolizować brzoskwinię, a tym samym wszystkie owoce, podczas gdy sama brzoskwinię symbolizuje dojrzałe piękno kobiecości. Gdyby taka właśnie kobieta weszła na poddasze (rzecz zupełnie niemożliwa, ale musimy uczynić takie założenie dla dobra eksperymentu), bez wątpienia nigdy by się nie domyśliła, że krągłość jej bioder i twardość serca mają jakikolwiek związek z brzoskwinią leżącą na stole przy oknie, choć dla artysty ten związek byłby nie tylko oczywisty, ale wręcz najważniejszy.

Gdyby jednak miejsce artysty zajął Prastwórca, czyż związki te, częstokroć trudno dostrzegalne dla przeciętnego człowieka, nie wywarłyby znaczącego wpływu na strukturę świata? Jeżeli właśnie ja mam przywrócić słońcu młodość za pomocą białej fontanny, to kto wie.

czy całkiem nieświadomie — zakładając, że w ogóle można tu użyć tego słowa — nie uzyskałem części tej władzy nad życiem i światłem, jaka ma się stać udziałem odrodzonego słońca?

Drugie wytłumaczenie jest zaledwie luźną spekulacją. Skoro, jak powiedział mistrz Malrubius, ci, co będą moimi sędziami, odbiorą mi męskość, jeśli nie przejdę pomyślnie próby, to czy w przypadku, gdy jako reprezentant ludzkości zdam przygotowany przez nich egzamin, nie obdarują mnie czymś równie wielkim i ważnym? Najprostsze zasady sprawiedliwości wymagają, aby tak właśnie się stało. Może ten przygotowany już dla mnie dar wykracza poza czas, tak jak ci, co mają mi go ofiarować? Hierodule, których spotkałem w zamku Baldandersa, twierdzili, jakoby zainteresowali się mną dlatego, że miałem zasiąść na tronie; czy jednak ich zainteresowanie byłoby równie wielkie, gdybym został jednym z pomniejszych władców, rządzących jakąś częścią ogarniętego wojenną pożogą kontynentu, jednym z wielu w długiej historii Urth?

Wydaje mi się, że bardziej prawdopodobne jest pierwsze wyjaśnienie, choć drugiego także nie można od razu wykluczyć. Oba zdają się sugerować, iż misja, jakiej się podejmę, zakończy się sukcesem. Rozpocznę ją będąc dobrej myśli.

Istnieje jeszcze trzecia możliwość: żadna ludzka lub prawie ludzka istota nie jest w stanie wyobrazić sobie, co dzieje się w umysłach istot takich jak Abaia, Ereb oraz im podobne. Potęga tych stworzeń

wymyka się zrozumieniu, a ja już wiem ponad wszelką wątpliwość, iż mogłyby zmiażdżyć nas w ciągu jednego dnia, gdyby nie to, że za prawdziwe zwycięstwo uznają nie zniszczenie, lecz zniewolenie przeciwnika. Ogromna wodnica, z którą się spotkałem, była ich tworem, a jednocześnie czymś podlejszym od niewolnika, bo zabawką. Z tego właśnie względu nie sposób wykluczyć, że siła Pazura oderwanego z żywej rośliny na brzegu Oceanu pochodzi właśnie od nich. Znają moje przeznaczenie równie dobrze jak Osipago, Barbatus i Famulimus, i uratowali mnie od śmierci, kiedy byłem chłopcem, aby mogło się wypełnić. Odszukali mnie wkrótce po tym, jak opuściłem Cytadelę, i od tej pory mój los układał się zgodnie z wolą Pazura.

Możliwe, iż pragną odnieść ostateczne zwycięstwo wynosząc kata do godności Autarchy albo nawet do jeszcze wyższej.

Nadeszła chyba pora, aby powtórzyć to wszystko, o czym opowiadał mistrz Malrubius.

Nie jestem w stanie zaręczyć, że miał rację, lecz głęboko wierzę, iż tak właśnie było. Ja sam wiem tylko tyle, ile od niego usłyszałem.

Tak jak kwiat, który kwitnie, rozsiewa nasiona, umiera, a następnie odradza się ze swoich nasion, by ponownie zakwitnąć, tak samo znany nam wszechświat rozprasza się aż do nicości w nieskończonej pustce kosmosu, potem zaś zbiera swoje rozproszone fragmenty (które dzięki zakrzywieniu przestrzeni wracają do punktu wyjścia) i znowu zaczyna się rozwijać. Każdy taki cykl rozkwitu i śmierci trwa jeden boski rok.

Kwiat, który wyrósł z nasionka, jest bardzo podobny do tego, co owo nasiono wyprodukował. Podobnie każdy nowy wszechświat naśladuje ten, na którego ruinach powstał, i to pod wszystkimi względami. Zamieszkują go nawet ludzie należący do tych samych ras, ale tak jak w kolejnych pokoleniach stopniowo zmienia się wygląd kwiatu, tak i kolejne wszechświaty ulegają niewielkim, choć stale postępującym zmianom. Któregoś boskiego roku (tak dawno temu, że nie jesteśmy sobie w stanie tego wyobrazić, mimo iż był to zaledwie jeden z niezliczonych cykli) narodziła się rasa tak podobna do nas, że mistrz Malrubius ani przez chwilę nie wahał się, by nazwać ją ludźmi. Rasa ta opanowywała kolejne galaktyki niemal równie szybko, jak my czyniliśmy to wówczas, gdy Urth stanowiła centrum, a przynajmniej symbol, potężnego imperium.

Ludzie ci spotykali na innych planetach wiele istot obdarzonych inteligencją. lub też rokujących nadzieje na jej rozwinięcie, i przekształcali je na swoje podobieństwo, aby mieć towarzyszy podczas międzygalaktycznych podróży oraz sojuszników na krążących wokół słońc planetach.

Nie odbywało się to jednak ani szybko, ani bez problemów. Niezliczone miliardy zginęły z ich ręki lub zasnęły potwornych cierpień, pozostawiając po sobie niemożliwe do zatarcia wspomnienia o bólu i krwi. Kiedy ich wszechświat się zestarzał, a galaktyki dzieliła tak wielka odległość, iż każda z nich przypominała słabo migoczącą gwiazdę, statki zaś podróżowały między nimi wyłącznie dzięki wiedzy przechowywanej w pamięci wiekowych maszyn, dokonano czegoś, co przerosło oczekiwania nawet tych, z których inspiracji przystąpiono do realizacji zadania: została stworzona nowa rasa, nie taka jak ludzkość, lecz taka, jaką ludzkość sama chciała być, to znaczy zjednoczona, współczująca i sprawiedliwa.

Nie wiem, co stało się z samą ludzkością; być może dotrwała aż do implozji wszechświata i zginęła razem z nim, a może zmieniła się nie do poznania. Jeżeli chodzi o istoty, które stworzyła, to postanowiły one umknąć przed zagładą i zdołały otworzyć sobie przejście do Yesodu, wszechświata stojącego stopień wyżej od naszego, gdzie zbudowały takie planety, jakie były im potrzebne.

Z nich właśnie spoglądają w przeszłość i przyszłość, i podczas tych obserwacji kiedyś dowiedziały się o naszym istnieniu. Być może tylko przypominamy ich twórców, być może to my ich stworzyliśmy albo uczynili to nasi ojcowie (lub uczynią synowie). Malrubijs twierdził, że nic nie wie na ten temat, a ja mu wierzę. Bez względu na to, jak przedstawia się prawda, kształtują nas teraz w taki sam sposób, w jaki sami byli kształtowani; dzięki temu mogą jednocześnie spłacić dług wdzięczności i dokonać zemsty.

Odkryli także hierodule, po czym błyskawicznie ich przekształcili, aby korzystać z ich usług w naszym wszechświecie. Mówią im, jak należy budować statki takie jak ten, który przewiózł mnie z dżungli nad brzeg morza, co pomogło im podporządkować sobie stworzenia w rodzaju Malrubijsa i Triskele. Tak chwyceni ze wszystkich stron stalowymi szczypcami, trafiliśmy na kowadło.

Zamiast młota posługują się umiejętnością wprowadzania tych, co im służą, w korytarze czasu, i porywaniem ich do odległej przyszłości. (Ta moc w zasadzie niczym nie różni się od innej, która pozwoliła im uciec przed śmiercią wszechświata, gdyż wejście w korytarze czasu jest równoznaczne z opuszczeniem wszechświata). Kowadłem — przynajmniej na Urth — jest konieczność prowadzenia żąrzanej walki o życie, w trakcie której korzystamy z szybko kurczących się zasobów kontynentów. Ponieważ środki, po jakie sięgamy, dorównują okrucieństwem tym, jakie wykorzystano do ukształtowania tych istot, sprawiedliwości stało się zadość; nadejście Nowego Słońca będzie sygnałem, iż dobiegł końca pierwszy etap formowania.

Rozdział XXXV

List Ojca Inire

Moja kwatery znajdowała się w najstarszej części Cytadeli. Pokoje stały puste od tak dawna, że ani stary kasztelan, ani główny kamerdyner nie mogli już znaleźć do nich kluczy, w związku z czym, obaj niezmiernie zażenowani, poinformowali mnie, iż trzeba będzie wyłamać drzwi. Co prawda nie widziałem wyrazu ich twarzy, ale wyraźnie usłyszałem, jak raptownie nabrali powietrza w płuca, kiedy wypowiedziałem proste słowa pozwalające otworzyć zamki.

Tego wieczoru przeżyłem nadzwyczaj interesujące chwile, porównując modę okresu, z którego pochodziło wyposażenie tych komnat, z obowiązującą obecnie. Wówczas w ogóle nie używano foteli, zadowalając się wymyślnymi poduszkami, biurkom zaś brakowało szuflad oraz symetrii, którą obecnie uważamy za niezbędną. Według naszych standardów wszędzie było za dużo tkanin, natomiast za mało drewna, skóry, kości i kamienia; ogólnie rzecz biorąc urządzenie wnętrza było jednocześnie nadmiernie luksusowe i za mało wygodne.

Nie było jednak mowy, bym zamieszkał w innym apartamencie niż w tym, jaki od wieków czekał na kolejnego autarchę. albo żebym chociaż go przemeblował, gdyż w ten sposób okazałbym brak szacunku moim poprzednikom. Na całe szczęście okazało się, że zawartość mebli jest znacznie cenniejsza od nich samych; ku memu zachwytowi odkryłem mnóstwo dokumentów odnoszących się do spraw częściowo zapomnianych, a częściowo już zupełnie niezrozumiałych, zagadkowe mechaniczne urządzenia, mikrokosmos, który ożywał rozgrzany ciepłem rąk, zamieszkały przez maleńkie istoty zdające się rosnać pod wpływem mego spojrzenia, podręczne laboratorium zawierające legendarną „szmaragdową ławę” i wiele innych rzeczy, oraz najbardziej interesujący okaz, czyli umieszczoną w alkoholu mandragorę.

Naczynie miało jakieś siedem piędzi wysokości i trzy średnicy, sam humunculus natomiast liczył sobie około dwóch piędzi wzrostu. Kiedy zastukałem w szkło, zwrócił w moją stronę oczy jeszcze bardziej ślepe od oczu mistrza Palaemona; poruszył ustami i choć nie usłyszałem żadnego dźwięku, bez trudu rozpoznałem słowa, jakie wypowiedział. Nie mara pojęcia czemu, lecz odniosłem wrażenie, że półprzezroczysta ciecz, w której był zawieszony, przeistoczyła się w mój mocz wymieszany z krwią.

— Dlaczego odrywasz mnie, Autarcho, od kontemplacji twojego świata?

— Czyżby naprawdę był mój? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Wiem, że jest na nim siedem kontynentów, lecz zaledwie połowa lego, na którym teraz się znajdujemy, okazuje posłuszeństwo świętym słowom.

— Jesteś jego spadkobiercą — rzekła pomarszczona istota i odwróciła się ode mnie, nie wiem, czy celowo czy tylko przez przypadek.

Ponownie zastukałem w ściankę naczynia. A kim ty jesteś?

— Stworzeniem pozbawionym rodziców, które wie dzie żywot zanurzone we krwi.

— Tak samo jak ja! Powinniśmy więc zostać przyjaciółmi jako ci, co dzielą wspólny los.

— Kpisz sobie ze mnie.

— Wcale nie. Szczerze ci współczuję i naprawdę wierzę, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż przypuszczasz.

Małeńka postać ponownie zwróciła twarz w moją stronę.

— Chciałbym ci uwierzyć, Autarcho.

— Mówię prawdę. Nikt nigdy nie zarzucił mi, że jestem przesadnie uczciwym człowiekiem, i kłamałem zawsze, kiedy tylko mogłem dzięki temu odnieść jakąś korzyść, ale tym razem jestem zupełnie szczerzy. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

□

Owszem. Stłucz to naczynie.

Zawahałem się.

— Ale wtedy chyba umrzesz?

— Nigdy nie żyłem. Po prostu przestanę myśleć — i tyle. Stłucz je.

— Przecież żyjesz!

— Nie rosnę, nie poruszam się, nie reaguję na żadne bodźce z wyjątkiem myśli, nie mogę się rozmnażać. Stłucz naczynie.

— Jeśli naprawdę nie żyjesz, to wolałbym poszukać sposobu, aby pobudzić cię do życia.

— A więc tyle jest warte nasze braterstwo! Kiedy byłaś tu uwięziona, Theclo, i ten chłopiec przyniósł ci nóż, dlaczego nie próbowałaś pobudzić się do życia?

Krew napłynęła mi do twarzy, płonąć żywym ogniem w świeżo zabliźnionej ranie; uniosłem hebanowe berło, ale nie zadałem ciosu.

— Żywy czy martwy, dysponujesz przenikliwą inteligencją. Thecla stanowi tę część mnie, którą najłatwiej rozzłościć.

— Gdybyś oprócz jej wspomnień odziedziczył także jej gruczoły, mojemu życzeniu stałoby się zadość.

— A więc o tym też wiesz... Jak to możliwe, skoro jesteś ślepy?

— Każdy funkcjonujący mózg wysyła wibracje, które poruszają cieczą w tym naczyniu.

Słyszę twoje myśli.

— A ja twoje. Skoro tak się dzieje, czemu nie potrafisz czytać w ludzkich umysłach?

Spoglądając z bliska w maleńką twarzyczkę, oświetloną bladym promieniem gasnącego słońca, który sączył się nieśmiało przez zakurzone, okrągłe okienko, nie byłem pewien, czy usta mandragory w ogóle się poruszają.

— Słyszysz tylko siebie, jak zawsze. Nie możesz usłyszeć innych, ponieważ twój umysł

bez przerwy krzyczy, zupełnie jak dziecko w wiklinowym koszyku. Widzę, że przypominasz sobie?

— Pamiętam tylko, jak bardzo dawno temu, kiedy byłem zziębnięty i głodny, leżałem na wznak, otoczony zewsząd brązowymi ścianami, i słyszałem swoje krzyki. Tak, chyba byłem wtedy dzieckiem i jeszcze nawet nie potrafiłem raczkować. Jesteś bardzo mądry. O czym myślę teraz?

— Że stanowią niezależną od ciebie manifestację twojej mocy, taką samą, jaką był Pazur.

Masz rację. Ponieważ byłem zdeformowany, umarłem jeszcze przed narodzeniem, i od tej pory trzymają mnie w białej brandy. Stłucz naczynie.

— Najpierw chcę cię o coś zapytać.

□

Bracie, przed drzwiami stoi stary człowiek z listem.

Nastawiłem ucha. Po rozmowie, która odbywała się w ciszy umysłu, poczułem się bardzo dziwnie, kiedy znowu usłyszałem odgłosy realnego świata: nawoływanie sposobniących się do snu kosów i pukanie do drzwi. Posłańcem okazał się stary Rudesind, który kiedyś zaprowadził mnie do zawieszonych obrazami korytarza w Domu Absolutu. Ku zdziwieniu strażników kazałem mu wejść, ponieważ chciałem z nim porozmawiać i doskonale zdawałem sobie sprawę, że wobec niego nie muszę zachowywać się zgodnie z ceremoniałem.

— Jeszcze nigdy tu nie byłem — powiedział. — Czym mogę ci służyć, Autarcho?

— Już zostaliśmy obsłużeni; sam twój widok sprawił nam ogromną przyjemność. Chyba wiesz, kim jesteśmy? Rozpoznałeś nas przecież, kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem.

— Nawet gdybym do tej pory nie znał twojej twarzy, Autarcho, to już zdążyłbym ją dziesięć razy poznać. Wygląda na to, że w całej Cytadeli nikt nie mówi o niczym innym, tylko o tym, jak samo życie ukształtowało cię w taki sposób, byś mógł objąć to stanowisko, oraz o tym, jak to kiedyś widziano cię tutaj a tutaj, jak wyglądałeś i co wtedy powiedziałeś. Okazuje się, że nawet najpodlejszy kucharz piekł ci ciasto, a wszyscy żołnierze raczyli opowieściami o wojnie.

Rzecz jasna, każda kobieta całowała cię co najmniej kilka razy i zaszywała dziury w spodniach.

Miałeś też psa...

— To prawda — wtrąciłem.

— ...a także kota, ptaszka i lemura, który kradł jabłka. Wspinałeś się na wszystkie mury, zeskakiwałeś z nich, huśtałeś się na linie, i tak dalej, i tak dalej. Nagle stałeś się każdym z chłopców, których tu kiedykolwiek widziano, niektórzy zaś zaczęli przypisywać ci wybryki, jakich w dzieciństwie dokonali ludzie będący starcami już wtedy, kiedy j a byłem chłopcem, oraz te, które ja sam zapisałem na swoim koncie siedemdziesiąt lat temu.

— Zdążyliśmy się już przekonać, iż twarz Autarchy jest zawsze ukryta za taką maską, jaką założą mu poddani. Bez wątpienia to dobrze, że tak się dzieje; kiedy zrozumiesz, jak bardzo różnisz się od osobistości, której wszyscy biją pokłony, z pewnością nie grozi ci wpadnięcie w samouwielbienie. My jednak chcemy usłyszeć coś o tobie. Stary Autarcha powiedział nam, że byłeś jego opiekunem w Domu Absolutu i że teraz służysz Ojcu Inire.

— Istotnie — odparł starzec. — Mam ten zaszczyt, a oto list, który ci przynoszę.

Wyjął z zanadru niewielką i cokolwiek sfatygowaną kopertę.

□

My natomiast jesteśmy panem Ojca Inire.

Złożył prostacki ukłon.

— Wiem, Autarcho.

— W związku z tym rozkazujemy ci, abyś usiadł i odpoczął. Mamy do ciebie sporo pytań, a nie możemy pozwolić, żeby człowiek w twoim wieku niepotrzebnie nadweręzał siły.

Kiedy byliśmy chłopcem, o którym opowiadałeś, skierowałeś nas do biblioteki mistrza Ultana.

Dlaczego to zrobiłeś?

— Na pewno nie dlatego, że przypuszczałem, iż w przeciwnym razie nigdy tam nie trafisz, ani nie dlatego, że tak polecił mi mój pan. Nie przeczytasz listu?

— Przeczytamy, ale dopiero po tym, jak udzielisz nam zwięzłej i szczerej odpowiedzi.

Starzec zwiesił głowę i przez chwilę w milczeniu skubał rzadką brodę.

— Zapewne przypuszczasz, Autarcho, że już wtedy czegoś się domyślałem, ale to nieprawda. Może inni, może mój pan... — Na chwilę podniósł na mnie spojrzenie zaropiałych oczu. — Byłeś młody, sprawiałeś obiecujące wrażenie, więc chciałem, żebyś zobaczył.

— Co?

— Jestem starym człowiekiem. Byłem nim wtedy i jestem teraz. Ty bardzo wydorósłałeś od tamtego

czasu. Widzę to po twojej twarzy. Ja niewiele się zestarzałem, bo parę miesięcy, ani nawet parę lat nie sprawia mi żadnej różnicy. Gdybyś tylko policzył, jak długo wchodzę i schodzę po drabinie, okazałoby się, że czynię to dłużej, niż ty żyjesz na świecie. Chciałem, abyś się przekonał, jak wielu ludzi żyło przed tobą, jak wielu urodziło się i umarło, zanim nawet zostałeś poczęty, w tym mnóstwo znacznie lepszych od ciebie — to znaczy, od takiego ciebie, jakim byłeś wtedy. Mogłoby się wydawać, że każdy, kto wychowywał się w Cytadeli, powinien zdawać sobie z tego sprawę, ale tak nie jest. Ponieważ przebywają tu przez cały czas, przestają zwracać na cokolwiek uwagę. Kiedy jednak zejda na sam dół, do mistrza Ultana, mądrzejszym z nich daje to wiele do myślenia.

□

Jesteś adwokatem zmarłych.

Stary człowiek skinął głową.

— Owszem. Ludzie wiele mówią o tym, żeby postępować uczciwie względem bliźnich, ale jakoś nikt nie pomyślał o tym, by oddać sprawiedliwość tym, co byli przed nami. Korzystamy ze wszystkiego, co oni stworzyli, i nie ma w tym nic złego. Lekceważymy ich przekonania, co chyba także jest w porządku. Powinniśmy jednak zawsze pamiętać, jak wiele im zawdzięczamy, a ja, dopóki żyje, po prostu staram się o tym przypominać. Teraz, jeśli pozwolisz, Autarcho, położę list na tym fikuśnym stoliku...

— Rudesindzie!

— Tak, Autarcho?

— Czy nadal będziesz czyścił obrazy? Ponownie skinął głową.

— Między innymi do nich właśnie tak mi się spieszy. Przebywałem w Domu Absolutu aż do chwili, kiedy mój pan... — Umilkł raptownie i przełknął ślinę, jak często czynią ludzie, kiedy zorientują się, że powiedzieli za wiele — ...udał się na północ. Przed wyjazdem zająłem się płótnem Fechina i do dzisiaj nie skończyłem roboty.

— Rudesindzie, znamy już odpowiedź na pytanie, jakie spodziewasz się od nas usłyszeć. Wiemy, że twój pan jest jednym z tych, których ludzie zwą kakogenami, oraz że z jakiegoś powodu postanowił na stałe związać swój los z ludzkością, pozostając na Urth w przebraniu człowieka. Tak samo uczyniła istota zwana Cumaeaną. Wiemy też, że twój pan był z nami w dżunglach północy, gdzie robił wszystko, co mógł, by uratować naszego poprzednika.

Chcemy ci tylko powiedzieć, że jeśli znowu zobaczysz jakiegoś młodego człowieka błakającego się po Cytadeli, masz natychmiast odesłać go do mistrza Ultana. To rozkaz.

Jak tylko wyszedł, rozdarłem kopertę. Kartka była nieduża, ale pokrywało ją nadzwyczaj drobne pismo; litery przypominały małe pajęczki wgniecione w papier.

Uniżony sługa Inire pozdrawia oblubieńca Urth, Pana Nessus i Domu Absolutu, Przywódcę Rasy, Złoto Swego Ludu, Zwiastuna Świtu, Heliosa, Hyperiona, Surję, Sawitara i Autarchę.

Spieszę co sił i powinienem dotrzeć do Ciebie najdalej za dwa dni.

Wczoraj dowiedziałem się o wydarzeniach, jakie ostatnio się rozegrały. Większość informacji pochodzi od kobiety o imieniu Agia, która — przynajmniej według jej słów — w istotny sposób przyczyniła się do Twego uwolnienia. Opowiedziała mi także co nieco o tym, co zaszło między wami w przeszłości, gdyż jak dobrze wiesz, dysponuję środkami pozwalającymi skłonić każdego do mówienia.

Dowiesz się od niej, że Vodalus zginął właśnie z jej ręki oraz że jego towarzyszka, kasztelanka Thea, początkowo usiłowała podporządkować sobie tych, którzy byli obecni przy jego śmierci, ale ponieważ zupełnie nie nadaje się do roli przywódcy i z pewnością nie potrafiłaby utrzymać w ryzach tych z południa, postanowiłem zastąpić ją właśnie Agią. Sądząc po tym, jak łaskawie traktowałeś do tej pory tę kobietę, moja decyzja powinna spotkać się z Twoją aprobatą.

Bez wątpienia odniesiemy znaczne korzyści podtrzymując nich, który w przeszłości okazał nam się tak bardzo pomocny, a dopóki działają zwierciadła Hethora, Agia będzie mogła w przekonujący sposób ugruntować swoje przywództwo.

Zapewne uznasz — podobnie jak ja — że statek, który wysłałem na pomoc memu panu, ówczesnemu autarsze, nie był taki, jak powinien; niestety, o lepszym nawet nie miałem co marzyć, a czas mnie naglił. Ja także zostałem zmuszony, by udać się na południe, tyle że podróżowałem znacznie wolniej. Może już niedługo moi kuzyni dojdą do wniosku, że należy wziąć stronę nie tyle ludzkości, co konkretnie naszą, ale tymczasem wciąż jeszcze traktują Urth jako planetę mniej ważną od najpodlejszych kolonii, nas zaś na równi z Ascianami, Ksantodermami i wieloma innymi.

Przypuszczam, iż dysponujesz już wiadomościami znacznie bardziej aktualnymi od tych, jakie mogę Ci przekazać, ale na wszelki wypadek donoszę, że wojna toczy się jednocześnie źle i dobrze: fakt, iż nieprzyjacielowi udało się nas okrążyć, nie przyniósł mu żadnych korzyści, a nawet wręcz przeciwnie, gdyż na południowym odcinku frontu zadaliśmy mu ogromne straty.

Zdaję sobie sprawę, że śmierć tak wielu nędznych sług Erebu nie sprawi Ci radości, ale przynajmniej nasze armie zyskały nieco czasu na odpoczynek.

W samą porę. Wśród Paralian wybuchł bunt, który trzeba jak najszybciej stłumić, a Terentini, Antrustioni oraz legiony miejskie poniosły niemal równie wielkie straty jak nieprzyjaciel. W niektórych kohortach pozostało nie więcej niż stu żołnierzy zdolnych do walki.

Nie muszę Ci chyba mówić, że koniecznie trzeba zdobyć więcej broni, a szczególnie artylerii — miejmy nadzieję, iż moi kuzyni zechcą oddać nam ją po takiej cenie, jaką jesteśmy w stanie zapłacić. Tymczasem należy uzupełnić stan osobowy oddziałów, a rekruci muszą zakończyć szkolenie najdalej do wiosny. Najbardziej potrzeba oddziałów lekkiej kawalerii, zdolnych do prowadzenia wojny podjazdowej, ale jeśli Ascianie w przyszłym roku wznowią ofensywę, nie damy sobie rady bez setek tysięcy ciężkozbrojnych, których należy już teraz wcielić do wojska.

Twoje informacje o poczynaniach Abaii będą z pewnością bardziej aktualne od moich, gdyż od

chwili, kiedy wyruszyłem w drogę, nie dotarty do mnie żadne nowe wieści. Hormisdas chyba udał się na południe, lecz Olaguer zapewne przekaże Ci wszelkie nowiny.

Pełen szacunku i spieszący co sił

INIRE

Rozdział XXXVI

Falszywe złoto i płomień

Niewiele zostało mi do opowiedzenia. Wiedziałem, że za kilka dni będę musiał opuścić miasto, więc nie pozostało mi nic innego, jak ufać, że zdążę zrobić wszystko, co jest do zrobienia. Spośród przyjaciół w konfraterni całkowicie ufać mogłem jedynie mistrzowi Palaemonowi, a on akurat niewiele mógł mi pomóc w zrealizowaniu moich planów. Wezwałem Roche'a, gdyż wiedziałem, że nie zdoła ukryć przede mną fałszu. (Spodziewałem się ujrzeć kogoś starszego ode mnie, lecz rudowłosy czeladnik, który stawiał się przede mną, wydał mi się prawie dzieckiem. Po jego wyjściu bardzo długo przyglądałem się swojej twarzy w lustrze, co zdarzyło mi się chyba po raz pierwszy w życiu).

Powiedział, że on oraz kilku innych, z którymi bliżej lub dalej się przyjaźniłem, głosowało przeciwko wyrokowi śmierci, mimo że większość braci była za tym, by mnie stracić.

Uwierzyłem mu. Przyznał także bez żadnego przymuszania, że to on właśnie zaproponował, aby mnie wygnać, choć postąpił tak tylko dlatego, iż wydawało mu się, iż jest to jedyny sposób, aby ocalić mi życie. Przypuszczam, że spodziewał się jakiejś kary, gdyż jego mocno zaróżowione zazwyczaj czoło i policzki pobrały tak bardzo, że liczne piegi wyglądały jak plamy ciemnej farby. Jednak mówił pewnym, spokojnym głosem i nie starał się siebie wybielić, zrzucając winę na kogoś innego.

Rzeczywiście, miałem zamiar go ukarać, a wraz z nim całe bractwo — wcale nie dlatego, bym żywił do nich jakąś osobistą urazę, ale w nadziei, że pobyt w lochach pod naszą wieżą pomoże im odnaleźć w sobie zrozumienie dla tej zasady sprawiedliwości, o której mówił mistrz Palaemon, oraz dlatego, że tylko w ten sposób mogłem mieć pewność, iż w przyszłości nikt nie naruszy zakazu wykonywania tortur, jaki zamierzałem wydać. Ci, co spędzą kilka miesięcy, oczekując w każdej chwili najgorszych męczarni, nieprędko pożałują, że nie wolno ich już stosować.

Nie wspominałem jednak o tym ani słowem, tylko poprosiłem Roche'a, aby dostarczył mi wieczorem strój czeladnika oraz żeby on, Drotte i Eata czekali na mnie nazajutrz z samego rana.

Zjawił się z ubraniem tuż po nieszpórach. Z jakąż rozkoszą zrzuciłem kostium, w którym musiałem paradować, i ponownie przywdziałem katowski fuligin! Nocną porą dzięki jego czerni można stać się prawie zupełnie niewidzialnym; wyslizgnąwszy się z apartamentu jednym z tajnych wyjść sunąłem między wieżami niczym cień, aż wreszcie dotarłem do wyrwy w murze Cytadeli.

Dzień był ciepły, ale nocą wyraźnie się ochłodziło, nekropolię zaś spowijała gęsta mgła, tak jak wtedy, gdy wyskoczyłem z jednego z pomników, aby ocalić życie Vodalusowi.

Grobowiec, w którym bawiłem się jako chłopiec, trwał w nie naruszonym stanie z zaklino-wanymi, częściowo uchylonymi drzwiami.

Przyniosłem ze sobą świecę, którą zapaliłem natychmiast, jak tylko znalazłem się we wnętrzu. Płyty z brązu, niegdyś wypolerowane przeze mnie do połysku, znowu pokryły się zielonym nalotem. Wszędzie leżały uschnięte liście, a przez małe, zakratowane okienko zaglądała gałązka drzewa.

Gdzie cię kładę, tam ty leżysz,

Oczu obcych nie ucieszysz,

Nikt cię nigdy nie zobaczy.

Tylko ja.

Trwaj bezpiecznie w tym ukryciu.

Kto cię znalazł już raz w życiu.

Przyjdzie znowu, a to będę

Tylko ja.

Kamień okazał się mniejszy i lżejszy, niż się spodziewałem. Ukryta pod nim moneta straciła nieco na blasku, ale jednak była; po chwili ścisnąłem ją w dłoni, myśląc o chłopcu, którym byłem, idącym na drżących nogach przez mgłę w kierunku rozwalonego muru.

Teraz muszę poprosić cię, czytelniku, który wybaczyłeś mi już tak wiele najróżniejszych dygresji i dywagacji, żebyś pozwolił mi na jeszcze jedną. Obiecuję, że to już ostatnia.

Kilka dni temu (to znaczy długo po wydarzeniach, które relacjonuję w mojej opowieści) poinformowano mnie, że w Domu Absolutu zjawił się jakiś włóczęga twierdzący, jakoby był mi winien pieniądze, który jednak kategorycznie odmówił przekazania ich komu innemu niż mnie.

Ponieważ przypuszczałem, iż będę miał okazję ujrzeć jednego ze starych znajomych, poleciłem szambelanowi, aby go przyprowadził.

Był to doktor Talos. Chyba nieźle mu się powodziło, gdyż miał na sobie kapotę z czerwonego ałtasu oraz koszulę z tego samego materiału. Jego twarz nadal przypominała pysk wypchanego lisa, choć chwilami można było odnieść wrażenie, że pojawiają się na niej oznaki życia, tak jakby ktoś albo coś zamieszkało za szklanymi oczami.

— Wspiąłeś się bardzo wysoko — powiedział, składając niski ukłon. — Może pamiętasz, że zawsze ci to wróżyłem. Uczciwość, prawość oraz inteligencja nigdy nie dadzą się stłamsić.

— Obaj wiemy, że właśnie one są najłatwiejsze do stłamszenia — odparłem. — Moja konfraternia zajmowała się tym przez wiele stuleci. Cieszę się jednak, że cię widzę, nawet jeśli przybywasz jako

wysłannik swego pana.

Przez chwilę doktor sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, o kim mówię.

— Ach, zapewne masz na myśli Baldandersa? Niestety, zwolnił mnie ze służby zaraz po bitwie i po tym, jak ratował się, skacząc do jeziora.

— Przypuszczasz więc, że przeżył?

— Jestem tego pewien, Severianie. Nie znałeś go tak dobrze jak ja. Bez najmniejszego trudu mógł oddychać pod wodą. Poza tym miał wspaniały umysł: był prawdziwym geniuszem rzadko spotykanego rodzaju, w którym wszystko było zwrócone do wnętrza. Połączył

obiektywizm uczonego z autoobsesją mistyka.

— Chcesz przez to powiedzieć, że przeprowadzał eksperymenty na samym sobie?

— Och, skądże znowu! Wręcz przeciwnie. Inni czynią to, by wpaść na trop zasady, którą mogą zastosować wobec świata, natomiast on przeprowadzał eksperymenty na świecie, w samotności korzystając później z ich efektów. Niektórzy powiadają... - Rozejrzał się trwoż-

liwie dokoła, jakby chciał się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. — Niektórzy powiadają, że jestem potworem, i chyba mają rację, ale Baldanders był potworem w znacznie większym stopniu ode mnie. W pewnym sensie był także moim ojcem, choć sam się stworzył. Takie jest prawo natury: każda istota musi mieć swego twórcę. Baldanders był jednocześnie stwórcą i stworzonym, przez co zerwał wszelkie więzi z nami, którzy zawdzięczamy istnienie Prastwórcy...

Zdaje się jednak, że odbiegam od tematu.

Rozwiązał wiszącą u pasa sakwę i począł w niej grzebać. Do moich uszu dobiegł brzęk monet.

— Masz teraz własne pieniądze? — zapytałem. — Dawniej wszystko mu oddawałeś.

— Czy na moim miejscu nie postępowałbyś tak samo? — odparł tak cicho, że z trudem go dosłyszałem. — Teraz zostawiam pieniądze, najczęściej aes i orichafki, w pobliżu wody. —

Podniósł głos. — Nie ma w tym nic złego, a ja mam okazję powspominać dawne, wspaniałe czasy. Jestem przy tym całkowicie uczciwy! Zawsze tego ode mnie wymagał i sam też był

uczciwy, naturalnie na swój sposób. Pamiętasz, jak tamtego ranka po przedstawieniu rozdzielałem pieniądze? Została jedna moneta, która należała się tobie. Zatrzymałem ją, by oddać ci ją później, ale zapomniałem to zrobić, a kiedy zjawileś się w zamku... — Zerknął na mnie z ukosa. Jednak prędzej czy później wszystko wraca na swoje miejsce, jak powiadają, i oto jestem.

Moneta wyglądała tak samo jak ta, którą wydobylem spod kamienia.

— Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogłem jej dać twojemu słudze: uznałby mnie za wariata.

Podrzuciłem pieniądze i złapałem go w powietrzu. Odniosłem wrażenie, jakby był

posmarowany oliwą.

— Szczerze mówiąc, doktorze, niczego nie rozumiemy.

— Bo jest fałszywa! Wspomniałem ci o tym już wtedy. Jak by to wyglądało, gdybym powiedział, że chcę zwrócić dług Autarsze, a potem dał fałszywą monetę? Wszyscy tak się ciebie boją, że wypruliby ze mnie wnętrzności, szukając prawdziwej. Czy to prawda, że każesz ludziom zjadać nadzwyczaj powolnie działający materiał wybuchowy, tak że czasem mija nawet kilka dni, zanim wreszcie zostaną rozerwani na strzępy?

W milczeniu przyglądałem się dwóm monetom. Błyszczały w taki sam sposób i wyglądały tak, jakby pochodziły z tej samej formy.

*

Jak już jednak wspomniałem, rozmowa ta odbyła się długo po wydarzeniach, które przedstawiam w mojej relacji. Do moich komnat w Wieży Sztandaru wróciłem tą samą drogą, jaką je opuściłem, po czym natychmiast zdjąłem wilgotny płaszcz i powiesiłem go, by wysechł.

Mistrz Gurloes powtarzał często, że największą niedogodnością dla członków naszej konfraterni jest zakaz noszenia koszuli. Chociaż nie mówił tego serio, w pewnym sensie miał rację, gdyż ja, który z nagą pierśią wędrowałem przez wysokie góry, po kilku dniach noszenia bogatego stroju autarchy na tyle odzwyczaiłem się od niewygód, że teraz, po krótkim spacerze w mglistą jesienną noc, drżałem na całym ciele z zimna.

W każdej komnacie znajdował się kominek, w nim zaś stos drewna tak starego i wyschniętego, iż obawiałem się, że rozpadnie się w pył, jeśli choć trochę je poruszę. Nigdy nie korzystałem z tych palenisk, teraz jednak postanowiłem to uczynić, aby się ogrzać i wysuszyć ubranie dostarczone przez Roche'a. Sięgnąłem po zapalarkę, lecz moje palce nie natrafiły na znajomy kształt; widocznie, ogarnięty łatwym do wytłumaczenia podnieceniem, zostawiłem ją wraz ze świecą w grobowcu. Natychmiast pomyślałem, że władca, który w zamierzchłej przeszłości zamieszkiwał te pokoje, musiał mieć jakiś sposób, aby bez konieczności wzywania służby rozpaść ogień wtedy, kiedy przyszła mu na to ochota. Bezzwłocznie przystąpiłem do przetrząsania szuflad.

Większość była wypełniona dokumentami, które tak bardzo zainteresowały mnie podczas pierwszych oględzin pomieszczeń; zamiast jednak przystąpić do ich lektury, jak jeszcze niedawno miałem zamiar uczynić, wyjmowałem je po kolei z szuflad, aby sprawdzić, czy w którejś z nich nie ukryto krzesiwa, hubki, zapalniczki lub strzykawki wypełnionej samozapalającą się cieczą.

Niczego takiego nie znalazłem, ale za to w największej szufladzie największej komody, pod ozdobnym piórnikiem, odkryłem nieduży pistolet.

Widywałem już wcześniej taką broń — po raz pierwszy tej nocy, kiedy Vodalus wręczył mi fałszywą monetę, którą niedawno odzyskałem. Nigdy jednak nie miałem jej w rękach i

przekonałem się, że jest to coś zupełnie innego niż widzieć ją z daleka. Zdążając wraz z Dorcas w kierunku Thraxu, dołączyliśmy pewnego razu do karawany wędrownych handlarzy i rzemieślników. Mieliśmy wtedy jeszcze większość pieniędzy, którymi doktor Talos podzielił się z nami w lesie na północ od Domu Absolutu, ale nie byliśmy pewni, na jak długo nam wystarczą ani też, jak daleka czeka nas jeszcze wędrówka. W związku z tym wraz z innymi próbowałem znaleźć zajęcie w każdym mijanym miasteczku, pytając, czy nie ma tam jakiegoś złoczyńcy czekającego na chłostę lub ścięcie. Ze względu na to, że pracowałem wyłącznie dla władz, niektórzy spośród naszych towarzyszy zdawali się darzyć mnie nieco większym szacunkiem, inni natomiast z tego samego powodu nie ukrywali pogardy, zarzucając mi, że jestem bezwolnym narzędziem w rękach tyranii.

Któregoś wieczoru pewien szlifierz, który odnosił się do nas z największą życzliwością, zaproponował, że naostrzy mi Terminus Est. Odparłem, iż nie ma takiej potrzeby, ponieważ utrzymuję miecz w stałej gotowości do pracy, i zaproponowałem, by sam sprawdził stan jego ostrza. Naturalnie skaleczył się w palec (zgodnie z moimi przypuszczeniami), po czym dosłownie zakochał się w mojej broni, podziwiając nie tylko samo ostrze, ale także starannie wykonaną rękojeść, pochwę z miękkiej skóry, i tak dalej, i tak dalej. Kiedy już odpowiedziałem na niezliczone pytania dotyczące czasu i miejsca powstania broni, jej historii oraz techniki władania, zapytał, czy pozwolę mu wziąć miecz do ręki. Zgodziłem się, ostrzegłszy go najpierw o ruchomym ciężarze zamkniętym we wnętrzu ostrza. Szlifierz uśmiechnął się i nie zwlekając chwycił za rękojeść; niemal natychmiast pobałdł jak trup i począł drzeć na całym ciele, tak że musiałem szybko odebrać mu broń, gdyż jeszcze chwila, a wypuściłby ją z ręki. Potem już nie dało się z nim rozmawiać, gdyż na każde pytanie odpowiadał tym samym zdaniem: "Często ostrzyłem żołnierskie miecze".

Teraz zrozumiałem, co musiał wtedy czuć. Odłożyłem pistolet na biurko tak szybko, że można chyba powiedzieć, że go rzuciłem, po czym zacząłem chodzić dokoła niego, jakbym miał

do czynienia z węzem gotowym w każdej chwili zatopić zęby w moim ciele.

Był krótszy niż moja ręka i tak piękny, że mógłby łatwo uchodzić za arcydzieło sztuki jubilerskiej, choć wystarczyło raz na niego spojrzeć, aby się domyślić, że pochodzi z odległych gwiazd. Srebrne okucia nie zdążyły jeszcze żółknąć ze starości; wręcz przeciwnie, sprawiały wrażenie, jakby dopiero co zostały wypolerowane. Pokrywały go ornamenty, które może były pismem, choć nie potrafiłem tego stwierdzić. Dla moich oczu, przywykłych do powtarzających się sekwencji krzywizn i linii prostych, przypominały raczej migoczące odbicia nieobecnych przedmiotów. Rękojeść była inkrustowana czarnymi kamieniami, których nazwy nie znam: nieco przypominają turmaliny, ale są bardziej błyszczące. Po pewnym czasie zauważyłem, że jeden z nich, ten najmniejszy, zdaje się nikać, jeśli patrzę na niego z boku, gdy zaś patrzę na wprost, lśni jak brylant najczystszej wody. Przyjrząwszy się uważniej stwierdziłem, iż nie jest to żaden kamień, tylko miniaturowa soczewka, za którą migocze wewnętrzny płomień. Wyglądało na to, że mimo upływu wielu stuleci pistolet wciąż był gotów do użycia.

Nie wiadomo, czemu ta świadomość dodała mi otuchy. Broń może zagrozić użytkownikowi tylko na dwa sposoby: raniąc go albo zawodząc w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Pierwsza ewentualność nadal pozostawała aktualna, ale po tym, jak dostrzegłem ten maleńki płomień, wiedziałem już, że druga na pewno mi nie grozi.

Pod lufą znajdował się przesuwany bolec, który najprawdopodobniej służył do regulacji napięcia ładunku. W pierwszej chwili pomyślałem, że ten, kto ostatnio używał pistoletu, ustawił

potencjometr na maksymalną moc, i że przesunąwszy bolec w drugi koniec skali uzyskam możliwość bezpiecznego przeprowadzenia eksperymentu. Niestety, bolec znajdował się dokładnie pośrodku. Po namyśle uznałem, że analogicznie do łuku, energia jest tym mniejsza, im bliżej wylotu lufy tkwi bolec. Umieściłem go właśnie w takim położeniu, skierowałem broń na palenisko i nacisnąłem spust.

Odgłos strzału jest chyba najokropniejszym dźwiękiem na świecie, gdyż przypomina przeraźliwy krzyk materii. Ten akurat nie był zanadto donośny, ale bardzo groźny, jak huk odległego grzmotu. Przez mgnienie oka — trwało to tak krótko, że zaraz potem byłem gotów uwierzyć, iż tylko mi się zdawało — widziałem cienki fioletowy promień, który połączył wylot lufy ze stosem wyschniętego drewna. Zaraz potem promień zniknął, drewno zajęło się ogniem, na podłogę zaś posypały się z paleniska fragmenty częściowo stopionego, a częściowo rozszarpanego metalu. W kierunku dywanu popęłzył strumyk roztopionego srebra, a kiedy dotknął

grubego kobierca, w powietrze natychmiast uniosła się wstążka gryzącego dymu.

Schowałem pistolet, do sakwy stanowiącej część mego nowego stroju czeladnika. **Rozdział**

Z powrotem przez rzekę

Tuż przed świtem u drzwi mojej sypialni zameldowali się Roche, Drotte i Eata. Drotte był z nas najstarszy, ale dzięki swojej twarzy i błyszczącym oczom wydawał się młodszy niż Roche.

W dalszym ciągu stanowił uosobienie żylastej siły, ale nie umknęło mojej uwagi, że przerosłem go już co najmniej o dwa palce; możliwe zresztą, iż stało się to jeszcze, zanim opuściłem Cytadelę, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Eata pozostał najmniejszy, a w dodatku jeszcze nie został wyniesiony do godności czeladnika — bądź co bądź, nie było mnie tylko jedno lato. Sprawiał wrażenie lekko oszołomionego i chyba jeszcze nie do końca uwierzył, że naprawdę jestem Autarchą, tym bardziej że ujrzał mnie teraz w takim samym stroju czeladnika, w jakim widział mnie ostatnio.

Przykazałem Roche'owi, żeby wszyscy trzej byli uzbrojeni; on i Drotte wzięli miecze podobne kształtem (choć znacznie gorszej jakości) do Terminus Est, natomiast Eata miał pałkę z twardego drewna. Gdybym nie widział walk toczonych na północy, uznałbym ich ekwipunek za całkowicie wystarczający, a tak nie tylko Eata, ale także pozostali dwaj przypominali mi małych chłopców, którzy, uzbrojeni w patyki, chcą bawić się w wojnę.

Po raz ostatni przeszliśmy przez wyrwę w murze i ruszyliśmy wiodącymi stale w dół, krętymi ścieżkami wśród cyprysów i grobowców. Na krzewach róż śmierci pozostało jeszcze kilka jesiennych kwiatów, a ich widok natychmiast przywiódł mi na myśl Morwennę, jedyną kobietę, której odebrałem życie, oraz jej nieprzyjaciółkę Eusebię.

Jak tylko minęliśmy bramę nekropolii i zagłębiliśmy się w zaśmiecone ulice miasta, moich towarzyszy ogarnął niemal radosny nastrój. Przypuszczam, iż do tej pory obawiali się podświadomie, że zauważy ich mistrz Gurloes i ukarze za to, że wypełniają wolę Autarchy.

— Mam nadzieję, że nie chcesz się kąpać — powiedział Drotte. — To żelastwo natychmiast pociągnęłoby nas na dno. Roche zarechotał pod nosem.

— Eata ma drewnianą pałkę, więc wypłynąłby na powierzchnię.

— Udajemy się daleko na północ miasta — poinformowałem ich. — Będzie nam potrzebna łódź, ale myślę, że chyba uda nam się jakąś wynająć.

— Pod warunkiem, że ktoś w ogóle będzie chciał z nami rozmawiać i że wcześniej nie zostaniemy aresztowani. Chyba wiesz, Autarcho...

— Severianie — przypomniałem mu. - Tak długo, jak długo mam na sobie ten strój.

— A więc, Severianie... Tej broni możemy używać tylko podczas egzekucji, a wątpię, czy udałoby nam się przekonać peltastów, że właśnie w tej sprawie opuściliśmy Cytadelę, i to w dodatku we czwórkę. Czy oni cię znają? Jeśli nie, to...

— Patrzenie! — przerwał mu Eata, wyciągając rękę w kierunku rzeki. — Łódź!

Roche zawołał głośno, wszyscy trzej zaczęli wymachiwać rękami, a ja wyjąłem z sakwy jedno z chrisos, jakich kilka pożyczyłem od kasztelana, i podniosłem je wysoko nad głowę, tak by padły na nie pierwsze promienie słońca wychylającego się właśnie zza wież Cytadeli.

Mężczyzna siedzący u steru pomachał w odpowiedzi czapką, a szczupły chłopak rzucił się do żagli, by zmienić hals.

Łódź miała dwa maszty, była smukła i płaska — krótko mówiąc, mieliśmy przed sobą jednostkę wręcz idealnie przystosowaną do przewożenia nie oclonych towarów i do wymykania się jednostkom patrolowym. Stary przemytnik siedzący u steru wyglądał na człowieka zdolnego do popełnienia znacznie poważniejszych przestępstw, szczupły chłopak okazał się zaś dziewczyną o roześmianych oczach, wykorzystującą je głównie do posyłania przeciągłych spojrzeń i zerkania z ukosa,

— A niech mnie! — wykrzyknął sternik, kiedy zobaczył z bliska nasze habity. —

Myślałem, że to jacyś żałobnicy, a tu proszę! Panowie kaci, jeśli się nie mylę? Prawdziwi?

— Najprawdziwsi — zapewniłem go, wskakując na pokład. Z zadowoleniem stwierdziłem, że nauka, jaką odebrałem na "Samru", nie poszła na marne, gdyż stałem całkiem swobodnie, natomiast Drotte i Roche przy najlżejszym poruszeniu łodzi musieli rozpaczliwie chwytać się lin i ożaglowania.

— Pozwolisz, że przyjrzę się z bliska temu złotemu jegomościowi? Jeśli jest prawdziwy, natychmiast odeślę go do domu.

Rzuciłem mu monetę; potarł ją, spróbował zębami, po czym zwrócił mi z wyraźnym szacunkiem.

— Możemy potrzebować twojej łodzi na cały dzień.

— Za tego jegomościa pozwolę wam wziąć ją jeszcze na noc. Oboje będziemy radzi z towarzystwa, jak powiedział do ducha pewien przedsiębiorca pogrzebowy. Różne dziwne rzeczy działy się tuż przed świtem na rzece — może to ma jakiś związek z waszą poranną wycieczką?

— Odbijaj — poleciłem mu. — Jeżeli zechcesz, opowiesz mi o tych dziwnych rzeczach, kiedy będziemy w drodze.

Chociaż sternik sam poruszył ten temat, jakoś nie przejawiał nadmiernej ochoty, aby go rozwinąć, być może dlatego, że miał trudności ze znalezieniem właściwych słów, by opowiedzieć o tym, co czuł, widział i słyszał. Wiał lekki zachodni wiatr, dzięki czemu łódź mogła dość szybko płynąć pod prąd. Opalona na brązowo dziewczyna nie miała wiele do roboty, w związku z czym siedziała na dziobie i wymieniała spojrzenia z Eatą. (Ponieważ był ubrany w brudne szare spodnie i taką samą koszulę, przypuszczałnie wzięła go za naszego służącego lub pomocnika).

Sternik, który twierdził, że jest jej wujem, przez cały czas napierał na ster, aby nie odpaść od wiatru.

— Opowiem wam tylko o tym, co widziałem na własne oczy. Byliśmy wtedy jakieś osiem albo

dziewięć mil na północ od miejsca, w którym nas zatrzymaliście. Mieliśmy na pokładzie małże, a z takim ładunkiem nigdy nie należy się ociążać, szczególnie jeśli zapowiada się ciepłe popołudnie. Pływamy w dół rzeki, kupujemy je od zbieraczy, a potem gonimy z powrotem w górę, żeby je sprzedać, zanim się zaśmiardną. Jeśli wiatr ucichnie, tracimy wszystko, ale jeśli szybko się uwiniemy, zarabiamy podwójnie.

Na tej łodzi spędziłem więcej nocy niż gdziekolwiek indziej. Można powiedzieć, że to moja sypialnia i kołyska, choć rzadko kiedy się zdarza, żebym mógł pójść spać przed świtem.

Jednak tej nocy... Czasem wydaje mi się, że nie jestem na Gyoll, tylko na jakiejś innej rzece, co płynie po niebie albo głęboko pod ziemią.

Nie wiem, czy zauważyliście — chyba że wyruszyliście bardzo późno — ale to była bardzo cicha noc, z wiatrem, który pojawiał się tylko na tyle, żeby człowiek zdążył zakląć, a zaraz potem znowu cichł. Była też mgła, gęsta jak wata. Wisiała nad wodą, tak jak zawsze czynią mgły, bardzo nisko, ale nie dotykając jej powierzchni. Przez większość czasu nie widzieliśmy nic oprócz niej, nawet świateł na brzegach. Kiedyś miałem róg, w który dąłem, żeby usłyszały nas załogi innych łodzi, ale w zeszłym roku wypadł mi za burtę i od razu utonął, bo był z miedzi.

Mogłem więc tylko wołać i robiłem to za każdym razem, jak tylko zdawało mi się, że coś się do nas zbliża.

Mniej więcej wachtę po tym, jak wpłynęliśmy w mgłę, kazałem Maxellindis iść spać.

Postawiłem oba żagle, żeby wykorzystać każdy, nawet najłżejszy podmuch wiatru, a potem podniosłem kotwicę. Może o tym nie wiecie, szlachetni panowie, ale na rzece obowiązuje zasada, że płynący w górę trzymają się bliżej brzegów, a ci, co płyną z prądem, bliżej środka. My płynęliśmy pod prąd, więc powinniśmy być w pobliżu wschodniego brzegu, ale w tej przeklętej mgle nie mogłem być niczego pewien.

W pewnej chwili usłyszałem uderzenia wiosła. Wyteżyłem wzrok, ale nic nie zobaczyłem. więc tylko wrzasnąłem co sił w płucach, żeby na nas uważali, a potem wychyliłem się za burtę i zbliżyłem ucho do powierzchni wody, bo tam słychać najlepiej. Mgła tłumi wszelkie odgłosy, więc należy wsadzić głowę pod nią, bo dźwięk rozchodzi się właśnie po wodzie. Tak właśnie zrobiłem i od razu zorientowałem się, że to jakaś duża łajba. Jeśli przy wiosłach siedzi zgrana załoga, wtedy nie da się policzyć uderzeń w każdym pociągnięciu, ale zawsze słychać odgłos, jaki wydaje woda rozcinana dziobem, i w ten sposób można ocenić wielkość statku. Ten był naprawdę duży. Wskoczyłem na dach nadbudówki, ale dalej nie widziałem żadnych świateł, choć tamten musiał być naprawdę blisko.

Zobaczyłem go, kiedy już miałem zejść na pokład: czteromasztowy galeas, z czterema rzędami wiosła i bez choćby jednego światła na pokładzie. O ile mogłem się zorientować, szedł

w górę rzeki niemal dokładnie jej środkiem. Pamiętam, jak pomyślałem sobie, że nie chciałbym znaleźć się w skórze tych, co będą płynęli z prądem.

Widziałem go tylko przez chwilę, ale słyszałem znacznie dłużej. Poczułem się tak dziwnie, że potem

wolałem prawie bez przerwy, mimo że nic się do nas nie zbliżało. Nie zdążyliśmy przepłynąć nawet pół mili, kiedy ktoś mi odpowiedział — tyle tylko, że zabrzmiało to dokładnie tak, jakby ktoś przyłożył mu batogiem. Poznałem go: nazywał się Trason i pływał

łodzią bardzo podobną do mojej.

— Czy to ty?! — zawołał, więc odparłem, że to ja, i zapytałem, czy u niego wszystko w porządku.

— Refuj żagle! — on na to.

Krzyknąłem mu, że nie mogę, bo wiozę małże i chcę je jak najprędzej sprzedać.

— Refuj żagle! — on znowu. — Refuj żagle i skręcaj do brzegu!

— Czemu ty tego nie zrobisz? — pytam.

Właśnie wtedy wyłonił się z mgły i zobaczyłem, że ma na łodzi więcej ludzi, niż gotów byłbym przypuszczać, że może się na niej pomieścić. Nazwałbym ich pandurami, gdyby nie to, że każdy pandur, jakiego do tej pory widziałem, miał twarz równie brązową jak moja albo jeszcze bardziej, a twarze tamtych były białe jak mgła. Na hełmach mieli głowy skorpionów i różnych innych stworzeń.

Zapytałem sternika, czy mieli także wychudzone twarze i wielkie oczy.

Pokręcił głową. Zauważyłem, że jeden kącik ust drży mu nerwowo.

— To byli potężni mężczyźni, więksi od każdego z was i co najmniej o głowę wyżsi od Trasona. W chwilę potem zniknęli, tak samo jak galeas. To była ostatnia łódź, jaką zauważyłem, zanim mgła się podniosła, ale...

— Ale widziałeś coś innego. Albo słyszałeś. Skinął głową.

— Pomyślałem sobie, że może zjawiliście się tu właśnie z tego powodu... Rzeczywiście, widziałem i słyszałem różne rzeczy, w tym także takie, których nigdy wcześniej nie spotkałem.

Rano opowiedziałem o wszystkim Maxellindis i ona twierdzi, że to były manaty. W świetle księżyca są blade i bardzo przypominają ludzi, pod warunkiem, że nie podpłynie się za blisko.

Słysząc było kobiece głosy, może nie głośne, ale dość potężne. Nie rozumiałem, co mówią, choć z ich tonu mogłem się sporo domyślać. Wydaje mi się, jakby o czymś opowiadały, a potem inny głos — niższy, choć nie nazwałbym go męskim — wydawał im polecenia. Kobiety odzywały się trzy razy, niższy głos tylko dwa. Może nie uwierzycie, panowie, ale chwilami odnosiłem wrażenie, jakby wszystkie głosy dobiegały z rzeki.

Umilkł i ponuro zapatrzył się na mijane nenufary. Oddaliliśmy się już znacznie od Cytadeli, lecz one nadal rosły gęściej niż kwiaty na jakiegokolwiek łące po tej stronie rajju.

Z tego miejsca widać było całą Cytadelę; choć tak ogromna, przypominała migoczącą plamkę na

szczyt wzgórza, najeżoną tysiącem metalowych wież gotowych w każdej chwili poderwać się w powietrze. Poniżej rozciągała się nekropolia, przypominająca biało-zielony kobierzec. Wiem, że do dobrego tonu należy mówić z odrazą o "niezdrowym" wyglądzie trawy i drzew rosnących w takich miejscach, ale nic na to nie poradzę, że nigdy nie byłem w stanie dostrzec w nich niczego niezdrowego. Rośliny umierają po to, by mogli żyć ludzie, ludzie zaś umierają po to, by mogły żyć rośliny — nawet ten niewinny, głupi ochotnik, którego dawno temu zabiłem jego własnym toporem. Powiada się, że wszystko, co nas otacza, jest gorsze niż kiedyś, i zapewne to prawda; kiedy jednak nadejdzie Nowe Słońce, Urth, jego wybranka, okryje się na powitanie liśćmi błyszczącymi jak szmaragdy. Na razie, na starej Urth i w blasku starego słońca, nigdzie nie spotkałem tak głębokiej i soczystej zieleni jak ta, którą pyszną się sosny naszej nekropolii, kołysane łagodnymi podmuchami wiatru. Czerpią swą siłę ze szczątków odeszłych w przeszłość pokoleń, a wysokością nie dorównują im nawet maszty okrętów morskiej floty.

Okrutne Pole jest położone daleko od rzeki. Na naszą czwórkę kierowały się liczne zdziwione spojrzenia, ale nikt nas nie zatrzymywał. Gospoda Straconych Uczuć, która kiedyś sprawiła na mnie wrażenie najmniej solidnego z domów, w jakich mógł zamieszkać człowiek, nadal stała w tym samym miejscu, gdzie ujrzałem ją tego popołudnia, gdy dotarłem tu w towarzystwie Dorcas i Agii. Otyły właściciel mało co nie zemdlął na nasz widok; poleciłem mu wezwać kelnera Oueną.

Wówczas, kiedy przyniósł tacę z posiłkiem dla Dorcas, Agii i mnie, w ogóle mu się nie przyjrzałem. Był łysiejącym mężczyzną mniej więcej wzrostu Drotte'a, o dość wynędzniałym wyglądzie. Miał błękitne oczy i delikatne rysy twarzy, które natychmiast rozpoznałem.

□

Wiesz, kim jesteście?

Pokręcił głową.

— Czyżbyś nigdy nie obsługiwał kata?

— Tylko raz, tej wiosny — odparł. — Wiem, że ci dwaj to kaci. ale ty na pewno nim nie jesteś, Sieur, mimo że masz na sobie taki sam strój co oni.

— A więc nigdy mnie nie widziałeś?

— Nie, Sieur.

— Cóż, może mówisz prawdę. — Wciąż nie mogłem oswoić się ze świadomością, że tak bardzo się zmieniłem. — Ponieważ mnie nie znasz, byłoby chyba dobrze, gdybym ja znał

ciebie, nie uważasz? Powiedz mi, gdzie się urodziłeś, kim byli twoi rodzice i jak się stało, że zacząłeś pracować w tej gospodzie.

— Mój ojciec był sklepikarzem, Sieur. Mieszkaliśmy w Starej Dzielnicy na zachodnim brzegu. Kiedy miałem dziesięć lat, wysłał mnie z domu, bym pracował w gospodach, i od tego czasu nie zmieniłem zajęcia.

— Powiadasz, że ojciec był sklepikarzem... A matka?

Co prawda twarz Oueną nadal miała ugrzeczniony wyraz, ale w jego oczach pojawiło się zdziwienie.

— Nie znałem jej, Sieur. Nazywała się Cas, ale umarła, kiedy jeszcze była młoda. Przy narodzinach dziecka, jak powiedział mi ojciec,

□

Z pewnością wiesz jednak, jak wyglądała?

Skinął głową.

— Ojciec miał medalion z jej podobiznami. Kiedyś odwiedziłem go — mogłem mieć wtedy jakieś dwadzieścia lat — i dowiedziałem się, że go zastawił. Zarobiłem trochę pieniędzy, ponieważ przez jakiś czas służyłem pewnemu szlachcicowi, zanosząc damom jego liściki i stojąc na straży, kiedy je odwiedzał, więc poszedłem do lombardu i wykupiłem medalion. Od tej pory zawsze go noszę, Sieur. W takim miejscu jak gospoda, przez którą codziennie przewija się mnóstwo ludzi, najlepiej nie rozstawać się z cennymi przedmiotami.

Wydobył spod koszuli emaliowany medalion. Znajdujące się w środku portrety przedstawiały Dorcas en face i z profilu, niewiele młodszą od tej jaką znałem.

— Twierdzisz, że w wieku dziesięciu lat zacząłeś pracować jako pomocnik karczmarza, a jednak potrafisz czytać i pisać?

— Trochę, Sieur. — Wyraźnie się zawstydził. — Często pytałem, co jest tu lub tam napisane, a na szczęście mam dobrą pamięć.

— Wiosną, kiedy w tej gospodzie zjawił się kat, skreśliłeś do niego kilka zdań.

Pamiętasz, co to było?

Wyraźnie przestraszony potrząsnął głową.

— Chciałem tylko ostrzec tę dziewczynę.

— Ja pamiętam. “Kobieta, która jest z tobą, już tutaj była. Nie ufaj jej. Trudo mówi, że ten człowiek to kat. Jesteś moją matką, która znowu do mnie przysła”.

Ouen pospiesznie schował medalion pod koszulę.

— Po prostu była do niej bardzo podobna, Sieur. Będąc dzieckiem często wyobrażałem sobie, że kiedyś spotkam właśnie taką kobietę, bo uważałem, że jestem lepszym człowiekiem od mojego ojca, a jemu przecież się to udało. Mnie jednak nic z tego nie wyszło i wcale nie wiem, czy naprawdę jestem lepszy.

— Wtedy nie wiedziałeś jeszcze, jak wygląda strój kata, ale Trudo, stajenny, wiedział.

W ogóle wiedział o katach znacznie więcej niż ty i dlatego uciekł.

— Rzeczywiście, Sieur. Czmychnął natychmiast, jak tylko powiedzieli mu, że kat chce z nim rozmawiać.

— Ty jednak, ze względu na niewinność dziewczyny, postanowiłeś ostrzec ją przed katem i drugą kobietą. Kto wie, może miałeś rację...

— Skoro tak twierdzisz, Sieur.

— Wiesz co, Ouen? Nawet jesteś do niej trochę podobny. Tłusty karczmarz wcale nie krył, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

— Na pewno nie tak bardzo, jak do ciebie! — zarechotał. Odwróciłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

— Bez urazy, Sieur. ale to prawda. Może jest trochę starszy, ale kiedy rozmawialiście, widziałem z boku twarze was obu i zapewniam cię, że prawie nie ma między wami różnicy.

Ponownie przyjrzałem się Ouenowi. Jego włosy i oczy nie były tak ciemne jak moje, ale poza tym jego twarz istotnie stanowiła niemal zwierciadlane odbicie mojej.

— Powiedziałeś, że nie udało ci się odnaleźć kobiety takiej jak Dorcas... to znaczy, takiej jak ta, której podobizny nosisz w medalionie. Jednak chyba znalazłeś jakąś kobietę?

Odwrócił wzrok.

— Wiele, Sieur.

— I zapewne spłodziłeś przynajmniej jedno dziecko?

— Skądże znowu! — zaprotestował gwałtownie — Nigdy, Sieur!

— Bardzo interesujące. Miałeś kiedyś kłopoty z prawem?

— Dość często, Sieur.

— Mówienie przyciszonym głosem świadczy o rozsądku, ale ty chyba trochę przesadzasz, bo prawie cię nie słyszę. I patrz na mnie, kiedy ze mną rozmawiasz. Czy kobieta, którą kochałeś — albo która ciebie kochała — miała czarne włosy, smagłą cerę i została aresztowana?

— Tak, Sieur. Nazywała się Katarzyna... To podobno bardzo stare imię. — Umilkł na chwilę, po czym wzruszył ramionami. — Wpadła w kłopoty. Uciekła z jakiegoś zakonu, a potem schwytano ją i już nigdy jej nie zobaczyłem.

Nie chciał iść, więc zmusiliśmy go, by wrócił z nami do łodzi.

Kiedy nocą podążałem w górę rzeki na pokładzie „Samru”, granica między martwym a żyjącym miastem przypominała tę, jaka oddziela ciemną krzywiznę planety od czaszy wypełnionego gwiazdami nieba. Teraz, kiedy światła było znacznie więcej, granica znikła. Na obu brzegach wznosiły się na pół zrujnowane budowle, lecz nie mogłem stwierdzić, czy są to domostwa najbiedniejszych obywateli czy już tylko opustoszałe ruiny — przynajmniej do chwili, kiedy ujrzałem rozpięty sznurek, a na nim suszące się szmaty, które chyba miały pełnić funkcję garderoby.

— Nasza konfraternia popiera ideę ubóstwa — powiedziałem do Drotte'a, opartego obok mnie o okężnicę. — Wygląda na to, że tym ludziom udało się ją zrealizować.

— I chyba właśnie dlatego najbardziej im brakuje jakiejś idei — odparł.

Mylił się, gdyż Prastwórca był tutaj, potężniejszy od hieroduli i tych, którym oni służą.

Czułem jego obecność tak samo, jak wyczuwa się obecność pana domu, nawet jeśli czeka na nas ukryty w najodleglejszym z pokoi. Schodząc na brzeg odniosłem wrażenie, iż wystarczy, żebyśmy zajrzeli do którejkolwiek bramy, a ujrzemy kryjącą się w cieniu, świetlistą postać, oraz że zwierzchnik tych postaci pozostaje niewidoczny tylko dlatego, że jest zbyt wielki, aby go zauważyć.

Na jednej z zarośniętych trawą ulic znaleźliśmy męski sandał, nieco znoszony, ale nie stary.

— Mówiono mi, że w tych dzielnicach grasują rabusie. Między innymi właśnie dlatego poprosiłem, żebyście mi towarzyszyli, choć gdyby chodziło tylko o mnie, nie zawahałbym się przybyć tu sam.

Roche skinął głową i dobył miecza, ale Drotte powiedział:

— Tu nikogo nie ma. Jesteś teraz znacznie mądrzejszy od nas, Severianie, ale obawiam się, że zbyt przywykłeś do różnych rzeczy, które przerażają zwykłych ludzi.

Zapytałem, co ma na myśli.

— Choćby to, że wiedziałeś, o czym opowiada sternik. Poznałem to po twojej twarzy.

Owszem, bałeś się albo przynajmniej trochę się przejąłeś, ale nie byłeś przerażony tak jak on minionej nocy, ani jak byłby przerażony każdy z nas, gdyby wtedy znalazł się w pobliżu rzeki.

Rabusie, o których mówisz, z pewnością obserwowali rzekę tak jak każdej nocy, więc należy przypuszczać, że nie pojawią się tu ani dzisiaj, ani przez kilka najbliższych dni.

Eata dotknął mego ramienia.

— Czy myślisz, że tej dziewczynie z łodzi grozi jakieś niebezpieczeństwo?

— Na pewno nie tak wielkie, jak tobie z jej strony — odparłem. Nie zrozumiał, o czym mówię. Co prawda jego Maxellindis nie była Theclą, więc nie groziło mu powtórzenie mojej historii, ale ja i tak

dostrzegłem korytarze Czasu ukryte za tą opaloną twarzą o roześmianych brązowych oczach. Miłość oznacza dla kata bardzo ciężką próbę; niezależnie od tego, co uczynię z konfraternią, Eata i tak miał zostać katem, podobnie jak stają się nimi wszyscy ludzie odczuwający pogardę dla bogactwa, bez którego nie są w stanie osiągnąć pełni człowieczeństwa, i zadający cierpienia bez względu na to, czy tego chcą czy nie. Zrobiło mi się go żal, lecz jeszcze bardziej żałowałem Maxellindis, dziewczyny z łodzi.

Ouen i ja weszliśmy do domu, natomiast Roche, Drotte i Eata zostali na straży na zewnątrz. Kiedy stanęliśmy w progu, usłyszałem delikatny odgłos kroków Dorcas.

— Nie powiemy ci, kim jesteś ani kim się staniesz — zwróciłem się do Ouena. — Wiedz jednak, że jesteśmy twoim Autarchą i dlatego musisz robić, co ci każemy.

Nie znałem słów, które zapewniłyby mi jego posłuszeństwo, lecz okazało się, że wcale ich nie potrzebuję, gdyż natychmiast padł na kolana, tak samo jak kasztelan.

— Przeprowadziliśmy ze sobą katów, abyś zdawał sobie sprawę, co cię czeka, jeśli nas nie posłuchasz. Nie chcemy jednak, aby tak się stało, a teraz, kiedy już cię poznaliśmy, wydaje nam się, że niepotrzebnie ich fatygowaliśmy. W tym domu jest pewna kobieta. Za chwilę tam wejdiesz. Musisz opowiedzieć jej swoją historię tak samo, jak nam ją opowiedziałeś, a potem musisz zostać z tą kobietą i ją chronić, nawet jeśli nie będzie tego chciała.

— Uczynię co w mojej mocy, Autarcho.

— Dobrze by było, abyś namówił ją do opuszczenia tego miasta śmierci. Tymczasem weź to. — Wręczyłem mu pistolet. — Jest wart całego wozu chrisos, ale dopóki tu zostaniecie, na pewno przyda ci się znacznie bardziej od złota. Kiedy znajdziecie się w bezpiecznym miejscu, odkupimy go od ciebie, jeśli taka będzie twoja wola.

Pokazałem mu, jak posługiwać się bronią, po czym odszedłem.

Byłem wtedy zupełnie sam i nie wątpię, że są tacy, którzy po zapoznaniu się z tym opisem wydarzeń stanowczo zbyt burzliwego lata dojdą do wniosku, iż nie ma w tym nic niezwykłego. Przecież Jonasa, mego jedyne prawdziwego przyjaciela, uważałem za maszynę, natomiast Dorcas, którą w dalszym ciągu kocham, sama siebie traktowała jak coś w rodzaju ducha.

Ja jednak wcale tak nie uważam. Wyboru, czy mamy być sami, czy też nie. dokonujemy w chwili, kiedy podejmujemy decyzję, kogo dopuścimy do kompanii, a kogo odrzucimy. Dlatego właśnie pustelnik zamieszkujący górską jaskinię ma towarzystwo, ponieważ przyjaźni się z ptakami, królikami i wiatrem, natomiast niejeden człowiek żyjący pośród milionów jest samotny, gdyż otaczają go wyłącznie jego ofiary i wrogowie.

Agia, którą mogłem pokochać, została wybrana na Vodalisa w spódnicy, stając się tym samym nieprzyjacielem znacznej części ludzkości. Ja, który mogłem pokochać Agię, która z kolei kochała Dorcas, choć chyba nie tak głęboko, jak powinna, byłem sam, ponieważ stałem się częścią jej przeszłości, a tę Agia kochała bardziej niż mnie - może z wyjątkiem pierwszych chwil naszej

znajomości.

Rozdział XXXVIII

Zmartwychwstanie

Prawie nic już nie zostało do opowiedzenia. Wstał świt, a wraz z nim czerwone słońce podobne do przekrwionego oka. Przez okno wciska się do komnaty zimny wiatr. Lada chwila służący wniesie tacę z gorącym posiłkiem; wraz z nim bez wątpienia zjawi się stary, pokręcony Ojciec Inire, aby w ostatniej chwili zamienić ze mną jeszcze kilka słów. Stary Ojciec Inire, który o tyle przeżył swych pobratymców, a który, czego się obawiam, nie o wiele przeżyje czerwone słońce. Na pewno się rozzłości, kiedy powiem mu, że przesiedziałem całą noc, kończąc moje zapiski.

Już wkrótce przywdzieję szatę barwy argentu, który jest bielszy od bieli. Nieważne.

Dni na statku będą długie i monotonne. Wypełnię je lekturą. Muszę się jeszcze wiele nauczyć. Od czasu do czasu zapadnę w drzemkę w mojej koi, nasłuchując, jak niezliczone stulecia prześlizgują się po kadłubie. Ten rękopis przekażę mistrzowi Ultanowi, ale jeśli nie będę mógł zasnąć, a zmęczy mnie już lektura, ja, który niczego nie zapominam, zacznę pisać go od początku, słowo w słowo lak, jak napisałem go teraz. Nazwę go “Księgą Nowego Słońca”, ponieważ w księdze tej, zaginionej od niepamiętnych czasów, podobno przepowiedziano jego nadejście. A kiedy skończę go ponownie, zamknę moje dzieło w ołowianym pojemniku i wyślę w przestrzeń, by zeglowało po oceanie czasu i przestrzeni.

Czy dotrzymałem wszystkich obietnic? Zdaję sobie sprawę, że wielokrotnie zapewniałem cię, czytelniku, że taka lub inna sprawa zostanie dokładniej wyjaśniona w dalszej części opowieści. Pamiętam o tych zapewnieniach, ale pamiętam też o tylu innych... Zanim uznasz, że cię oszukałem, przeczytaj wszystko jeszcze raz, tak jak ja mam zamiar jeszcze raz to napisać.

Dwie rzeczy nie ulegają dla mnie najmniejszej wątpliwości. Pierwsza to ta, że nie jestem pierwszym Severianem. Ci, co chadzają korytarzami Czasu, widzieli mnie, jak zasiadam na Tronie Feniksa, i powiedzieli o tym Autarsze. Dlatego właśnie uśmiechał się tajemniczo, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Lazurowym Pałacu, i dlatego wodnica wyniosła mnie ku powierzchni, mimo że powinienem był utonąć. (Jednak ten pierwszy Severian także chyba przeżył, z czego należałoby wysnuć wniosek, że już wtedy jakieś siły kształtowały mój los).

Spróbuję teraz odtworzyć historie tamtego Severiana.

On także był wychowywany przez katów, został zesłany do Thraxu i uciekł stamtąd, a choć nie miał przy sobie Pazura Łagodziciela, to przypuszczalnie wziął udział w walkach na północy — bez wątpienia pragnąc umknąć przed pościgiem archonta. Nie wiem, w jaki sposób zetknął się tam z Autarchą, ale takie spotkanie jednak nastąpiło, w wyniku zaś tego spotkania on (który mimo wszystko pozostaje także mną) zajął miejsce Autarchy, by pożeglować w pustkę kosmosu. Wówczas ci, co wędrują korytarzami Czasu, cofnęli się do okresu, kiedy jeszcze był

młody, i wtedy właśnie rozpoczęła się moja historia, dokładnie taka, jaką ją tu opowiedziałem.

Druga rzecz jest następująca: Tamten Severian nie wrócił do swego czasu, lecz dołączył

do tych, którzy mieszkają w korytarzach. Teraz wiem już, kim był człowiek o imieniu Apu-Punchau,

dłaczego Hildegrin, który znalazł się zbyt blisko niego, zginął, a więdźmy uciekły w popłochu. Wiem też, w czyim grobowcu bawiłem się jako chłopiec i czyj herb składa się z róży, fontanny i leżącego statku. Naruszyłem spokój własnego grobu, w którym niebawem spocznię.

Zaraz po tym jak Drotte, Roche, Eata i ja wróciliśmy do Cytadeli, otrzymałem pilne wiadomości od Ojca Inire i z Domu Absolutu, lecz mimo to zwlekałem z podjęciem ostatecznej decyzji. Poprosiłem kasztelana o mapę; dostarczył mi ją dopiero po długich poszukiwaniach.

Była ogromna, stara i mocno zniszczona. Obejmowała cały teren twierdzy łącznie z murem, lecz nazwy były zupełnie inne, a usytuowanie i liczba wież nie do końca pokrywały się z rzeczywistością.

Wówczas kazałem sprowadzić ślizgacz i przez pół dnia unosiłem się nad wieżami. Z

pewnością wielokrotnie przelatywałem nad miejscem, którego szukałem, ale mimo to nie udało mi się go dostrzec.

Wreszcie, zaopatrzony w silną, niezawodną lampę, zagłębiłem się w labirynt lochów pod naszą wieżą. Schodziłem coraz głębiej wijącymi się bez końca schodami, aż na koniec dotarłem na najniższy poziom. Skąd bierze się moc, która pozwala miejscom położonym głęboko pod ziemią zachowywać przeszłość w prawie nie zmienionej postaci? Niemal od razu natknąłem się na jedną z misek, w jakich nosiłem pożywienie dla Triskele. (Temu samemu Triskele, który ożył

pod moim dotykiem ponad dwa lata przed tym, jak wszedłem w posiadanie Pazura). Ponownie ruszyłem śladami psa, tak jak uczyniłem będąc jeszcze uczniem; wówczas dotarłem do sekretnego wyjścia w Ogrodzie Czasu, gdzie na dobre zaczęła się moja, trwająca aż do tej pory, wędrówka mrocznymi i krętymi korytarzami.

Teraz, dzięki silnemu światłu lampy, bez trudu znalazłem miejsce, gdzie zgubiłem ślad Triskele. Ogarnęła mnie trudna do przewyciężenia pokusa, żeby pójść za nim i sprawdzić, dokąd dotarł, a tym samym przekonać się, kto został jego nowym panem i do kogo wracał od tamtej pory po naszych niezbyt częstych spotkaniach w mrocznych zaułkach Cytadeli. Być może uczynię to, kiedy wrócę na Urth — naturalnie jeżeli w ogóle na nią wrócę.

Wtedy jednak poszedłem prosto, śladem chłopca-mężczyzny, jakim kiedyś byłem, wiodącym prosto jak strzelił korytarzem o podłodze pokrytej warstwą błota i ścianach oznaczonych z rzadka mrocznymi otworami drzwi. Severian, za którym podążałem, miał na nogach za duże buty o startych obcasach i mocno sfatygowanych podeszwach; obejrzawszy się za siebie, stwierdziłem, że choć mojemu obuwiu nic nie można było zarzucić, to jednak moje kroki są nierównej długości i w dodatku nieco powłóczę jedną stopą. Tak więc jeden Severian miał dobre buty. drugi dobre nogi. Roześmiałem się głośno na myśl o tym czy ktoś, kto za kilka lub kilkanaście lat dotrze do tego tunelu, domyśli się, że oba ślady pozostawiła ta sama osoba.

Nie mam pojęcia, czemu mogły nigdy służyć te tunele. Wielokrotnie mijałem schody prowadzące jeszcze niżej, ale po kilku stopniach zawsze nikły w nieruchomej, czarnej wodzie.

Znalazłem też szkielet ale jak to zazwyczaj bywa ze szkieletami, niczego się od niego nie

dowiedziałem. Tu i ówdzie na ścianach widniały pomarańczowe lub czarne napisy, równie tajemnicze jak szcurze bazgroły w bibliotece mistrza Ultana. Zaglądając do mijanych pomieszczeń, w kilku z nich dostrzegłem niezliczone, wtopione w ściany zegary, i choć wszystkie milczały, ich wskazówki zaś zupełnie skorodowały, pokazując godziny z dawno minionej przeszłości, uznałem to odkrycie za dobry omen dla kogoś, kto poszukuje Ogrodu Czasu.

Wreszcie go znalazłem. Mała plama słonecznego blasku wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Z pewnością była to głupota z mojej strony, ale wyłączyłem lampę i długą chwilę stałem w ciemności, wpatrując się w słoneczną kałużę o nieregularnych brzegach. Wyglądała co najmniej równie tajemniczo, jak poprzednim razem.

Bąłem się, że będę miał kłopoty z przeciśnięciem się przez otwór, ale nawet jeśli ten Severian był nieco grubszej kości, to jednocześnie znacznie wyszczupłał, tak że po przepchnięciu barków reszta przeszła bez żadnych problemów.

Śnieg zniknął, lecz w powietrzu czuć już było zapowiedź jego rychłego powrotu. Wśród umierających krzewów róż leżało kilka martwych liści, przyniesionych tu ciepłymi, wstępującymi prądami powietrza. Pochylony zegar nadal rzucał bezsensowny cień, równie bezużyteczny jak jego martwi kuzyni w podziemiach, choć nie tak nieruchomy. Wyrzeźbione w kamieniu zwierzęta przyglądały mu się bez drgnięcia powieki.

Podszedłem do drzwi i zastukałem w nie mocno. Otworzyła je ta sama bojaźliwa stara kobieta, która nas poprzednio obsługiwała, ja zaś wszedłem do wypełnionego zapachem stęchlizny pokoju i kazałem jej przyprowadzić Valerię. Kobieta pospieszyła wypełnić moje polecenie, ale zanim zniknęła mi z oczu, w ciekawych ścianach ożyły niewyobrażalnie stare głosy, domagając się natarczywie, aby Valeria stawiała się przed jakąś obdarzoną staroświeckim tytułem osobistością. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że chodzi o mnie.

Tutaj zatrzymuję pióro, czytelniku, choć ja sam podążam dalej. Przeprowadziłem cię od bramy do bramy — od zamkniętej, spowitej mgłą bramy nekropolii Nessus, do zasnutej chmurami bramy zwanej niebem, która zaprowadzi mnie przynajmniej taką mam nadzieję —

poza najbliższe gwiazdy.

Zatrzymuję pióro, ale sam podążam dalej. Czytelniku, nie możesz już mi towarzyszyć.

Nadeszła pora, aby każdy z nas samodzielnie zmierzył się ze swym losem.

Ja, Severian Kulawy, Autarcha, składam pod tym dokumentem swój podpis w roku, który będzie nazywany ostatnim rokiem Starego Słońca.

Dodatek

Arsenal Autarchy i statki hieroduli

Chyba żadna część rękopisu "Księgi Nowego Słońca" nie wywołuje tylu wątpliwości, co fragmenty traktujące o uzbrojeniu i strukturze sił zbrojnych.

Niejasności dotyczące wyposażenia sojuszników i przeciwników Severiana biorą się głównie z dwóch powodów. Pierwszym z nich jest skłonność autora do wynajdywania oddzielnych określeń dla każdego rodzaju broni. Tłumacząc te fragmenty musiałem brać pod uwagę nie tylko znaczenie samych słów, ale także wygląd, funkcję i sposób działania samej broni. Stąd właśnie wzięły się, pozornie anachroniczne, muszkiety, lance, bombardy i temu podobne.

Druga przyczyna trudności zdaje się wynikać z faktu, że mamy jednocześnie do czynienia z produktami technologii znajdujących się na trzech różnych szczeblach rozwoju. Najniższy z nich określiłbym jako poziom żelaza; miecze, noże, topory i piki, stanowiące wytwór tej technologii, mógłby wykonać każdy zdolny kowal z piętnastego stulecia. Z tej broni chętnie korzystają wszyscy obywatele, jej zaawansowanie zaś odpowiada technologicznemu zaawansowaniu społeczeństwa jako całości.

Drugi poziom określiłbym jako poziom Urth. Do tej grupy należy stosowana przez jazdę broń, którą nazwałem lancami i pikami, podobnie jak halabardy, którymi grozono Severianowi przy wejściu do przedpokoju Domu Absolutu, a także sporo innego oręża. Z tekstu nie wynika jednoznacznie, czy ta broń była powszechnie dostępna, wydaje się natomiast bardzo prawdopodobne, że ludzie Guasachta otrzymywali ją do ręki dopiero bezpośrednio przed bitwą, potem zaś oddawali na przechowanie. Warto może zaznaczyć, iż w podobny sposób postępowano na okrętach bojowych w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, mimo że zarówno kordelasy, jak i broń palną można było bez większego problemu nabyć w każdym porcie. Kusze, których używali przy wejściu do kopalni płatni zabójcy wynajęci przez Agię, także zaliczają się do tej grupy, należy więc przypuszczać, iż dostęp do nich mogli mieć głównie dezertrzy.

Poziom Urth reprezentuje więc najwyższy stopień zaawansowania technologicznego, jaki udało się osiągnąć na planecie, a być może w całym Układzie Słonecznym. Trudno powiedzieć, jak ta broń spisałaby się w konfrontacji z naszą; zbroje i pancerze z pewnością okazałyby się niewystarczające, ale przecież nie chronią one także przed strzelbami, karabinami i pistoletami maszynowymi.

Trzeci poziom nazwałbym poziomem kosmicznym. Pistolety, które Thea otrzymała od Vodalusa, a Ouen od Severiana, ponad wszelką wątpliwość należą właśnie do tej kategorii, natomiast nie możemy mieć tej pewności w odniesieniu do wielu innych rodzajów broni, o jakich wspomina się w rękopisie. Część artylerii, albo nawet cała, także mogła być tego pochodzenia, podobnie jak muszkiety i miotacze, używane przez żołnierzy po obu stronach frontu.

Jest oczywiste, że broni kosmicznej nie produkowano na Urth, w związku z czym musiała być po bardzo wysokich cenach nabywana od hieroduli. Nasuwa się interesujące pytanie — na które nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi — co właściwie oferowano im w zamian? Według naszych

standardów Urth starego słońca jest prawie zupełnie pozbawiona surowców naturalnych; kiedy Severian mówi o kopalniach, ma na myśli coś, co skłonni byśmy byli określić raczej mianem “rabunkowych wykopalisk archeologicznych”, nowe kontynenty zaś, które (przynajmniej w sztuce doktora Talosa) są gotowe powstać wraz z nadejściem Nowego Słońca, mają rzekomo zawierać “złoto, srebro, żelazo i miedź”, co w głównej mierze stanowi o ich atrakcyjności. Z braku surowców funkcję dóbr wymiennych mogli pełnić niewolnicy, futra, mięso i inne artykuły żywnościowe, a także przedmioty wymagające znacznego nakładu pracy ręcznej, jak na przykład biżuteria.

Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej niemal o wszystkim, o czym wspomina się w rękopisie, szczególnie jednak zależałoby nam na bardziej szczegółowych informacjach dotyczących międzygwiazdnych statków, którymi dowodzą hierodule, ale załogę tworzą często ludzie. (Dwie spośród najbardziej tajemniczych postaci, z jakimi mamy do czynienia w tej relacji, Jonas i Hethor, przypuszczalnie wchodziły w skład jednej z tych załóg). Niestety, w tym przypadku tłumacz staje wobec największej, a jednocześnie najbardziej irytującej trudności, która wynika przede wszystkim z tego, że Severian nie odróżnia statków morskich od kosmicznych.

Jednak, biorąc pod uwagę okoliczności, nie powinno to nikogo dziwić. Jeżeli sąsiedni kontynent jest równie trudno dostępny jak Księżyc, to Księżyc wcale nie jest bardziej odległy niż sąsiedni kontynent. Co więcej, międzygwiazdne statki były napędzane gigantycznymi żaglami z folii metalowej, w które uderzały rozprzeczony fotony, z czego wynika, że również w kosmosie znajdowała zastosowanie wiedza o masztach, ożaglowaniu i olinowaniu. Z tego względu nie da się wykluczyć, iż, być może, marynarze żeglujący na jednostkach, które obecnie budzą nasze politowanie, mogli z dnia na dzień zamustrować się na statki, których możliwości napełniłyby nas pełnym niedowierzaniem i podziwem. W tym kontekście zupełnie innego znaczenia nabiera fakt, iż sternik łodzi kursującej po Gyoll wysławia się podobnie jak Jonas.

Na koniec jeszcze jedna uwaga: zarówno w samym przekładzie, jak i w tych dodatkach, starałem się uniknąć dawania wyrazu moim wątpliwościom, wydaje mi się więc, że teraz, po siedmiu latach wytężonej pracy, mogę sobie pozwolić na zasygnalizowanie jednej z nich. Jeżeli założymy, że zdolność do rozciągania godzin w eony i kurczenia eonów do rozmiarów godzin, jaką dysponowały te statki, stanowiła jedynie naturalną konsekwencję faktu, iż bez wysiłku penetrowały międzygwiazdną, a nawet międzygalaktyczną przestrzeń, umykając w ten sposób przed agonią wszechświata, oraz jeśli przyjmiemy, że wynikająca bezpośrednio z tych zdolności umiejętność podróżowania w czasie wcale nie jest tak trudna, jak nam się wydaje, to czy nie możemy założyć, że Severian od samego początku żywił pewne podejrzenia dotyczące swojej przyszłości?

G.W.

Spis treści

I

Martwy żołnierz

II

Żywy żołnierz

III

W tumanach pyłu

IV Gorączka

V

Lazaret

VI

Miles, Foila, Melito i Halvard

VII

Opowieść Halvarda: O dwóch łowcach fok

VIII Peleryna

IX

Opowieść Melita: O kogucie, aniele i orle

X

Ava

XI

Opowieść lojalnego wobec Grupy Siedemnastu: O prawym człowieku XII

Winnoc

XIII Opowieść Foili: O córce szlachcica

XIV Mannea

XV Najdalszy Dom

XVI Pustelnik

XVII Ragnarok — ostatnia zima

XVIII Prośba Foili

XIX Guasacht

XX Patrol

XXI Przed bitwą

XXII Bitwa

XXIII

Morska flota zbliża się do lądu

XXIV Ślizgacz

XXV Miłosierdzie Agii

XXVI Nad dżunglą

XXVII Przed obliczem Vodalusa

XXVIII W marszu

XXIX Autarcha Wspólnoty

XXX Korytarze Czasu

XXXI Piaskowy Ogród

XXXII “Samru”

XXXIII Cytadela Autarchy

XXXIV Klucz do wszechświata

XXXV List Ojca Inire

XXXVI Fałszywe złoto i płomienie

XXXVII Z powrotem przez rzekę

XXXVIII Zmartwychwstanie

Dodatek Arsenał Autarchy i statki hieroduli